

Katherine Scholes

Bożyszczce
tłumów

ML

Świat Książki

Scholes Katherine

Bożyszcze tłumów

Niezwykle sugestywna opowieść o sile przeszłości i uzdrawiającej potędze miłości.

*Ellen Kirby szuka miejsca, w którym byłaby szczęśliwa – Nowy Jork, Tasmania, Indie...
Wciąż gnana silnymi uczuciami, ucieka. Od demonów przeszłości, od męczącej sławy tancerki, od męża i córki, wreszcie – od hinduskich wyznawców, którzy czczą ją jako boginię. Nie można jednak uciec od wewnętrznie zagubionej siebie. Ellen przekonuje się, że trzeba się czasami zgubić, aby się naprawdę odnaleźć...*

CZESC I

1

Wyspa Flinders, Tasmania, 1993

Zelda stała na dziobie kutra rybackiego i rozdzielała tasakiem tusze walabii. Korzystała z ciężkiego ostrza jak z topora: unosiła je wysoko nad głowę i opuszczała z dużym rozmachem, rozcinając skórę, mięso i kości miejscowych, niewielkich kangurów. Wokół niej leżały różne kawałki - głowy z uszami, górne części z krótkimi kończynami przednimi, zady z potężnymi kończynami tylnymi i ogony; wszystko wymieszane jak elementy dziecięcej układanki.

Kiedy oprawiła ostatnią tuszę, wrzuciła wszystkie kawałki do wiadra i zaniosiła je w miejsce, gdzie ojciec przygotowywał kosze na langusty.

- Pamiętaj, że muszę wrócić na szóstą - powiedziała. - Jestem umówiona.

James zerknął na nią i wrócił do zakładania przynęty.

- W takim razie lepiej posprzątaj - odparł.

Dziewczyna przez chwilę bacznie mu się przyglądała, potem zaczęła oporządzać liny i sieci, które leżały splątane na pokładzie. Ze złością zacisnęła wargi. Wiedziała, że niezależnie od tego, jak będzie się starała, ojciec i tak zrobi wszystko, żeby się spóźniła.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając skośne promienie na pomarszczoną powierzchnię wody. Ogromne albatrosy o szarych oczach krążyły nad pokładem, machając majestatycznie skrzydłami. Fruwały z opuszczonymi dziobami i szukały pożywienia. Zelda zerknęła na nie niespokojnie. Zaledwie kilka tygodni temu jeden z nich złapał tuńczyka na haczyku i wraz z żyłką próbował wzbic się w przestworza. Drżącymi rękoma zwinęła wtedy kołowrotek i starała się usunąć haczyk z głębokiego, czerwonego gardła ptaka, który rozpaczliwie skrzeczał i próbował bronić się nogami. Dziewczyna była wówczas sama na łodzi i nikt nie mógł jej pomóc. Koniec końców nie miała wyboru, ucięła więc żyłkę i uwolniła ptaka. Unosił się nad wodą z przekrzywionym na bok dziobem i patrzył na nią. Zelda przypomniała sobie jego oczy - pełne dziecięcego strachu i zaskoczenia.

- Trzeba było od razu go zastrzelić - skomentował ojciec, gdy później mu o wszystkim opowiedziała. - Z haczykiem w gardle i tak nie ma szansy na przeżycie.

W końcu James podszedł do steru i zapuścił silnik. Zaczęli wolno opływać długą, wąską rafę. Kuter posuwał się do przodu niewielkimi odcinkami, a Zelda przerzucała przez burtę kosze z przynętą. Wiklinowe klatki szybko się zanurzały i znikwały wśród wodorostów, pozostawiając po sobie tylko boje z czarnymi chorągiewkami. Kiedy zniknął ostatni kosz, James zawrócił kuter i ruszył w stronę białego zakola piaszczystej plaży, która rozciągała się między dwoma skalistymi przylądkami.

Zelda weszła do sterówki i zamknęła za sobą drzwi, żeby uchronić się przed pyłem wodnym. Pomieszczenie było wąskie, więc wcisnęła się w kąt, pragnąc zachować jak największy dystans między sobą a ojcem. Oboje milczeli. Kuter podskakiwał na niewielkich falach.

W końcu dziewczyna odezwała się: Specjalnie zrobiłeś wszystko, żebyśmy się spóźnili!
James nie odezwał się ani słowem.

- Mam prawo do własnych planów - ciągnęła. - Nie jestem już dzieckiem.
- Znasz tę pracę - odparł James. - Wymaga odpowiedniego czasu. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Zelda długo patrzyła przed siebie, przesuając wzrokiem po poszarpanej, szarej linii gór, które wznosiły się ku niebu, zaróżowionemu przez promienie zachodzącego słońca.

- W takim razie powiedz mi, co masz przeciwko Danie -poprosiła w końcu.

James odchylił się w bok, by sprawdzić wskaźniki paliwa.

- Chodzi ci o lekcje tańca, prawda? - spytała. - Nie lubisz Dany, bo uczy mnie tańczyć.

James zmarszczył czoło, ale nie odezwał się.

- Co w tym złego? - nie dawała za wygraną.

- To tylko strata czasu. Wzięła głęboki wdech.

- Jesteś zły, bo taniec przypomina ci o... Ellen.

Głos jej się załamał, gdy wymawiała imię matki. Ellen... to słowo zawisło między nimi jak cichy, zduszony dźwięk.

Mężczyzna nie odrywał wzroku od morza. Zelda z niepokojem obserwowała twarz ojca i czekała.

- Nie - powiedział w końcu spokojnym, niemal beztroskim głosem. - Jesteś w błędzie. Po prostu nie chcę, żebyś się zbyt angażowała, nic więcej.

- Robię to tylko dla przyjemności - oznajmiła. - W nic się nie angażuję.

- A dzisiejszy wieczór? Wzruszyła ramionami.

- Dana po prostu wydaje przyjęcie dla kilku przyjaciół z kontynentu. Mam szansę poznać nowych ludzi.

- Świetnie! Nowi ludzie z kontynentu! - zadrwił James. Opuściła głowę i wbiła wzrok w kalosze. Przyglądała się

śladowi zaschniętej krwi i rybim łuskom. Po chwili zauważyła, że ojciec przesunął się w jej stronę. Poczowała na ramieniu jego ciężką dłoń.

- Uwierz mi, Zeldo - powiedział nieco łagodniejszym tonem. - Nie ma sensu zawracać sobie głowy bzdurami. Trzymaj się tego, co znasz, dobrze?

Uniosła głowę i przez chwilę patrzyła mu w oczy. Potem odwróciła się do okna i spojrzała na morze przez szybę pokrytą warstewką soli.

Gdy dotarli do pomostu, wybiegła ze sterówki, wyszła na brzeg i szybko przycumowała kuter.

- Biorę jeepa! - zawołała. - Mogę wrócić późno. W porządku?

Ojciec zaczął powoli i starannie składać mokry sprzęt. Czowała, że celowo ją ignoruje. Zerknęła na zegarek, westchnęła i odwróciła się. Biegiem pokonała pomost, potem wskoczyła na miękki biały piasek, w którym zagłębiały się jej gumowce, utrudniając bieg.

Mała drewniana chatka stała za rzędem granitowych głazów, które oddzielały plażę od reszty lądu. Biegając w stronę domku, dziewczyna zsunęła gumkę, która podtrzymywała włosy. Długie, ciemne fale opadły jej na ramiona. Potem zdjęła przez głowę bluzę roboczą. Pod nią miała męski podkoszulek, który zwisał luźno na szyi i ramionach, ledwo okrywając piersi. Przed domem rzuciła go na sznurek do suszenia bielizny.

Kątem oka dostrzegła na progu coś białego. List. Widocznie Lizzie podrzuciła korespondencję. Podniosła kopertę. Chwilę przyglądała się imieniu Jamesa i pieczęcie tasmańskiego rządu w rogu. Przypuszczalnie to coś związanego z wyborami, podatkami albo przepisami rybackimi - nic ciekawego.

Wsunęła list pod pachę, oparła się o drzwi i pchnęła je ramieniem. Z wnętrza dobiegł zapach palonego drewna i nafty. Położyła list na stole, potem porwała ręcznik, który sechł nad kominkiem. Wyszła na zewnątrz, przeszła przez podwórko i zniknęła w chatce, w której znajdowała się łazienka.

Letnie słońce przesączało się przez szczeliny między belkami, rysując paski na skórze Zeldy.

Zrzuciła ubranie i ochlapała całe ciało chłodną wodą, omijając włosy, które wiły się wokół głowy. Cienkie strużki spływały po ramionach i biodrach dziewczyny, potem rozpryskiwały się u jej stóp. Namydliła się kawałeczkiem mydła, a następnie, używając garści małych naturalnych gąbek, wyszorowała mocno skórę. Chciała usunąć wszelkie ślady potu, soli i zapachu ryb.

Zastanawiała się, czy James zszedł już z kutra i czy będzie musiała przed wyjściem stanąć z nim twarzą w twarz. Ogarnęła ją fala złości. Bardzo chciała mu powiedzieć: „Mam dwadzieścia jeden lat. Do cholery, guzik cię obchodzi, dokąd idę i z kim się spotykam”.

Potem jednak wyobraziła sobie twarz ojca, a na niej złość albo ból i zamyślenie.

- On po prostu za bardzo cię kocha - często powtarzały jej przyjaciółki. - Nic dziwnego, w końcu jesteście tylko we dwoje. Od dziecka był dla ciebie ojcem i matką. Robi dosłownie wszystko...

Zelda zdawała sobie jednak sprawę, że na tym nie koniec. Łączyła ich jeszcze jedna nić.

Uświadomiła to sobie, kiedy zaczęła żegnać się z dzieciństwem i przeobrażać w młodą kobietę, jak się okazało, tak podobną do matki, że według ludzi mogłyby być bliźniaczkami. Ojciec nigdy o tym nie mówił, ale domyślała się, że musi mu być bardzo ciężko, zwłaszcza że stale miał przed oczami córkę tak bardzo przypominającą mu żonę. Zelda zrozumiała to, gdy pewnego dnia James wszedł do łazienki, tej samej małej chatki z prysznicem w postaci wiadra i podłogą z desek.

- Och, przepraszam - powiedział. - Wydawało mi się, że już wyszłaś.

Zamiast jednak szybko się wycofać, stał nieruchomy jak głaz. Zelda chwilę bacznie przyglądała się jego twarzy, potem powędrowała za jego wzrokiem, który powoli przesunął się po jej nagim ciele. Długie włosy niemal całkowicie osłaniały piersi, tak że było widać tylko różowe brodawki. Nieco niżej na tle jasnej skóry odbijał się ciemny trójkąt. Ku swoje

mu zaskoczeniu, Zelda zauważyła, że na znikającej opale-niznie wciąż jeszcze widać ślady bikini. Kiedy uniosła głowę, w oczach Jamesa dostrzegła łzy, a na jego twarzy - ból.

Odtworzywszy w myślach tę scenę, przemyła twarz zimną wodą i przetarła ją rękami, jakby chciała zmyć wspomnienie.

Po jakimś czasie wyłoniła się z chaty czysta i starannie ubrana. Słońce już zaszło i szybko robiło się ciemno. Jamesa wciąż nie było. Zerknęła w stronę morza, po czym podbiegła do starego wojskowego jeepa, który stał obok zbiornika na wodę. Wskoczyła na siedzenie za kierownicą, zapuściła silnik, a potem szybko zaczęła pokonywać wyboisty trakt.

Jechała ostrożnie wąską drogą, gwałtownie skręcając, by ominąć dziury i drobną zwierzynę, widoczne w blasku świateł. Za wszelką cenę starała się nie myśleć o Jamesie, zapomnieć o jego niechęci. Tymczasem złapała się na tym, że myśli nie tylko o nim, ale też o swoim chłopaku, Drew. Wiedziała, że wpadnie on do chaty i dołoży własne obawy związane z jej wyprawą do Dany, zwłaszcza że Zelda nie chciała zabrać go ze sobą. Wyobraziła sobie, jak obaj panowie - ojciec i kochanek - kiwają głowami, zaniepokojeni jej zachowaniem. Jeszcze kilka lat temu niemal nie kryli wzajemnej wrogości, potem najwyraźniej postanowili podzielić się Zeldą. By zachować ją dla siebie. Dziewczyna ostro pokonała zakręt, wyrażając w ten sposób wewnętrzny bunt. Szybko go jednak stłumiła, czując się jak zawstydzone dziecko.

Gdy dotarła do głównej drogi, zaczęła myśleć o przyjęciu. Nie mogła się go doczekać. Często spoglądała na dom Dany, stojący na stoku wysokiego wzgórza, ale nigdy tam nie była. Dotychczas spotykała nauczycielkę tańca tylko raz w tygodniu na zajęciach w Memoriał Hall. Dana zawsze czekała, aż wszyscy wyjdą, dopiero wtedy zamykała budynek, a Drew niekiedy przyjeżdżał po Zeldę z pewnym opóźnieniem, dzięki czemu obie często czekały razem i rozmawiały, stojąc w kręgu nikłego niebieskiego światła, rzucanego przez lampę zamontowaną na fasadzie budynku.

Pochodziły z dwóch odmiennych światów. Zelda знаła tylko życie na wyspie, tymczasem Dana dla kaprysu przemierzyła cały glob, wędrując od kochanka do kochanka, podejmując się nowych zajęć, zmieniając domy tylko po to, żeby zmienić widok z okna. Samotny żeglarz, jak mówiła o sobie ze śmiechem. Zelda zazdrościła jej wszystkiego - tempa życia, wielu wrażeń, nowych twarzy - czuła jednak, że nauczycielka musi być bardzo samotna. „Ależ skąd” - protestowała Dana i naprawdę sprawiała wrażenie szczęśliwej.

Po dotarciu do skrzyżowania Zelda zaczęła powoli piąć się jeepem po stromej, kamienistej drodze. Zerknęła na białą jedwabną bluzkę, która delikatnie pieściła jej skórę. Była to nietypowa i bardziej kobieca niż dziewczęca część garderoby; Zelda na pewno nie włożyłaby jej, gdyby wychodziła gdzie indziej. Kilka lat temu Lizzie, matka Drew, wyjęła tę bluzkę z dna szafy, gdzie trzymała niechciane prezenty, które można było dać komuś, i stare niemowlęce ciuszki zapakowane w bibułę.

- Dostałam ją od twojej matki - wyjaśniła, po raz ostatni muskając szorstką dłonią delikatny jedwab.
- To najładniejsza rzecz, jaką w życiu miałam, ale już się w nią nie mieszczę, a tobie może się przydać.
- Położyła bluzkę na łóżku. - Jest francuska, jak większość rzeczy, które nosiła Ellen. Widzisz metkę? Christian Dior. A tak swoją drogą, człowiek chyba musi się bardzo dziwnie czuć, nosząc takie imię*.

Do bluzki Zelda włożyła parę czystych dzinsów i wypolerowane buty do jazdy konnej. Obok niej na siedzeniu leżała długa do kolan spódnica z jasnoniebieskiego lnu. Ani spodnie, ani ta spódnica nie pasują do jedwabnej bluzeczki - pomyślała, próbując zgadnąć, jacy okażą się przyjaciele Dany. Wyobraziła sobie pozbawione na razie twarzy, szybko mówiące kobiety w sukniach wieczorowych i butach na wysokich obcasach. Nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego przy-

*** Christian w języku angielskim - chrześcijanin (przyp. tłum.).**

jęła zaproszenie. Przecież nie będzie nawet wiedziała, co powiedzieć ani co zrobić. Na szczęście, uprzedziła, że nie wie, czy na pewno uda jej się przyjść, dzięki czemu wcale nie musi tam wchodzić. Może zaczekać i popatrzeć.

Zatrzymała samochód przed ostatnim zakrętem i resztę kamienistej drogi pokonała na piechotę. Zdjęła buty i niosła je w rękach, żeby ich nie zabrudzić.

Za zakrętem stanęła jak wryta, zaskoczona, że dom znajduje się tak blisko. Z dużych odsłoniętych okien sączyło się ciepłe światło. Podeszła bliżej, starając się utrzymywać poza plamami światła. Po dotarciu do jednego z okien zajrzała ostrożnie do środka. Czuła się, jakby oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Widziała roześmiane usta, obłoki dymu papierosowego kłębiące się w powietrzu, kieliszki wina i niedopasowane stroje czterech czy pięciu osób, jakby każda z nich pochodziła z innego świata.

Najbliżej okna stała wysoka, smukła kobieta w długiej czerwonej sukni, z włosami wpadającymi co chwila do pomalowanych na kremowo ust. Przyjrząwszy się uważniej, Zelda zorientowała się, że kobieta jest stara, a gruba warstwa pudru pokrywa pooraną zmarszczkami i bruzdami twarz. Ręka, w której tkwił kieliszek z winem, też była stara - pomarszczona, pokryta brązowymi, starczymi plamami. Obok widać było Danę, od stóp do głów spowitą w czerń. Miała białą twarz i ciemnoczerwone wargi. Rozparła się na krześle. W dekolcie jej sukni widać było drobne piersi w czarnym koronkowym staniku. Dalej siedziała kobieta o wąskich biodrach, w ciemnoniebieskim kostiumie, a za nią mężczyzna w stroju roboczym - dżinsach w kolorze khaki i swetrze. Z pozoru można byto odnieść wrażenie, że ci ludzie nie mają ze sobą nic wspólnego, mimo to Zelda wyczuwała, że dobrze się czują w swoim towarzystwie. Widać to było po ich swobodnym zachowaniu, po uśmiechach i otaczającej ich aurze spokoju.

Nagle dziewczyna postanowiła wycofać się i pobiec do jeepa, wrócić do chaty, do Jamesa i Drew, którzy pewnie sie-

dzą razem przy piwie. Ucieszą się na jej widok. Nagle napięła wszystkie mięśnie i nateżyła słuch. W pobliżu rozległy się kroki. Przykucnęła i oparła się o ścianę. Ktoś się zbliżał. Kiedy wychyliła się zza krzaków, ujrzała mężczyznę wędrującego przez trawnik z kieliszkiem wina w ręce. Zatrzymał się, by spojrzeć w nocne niebo, potem odwrócił się i ruszył prosto w stronę Zeldy. Zamarła w bezruchu, zastanawiając się, czy wstać i pokazać mu się, czy wziąć nogi za pas. Tymczasem wciąż patrzyła jak zahipnotyzowana. Kiedy zbliżył się niemal na wyciągnięcie ręki, jak dziecko ukryła twarz, przyciskając ją do ściany, jakby liczyła, że mężczyzna jej nie zobaczy, jeśli ona nie będzie widzieć jego.

Usłyszała, że postawił kieliszek na parapecie nad jej głową i odszedł. Odetchnęła z ulgą, bo powędrował na skraj trawnika. Stał tam, spoglądając nad wierzchołkami drzew na ciemne, gładkie morze. Potem rozpiął zamek i zaczął podlewać krzak. Równomierny strumień moczu rozpryskiwał się głośno na suchych liściach i trawie. Zeldą poczuła, że się rumieni, jakby specjalnie się tu ukryła, żeby podglądać gości Dany. Zaczęła się zastanawiać, czy uda jej się przemknąć ukradkiem wśród krzewów tak, żeby jej nie zobaczył ani nie usłyszał. Niestety, było za późno. Właśnie wsunął koszulę do spodni i odwrócił się.

Blask księżyca oświetlił jego twarz, kiedy wracał przez trawnik. Miał zdecydowane, proporcjonalne rysy twarzy i ciemne, krótkie włosy. Jego szarozielone oczy przesunęły się po parapecie i zatrzymały na ciemnym kształcie skulonym pod ścianą. Przyjrzał się uważniej, jakby nie był pewien, co widzi.

- Cześć - powiedziała Zeldą, prostując się z wymuszonym uśmiechem.
- O, cześć - odparł i cofnął się zaskoczony. Dziewczyna zauważyła, że nieznajomy odtwarza w myślach ostatnią scenę, po czym spogląda na nią pytająco.
- Dana zaprosiła mnie na podwieczorek - wyjaśniła. -No, może raczej na kolację.

Zrobiła kilka kroków. Biała bluzka zaślniła, gdy Zelda znalazła się w strumieniu światła dochodzącego z okna. Mężczyzna był wysoki. Spojrzał na nią z góry.

- A to pewnie jedna z dróg prowadzących do drzwi. Miał dziwny akcent; trudno było określić, skąd on pochodzi - nie z Australii, Anglii ani Stanów Zjednoczonych.

- A tak przy okazji, mam na imię Rye - przedstawił się, wyciągając rękę.

Zelda przyglądała się jej przez chwilę. Z tego, co wiedziała, tylko mężczyźni podają sobie ręce, kobiety jedynie się uśmiechają. Ujęła jednak wyciągniętą dłoń i poczuła ciepło.

- A ty kim jesteś? - spytał z uśmiechem.

- Mam na imię Zelda.

- Ach! Protegowana Dany. Zmarszczyła czoło.

- Słucham?

- Dana uczy cię tańczyć.

- Tak - odparła niepewnie. - Prawdę mówiąc, całkiem nieźle się bawimy.

Zapadła niezręczna cisza, potem Rye ruszył w stronę tylnych drzwi.

- Wejdziemy do środka?

Szli ramię w ramię. Zelda patrzyła prosto przed siebie, czując, że mężczyzna zerka w jej stronę. Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż niesie w ręce buty, zatrzymała się więc i zaczęła je wkładać, balansując na jednej nodze. Trawa była miękka i nierówna, dziewczyna zachwiała się. Rye położył dłoń na jej ramieniu. Poczuła mocny uścisk na jedwabistej skórze.

- Dzięki - powiedziała, niezgrabnie wciągając botki. Ruszyła przed siebie. Na progu pojawiła się Dana.

- Udało ci się, Zeldo? Wejdz! - Odwróciła się od dziewczyny i zawołała w głąb pokoju: - Jest! - Potem za plecami swojej uczennicy dostrzegła mężczyznę. - Widzę, że już poznałaś Rye'a. - Odwróciła się do niego. - Odzie ją znalazłeś?

Uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, to ona znalazła mnie. Kiedy sikałem. Zelda przełknęła ślinę, zażenowana, ale Dana wybuchnę-

ła beztróskim śmiechem, objęła swą uczennicę i wciągnęła ją do środka.

- Tak się cieszę, że udało ci się przyjść - powiedziała cicho. - Mam nadzieję, że James nie...

- Nic mu nie będzie - zapewniła Zelda.

Próbowała uwolnić się z łagodnych, opiekuńczych ramion. Po chwili stanęła twarzą w twarz z resztą gości.

- To Cassie, z Ameryki - przedstawiła Dana kobietę w czerwieni. - Jest bardzo sławna.

- Już nie - roześmiała się Cassie.

Zgasła papierosa, a dopiero potem odpowiedziała na powitanie. Znieruchomiała, gdy jej wzrok padł na twarz Zeldy. Przez krótką chwilę, wyraźnie zaskoczona, przyglądała się w milczeniu, mrużąc oczy. Potem znów się uśmiechnęła, a w końcu wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam, moja droga - powiedziała po chwili. - Po prostu... przez chwilę wydawało mi się, że cię już znam.

Wciąż bacznie przyglądała się dziewczynie, przekrzywiając głowę.

- Twoja twarz wydaje mi się dziwnie znajoma. Czuję się tak, jakbyśmy się już gdzieś spotkały.

Spojrzała na Danę, oczekując pomocy.

- Mało prawdopodobne - oświadczyła Dana. - Nigdy nie opuszczałaś wyspy, prawda, Zeldo?

Dziewczyna bez słowa skinęła głową.

- Nie zapominam twarzy - obstawała przy swoim Cassie. Zelda czuła, że starsza pani nie spuszcza z niej wzroku,

podczas gdy Dana przedstawiała ją pozostałym gościom.

Następny był przyjaciel z Sydney, który wyjaśnił, że jest malarzem. Początkowo Zelda wyobrażała go sobie z drabinami i wiadrami, ale Dana machnięciem ręki wskazała duże, kolorowe płótna, które wisiały na ścianie nad kominkiem. Jak się okazało, dwie pozostałe kobiety były projektantkami.

Zelda nie zapamiętała ich imion, zbyt zaskoczona ich strojami i makijażem.

Gdy uniosła głowę, zauważyła, że Cassie wciąż się jej przygląda z dziwnym wyrazem twarzy kogoś, kto stara się wygrzebać coś z pamięci. Dziewczyna odwróciła się, skrepowana, jakby oskarżono ją, że coś ukrywa. Podeszła do kominka i udała, że przygląda się muszłom porozstawianym na gzymsie. Wzięła do ręki jedną z nich. Była pokryta bruzdami i grubą warstwą macicy perłowej. Dziewczyna musnęła palcami dobrze znany kształt, potem obejrzała oprawione zdjęcia, które wisiały na bocznej ścianie. Była tam kobieta w turbanie obok wielbłąda na tle piaszczystej pustyni. Przyjrząwszy się jej bliżej, Zelda rozpoznała twarz Dany.

Nagle zdała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą, a Cassie coś mówi.

- Zelda. Jakie ładne imię. Mam kuzynkę, która nazywa się Zelda May.

Cassie uśmiechała się, zaniepokojenie zniknęło z jej twarzy. Najwyraźniej zrezygnowała z zastanawiania się, kogo przypomina jej dziewczyna z wyspy.

- W białej bluzce wygląda jak istny anioł - ciągnęła Cassie. - Piękny anioł... Boże, tylko spójrzcie na nią. Mówisz, że do tego wszystkiego całkiem nieźle tańczy?

- Cassie! - zaproponowała ze śmiechem Dana. - Wprawiasz ją w zakłopotanie, ale tak, tańczy dobrze. Nie mogę się u niej doszukać żadnych wad. - Odwróciła się do Zeldy. - Mówiłam ci, że powinnaś uczyć się tańca, prawda? Co więcej, powinnaś potraktować to poważnie.

- Tak - wymamrotała Zelda. - Ale mam mało czasu, pracuję...

- Co to za praca, kochanie? - Cassie spoglądała na nią z radosnym uśmiechem na ustach.

Zelda dostrzegła, że Rye, który podczas wzajemnego przedstawiania stał nieco z boku, podszedł bliżej, by usłyszeć jej odpowiedź.

- Mój ojciec łowi langusty, a ja pracuję z nim. Rozejrzawszy się dookoła, zdała sobie sprawę, że to nie wystarczy.

- Rozmieszczamy wzdłuż linii brzegowej kosze, do których wcześniej wkładamy przynętę. Następnego dnia wyciągamy je, wyjmujemy langusty, zakładamy nową przynętę i wrzucamy kosze z powrotem do wody.

- Codziennie? - spytała Cassie.

- Chyba że morze jest zbyt niespokojne. I oczywiście, tylko podczas sezonu.

Czuła się niezręcznie. Domyślała się, że jej zajęcie w rzeczywistości wcale ich nie interesuje, wykorzystują jedynie okazję, żeby jakoś ją zakwalifikować. Zaczęła bawić się kosmykiem włosów zza ucha, przepuszczając je między palcami.

- Gdzie pracujesz? - spytał Rye. - W której części wybrzeża?

Zelda przez chwilę przyglądała się jego twarzy.

- Południowo-wschodniej.

- Byłem dzisiaj w małej zatoczce zwanej Nautilus Bay.

- Tam właśnie mieszkam - powiedziała. - To nasza zatoka. Rye na chwilę zamarł w bezruchu.

- Mieszkasz w drewnianej chatce? Tuż przy plaży? - Tak.

- To... piękne miejsce - wydukał.

Jego słowa zabrzmiały dziwnie, jakby Rye nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Tam się urodziłam - dodała.

Cassie podczas rozmowy Rye'a i Zeldy odwracała się, spoglądając to na jedno, to na drugie, jak ktoś, kto ogląda mecz tenisowy. Teraz postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

- Chyba nie masz na myśli chatki?

- Owszem. Moja mama nienawidziła szpitali. Specjalnie podała mylną datę, według której obliczono termin porodu, dlatego gdy zaczął się dwa tygodnie wcześniej, niż się spodziewano, doktor Ben musiał szybko przybiec do naszego domu.

Cassie zaklaskała w dłonie. Zelda miała już dość opowiadania o sobie. Skryła się za Danę i podeszła do okna. Ujrzała w nim swoje odbicie - zaróżowioną twarz nad białą plamą bluzki. Za sobą widziała Rye'a. Stał z nogą wspartą na skrzynce z drewnem i z kieliszkiem wina w dłoni. Bacznie się jej przyglądał. Na jego twarzy widać było niepokój, jakby coś go martwiło, coś, co miało związek z nią, chociaż to było niemożliwe. Przecież dopiero się poznali.

Dana zaczęła znosić z kuchni jedzenie. Zelda pobiegła jej pomóc, przyglądając się uważnie daniom, które po kolei ustawiała na długim sosnowym stole. Były tam półmiski z pokrojonym w plastry mięsem, chleb, sałata, oliwki, ryby, pikle, kielbaski - prawdopodobnie przywiezione przez gości z kontynentu; nic z tych rzeczy nie można było kupić w miejscowym sklepie spożywczym ani nawet w nowym supermarkecie, który rozlokował się w rogu składnicy. To nie będzie z pewnością normalny posiłek - pomyślała Zelda i rozluźniła się. Wszyscy popijali wino i podjadali z półmisek, wybierając to, co każdemu odpowiadało.

- Pomóż mi, Zeldo! - zawołała Dana znad zlewu. - Dostałam tego ptaka od pana Lohreya. Dzięki Bogu, jest już przyrządzony, ale nie wiem, co z nim zrobić.

Pokazała upieczonego na grillu burzyka. Zimny, tłusty ptak leżał na papierowej torbie. Zelda zawahała się. Mieszkańcy wyspy bardzo cenili rybio-jagnięcy smak tłustych ptaków morskich. Zasadniczo powinno się je jeść na gorąco, prosto z ognia, chociaż niezłe były też i na zimno, jak ten. Niestety, niemal wszyscy goście, którzy odwiedzali wyspę, kręcili nosami, zostawiali mięso na talerzach i prosili o szmatkę, żeby zetrzeć z rąk zapach ptaka.

- Trzeba go rozdzielić i posypać solą - wyjaśniła Zelda. -Zrobię to.

Pokroiła burzyka, nieco zdenerwowana dobrze znanym zapachem w obcym sobie miejscu. Wydawało jej się, że jest nielojalna, przygotowując danie, które i tak zostanie na talerzu.

Dana zaniósła burzyka na stół, jak kamerdyner głośno podając jego nazwę.

- Dano, jak mogłaś! - zawołała jedna z kobiet. Wyjaśniła, że to młody dziki ptak, którego wyciągnięto

z nory w czasie, gdy jego matka próbowała wyłowić z morza coś do jedzenia.

- Nie przesadzaj, Sarah! - zaprotestowała Dana. - To tutejszy smakołyk, warto spróbować. Zjadając go, na pewno nie zagrozimy egzystencji całego gatunku.

- Jesteś pewna? - spytała Sarah. - Słyszałam, że co roku odbierają matkom niemal wszystkie młode. Zupełnie nie rozumiem, jak te ptaki mają przetrwać. Co więcej... - Urwała i przyjrzała się twarzom pozostałych gości, zadowolona, że może podzielić się z nimi swoją wiedzą - ...Co roku przelatują stąd na Alaskę i z powrotem. To cud.

Zelda obserwowała z kuchennych drzwi, jak goście zbierają się wokół półmiska z burzykiem. Przyglądali mu się w milczeniu, jakby patrzyli na smutny dowód ludzkiego okrucieństwa. Dana odwróciła się do Zeldy i spojrzała na nią bezradnie. Dziewczyna przesłała jej wymuszony uśmiech, a potem podeszła do ciemnego okna. Zastanawiała się, na co właściwie liczyła, przychodząc na to przyjęcie. Każdy powinien trzymać się swoich. Zerknęła na stół. Nagle zobaczyła długie ramię, które sięgnęło zza pleców pozostałych gości, po czym wzięło nóżkę i skrzydełko.

Wszyscy odwrócili się i spoglądali na jedzącego Rye'a. Sarah, zaskoczona, uniosła brwi.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że właśnie ty zechcesz...

- Pyszne - powiedział, spoglądając na Zeldę nad głowami pozostałych osób.

Uśmiechnęła się, czując wdzięczność bardziej w imieniu ptaka niż swoim.

Rye oblizał palce i odwrócił się do Sarah.

- Z tego, co wiem, nic im nie grozi. Aborygeni jedzą bu-rzyki od tysięcy lat, a stan populacji tych ptaków wciąż jest

stabilny. Poza tym spotyka je wyjątkowo łaskawa śmierć -w jednej chwili są u siebie w domu, a zaraz potem nie żyją. Z całą pewnością to lepsze niż hodowla na farmie. Chyba że jesteś wegetarianką? Sarah milczała.

- Nie? Ach... - Wziął talerz i zaczął napępiać go jedzeniem.

Zapadła pełna napięcia cisza. Cassie odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Cudownie! Uwielbiam spory. Niegdyś na przyjęciach było ich mnóstwo. Mężczyźni wszczynali bójki, ludzie wybiegali, zaklinając się, że nigdy nie wrócą, albo wychodzili z po-podbijanymi oczami.

Przez chwilę przyglądała się każdemu z gości, zachęcając ich, by się do niej przyłączyli.

- To było ekscytujące! - Wydeła wargi jak dziecko. - Teraz czasami bywa tak nudno. Dano, bądź tak dobra i nałóż mi trochę tego mięsa.

Z błyskiem w oku zerknęła na Sarah i Rye'a.

- Niech Bóg was oboje błogosławi. Wciąż jesteście młodzi. Zelda wzięła talerz i podeszła do stołu, żeby wybrać coś

do jedzenia. Gwałtowny skurcz żołądka sygnalizował głód i zachęcał, by napępiała talerz potrawami, których nigdy jeszcze nie jadła. Przez chwilę zastanawiała się nad burzykiem, niezbyt pewna, czy powinna wziąć kawałek, czy nie.

- Spróbuj tego - zasugerował Rye, wyciągając w jej stronę talerz z surowymi warzywami porozkładanymi wokół brązowej pasty. - *Tapenade* - powiedział. - Nie miałem pojęcia, co to takiego, więc spytałem Danę. Wyjaśniła, że robi się to z kaparów, oliwek... i chyba *anchois*. Jest bardzo smaczne.

Wziął kawałek marchewki i nabrał nim sporą ilość pasty. Gdy ją unosił, zaczęła spadać, więc wychylił się, żeby ją złapać, potem uśmiechnął się, przeżuując.

- Mieszkasz w Melbourne? - spytała Zelda.

Miała nadzieję, że jej słowa brzmią bezpretensjonalnie i przyjaźnie, ale nie nachalnie.

- Od czasu do czasu - odparł. - Moja praca zmusza mnie do częstego podróżowania. Mam w Melbourne mieszkanie, ale nie spędzam w nim dużo czasu.

- Co robisz? - spytała Zelda, żałując, że sama jest tylko majtkiem na kutrze ojca.

- Jestem konsultantem do spraw ochrony środowiska - wyjaśnił. - Doradzam władzom państwowym i lokalnym, jak wykorzystać posiadane zasoby naturalne i tak dalej. Najczęściej zajmuję się morzem i wybrzeżem.

Kiedy skończył, przez chwilę przyglądał się Zeldzie, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć coś więcej, ale potem wyraźnie się rozmyślił. Zelda nie odrywała wzroku od talerza.

Rye wziął surową ostrygę, położył na język i zaczął przyglądać się muszli, obracając ją w palcach. Dziewczyna jadła niezgrabnie, z opuszczoną głową.

- Napijesz się trochę wina?

Sarah stanęła obok Rye'a i przyjrzała mu się spod opuszczonych rzęs.

- Czerwone czy białe?

Rye zerknął na butelki, które trzymała w rękach.

- Polecam czerwone - doradził Zeldzie.

Wtedy Sarah odwróciła się i dostrzegła dziewczynę.

- Och... cześć! - Uśmiechnęła się do Zeldy, napełniając jej kieliszek. - Trzeba przyznać, że macie tu dobre jedzenie!

- Wino jest tasmańskie - ciągnął Rye, zwracając się do Zeldy. - Pochodzi z jakiejś nowej winnicy, którą odkryła Dana.

Mówiąc to, rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu pani domu. Przechwyciwszy jej spojrzenie, wyciągnął kieliszek i kiwnął głową z pełną aprobatą. Uśmiechnęła się i w odpowiedzi uniosła swój.

- Jesteście starymi przyjaciółmi? - spytała Zelda.

- Znamy się od dziecka. Razem z jej bratem byłem w szkole z internatem, Geelong Grammar.
- Musieliście chyba bardzo tęsknić za domem - wyraziła przypuszczenie Zelda, przypominając sobie znajomych, którzy zostali odesłani do prywatnych szkół na Tasmanii.

Rye upił łyk wina, zmarszczył czoło i zamyślił się.

- Owszem, tęskniłem za Indiami... W końcu tam dorastałem.

- Indie... - westchnęła Zelda.

To słowo kojarzyło się jej z miastami z białymi kopułami i połączanymi słoniami, unoszącymi się w oparach gorąca i pyłu.

- Jak tam jest? - spytała. - Pamiętasz cokolwiek?

- Tak, wyjeżdżając, miałem szesnaście lat, a i teraz wracam tam, gdy tylko mogę. Czasami też wykonuję tam taką czy inną pracę.

- W Indiach? - spytała Zelda, podnosząc głos z zaskoczenia.

- W tej chwili doradzam lokalnym władzom, które prowadzą prace konserwatorskie w wiosce na wybrzeżu. Wszystko opłaca amerykańska milionerka, która dorobiła się fortuny, sprzedając pojemniki do fast foodów, i teraz dla odmiany chce zrobić coś pożytecznego.

Mówiąc to, uśmiechnął się cynicznie.

- Mój ojciec był Amerykaninem - powiedziała Zelda. Ray przytaknął, jakby już to wiedział.

- Oczywiście, teraz jest Australijczykiem - dodała szybko. - Mama też była Amerykanką, zginęła w wypadku samochodowym, gdy byłam mała.

Wbiła wzrok w stopy, nagle przestraszona, że zbyt długo mówi i zadaje za dużo pytań.

- Przykro mi - powiedział Rye.

- Och, nie ma sprawy - odparła Zelda. Przyjrzała się kieliszкови, obracając go w palcach. - Byłam wtedy bardzo mała. Nawet jej nie pamiętam.

Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że Rye przez cały czas bacznie jej się przygląda. Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku.

- Wiesz, że masz piękne oczy? - powiedział tak cicho, że Zelda nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Kiedy zastanawiała się, co odpowiedzieć, pojawiła się Dana i pociągnęła za sobą Rye'a. Zelda została przy oknie. Wciąż od nowa słyszała słowa Rye'a i czuła ciepło jego spojrzenia na twarzy. Usiłowała myśleć o Drew albo Jamesie, ale nie zdołało jej to uchronić przed potężną falą radości, nadziei i strachu.

Mniej więcej koło północy, kiedy goście Dany wciąż rozmawiali i popijali wino, Zelda uznała, że pora wracać do domu. Sarah i malarz pomachali jej na pożegnanie.

Cassie podeszła i pocałowała dziewczynę w oba policzki.

- Musiałyśmy się spotkać w poprzednim wcieleniu -oznajmiła. - To jedyne wyjaśnienie, jakie mogę wymyślić. Zostaję u Dany na najbliższy miesiąc. Obiecuj, że do nas wpadniesz.

Dana i Rye podeszli z nią do drzwi.

- Cieszę się, że udało ci się przyjść - powiedziała Dana.

- Ja też - dodał Rye. Spojrzał Zeldzie w oczy. - Wyjeżdżam jutro rano, ale gdybyś kiedykolwiek była w Melbourne... - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Spójrz na to inaczej, Rye'u - zaproponowała Dana z żartobliwym uśmiechem na ustach. - Czy chciałbyś jechać do Melbourne, gdybyś mieszkał w raju?

Rye wybuchnął śmiechem.

- Chyba nie, ale nigdy nie wiadomo. - Odwrócił się w stronę Zeldy. - Poważnie - powiedział. - Bardzo chciałbym znów cię zobaczyć.

Zelda w milczeniu kiwnęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Wszyscy pomachali jej na pożegnanie, a Rye i Dana stali, rozmawiając w progu, gdy przechodziła przez trawnik. Za-

pach morza unosił się w chłodnym nocnym powietrzu i wziął ją w objęcia jak stary przyjaciel.

Gdy jechała drogą do Nautilus Bay, uśmiechała się do siebie. Spoglądając w ciemność, widziała szarozielone oczy Rye'a i jego smukłą brązową dłoń obejmującą kieliszek. Przez chwilę z wyrzutami sumienia pomyślała o Drew, potem przypomniała sobie długie, upalne letnie dni, które spędziła na plaży ze swoją przyjaciółką Sharn, czytając romanse, pachnące olejkiem do opalania. Wciąż na nowo wracały do opowieści o wysokich, przystojnych nieznajomych, ludziach, którzy długo patrzą sobie w oczy z przeciwległych rogów zatłoczonego pokoju, i o miłości zrodzonej w blasku księżyca. Książki podsycaly marzenia o ucieczce z wyspy, poznaniu dalekich krajów o egzotycznych nazwach i miłości do nieznajomych mężczyzn. Tego wieczoru Zelda poczuła się jak harcerka, która wraca z wyprawy na drugą stronę. Miłość. Tajemnica. Romans. To wszystko naprawdę istnieje, chociaż, oczywiście, ona nadal pozostanie po bezpiecznej stronie.

Zatrzymała jeepa kawałek od chaty i zeszła na plażę. Chciała nacieszyć się jeszcze wieczorem, przypomnieć sobie niektóre chwile, spojrzenia, a zwłaszcza słowa, dzięki którym poczuła się jak ktoś inny, ktoś nowy.

Stojąc nad samą wodą, spojrzała na zalany blaskiem księżyca piasek, który ciągnął się na prawo i lewo, gładki i szary, naznaczony kępkami poplątanych wodorostów, które leżały na linii przypływu. Za wydmami wąski pas głazów oddzielał plażę od lasu. Za nim wznosiły się strome skaliste góry o poszarpanych szczytach. Zelda знаła na pamięć ich zarys, każdy występ skalny i żleb. „Tu jest twoje miejsce” - powtarzał wielokrotnie James. Jego słowa zawsze brzmiały jak błogosławieństwo, dowód, że jest bezpieczna, kochana. Teraz to zdanie bardziej przypominało ostrzeżenie... i wyraźny osąd. Tu jest jej miejsce. Przy Jamesie. I Drew. Powinna trzymać się z daleka od ludzi takich jak Rye, człowiek z zewnątrz.

Siódma fala, wyższa niż poprzednie, przetoczyła się obok i rozbiła z nagłym hukiem. Biała piana omyła piasek, niemal sięgając stóp Zeldy. Spoglądając na ciemną wodę, dziewczyna obserwowała przesuwane się grzbiety. Morze. Chciała go dotknąć, przyciągnąć do siebie. Chciała poznać jego głębię i potężną siłę. Przez moment wyobrażała sobie, jak obmywa ją potężna, wysoka fala. Niewyobrażalna siła wdziera się w jej życie, wyłamuje wszystkie drzwi i ofiarowuje jej wolność - pustą kartę, na której można zapisać wszystko.

Zelda odwróciła się i powoli powędrowała w stronę chaty. Powtarzała sobie, że za kilka godzin Rye wyjedzie. Cudowne chwile wieczoru są jedynie iskierkami skazanymi na zgaśnięcie w ciemności. Wszystko potoczy się dalej tak jak dotychczas, ścieżką, która została wytyczona dawno, dawno temu.

Kłęby białego dymu unosiły się z komina i tworzyły białe smugi na tle granatowego nieba. Zelda ze zdziwieniem zauważyła światło w oknach. Uznawszy, że James widocznie na nią czeka, poczuła wyrzuty sumienia; nie powinna zostawać na przyjęciu tak długo.

Przechodząc przez podwórko, podeszła do okna, przechyliła się nad poskładanymi koszami, bojami i zwiniętymi sieciami i zajrzała do środka. James siedział plecami do okna, z pochyloną głową, jakby czytał książkę albo studiował którąś ze swoich map. Ostatnio przyciął piaskowe włosy, a odsłonięta biała skóra na szyi wyraźnie odcinała się od opalenizny. Przy łokciu miał butelkę burbona. Płomień z paleniska rzucał migotliwy blask na spokojne pomieszczenie. Zelda przyglądała się przez chwilę, a potem powędrowała do drzwi.

Kiedy weszła, James wstał. Jego krzesło ostro zaskrzypiało na podłodze. Trzymał w ręce kartkę papieru. Wyciągnął ją w stronę córki jak broń. Miał bladą twarz i ponure spojrzenie.

- Co to takiego? - spytała Zelda. - Co się stało?

Zerknąwszy w dół, ujrzała na podłodze rozdartą kopertę - z pieczętką tasmańskiego rządu w rogu - i przypomniała sobie list, który wieczorem podniosła z progu domu.

James ciężko opadł na krzesło, opuścił kartkę na stół, lecz nie odrywał od niej wzroku. Zapadła cisza. Zelda próbowała zgadnąć, o co chodzi.

- Powiedz mi, co się stało - poprosiła w końcu.

James odwrócił się do ognia i powiedział, jakby powtarzał słowa urzędowego listu:

- Pragniemy poinformować, że obszar zwany Nautilus Bay został uznany za strefę ochronną drugiej kategorii.

Spojrzał na Zeldę zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami.

- Co to znaczy? - spytała niepewnie.

- Ze gdy okres dzierżawy dobiegnie końca, już nam jej nie przedłużą. Dzierżawa wygaśnie, a my będziemy musieli się wyprowadzić. Wtedy zrównają nasz dom z ziemią. - Zapadła chwila ciszy. - „Zrekultywują” cały obszar, żeby nie było śladu, iż ktoś kiedykolwiek tu mieszkał.

- Dlaczego? - Zelda zmarszczyła czoło. - Nie rozumiem. Dzierżawa zresztą obejmuje długi okres, prawda? Miną wieki, nim...

- Zostały nam trzy lata - oznajmił ojciec. Dziewczyna cofnęła się, przerażona tymi słowami.

- Przecież nie mogą tego zrobić! Dzierżawę zawsze można przedłużyć, dlatego ludzie tak chętnie z niej korzystają - powiedziała.

Jej głos brzmiał dziwnie słabo w zderzeniu z siedzącym nieruchomo, przygarbionym z rozpaczony Jamesem.

- To nasz dom! Nie mogą nas wyrzucić!

- Mogą, Zeldo - oświadczył James. - Czulem, że coś się święci, ale nie chciałem cię martwić. Nie tak dawno temu Charles mnie ostrzegał podczas posiedzenia rady miejskiej. Teraz... - Dźgnął list palcem. - ...Sprawa jest przesądzona. *Fait accompli*. Zgodnie z ustawą parlamentu. Wszystko z powodu smoka morskiego.

- Smoka morskiego? - powtórzyła głupio Zelda.

Jako dziecko, często nurkowała z rurką w ustach wokół pomostu i obserwowała, jak te pełne gracji drobne rybki żyjące wśród raf koralowych dryfują wokół niej jak pasemka wodorostów. Wiedziała, że stanowią rzadkość i są wyjątkowe, dlatego cieszyła się, że może je spotkać tak blisko jej domu.

- Dobrze wiesz, że rozmnażają się tylko w naszej zatoce, nigdzie więcej - kontynuował James. - Jakiś cholerny, nadęty naukowiec zaproponował, żeby stworzyć tu strefę ochronną. I oto proszę! Zrobione! Spieprzaj stąd, Madison! - Głos mu zadrżał. - Guzik nas obchodzisz. Niech to diabli! Musimy myśleć o smokach morskich.

Zelda patrzyła na ojca, próbując zrozumieć jego słowa. Ktoś przysłał list, w którym twierdzi, że zatoka nie jest ich domem i że pewnego dnia przyjedzie tu grupa mężczyzn, którzy zburzą chatę i zlikwidują wszystko, żeby nie zostało ani śladu po ich pobycie. Przełknęła ślinę, pragnąc pokonać ogarniającą ją panikę. Co innego marzyć o zmianach, a co innego czuć, że właśnie się zaczynają, mieć wrażenie, że grunt osuwa się pod nogami, a wiatr przenika przez grube i bezpieczne dotychczas ściany.

Czując, że ojciec bacznie przygląda się jej twarzy, zastanawiała się, co powiedzieć.

- Zostały nam jeszcze trzy lata. Na razie nic się nie zmienia. Ich oczy się spotkały, oboje wiedzieli, że to tylko puste

słowa. Świadomość, że są tu tylko gośćmi, rzucała długi cień, jakby już teraz wspólne życie zaczynało wymykać im się z rąk.

- Widziałem tego drania - powiedział James z goryczą. - Przedstawili mi go, gdy byłem w ubiegłym miesiącu na posiedzeniu rady. „To Rye Sterling”. Uśmiech, uśmiech. Miło pana poznać. Drań.

Zelda nie odrywała wzroku od ojca, czując, że oblewa ją zimny pot. Nie! - pomyślała. To nie on... Wiedziała jednak, że się oszukuje. Przypomniała sobie jego skrepowanie i to, że

zachowywał się, jakby próbował coś jej powiedzieć. Nie tylko to, że ma piękne oczy i że chciałby znów ją zobaczyć...

Pochyliła głowę. Kilka łez kapnęło na drewnianą podłogę, zaplamioną wieloletnim brudem i rozlanymi płynami. Czego spodziewałaś się po obcym człowieku? - pytała samą siebie.

James stanął za nią i objął ją ramieniem.

- Już w porządku - powiedział, jakby jej łzy uciszyły jego własny ból i dodały mu sił. - Nie płacz, aniołku. Nadal mamy siebie nawzajem.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w czubek głowy. Zelda mocno się do niego przytuliła. Miał rację. Wciąż mieli siebie nawzajem. Tylko to się liczy.

- Poza tym będziemy walczyć! - zapowiedział James. Odsunął się od niej i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- Niegdyś byłem wziętym adwokatem, a oni myślą, że mają do czynienia z tępym rybakiem. - Roześmiał się gorzko. -Czeka ich więcej przeszkód, niż myśleli, w sprawie Nautilus Bay. Madison kontra smok morski. Wygrałem w życiu kilka spraw... I teraz znów wygram. Zobacysz.

2

Zelda wędrowała powoli między półkami w supermarkecie, spoglądając na dobrze znane konserwy, słoiki i pudełka, ale szukając czegoś nowego. Przypomniała sobie kolację u Dany i talerze pełne potraw, których nigdy wcześniej nie kosztowała. Chociaż od tego czasu minęło już kilka tygodni, wciąż doskonale pamiętała zdecydowany smak pomidorów suszonych na słońcu, słonej pasty z oliwek i *anchois*... I Cassie, starszą panią z farbowanymi na jasno włosami, Danę ubraną na czarno z uśmiechem na pomalowanych na czerwono ustach, Rye'a, który opowiadał o Indiach i dobrym czerwonym winie, ale nawet nie wspomniał o smokach morskich z Nautilus Bay.

Zelda zmarszczyła czoło i odsunęła wspomnienia na bok. Po dotarciu do półek z dżemami i kremami zaczęła przeglądać słoiki z masłem orzechowym, szukając takiego, które nie przekroczyło jeszcze daty ważności. Następnie wybrała szynkę w puszcze i podeszła do stojaka z gazetami. Małe białe karteczki, przyklejone w prawym górnym rogu każdej gazety, informowały, kto zamówił dany dziennik czy magazyn. Był więc „Fishing World” doktora Bena, „Life Magazine” pani Carlson i „National Geographic” dyrektora szkoły. Obok leżał stos „Women's Weekly”. Wzięła egzemplarz i przerzuciła go, zatrzymując się na chwilę na opowieści o rozpadzie małżeństwa w rodzinie królewskiej. W tekście zamieszczono zdjęcie księżny Diany z dnia ślubu - wyglądała jak Kopciuszek przemieniony w księżniczkę. Jej młodziutką, okrągłą twarz spowijał biały welon. Na fotografii obok, trzymając za ręce swoich synów, spogląda w obiektyw. Miała bladą twarz i oczy pełne bólu.

Zelda wróciła do pierwszego zdjęcia, które przedstawiało otoczoną drużnami pannę młodą w zwiewnej sukni, i próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał ślub jej i Drew. Jednego była całkiem pewna - że Drew nie zwróci uwagi na to, co jego przyszła żona na siebie włoży. Gdyby decyzja zależała od niego, stanąłby przed ołtarzem w dżinsach i dżinsowej koszuli. James również. Na szczęście, Lizzie się o nich zatroszczy, załatwi garnitury z wypożyczalni. Suknię Zeldy sama uszyje po wcześniejszym przejrzaniu dziesiątków starych numerów „Today's Bride”. Ilekroć była taka potrzeba, po wyspie krążyło pudło starych numerów magazynów dla nowożeńców, a wraz z nim resztki koronek i wstążeczek. Podobnie z rąk do rąk przechodziły dziecięce ubranka i wózki - niczym pałeczki w sztafecie, która nigdy się nie kończy.

Myśli o przyszłości wywołały u Zeldy złe przeczucia. Aż nazbyt wyraźnie widziała, jak przeobraża się z dziewczyny Drew w jego żonę; potem młodą mamę, która organizuje dziecięce zabawy i pomaga w szkolnej stołówce. Co miesiąc

złoży zamówienie na ulubione czasopisma i będzie liczyć dni do ich przyjścia, tęskniąc za strzępkami informacji z innego świata i innego życia, w którym nigdy nie będzie dla niej miejsca. Wmawiała sobie jednak, że przynajmniej będzie wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Będzie wiedziała, kim jest i dokąd zmierza. A to bardzo ważne.

Wracając do jeepa, zatrzymała się, by zajrzeć przez okno do ratusza. Wbrew sobie miała nadzieję, że zobaczy jakiś ślad po wizycie Rye'a. Z tego, co wiedziała, przez tydzień miał tu swoje biuro.

- To dobry facet - mówili ludzie. - Szkoda, że musiał podjąć taką decyzję w sprawie chaty Jamesa.

Sekretarka, pani Tempie, machnęła Zeldzie przez szybę. Widząc jej gest, sekretarz rady miejskiej, pan Jones, uniósł głowę i lekko zasalutował. Dziewczyna uznała, że oboje sprawiają wrażenie dziwnie skrepowanych, jakby padła ofiarą jakiejś nowej zaraźliwej choroby, która może przenieść się również na nich. Skrzywiła się. Choroba smoka morskiego.

Powoli jechała do domu. Cichy warkot silnika i regularne wstrząsy ukołysały jej ciało i umysł, odsuwając na bok wszelkie myśli. Gdy podjechała pod chatę, domyśliła się, że Jamesa nie ma w domu, bo z komina nie unosił się dym. Spojrzała na siedzenie obok i pudło z zakupami.

- Przywieź coś dobrego - poprosił.

„Coś dobrego” oznaczało zazwyczaj orzeszki ziemne, czekoladę, suszone owoce albo krakersy serowe. Koniec końców kupiła wszystkie przysmaki i wrzuciła je do torby razem z chipsami.

Pchnęła nogą drzwi. Lekko się uchylily, a potem coś je zablokowało.

- Cholera!

Kopnęła je mocno obcasem buta. Bez skutku. Odłożyła pudło. Wcisnęła głowę w szparę, by sprawdzić, co stoi na przeszkodzie.

Gdy odkryła przyczynę, ogarnęła ją panika. Na podłodze, tuż przy drzwiach, leżał twarzą do dołu, zgięty, nieruchomy James. Zelda wbiła wzrok w jego plecy, próbując przekonać się, czy oddycha.

- Tato! - zawołała, potem spróbowała ponownie, starając się zachować spokój. - Tato?!

Prawa ręka mężczyzny spoczywała beztrąsko odrzucona na bok, jak u śpiącego dziecka. Druga była zgięta, a dłoń dotykała boku głowy. Obok, na podłodze, leżała strzykawka z wepchniętym tłoczkiem. W pojemniczku były resztki jakiegoś przezroczystego płynu.

Zelda cofnęła głowę, mimo to nadal miała przed oczami strzykawkę ze stalową igłą. Przez głowę przemykały jej oderwane słowa. Przedawkowanie. Narkotyki. Samobójstwo. Błąd, bo żadne z nich nie pasowało do Jamesa. Było niemożliwe, szalone. Odwróciła się na chwilę i spojrzała na bezpieczny zielony ogród, sznur z praniem i stos drewna. Z powodu odczuwanej przez nią paniki wszystko zdawało się mieć żywsze barwy i wydawało się bardziej realne. Oddychała niespokojnie, nie umiając obronić się przed narastającym przerażeniem.

Po chwili rzuciła się do działania. Wzięła do ręki jakieś polano i uderzyła nim w okno kuchenne. Szkło rozprysnęło się, spore odłamki wpadły do zlewu. Dziewczyna wspięła się na parapet i wskoczyła do środka. Przez sekundę stała, nie wiedząc, czy może mieć jeszcze jakąś nadzieję, czy raczej nie powinna już na nic liczyć. Po chwili przyklęła i wyciągnęła rękę do Jamesa, nie zważając na łzy spływające jej po twarzy. Rozsunęła impregnowany materiał i rozpięła koszulę. Puls. Puls. Oddech. Powtarzała w myślach te słowa jak zaklęcie, sięgając do szyi i twarzy ojca. Potem zamarła w bezruchu, gdy poczuła pod dłonią lodowaty chłód. Błagam, Boże. Nie...

James był zimny. Miał zimną szyję i twarz. Wsunęła drżące palce do otwartych ust, za twarde, równe zęby, tam gdzie znajdował się wilgotny, delikatny, zimny język.

Po chwili odsunęła się, przysiadła na piętach, opierając się dłońmi o podłogę. Czuła mocną, twardą ścianę za plecami. Oparła się o nią.

Dotychczas traktowała śmierć jako coś niezrozumiałego i potwornego, coś, co swoim ogromem przesłania światło. Widywała na drodze nieżywe wombaty, zżerane przez robaki. Miała do czynienia z kangurami przymocowanymi długimi ogonami do relingu. Wciąż dobrze pamiętała Blueya, dziwnie wiotkiego, kiedy umieszczała go w skrzynce po jabłkach, wraz z jego miską, obrozą i ostatnią gryzioną kością. I matkę. Leżącą na drodze, bez żadnych obrażeń, nadal tak piękną, że gapiom łzy napływały do oczu. Tymczasem postawny i ciężki James jedynie odpoczywał na drewnianej podłodze, po której codziennie chodził.

„Cześć, aniołku! Wróciłem”.

- Nie! - zaszlochała Zelda, dając wyraz swojemu bólowi. „Do widzenia, aniołku”.

-Nie!

Zatkała usta rękami, jakby chciała powstrzymać swe siły życiowe przed ucieczką.

- Boże, spraw cud. Błagam... Nie mogę... Nie opuszczaj mnie.

Usiłowała odsunąć ciało od drzwi. Nie dotykając jego nóg, nagich poniżej długich do kolan spodni roboczych, szarpnęła za wełnę i impregnowany materiał. Potem ujęła ojca za ramię i obróciła, chcąc spojrzeć mu w twarz, jakby mogła wtedy zażądać, by wrócił. Kiedy zobaczyła jego oblicze, przez ułamek sekundy czuła przyływ nadziei. To nie on. Nie James. Na podłodze leżał obcy człowiek. Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że to opuchlizna przeobraziła twarz ojca w maskę i zatarła rysy. Zelda przypomniała sobie strzykawkę; przez głowę przemknęło jej mnóstwo pytań, ale odsunęła je, nim zdołały się w pełni uformułować. Siedząc obok ojca, zdała sobie sprawę z koszmarniej nierealności sytuacji i poczuła dziwny spokój. Wystarczy, że zaczeka, a wtedy wszystko się skończy.

Słońce stało wysoko na niebie. Cienka blacha dachu rozszerzała się i trzeszczała pod wpływem żaru. Muchy wpadały przez wybite okno i otumanione nieruchomym powietrzem, wirowały, tworząc całe obłoczki. Nad chatą przeleciało stado dzikich gęsi, wydających długie, smutne krzyki, kierujących się w stronę gór.

W końcu Zelda wstała i wyszła z chaty, by wezwać doktora Bena. Zadzwoiła z lotniska wojskowego. Nie wyjaśniała niczego mężczyznom, którzy się tam znajdowali. Z oczami pełnymi przerażenia sięgnęła po telefon. Przysłuchiwali się rozmowie, a potem stanęli wokół niej, jakby chcieli w jakiś sposób ją ochronić. Niestety, nie mogli tego zrobić.

Ben przyjechał szybko, a zaraz po nim zjawił się policjant, Ray Ellis. Obaj podbiegli do Jamesa i podobnie jak poprzednio Zelda, zaczęli szukać oznak życia. Po długiej chwili Ben potrząsnął głową. Ellis zaproponował, żeby dziewczyna wyszła i usiadła przed chatą. Nie zgodziła się. Przez cały czas stała obok lekarza i obserwowała, jak ten przyjaciel rodziny ogląda strzykawkę, potem klęka obok Jamesa i zaczyna czegoś szukać na skórze jego nóg. Smukłe palce zagłębiały się w miękkich włoskach.

- Jest - powiedział w końcu łagodnym i spokojnym głosem. - Tutaj.

Przez chwilę Zelda w głębi duszy liczyła, że lekarz zaraz wypisze receptę albo otworzy swoją przepastną czarną torbę z lekami i jak zawsze znów wszystko będzie w porządku.

- Żądło pszczoły - wyjaśnił Ben. - Wciąż tu tkwi. Widzisz? Wskazał lewą łydkę Jamesa. Było na niej niewielkie czerwone zgrubienie z wystającym czarnym kolcem.

- Żądło... pszczoły? - powtórzyła bezmyślnie Zelda. Ben uniósł głowę i zmarszczył czoło.

- Czyżbyś o niczym nie wiedziała?

- O czym?

- Że James był uczulony na jad pszczoły? Że jedna pszczoła mogła go zabić? - Ben podniósł głos pod wpływem rozpaczy. - Prosiłem, żeby ci powiedział!

Zelda patrzyła na lekarza, próbując w jego słowach znaleźć jakiś sens. Miała wrażenie, że docierają do niej z daleka. .. jakby z innego świata.

- Mówisz, że umarł z powodu... uczulenia? - spytał Ellis. Ben przytaknął.

- Wstrząs anafilaktyczny. Powinien zawsze nosić przy sobie adrenalinę, zwłaszcza będąc z dala od miasta. Problem w tym, że gdy zacznie się reakcja alergiczna, trudno zrobić sobie samemu zastrzyk.

Obniżył głos, ale było już za późno. Jego słowa smagneły Zeldę jak bicz. Na litość boską, była w supermarkecie... Gdyby nie to... Mogła go uratować.

- Wiedziałeś o jego uczuleniu? - spytał Ellis. Pochylił się nad ramieniem Bena i robił notatki.

- Tak. Kilka lat temu zdarzyło się już coś takiego. Na szczęście, był wtedy w mieście i dotarł do mnie na czas. Powiedziałem mu wtedy... ostrzegłem go, że bez podania lekarstwa przeniósłby się na tamten świat. Pokazałem mu, co ma robić, gdyby znowu użądliła go pszczoła, jak ma użyć strzykawki.

Mówiąc to, Ben przez cały czas spoglądał na Zeldę, potem odwrócił głowę, jakby patrzenie na nią sprawiało mu zbyt wielki ból. Jego mała pacjentka, której pomógł przyjść na świat właśnie tu, w tej chacie. Dziecko bez matki, a teraz i bez ojca.

- Tak to już jest - powiedział Ellis, potrząsając głową. - Ludzie nie traktują poważnie takich ostrzeżeń. Nigdy. - Pochylił się i obejrzał opuchliznę na nodze Jamesa. - Chociaż trudno uwierzyć... Żądło zwykłej pszczoły! W końcu użądlenia to żadna rzadkość.

- Samo użądlenie nie jest śmiertelne - wyjaśni! Ben. - Śmiertelna jest reakcja alergiczna na nie. - Odwrócił się do

Zeldy. - Zmarł szybko i bez bólu. Po prostu stracił przytomność. - Wyprostował się, słysząc podjeżdżający samochód. -A oto nasz wielebny. - Pod wpływem ulgi podniósł nieco głos. -I Drew. Spojrzał na Zeldę. Nagle, wyraźnie zmęczony, zwiesił ręce po bokach.

- Bardzo, bardzo mi przykro... - Głos mu się załamał, więc zamilkł.

Ellis podszedł i objął dziewczynę. Poczowała na plecach twarde zarys jego metalowej odznaki.

-Jeśli w czymkolwiek możemy ci pomóc... Jeśli ktokolwiek może ci pomóc, wiesz, że możesz na nas wszystkich liczyć.

Odsunęła się i wbiła wzrok w wygasłe palenisko. Pomyślała, że gdyby James żył, te same szczapy płonęłyby teraz radosnym płomieniem. Na skraju pieca ujrzała jego pusty kieliszek po burbonie. Pochyliła się, by go wziąć. Na brzegu dostrzegła ślady jego warg. Starła się zachować stoicki spokój, ale w głębi duszy bardzo cierpiała, a pod wpływem bólu i niedowierzania z trudem łapała oddech.

Usłyszała za plecami skrzypienie nowych botków Drew i szelest jego dżinsowej kurtki. Kiedy podszedł bliżej, odwróciła się i ukryła twarz na jego klatce piersiowej, wdychając dobrze znany zapach smaru samochodowego i palonego drewna. Na policzku czuła wilgotny, przesycony solą materiał. O Boże - pomyślała. To prawda. Tata nie żyje. Odszedł.

Drew pochylił się i wsparł brodę na czubku jej głowy, jego jasne loki opadły na ciemne włosy dziewczyny. Przytulał ją mocno, kołysząc jak niemowlę, a przez cały czas jego klatka piersiowa drgała od szlochu.

- Jimmy... - powiedział. Uniósł głowę i zaczekał, aż łzy spłyną mu po skroniach. - Jimmy...

Ellis, Ben i ojciec Eustace zanieśli Jamesa na łóżko, wyprostowali mu kończyny i przygładzili włosy.

- Drew weźmie Zeldę do siebie - powiedział Ellis. Ben potrząsnął głową.

- Ona nie zostawi Jima.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Trzej mężczyźni stali obok siebie w małym pomieszczeniu, wsłuchując się w odgłos własnych oddechów, w wolny, uporczywy rytm, odróżniający ich od nieruchomej postaci, która leżała między nimi.

- Zadzwońmy do Lizzie - zasugerował ojciec Eustace. - Od lat zastępuje Zeldzie matkę.

- Dobrze - zgodził się Ellis. - Pomoże dziewczynie wszystko zorganizować.

- Tak - przyznał Ben. - To bardzo dobry pomysł. Zerknęli na siebie, pochylili głowy i przez chwilę milczeli,

jak zawsze, gdy spotykali się przy zwłokach.

Zelda siedziała na krześle w rogu warsztatu samochodowego Lindsaya. W pobliżu Craig i Pete rozbierali na części samochód dyrektora szkoły. Obok, w miejscu, gdzie promienie słońca rozgrzały betonową podłogę, leżał ich pies. Z otwartym pyskiem i wywieszonym z powodu upału jęzorem obserwował pracę chłopców. Zelda patrzyła na wszystko niewidzącym wzrokiem.

- Witaj, Zeldo.

Lindsay pochylił się i wyciągnął ręce, jakby chciał pomóc jej wstać. Przez zapach smaru i benzyny wyczuła delikatną woń mydła. Spojrzała na mężczyznę zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami.

- Wiesz, że wcale nie musiałaś od razu... się tym zajmować - powiedział Lindsay.

W jego głosie zabrzmiała nuta nagany, jakby Zelda złamała niepisane prawo, przychodząc do niego sama, a na dodatek bez uprzedzenia, zaledwie godzinę po tym, jak Ellis poinformował go telefonicznie o śmierci Jamesa.

Nie odpowiedziała, tylko wstała i powędrowała za mechanikiem do małego biura. Było zawałone papierzyskami i częściami silnika. Wystarczało miejsca tylko na biurko i dwa krzesła.

- Proszę, usiądź tutaj.

Lindsay wytarł krzesło szmatą i wskazał je Zeldzie. Był uprzejmy i oficjalny, traktował ją jak kogoś obcego, a nie dziewczynę, której od lat sprzedawał benzynę.

Spojrzała na jego zwalistą sylwetkę i przypominała sobie, jak zaledwie ubiegłego lata pomagał jej rozbierać silnik. „Byłabyś dobrym mechanikiem! - żartował, kiedy wsunęła się pod podwozie. - Zwłaszcza z takimi nogami”...

- Normalnie takie sprawy załatwiam po wcześniejszym umówieniu się na spotkanie - wyjaśniał teraz, spoglądając na swój zaplamiony smarem kombinezon. - Przebrałbym się.

- To nie ma znaczenia - odparła Zelda ze znużeniem. - Nie przywiązuję do tego wagi.

Lindsay zamarł w bezruchu, jakby nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

- Mógłby to zrobić za ciebie ktoś inny. Na przykład Lizzie albo Drew. Możesz również zostawić wszystko mnie.

- Nie. Chcę się tym zająć sama.

- Rozumiem.

Sięgnął ręką na najwyższą półkę i zdjął ogromną księgę w plastikowej oprawie. Wyglądała jak album na zdjęcia. Otworzył ją na pierwszej stronie. Była tam kolorowa fotografia eleganckiej trumny z połączanymi brzegami, z lśniącego, czerwonego drewna.

- To luksusowy model - powiedział, szybko odwracając kartkę. - Ta cieszy się na wyspie większą popularnością - skomentował, pokazując następną. - Jest skromna, ale niczego jej nie brakuje.

Bacnie przyjrzał się Zeldzie, próbując coś wyczytać z jej pozbawionej wyrazu twarzy.

- Cenowo mieści się gdzieś pośrodku... - Nagle urwał. - Posłuchaj, muszę... musimy omówić sprawy finansowe. Naprawdę byłoby lepiej, gdyby przyszedł do mnie ktoś inny. Nie powinnaś zajmować się tym sama.

- Pieniądze nie mają znaczenia - oznajmiła zdecydowanie. - Nie mam zresztą zamiaru na razie podejmować żadnych decyzji, po prostu próbuję się tylko zorientować, co jest do wyboru.

- Ach! - Lindsay wyraźnie się uspokoił, głębokie zmarszczki na jego twarzy nieco się wygładziły. - To dobrze. Bardzo dobrze. Masz na coś ochotę? Drinka? Papierosa? Wodę?

Potrząsnęła przecząco głową i położyła sobie album na kolanach. Spokojnie odwracała kartki, oglądając zdjęcia trumien, nagrobków, tablic i wieńców.

- Oczywiście, nie robimy wszystkich modeli tu, na wyspie - wyjaśnił Lindsay, zerkając jej przez ramię, jakby próbował spojrzeć na swoją ofertę jej oczami. - Poza tym zawsze staramy się dodawać coś ekstra, coś osobistego... No wiesz, żeby podczas pogrzebu jakoś zaznaczyć, kim był zmarły. Możesz się nad tym zastanowić. Jimmy był Amerykaninem, prawda? - Urwał, gdyż przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Gdzie spoczywa twoja matka? Czasem ludzie chcą leżeć obok siebie.

- Gdzieś w Melbourne, ale jego miejsce jest tutaj.

- Oczywiście - przytaknął Lindsay. - No cóż, zajmiemy się z wielebnym wszystkimi szczegółami. Ellis powiedział mi, że doktor Ben podpisał świadectwo zgonu, więc wszystko będzie proste. Czy Jimmy... jest teraz... w domu?

Zelda przytaknęła.

- Zaraz tam kogoś pošlę.

- Nie! - zaprotestowała. - Oni powiedzieli mi, że mogę... że może... zostać do jutra.

Lindsay spojrzął na nią. - Oni?

- Ellis i ojciec Eustace.

- No cóż, rzeczywiście może - przyznał z powątpiewaniem. - Będziesz nocować u Drew?

- Możliwe - odparła, wstając i oddając mu księgę. - Dziękuję. Zastanowię się nad tym.

Chciała powiedzieć: „Zdaję się na pana”, ale czym by się wtedy zajęła? Nie miała wyboru.

Lindsay uśmiechnął się i smutno skinął głową.

- Zadzwoń do Drew spytać, jak sobie radzisz. Wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie chłopcy zrobili sobie

przerwę na papierosa i karmili psa kośćmi burzyka.

- Cześć - powiedzieli ze skrepowaniem, bez uśmiechów.

Zelda kiwnęła głową. Nagle poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Szybko dotarła do toalety, wpadła do środka, pochyliła się nad umywalką i spryskała twarz zimną wodą. Usłyszała, że chłopcy wrócili do warsztatu, bo metal zabrzęczał o metal, gdy wzięli do rąk narzędzia. Wytarła twarz rękawem i odwróciła się ku drzwiom.

- Niesamowite, że maleńka pszczoła powaliła takie wielkie chłopisko jak Jimmy! Aż trudno w to uwierzyć - usłyszała.

- Biedny facet.

Zelda w połowie kroku zamarła w bezruchu, słysząc głosy dochodzące przez ścianę.

- To musi być prawdziwy cios dla Zel. Na pewno teraz będzie musiała się wynieść. No wiesz, z powodu afery z morskim smokiem.

- Słyszałem, że do wygaśnięcia dzierżawy zostały im jeszcze trzy lata.

- Taak, ale decyzja staje się aktualna zależnie od tego, co nastąpi wcześniej, wygaśnięcie dzierżawy czy śmierć dzierżawcy.

Nastąpił krótki moment ciszy. Pies zawył.

- Tak przynajmniej słyszałem - dodał jeden z chłopcow.

Po powrocie do chaty Zeldy zauważyła, że ktoś zasłonił kartonem wybite okno. Prawdopodobnie Drew, bo zrobił to bardzo starannie. Wyobraziła sobie, że zostawszy w chacie, szukał czegoś, co mógłby dla niej zrobić. Kiedy powiedziała, że chce zostać sama, był wyraźnie urażony i zaskoczony. Nie miała do niego żalu, jej też wydawało się to dziwne. Czuła się tak, jakby utknęła w ciszy i bezruchu Jamesa, odcięta od świata.

Wzięła do ręki opróżnioną do połowy butelkę burbona i upiła spory łyk.

Potem stanęła w progu pokoju ojca. Przesuwała powoli po nim wzrokiem, zaczynając od ciężkich, wciśniętych w miękki materac butów, potem przez gołe nogi i sweter. Po chwili zamarła, z rękami przyciśniętymi do boków. Jej oczy nie chciały wędrować dalej.

Tatusiu! Jej myśli układały się w słowa, jakby, jak zwykle pod koniec dnia, prowadzili normalną rozmowę. Powinieneś zobaczyć księgę, którą pokazał mi Lindsay! Były tam zdjęcia trumien i wieńców... Zaczęła się śmiać. Niemal dostała ataku hysterii, gdy wyobraziła sobie Jamesa w nieprzemakalnym ubraniu i zatłuszczonym wełnianym swetrze, wciśniętego w skrzynię z drewna na wysoki połysk.

Żarty sobie ze mnie stroisz - usłyszała niemal jego słowa. - Do cholery, lepiej, żeby to były żarty!

Próbowała sobie przypomnieć, czy James kiedykolwiek mówił coś o pogrzebie matki czy jej grobie. Grób. Smutne, zagubione miejsce, jak ze złego snu. Z tego, co pamiętała, ojciec powtarzał, że groby nie mają znaczenia. Liczą się wspomnienia. Wspomnienia o życiu - taty i mamy, taty i jej - tutaj, w rozpadającej się chacie na skraju Nautilus Bay. Domu smoka morskiego. Strefy ochronnej drugiej kategorii...

Odwróciła się od łóżka, podeszła do biurka Jamesa i zaczęła przetrząsać szuflady. Wszystkie papiery były starannie poukładane w brązowych kopertach, opisanych drukowanymi literami: „Związek rybaków”, „Podatek dochodowy”, „Zelda”, „Różne”. Potem znalazła teczkę z napisem

„Smok morski, korespondencja i przepisy”. Wysypała jej zawartość i tak długo grzebała w listach, wycinkach z gazet i odręcznych notatkach, aż znalazła urzędowe pismo na szarym rządowym papierze. Przejrzała tekst, zatrzymując wzrok na najważniejszych sformułowaniach: rekultywacja terenu... usunięcie istniejącego domu i zabudowań... po wygaśnięciu dzierżawy... albo śmierci dzierżawcy.

„Śmierć dzierżawcy”. A więc to prawda.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Ujrzała ludzi, którzy kręcili się po domu jak mrówki: pracownicy ochrony środowiska biegali tu i tam z kawałkami dachu, ścian czy podłogi. Wyobraziła sobie, jak wynoszą stare szczoteczki do zębów, linijki i scyzoryki, które znaleźli w szczelinach, pod okapem i pod podłogą, śmieją się z wykonanych ręcznie zabawek, czytają fragmenty starych listów, wyrrywają warzywa w ogródku, niszczą zioła rosnące przy tylnych drzwiach, rozbierają kamienny komin i burzą palenisko, przy którym ona i James siadywali wieczorami, korzystając z ciepła i spokoju. Zelda zdawała sobie sprawę, że nie nastąpi to od razu, pozwolą jej na zaplanowanie dalszego życia, spakowanie rzeczy i wyprowadzkę, ale kłamka już zapadła. Zegar odmierzał czas.

Wróciła do dużego pokoju i nastawiła płytę. Ręka jej drżała, gdy unosiła igłę. Potem stanęła przy kominku, oparła głowę o gzyms i słuchała, jak w ciszy rozlegają się dźwięki znanej arii.

Udało jej się zmusić wszystkich, żeby na tę jedną noc zostawili ją sam na sam z ojcem. Jutro jednak nieodwołalnie zaczną się przygotowania do pogrzebu. Wizyty i telefony różnych ludzi. Plany. Kwiaty. Kościół. Była pewna, że James wcale by tego nie chciał. Ona też. Rozejrzała się po chacie, wyposażonej w ręcznie robione meble, ze stosami sprzętu rybackiego. Wszystko to wiązało się z Jamesem. Do oczu napłynęły jej łzy. Musi być jakiś lepszy sposób pożegnania się z przeszłością...

Stała nieruchomo, zastanawiając się przy dźwiękach muzyki. Gdy płyta dobiegła końca, Zelda wiedziała już, co zrobi. Wyszła na chwilę na zewnątrz i wróciła z kilkoma plastikowymi wiadrami na ryby. Ustawiła je na środku podłogi, po czym zaczęła chodzić po chacie, zbierać pamiątki i wkładać je do wiader. Książki, narzędzia, ubrania, osprzęt, kubki, talerze... Osobno umieściła przedmioty specjalne, takie jak deska do krojenia, którą James zrobił z tasmańskiej sosny i na której wyrzeźbił imiona: James i Zelda oraz datę 1979, srebrny świecznik, który stawiali na środku stołu przy specjalnych okazjach, cienka jak papier, delikatna, idealna w proporcjach muszla łodzika przechowywana w kłaczkach bawełny, szkatułka z cennymi mapami Jamesa. W końcu wzięła skórzaną teczkę, przewiązaną różową wstążeczką. W środku były zdjęcia, głównie jej samej: utrwalone na kliszy najważniejsze momenty z życia, takie jak: przyjęcia urodzinowe, parady przebierańców, zakończenia roku szkolnego, pierwszy dzień w morzu... Szybko je przerzuciła, czując ostry ból, ilekroć natknęła się na fotografię, na której był też James.

Niemal na samym spodzie znajdowały się dwa zdjęcia Ellen. Zelda doskonale je знаła. Były to jej jedyne pamiątki po nieżyjącej od dawna matce. Choć mijały lata, dziewczyna wciąż oglądała je na nowo, mając nadzieję, że odkryje coś, co wcześniej przeoczyła. Na jednym z nich Ellen trzymała na rękach maleńką córeczkę i uśmiechała się do obiektywu. Na tym zdjęciu panował dziwny bezruch, jakby matka i córka istniały poza czasem i przestrzenią, niczym Madonna z Dzieciątkiem.

Na drugiej fotografii Ellen stała na nabrzeżu i udawała, że jak modelka na wybiegu prezentuje parę roboczych spodni.

- Na niej wyglądają, jakby wyszły spod ręki któregoś z wielkich projektantów mody - powiedziała pewnego razu Lizzie. - Ellen po prostu miała klasę. Chciało się ją naśladować.

Zelda była bardzo podobna do matki. Miała jej rysy, ciało, włosy. I uśmiech.

Oczy dziewczyny zasnuły się łzami, gdy patrzyła na twarz matki. Czuła, że narasta w niej tępy ból, dziwne wrażenie, że James ją zdradził, zostawił samą, by przyłączyć się do swojej miłości. W końcu córka była tylko bladym odbiciem, wspomnieniem matki, która odeszła. Zelda wsunęła zdjęcia z powrotem do teczki, klnąc w duchu, gdy jedno z nich zahaczyło o teczkę. Szarpnęła i z dna wyjęła następną, dobrze znaną czarno-białą fotografię - portret ojca Ellen, dziadka Zeldy, roześmianego mężczyzny o twarzy podobnej do twarzy córki. Na odwrotnej stronie było wypisane imię Harlan. To wszystko. W przeszłości owo zdjęcie wzbudzało ogromną ciekawość dziewczyny, ale teraz wydawało się pozbawione znaczenia, puste, jak wszystko inne...

Wyniosła po kolei wszystkie wiadra na pomost i poustawiała na kutrze. Potem po raz ostatni przeszukała dom i w końcu stanęła obok łóżka Jamesa. Popołudniowe słońce wpadło do wnętrza i nadawało woskowej twarzy zmarłego łagodny, złocisty blask. Włosy błyszcząły na tle sinawej skóry. Zelda wyjęła zza paska ojca nóż i obcięła spory kosmyk jego włosów.

Pochyliła się nad ojcem i obmyła łzami jego twarz.

- Żegnaj, tatusiu.

Potem odwróciła się i wyszła, nie oglądając się za siebie. Znalazłszy się na zewnątrz, wzięła kanister z benzyną i rozlała jego zawartość wokół chaty. Potem rzuciła zapalniczkę. Bum!

Jasne płomienie błyskawicznie rozprzestrzeniły się i ogarnęły całą chatę.

Zelda stała na skraju plaży, patrząc, jak jej dom trawi ogień - płonąca latarnia morska na tle nieba. Kiedy pozostały jedynie poczerniałe kikuty, wsiadła na kuter i wypłynęła w morze.

3

O brzasku powyciągała kosze i ustawiła je na pokładzie. Poskładała boje, starannie zwinęła liny i opróżniła kosze z przynęty, tak jak zawsze robiła pod koniec sezonu. Poruszała się jak we śnie, niczego nie planowała, jedynie działała.

Kiedy wszystkie kosze znalazły się na pokładzie, skierowała kuter do małej zatoczki i zarzuciła kotwicę w miejscu osłoniętym przez skalisty półwysep. Wiadra z rzeczami, które zabrała z chaty, wniosła do kabiny i starannie poukładała jedno obok drugiego na koi. Potem sprawdziła, czy w pomieszczeniu nie ma jedzenia albo mokrych ubrań. Kiedy zamykała kajutę, jej wzrok padł na szkatułkę z mapami Jamesa. Zabrała ją ze sobą, po czym zamknęła drzwi na kłódkę.

Po powrocie do sterówki stanęła z kubkiem herbaty w ręce i patrzyła, jak słońce wychyla się zza horyzontu - przypominało ogromne żółtko, gotowe lada chwila rozlać się po powierzchni morza. Było cicho i spokojnie. Takie poranki James lubi! najbardziej. Zawsze wtedy uśmiechał się i mówił: „Wiesz, aniołku, po raz pierwszy ujrzałem świt, gdy byłem starszy niż ty teraz. Co ty na to?” albo: „Spędzałem dzień po dniu w biurze, gdzie były tylko sztuczne kwiaty i wiecznie pozamykane okna”. „Jeśli, Boże, jesteś tam w górze - mawiał, unosząc twarz w stronę zaróżowionego nieba - dziękuję Ci z całego serca”.

Zelda wyobraziła sobie, że Lizzie modli się za duszę Jamesa, tak jak modliła się za wszystkich świętych i męczenników. Ich ciała dawno przestały istnieć, zostały spalone tak jak ciało Jamesa albo pochowane, jednak Lizzie zapewniała, że oni wciąż żyją. Boże - pomyślała Zelda, odwracając wzrok w stronę wschodzącego słońca - zaopiekuj się moim tatą. Proszę, zaopiekuj się moim tatą.

Spojrzała na stojącą pod ścianą szkatułkę z mapami Jamesa. Nagle postanowiła ją otworzyć, żeby zobaczyć i do-

tknąć rzeczy, które były dla niego cenne. Za pomocą scyzoryka podważyła zawiasy. Miała wyrzuty sumienia, że włamuje się do szkatułki ojca, ale przecież nie mogła zostać zamknięta na zawsze, a starannie ukrywany klucz Jamesa z pewnością był teraz jedynie bryłką stopionego metalu. Mapy, które leżały na wierzchu, były zniszczone od częstego używania. Dziewczyna znalazła mapę archipelagu, w którym leżała wyspa Flinders, a na niej radę, żeby korzystać z wiedzy tutejszych mieszkańców, jeśli chce się bezpiecznie pływać po okolicznych wodach. James naniósł na nią własne notatki na temat skał, dna morza, bezpiecznych portów i wraków. Zelda ostrożnie odsunęła mapy na bok, próbując pokonać łzy, bo zapiski ojca przypomniały jej wspólne wyprawy.

Kiedy pochylała się nad szkatułką, potrafiła łokciem opróżniony do połowy kubek. Kątem oka dostrzegła, że się przechyla. Chwyciła go, nim upadł, ale jednocześnie upuściła szkatułkę, z której wypadły mapy i wykresy. Uklękła w maleńkim pomieszczeniu, żeby wszystko starannie pozbierać. Nagle jej ręka zawisła nad pożółkłym wycinkiem z gazety. Była to reklama wyprzedaży w sklepie, o którym nigdy nie słyszała. Odwróciła karteluszek i zamarła w bezruchu na widok własnej twarzy. Swoich oczu, ust, włosów. Nad zdjęciem znajdował się nagłówek: *Liberty znalazła nowych zwolenników*. Tekst artykułu został starannie oderwany, pod zdjęciem widniał jedynie początek zdania:

Relacja z Ryzikeszu w Indiach Dziesięć lat po zniknięciu amerykańskiej gwiazdy baletu rozeszły się pogłoski...

Zelda kilkakrotnie przeczytała ów fragment tekstu. Nie było wątpliwości, że zdjęcie przedstawia Ellen. Tylko dlaczego nazywają ją Liberty? Piszą, że była gwiazdą baletu... Zelda nic na ten temat nie wiedziała. Czemu matka znalazła

się w Indiach? Czy zawędrowała tam, nim rodzice przybyli na wyspę? James nigdy nie wspominał o Indiach, chociaż, z drugiej strony, w ogóle rzadko mówił o Ellen i ich wspólnym życiu. Ilekroć Zelda zadawała mu pytania na ten temat, milczał i pograżał się w smutku, a nawet złości. Taki jego nastrój utrzymywał się kilka dni i spowijał wszystko czarnym całunem, więc nauczyła się nie pytać o przeszłość. Trochę dowiedziała się od Lizzie.

- To twoja matka, więc powinnaś coś o niej wiedzieć - powtarzała, wyraźnie nie aprobując postępowania Jamesa. - Ellen była baletnicą. Pracowała w Nowym Jorku. Tańczyła w wielkich baletach: *Jeziorze łabędzim*, *Dziadku do orzechów*, *Giselle*, i nie tylko. Występowała też w czymś, co nazywała zespołami tańca nowoczesnego.

- Była sławna? - pytała Zelda.

- Nie sądzę. - Lizzie roześmiała się, ale w jej oczach pojawił się smutek. - Ale musiała być bardzo dobrą tancerką. Pewnego razu widziałam w mleczarni, jak tańczyła. Czekala na mnie, bo miałyśmy razem wracać do domu, i nie zauważyła, że weszłam. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłam u niej coś niezwykłego. Jakby nagle ożyła!

- Czy ja też tam byłam? - spytała Zelda.

- Tak - odparła Lizzie. - Wydaje mi się, że stałaś w kącie i przyglądałaś się okrągłymi oczami. Byłaś maleńka, ale nawet ty to widziałaś. Poruszała się w magiczny sposób, a jej twarz...

- W takim razie dlaczego postanowiła wszystko rzucić i razem z tatą przyjechała na wyspę? - dociekała Zelda.

- Bo mieli pieniądze i znanych przyjaciół, ale nie byli szczęśliwi - wyjaśniła Lizzie, jakby bajki były prawdą. - Wystarczy spojrzeć na Jamesa, by zrozumieć, że tu jest jego miejsce.

- A Ellen... mama... czy też była tu szczęśliwa? Lizzie odpowiedziała dopiero po chwili zastanowienia.

- Nie tak jak James - zdradziła. - I nie przez cały czas.

Zelda bacznie przyglądała się wycinkowi z gazety. Zdjęcie nie wyglądało na pozowane: Ellen była zwrócona profilem do obiektywu. Wyglądała, jakby była w tym samym wieku co obecnie Zelda, ale trudno było to stwierdzić na pewno. Dziewczyna ponownie przeczytała tekst. Zastanowiło ją słowo „zniknięcie”. Przypuszczała, że chodziło o okres, kiedy Ellen i James opuścili Amerykę i przyjechali na wyspę. Tak przynajmniej mówił James - że wyjechali, nikomu o niczym nie mówiąc, paląc za sobą mosty i zrywając wszelkie kontakty. Skąd więc stwierdzenie: „dziesięć lat po...”? Przecież wtedy Ellen już nie żyła. Musieli zniknąć dwa razy! O jakie pogłoski chodzi? Zeldzie zrobiło się niedobrze, przez głowę przemykało jej mnóstwo pytań. Czuła smutek i irracjonalną złość, jakby James nagle postanowił zniknąć i celowo zostawił ją z tą tajemnicą.

Odwróciła wycinek, mając nadzieję, że znajdzie coś więcej. Przejrzała reklamy i dotarła do najniższej linijki. Był tam tylko fragment tekstu. Poskładała poszczególne słowa. Pisano o zamachu na Ronalda Reagana. Przypomniała sobie to wydarzenie. James cholernie żałował, że zamachowiec był takim kiepskim strzelcem. Dziewczynka powtórzyła jego słowa swojej nauczycielce, która nie kryła oburzenia.

Zelda odchyliła głowę do tyłu i oparła się o ścianę. To była pani Smith, wychowawczyni czwartej klasy... Czyli miałam wtedy dziewięć lat - pomyślała.

Co oznacza, że moja matka, Ellen, żyje.

Zelda zapukała do drzwi wejściowych domu Dany. Głośny stukot rozszedł się echem. Odczekała kilka chwil, a potem obiegła budynek, zaglądając przez okna do środka. W salonie paliło się w kominku, ale dom sprawiał wrażenie pustego. Gdy dotarła do okna pokoju gościnnego, zatrzymała się i przycisnęła twarz do szyby. Na łóżku leżały porzrzucone jedwabne stroje, a na podłodze - buty na wysokich obcasach. Odetchnęła z ulgą. Cassie nie opuściła jeszcze wyspy.

Wróciła do drzwi wejściowych, usiadła na schodach i postanowiła zaczekać. Przypomniła sobie, że podczas wieczornego przyjęcia starsza pani bacznie się jej przyglądała i uparcie twierdziła, że gdzieś ją wcześniej widziała. Ją albo kogoś podobnego. Może...

Zelda nie chciała kontynuować swoich rozważań, rozniecać iskierki nadziei. Podciągnęła kolana do klatki piersiowej, położyła głowę na ramionach i próbowała odpocząć, ale burczało jej w brzuchu, z głodu bolał ją żołądek, więc po chwili uniosła głowę i rozejrzała się po ogrodzie. Był dziki, lecz zadbane, typowe dla wyspy rośliny ktoś starannie porozmieszczał wokół kawałków granitu. Całość przypominała fragment wzgórza, ale była nieco uporządkowana. Za trawnikiem zaczynała się ścieżka, która prowadziła nad stawek. Wychyliwszy się trochę na bok, Zelda zobaczyła stojące przy brzegu, wyblakłe od słońca leżaki. Jej uwagę przykuła czerwona plama. Dziewczyna poderwała się na równe nogi. Na najdalej stojącym leżaku ktoś spoczywał.

- Dana?! - zawołała, biegnąc w tamtą stronę.

Kiedy się zbliżyła, ręka w białej rękawiczce uniosła szerokie rondo słomkowego kapelusza i pojawiły się ogromne, okrągłe okulary przeciwsłoneczne oraz czerwone usta.

- Witaj, kochanie! To ja! - Cassie wybuchnęła śmiechem, tak samo perlistym jak poprzednio. - Nie mogłaś mnie poznać pod tyloma warstwami. - Obniżyła głos i wyznała: - Mam alergię na słońce. Nie może tknąć mojej skóry.

Dziewczyna spojrzała na nią niepewnie.

- Muszę z panią porozmawiać.

Słyszac jej głos, Cassie zdjęła okulary przeciwsłoneczne i podniosła się.

- Co się, do diabła, stało? Nie, nie płacz - powiedziała zdecydowanie. - Tylko spuchnie ci twarz. Siadaj.

Włożyła Zeldzie do ręki papierosa, ignorując protesty dziewczyny.

- To cię uspokoi.

Potem siedziała w bezruchu, tylko od czasu do czasu kiwając głową, gdy dziewczyna opowiadała o śmierci Jamesa, wycinku z gazety i słowach, które nie miały sensu.

- Oczywiście! - powiedziała Cassie, zerkając na pożółkłe zdjęcie. - Wiedziałam, że gdzieś już widziałam twoją twarz, w chwili kiedy zobaczyłam cię w tej bluzce od Diora. Tylko kto by przypuszczał, że córka Liberty mieszka tu, na wyspie, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc? - Uniosła głowę i bacznie przyjrzała się twarzy swojej rozmówczyni. - Co więcej, ty też tańczysz! - Potrząsnęła głową. - Niesamowite...

- Przecież to nie jest jej prawdziwe imię - wtrąciła dziewczyna.

- Tylko pseudonim sceniczny - dokończyła Cassie. - Tak jak Twiggy. No wiesz, angielska modelka. Nie słyszałaś o niej?

Zelda patrzyła niepewnie.

- Nieważne - ciągnęła starsza pani. - Pozwól, że ci wyjaśnię. Widzisz, Liberty, czyli twoja matka, była kimś więcej niż sławną tancerką. Cieszyła się ogromną popularnością. - Cassie wpatrzyła się w niebo, jakby szukała odpowiednich słów. - Można chyba powiedzieć, że zrobiono z niej bożyszcze tłumów. Prawdę mówiąc, tak właśnie o niej mówiono. - Przymrużyła oczy, widząc pytające spojrzenie Zeldy. - Kwestia marketingu, no wiesz. Jeśli wpadnie im do głowy jakiś pomysł, zaczynają działać i dopinają swego. Stara historia w pędzącym do przodu świecie. - Machnięciem ręki wskazała na wycinek z gazety. - Nawet to...

- Muszę ją znaleźć - stwierdziła Zelda.

- Oczywiście, kochanie - przytaknęła Cassie. - Chociaż to może być trudne, zwłaszcza jeśli ona postanowiła naprawdę zniknąć. Możesz zacząć od skontaktowania się z ambasadą. Wyślij im kopię tego artykułu.

- Nie. Jadę do Indii - oznajmiła Zelda zdecydowanie, jakby nie miała żadnych wątpliwości. - Zacznę od miejsca, w którym wykonane zostało to zdjęcie.

Cassie przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

- Myślę, że to tak samo dobry plan jak każdy inny - rzekła w końcu.

Zrobiła przerwę, wcisnęła nowego papierosa do lufki, a potem wychyliła się do przodu i zdecydowanym ruchem położyła dłoń na ramieniu Zeldy.

- Chciałabym jednak, żebyś mnie posłuchała, zgoda?

- Zgoda.

- Przyjrzyj mi się uważnie. Nikt o mnie już nie pamięta, ale gdy byłam u szczytu sławy, kręciłam jeden film za drugim. Byłam aktorką. Przemierzyłam cały świat. Mam domy w takich zakątkach, których nazw od dawna nie pamiętam. - Wybuchnęła śmiechem, chociaż pobrzmiwała w nim odrobina goryczy. - Jestem obecnie u szczytu swoich możliwości, mam ogromne doświadczenie, wiedzę i umiejętności, tylko nikt nie chce z nich korzystać. Ludzie nie chcą oglądać filmów z takimi starymi próchnami jak ja, ale nie o to chodzi. Mój ojciec był kasjerem w banku. Mama pracowała w pralni samoobsługowej. Marzyli o murowanym domku i skrawku ziemi. Oczywiście, dałam im to, ale spójrz, Zeldo, na mnie. Czy widzisz córkę kasjera i kobiety z pralni? Widzisz?

- Nie - odparła Zeldo. - Jest pani... Nie, nie wiem.

- No właśnie. - Cassie złożyła ręce. - Postaraj się odnaleźć matkę, ale nie wiąż z jej znalezieniem wielkich nadziei. Może ci pomóc. Ty możesz pomóc jej. Możecie się jednak znienawidzić. Nie pozwól, by spotkanie z nią miało wpływ na to, kim jesteś. - Spojrzała Zeldzie w oczy. - Kiedy po raz ostatni jadłaś przyzwoity posiłek? - zmieniła temat.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Chodź. Zjemy coś, a potem zastanowimy się, co zrobić.

4

Zelda zabrała część swoich rzeczy i przeniosła się do Dany i Cassie, chociaż czuła się jak ktoś, kto zwariował i przeszedł na drugą stronę frontu. Zadzwoiła do Drew i Lizzie, żeby

im powiedzieć, gdzie jest. Zdawała sobie sprawę, że jej słowa brzmią, jakby była zupełnie bezduszna, a może zdesperowana, nie potrafiła jednak im wyjaśnić, dlaczego woli przebywać wśród obcych ludzi niż u przyjaciół. Obiecała, że codziennie będzie do nich dzwonić, ale nie chciała się z nimi widzieć ani rozmawiać w cztery oczy. Zastanawiała się też, czy nie zadzwonić do Sharn, ale w końcu zrezygnowała z tego, bo nie wiedziała, co jej powiedzieć. Jediną osobą, z którą miała do czynienia oprócz Cassie i Dany, był gliniarz Ellis. Usiadła z nim nad stawem, a on w oględny sposób, starając się nie wymawiać imienia Jamesa, próbował jej powiedzieć, że nie powinna była podpalać chaty. Jak wyjaśnił, popełniła poważne przestępstwo. Ma szczęście, że od niego zależy decyzja, czy nadać sprawie bieg. Dla dobra wszystkich postanowił przymknąć na to oko. W końcu rozumiał, co dziewczyna czuje, zwłaszcza jeśli uwzględni się sprawę smoka morskiego. Nie mógł natomiast pojąć, dlaczego Zelda przebywa tutaj, a nie w Badger Head z Lizzie i Drew. Chociaż to jej sprawa.

Przez przypadek rozmawiała z Rye'em. Spodziewała się telefonu z banku, dlatego podniosła słuchawkę.

- Witaj, Zeldo - powiedział. - Wciąż tam jesteś! Jakby to miało dla niego jakieś znaczenie.
- Przykro mi... z powodu Jamesa.
- Kto ci powiedział? - spytała Zeldo wojowniczo. Rye odpowiedział nieco zmienionym głosem:
- Miałem telefon od członków rady miejskiej. Poinformowano mnie, że... spaliłaś chatę.
- Tak, to prawda - przyznała podniesionym ze złości głosem. - Nie chciałam...
- Rozumiem - przerwał Rye. - Wszyscy byli... wszyscy byliśmy. .. zaskoczeni. I tyle. Zeldo, naprawdę przykro mi z powodu Jamesa.
- Mogłeś mi powiedzieć! - wybuchnęła, chociaż nie miała takiego zamiaru.
- Wiem. Powinienem.

- Przecież wiedziałeś, że przez ciebie nas wyrzuca.

- To była sprawa dalekiej przyszłości, przynajmniej tak myślałem - odparł Rye. - Kiedy wykonywałem ekspertyzę, nie zdawałem sobie sprawy, że dzierzawicie ten teren od tak dawna. Poza tym nikt nie brał pod uwagę drugiej klauzuli, to znaczy możliwości, że twój ojciec...

Urwał. Słysząc go było tak, jakby stał za ścianą. Równie dobrze mógł dzwonić z pobliskiej budki, opędzać się przed komarami i przerzucać kartki zatłuszczonej książki telefonicznej, pachnącej chipsami i rybami.

- Posłuchaj, Zeldo, Dana powiedziała mi, że myślisz o wyprawie do Indii.

- Nie myślę, tylko jadę tam. Już wszystko załatwiamy.

- W porządku. - W jego głosie słysząc było ulgę. - To znaczy, że znalazłaś kogoś, kto pojedzie z tobą.

-Nie.

- Mówiłem Danie, że nie możesz jechać sama. To nie wyprawa do Melbourne.

- Dziękuję za troskę - powiedziała Zeldo oschle. - Ale to naprawdę nie twoja sprawa.

- Posłuchaj mnie, dobrze?

- Nie - szepnęła Zeldo. Niech cię diabli. - Nie! - krzyknęła. - Nie mów mi, co powinnam robić.

Miała zamiar odłożyć słuchawkę, ale wciąż trzymała ją w dłoni.

- Zeldo? Jesteś tam? - dobiegł zmartwiony, życzliwy głos.

- Owszem - powiedziała. - Ale i tak jadę do Indii. Ostrożnie odłożyła słuchawkę... Potem szybko ją podniosła, niestety, Rye'a już nie było.

Tydzień po śmierci Jamesa Dana znalazła przed drzwiami wejściowymi bukiet goździków w wiadrze z wodą. Do uchwytu przyczepiona była koperta ze starannie napisanym imieniem Zeldy. Dana przyniosła kwiaty i list na werandę, gdzie Zeldo i Cassie jadły właśnie śniadanie.

- To dla ciebie - powiedziała nauczycielka tańca, podając dziewczynie list.

Zelda podniosła się, gdy rozpoznała pismo.

- Drew...

Ogarnęła ją fala ciepłych uczuć. Nagle chciała zbiec ze stromego wzgórza i dotrzeć przez równinę do zatoki, tam gdzie Drew powinien właśnie kończyć poranne nurkowanie. Prawdopodobnie wciąż jeszcze porządkuje łódź i przepłukuje strój piankowy. Chciała poczuć jego wargi na ustach, znaleźć się w mocnych ramionach.

Rozerwała kopertę, rozprostowała pojedynczą kartkę i zaczęła czytać.

Kochana Zeldo, mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

List był sztywny i oficjalny, jakby konieczność przelania myśli na papier stworzyła między nimi jeszcze większy dystans. Zelda przeskakiwała słowa i zdania, wychwytyjąc jedynie ich sens.

Drew pisał, że długo się zastanawiał nad wysłaniem listu. Rozumiał, że Zelda chce wyruszyć na poszukiwanie matki, ale nie wiedział, po co taki pośpiech. Uważał, że to nie na miejscu tak szybko po śmierci Jamesa. Prosił, żeby zaczekała, aż to przemyśli. Zastanawiał się nawet, czy nie wybrać się z nią, oczywiście pod warunkiem, że wszystko zostanie odpowiednio zorganizowane. Powinna zrozumieć, że za nic w świecie nie może jechać sama. James na pewno by sobie tego nie życzył. Lizzie też jest z tego powodu nieszczęśliwa. Zelda nigdy wcześniej tak nie postępowała. To po prostu nie ma sensu.

Zeldo - pisał, mocno naciskając długopisem kartkę papieru. -Proszę Cię, nie jedź. Kocham Cię, o czym na pewno wiesz. Drew.

Zelda spojrzała na ogród. Cassie i Dana nie odezwały się ani słowem. Zapadła cisza, w której słyhać było tylko ćwierkanie dwóch ptaków pod okapem.

Po chwili dziewczyna wstała i weszła do domu. Podeszła do telefonu i wybrała numer agenta z biura podróży w Melbourne.

- Mówi Zelda Madison - przedstawiła się, gdy w słuchawce odezwał się męski głos. - Kilka dni temu rozmawiała z panem moja przyjaciółka, Cassie...

- Tak, pamiętam - przerwał jej mężczyzna. - Zarezerwowała dla pani lot do Indii. Czym mogę służyć?

- Zależy mi na tym, żeby wyjechać jak najszybciej.

Z zaskoczeniem wsłuchiwała się w brzmienie własnego głosu. Był taki zdecydowany i mocny.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Przez chwilę agent wystukiwał coś na klawiaturze.

- Jest wolne miejsce na piętnasty kwietnia, czyli na najbliższy piątek.

- Odpowiada mi. Dziękuję.

Jakie to proste! Zelda uśmiechnęła się z poczuciem ulgi. Teraz już nic nie będzie mogło stanąć jej na przeszkodzie; podróż właśnie się zaczęła.

- W porządku - ciągnął agent. - Wszystkie pozostałe sprawy ma pani załatwione, tak? Paszport, szczepienia? Gdyby pani była tu, na miejscu, pomogliśmy pani skompletować wszystkie wymagane dokumenty.

- Dziękuję najmocniej, zajęliśmy się już wszystkim.

Cassie przejęła dowodzenie. Wiedziała, jak wszelkie formalności szybko załatwić. „Kochanie - zaczynała. - Chyba nie uwierzysz, z jakimi błahostkami mamy tu poważne problemy. Liczę, że zdołasz nam pomóc...”

- W Delhi będzie cholernie gorąco. Radzę pani spakować letnie rzeczy - dodał agent. - Byłem tam kiedyś i omal nie umarłem z pragnienia. Nie rozumiem, dlaczego ludziom nie odpowiada stary, dobry Queensland. Nastąpiła krótka przerwa.

- Wybieram się na spotkanie z matką - wyjaśniła dziewczyna.

Rozkoszowała się tymi słowami, czując, jak ból i radość na przemian zaciskają jej gardło.

- Ach! - westchnął mężczyzna. - To całkiem inna sprawa. No cóż, było mi miło, pani Zeldo. Życzę udanej podróży. -Roześmiał się. - I proszę pozdrowić ode mnie swoją mamę.

Zelda odłożyła słuchawkę i stała przez chwilę w korytarzu.

Mamusia. Mama. Ellen.

Powtarzała te słowa, jakby dzięki zwielokrotnieniu mogły nabrać realnych kształtów. Przeobrazić się w konkretną twarz, głos, osobę. Czuła się trochę tak jak przed laty, gdy razem z koleżankami ze szkoły przeglądała jakiś magazyn, a w nim zdjęcia otwartych torebek z porzrzuconą zawartością. Zadanie polegało na tym, by wyobrazić sobie właścicielkę na podstawie rzeczy, które nosiła w torebce: starych biletów do teatru, talizmanów, szminek, wizytówek, zdjęć, tamponów, prezerwatyw - wszystkiego. Sharn często powtarzała listę rzeczy, które będzie można znaleźć w jej torebce, jeśli zostanie sławna, bogata i wyjedzie z wyspy w świat.

Zelda marzyła o czymś innym. Że znajdzie kiedyś torebkę matki, a w niej swoje zdjęcie.

Uśmiechniętą twarz ukochanej córeczki na zniszczonej, starej fotografii o ząbkowanych brzegach. Nie zabraknie też rzeczy, które chciałyby zobaczyć, żeby się przekonać, kim była matka. Tylko teraz - pomyślała Zelda, odczuwając jednocześnie radość i strach - sprawa wygląda inaczej. Teraz wybiera się na poszukiwanie prawdziwej matki. Żywej twarzy, kryjącej się za strzępkami informacji.

CZESC II

5

Wyspa Flinders, 1972 rok

Z rączki walizki zwisały resztki hotelowych etykietek; kilka z nich przetrwało próbę czasu, ocalały więc numery pokoiów, nazwy i herby wytłoczone w złocie, ale większość była po prostu skrawkami kolorowych kartoników, przyczepionych do zniszczonych metalowych kółek. Ellen odsunęła je na bok, zacisnęła na uchwycie palce dłoni i rzuciła walizkę na łóżko. Pochyliła się, wsunęła mały złoty kluczyk do zamka. Nagle zamarła w bezruchu, odwróciła głowę i wychwyciła ledwo słyszalne dźwięki. Z oddali dobiegało nawoływanie gęsi, w kuchni mruczał czajnik; oprócz tego nic nie było słychać.

Podeszła do okna i zerknęła przez gałęzie dębów. Przesunęła wzrokiem po białym zakolu plaży, potem wzdłuż ciemnego zarysu pomostu aż do kołyszącej się boi. Na spokojnych falach lekko kołysał się biały kształt; morze było puste, ani śladu łodzi.

Ellen wróciła do walizki i powoli uniosła wieko. Uderzył ją zapach nieco zwietrzałych perfum. Szybko nabrała powietrza w płuca, żeby poczuć woń palonego drewna, impregnowanego materiału i ryb. Długie pasma włosów opadały jej na twarz. Odrzuciła je na plecy i zaczęła przeszukiwać walizkę,

macając palcami między starannie poukładanymi warstwami ubrań. Z rozchylonymi ustami wyjęła wysoki botek z zamszu. Ścisnęła go w łydce, potem w palcach i odrzuciła na bok. Chwilę później odnalazła but od pary. Tym razem wsunęła w niego rękę aż po łokieć i wyjęła wąski pakiecik, zawinięty w białą bibułę.

Starła ze stołu okruchy chleba i położyła paczuszkę na blacie - maleńki ludzki kształt owinięty w jasną bibułę. Z dworu dotarły do niej krzyki morskich ptaków, które krążyły po bezwietrznym niebie. Ellen ujęła róg bibuły i rozwinęła pakiecik. Na stół wypadła plastikowa laleczka, twarzą do blatu. Jej nagie, smukłe ciało spowijała kaskada długich kasztanowych włosów. Na krzyżu widać było napis - pozbawione koloru słowo przypominało starą, zagojoną ranę. *Liberty*, a niżej małymi literkami: *Wzór zastrzeżony. Zgłoszony w biurze patentowym. Wkrótce otrzyma znak towarowy.*

Podniosła laleczkę; jej opalona dłoń kontrastowała z kremowym i jasnobrzoskwiniowym plastikiem. Powoli odwróciła zabawkę. Żywe oko napotkało namalowane. Spierzchnięte wargi znalazły się blisko błyszczącego, czerwonego uśmiechu.

- Witaj! - Głos Ellen zabrzmiał głucho w cichym pokoju.

Wzięła małą, kształtną główkę między palce i kciuk i powoli ścisnęła, patrząc, jak twarzyczka wykrzywia się niby odbicie w krzywym zwierciadle. Kiedy zrobiła się malutka i brzydka, Ellen rozluźniła uchwyt. Spod bibuły wypadł wystraszony rybik i przebiegł przez stół. Ellen chwyciła książkę, uderzyła nią mocno, potem odczekała chwilę i powoli uniosła tomik. Rozgnieciony robaczek przykleił się do okładki i przypominał teraz małą plamkę na tytule *The Arctic Navigator*. Wytarła książkę rękawem, a potem znów zamarła w bezruchu. Z oddali dobiegał cichy pomruk silnika. Chwyciła lalkę, podbiegła do walizki, wrzuciła wszystko z powrotem do środka, zamknęła wieko i wcisnęła walizkę pod łóżko.

Po wyjściu na zewnątrz oparła się o drzwi i patrzyła, jak stary, szary land-rover zjeżdża ze zbocza i zbliża się w jej stronę, a jego silnik zawodzi na wzniesieniach. Wyglądał jak większość aut, które widziała na nabrzeżu - był przeżarty rdzą, poskręcany drutami. Kiedy zbliżył się do chaty, poznała kierowcę po jasnych jak słoma włosach i opalonej twarzy. Machnęła ręką. W odpowiedzi kierowca uniósł palec, potem odchylił się, by zaciągnąć hamulec ręczny.

- Dzieńdoberek! - zawołał, pochylając głowę przy wysiadaniu.

Wytarł ręce w kombinezon w kolorze khaki, potem przeczesał ręką żółte, sterczące włosy.

- Witaj, Ellen. Jestem Tas. Z nabrzeża.

- Jasne - przytaknęła Ellen. - Jesteś...

- Kuzynem Lizzie - dodał.

Zaczął dłubać kciukiem w zębach. Ellen odwróciła głowę i śledziła wzrokiem stadko małych brązowych ptaków. Leciąło nisko nad ogrodem, potem skierowało się w stronę wzgórz. Od plaży dobiegł piskliwy głos brodzca.

- Jak leci? - spytał Tas, niewyraźnym kiwnięciem wskazując na chatę, ogród i morze. - Wygląda, że całkiem nieźle sobie radzicie.

- Tak. Dobrze nam tu - odparła Ellen. Znów spojrzała na pomost. - Hmm... Jamesa jeszcze nie ma.

- Nie martw się. - Tas kiwnięciem głowy wskazał tył land-rovera. - Po prostu przywiozłem trochę przynęty. Zostawię ją.

Ellen poszła za nim. Na otwartej pace leżały martwe wa-labie, rzucone na stertę. W powietrzu sterczały ich łapy, krzyżowały się długie, jakby aksamitne ogony. Nad pacior-kowatymi oczami fruwały roje muszek.

- Wczoraj wieczorem zorganizowaliśmy odstrzał - wyjaśnił Tas.

Wszedł na pakę i zaczął zrzucać na ziemię sztywne kangury. Zerknął na Ellen.

- Nie masz nic przeciwko temu?
- Nie - odparła szybko. - Ależ skąd!
Tas uśmiechnął się promiennie, a jego opalona twarz pokryła się zmarszczkami.
- Nigdy nic nie wiadomo. Czasami ludzie, którzy tu przyjeżdżają... nie potrafią się dostosować.
Zerknął na nagą ziemię po drugiej stronie chaty.
- Ogródek warzywny? - spytał.
- Taki miałam zamiar - przytaknęła Ellen. - Ale rośnie tu jakaś trawa, która rozprzestrzenia się pod ziemią. Od tygodni staram się ją powyrywać.
Tas potrząsnął głową.
- To tylko strata czasu. Trzeba się jej pozbyć raz na zawsze za pomocą odpowiednich środków.
Zrzucił ostatnią walabie, która upadła z głośnym pacnięciem i sturlała się ze sterty, ukazując jaśniejsze futerko brzucha.
- Zostaw przenoszenie tego Jimmy'emu. Nie powinnaś się przepracowywać.
Omiótł wzrokiem sylwetkę Ellen w luźnym męskim stroju.
- Żeby nie zaszkodzić maleństwu - zakończył. Na twarzy Ellen pojawił się uśmiech.
- Postaraj się, żeby to był chłopak - powiedział Tas, uśmiechając się od ucha do ucha. - Niedługo Jimmy będzie potrzebował majtka.
Wytarł ręce, uniósł głowę i przyjrzał się niebu. Jego oczy były tak samo błękitne i przypominały maleńkie, odbijające nieboskłon stawy.
- Idzie deszcz - oznajmił.
- Naprawdę? - spytała Ellen.
Spojrzała z powątpiewaniem. Słońce wciąż paliło ją w kark.
- Widzisz tamte chmury? - Tas stanął za nią i wyciągając rękę, pokazał zza jej pleców chmury. - Nie... Tam!

Wskazywał palcem skaliste wzgórza, które jak mury obronne wznosiły się stromo na horyzoncie.

- Spójrz, mają rozmazany dolny brzeg. To deszcz. Niezłe popada, ale przyda się. Tak czy inaczej... - Odwrócił się w stronę land-rovera. - Zbieram się. Powiedz Jimmy'emu, że jutro spotkamy się na nabrzeżu.

- Jasne. Dzięki.

Ellen patrzyła, jak Tas wsiada do auta, a potem, pokonując największe wyboje, pochyła głowę, żeby uniknąć guzów. Stała przed chatą, nasłuchując, póki odgłos silnika nie ucichł w oddali. W końcu słychać już było tylko szum drzew, odległy chlupot fal na plaży i brzęczenie much.

Spadł deszcz, krople dudniły o dach chaty i spływały po blasze falistej niczym maleńkie wodospady. Ellen zrolowała ręcznik i położyła go pod drzwiami, żeby powstrzymać wpływającą do domu wodę. Potem dorzuciła szczap do ognia i usiadła przy stole, z filiżanką czarnej herbaty. Nachyliła głowę, by wdychać unoszącą się parę i wyczuć delikatny zapach darjeelingu, przebijający się przez woń nafty. Powoli omiotła wzrokiem pomieszczenie. Często to robiła, więc nie ujrzała żadnych niespodzianek. To samo ciemne drewno, jutowe zasłony, bukiety suszonych ziół na ścianach. Plik starych gazet na podpałkę. Stos książek - przeważnie w twardych skórzanych oprawkach, chociaż gdzieś widać było kolorowe grzbiety tańszych wydań. Gola sosnowa podłoga uszczelniona gliną.

Kobieta zatrzymała wzrok na lusterku w pobliżu drzwi. Było wąskie i pocętkowane przez pleśń. Podeszła i stanęła przed nim. Widziała tylko jedno swe oko, pół nosa i ust. Deszcz pochłonął światło dzienne. Odbicie było ciemne i pozbawione barw. Przydałoby mi się trochę koloru - pomyślała. Odrobina tuszu, cienia do powiek... Tymczasem jej twarz nie nosiła ani śladu makijażu. Naga twarz. Naga prawda. Naga rzeczywistość. James często powtarzał te słowa. Utrzymawał, że każdy retusz to kłamstwo. Dlatego bądź zawsze sobą. Niczego więcej od ciebie nie pragnę.

Ellen zbliżyła twarz do lustra. Patrzyła, jak oko rośnie, aż w całości wypełniło powierzchnię zwierciadła. „Niczego więcej od ciebie nie pragnę...”

-Uff!

Odwróciła się gwałtownie, gdy drzwi się otworzyły i stuknęły o ścianę chaty. Do środka wszedł wysoki mężczyzna, ociekający deszczem.

- Niech to wszyscy diabli! Ale leje!

Woda spływała na podłogę, kiedy tupał ciężkimi buciorami.

- Jamesie - szepnęła Ellen. - Przestraszyłeś mnie. Odwrócił się w jej stronę. Przyciskał do klatki piersiowej

ogromne pudło.

- Zostawiłem kuter w porcie i przyjechałem okazją - wyjaśnił, spoglądając na żonę przez gęste, mokre kosmyki włosów. - Nie wiedziałem, że zbliża się ulewa.

Zrobił kilka kroków i położył pudło na stole.

- Och! - powiedziała Ellen. - Trzeba było popatrzeć na niebo.

James prychnął.

- Co ty wiesz o niebie?

- Więcej niż ty - odparła.

Nagle wybuchnęła śmiechem i odchyliła głowę do tyłu, pokazując różowe podniebienie.

- Spójrz, jak wyglądasz!

- Nieważne. - Nie odwracając się, James machnął przyzywająco dłonią. - Chodź tu. Mam dla ciebie prezent. Ellen podeszła i stanęła obok niego. Poczowała, że ogarnia ją chłód.

- No! - Kiwnął głową. - Otwórz, chociaż to właściwie nie dla ciebie.

Ze środka słyhać było skrobanie.

- O Boże! - Ellen odskoczyła. - Jeśli to coś do jedzenia, lepiej wcześniej to zabij.

James wybuchnął śmiechem. Pochylił się i udał, że przemawia do pudła.

- Nie słuchaj jej. Jest nieco stuknięta. Kto jadłby takie śliczne maleństwa...

Otworzył! pudło i wyjął małego, brązowego szczeniaczka.

- To piesek.

Wyciągnął go w stronę Ellen. Szczeniak rozstawił szeroko łapki, główka mu opadała, a oczy wychodziły z orbit. Ellen cofnęła się.

- Nie - powiedziała. - Nie chcę go. - Skrzyżowała ramiona na piersiach i ukryła dłonie pod pachami.

- Boję się psów.

- Nieprawda! - James spojrział na nią zdumiony. - Carter miał dalmatyńczyka, którego wcale się nie bałaś.

Ellen zerknęła na męża i zmarszczyła czoło.

- Hmm... Sama nie wiem. Może po prostu... nie lubię szceniaków. Wiem, że to głupie. -

Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

James wyciągnął psa w jej stronę.

- Weź go.

Ellen wzięła szczeniaka i zamknęła dłonie na ciepłym, wilgotnym ciałku. Czuli żeberka pod gołą skórą. Bicie serca. Jak łatwo byłoby je złamać, nawet niechcący - pomyślała. Odsunęła psa od siebie.

- Skąd go wzięłeś?

- Kupiłem od starego Joego z baru mlecznego. To typowa rasa queenslandzka. Ma na imię Bluey, po swoim ojcu. Chcę go wytresować i przygotować na przyjście dziecka na świat.

Ellen postawiła szczeniaka na podłodze i odsunęła się. Stał sztywno, bojąc się ruszyć na ogromnej dla niego przestrzeni. - Joe koniecznie chciał nam dać starą beczkę na budę. Wytłumaczyłem mu jednak, że pies będzie sypiał w domu, z nami.

Mówiąc to, chwycił ze stołu ścierkę i wytarł nią włosy do sucha.

- Wiesz, co powiedział? „Cholerni hipisi. Nie wiecie, co jest co”. Przez chwilę myślałem, że każe sobie oddać psa.

James podniósł szczeniaka.

- Chodź do mnie, Blueyu. Cześć, pieseczku.

Pogłaskał delikatny, brązowy łebek i uszy. Spojrzał na Ellen. Jego oczy były ciepłe i jasne, po twarzy wciąż spływały krople deszczu.

- W końcu będziemy stanowić prawdziwą rodzinę, Eli. Z mamusią, tatusiem, psem... a za jakiś czas także dzieckiem.

Ellen podeszła do okna i spojrzała na zewnątrz przez strugi deszczu.

- Tas przywiózł kilka zabitych walabii. Leżą przy zbiorniku na wodę.

- Dobrze. Przyda mi się więcej przynęty. Co jeszcze?

- O co ci chodzi?

- Co się dzisiaj jeszcze wydarzyło?

- Nic... - Urwała, potem odwróciła się twarzą do niego. - Byłam u Bena. Doktora Bena.

- Wszystko w porządku?

James szybko zostawił szczeniaka i podszedł do żony.

- Tak, tak. Świetnie. Siedziałam chwilę w jego poczekalni. Zona Bena dostaje gazety z Melbourne...

- Marion - uzupełnił James. - Dlaczego nie starasz się zapamiętać imion ludzi?

- Hmm... Tak czy inaczej był tam stary numer „Teen”... mniej więcej sprzed dwóch lat. Tuż po pojawieniu się Liberty. Była na okładce. Przeglądały go dwie dziewczyny w wieku licealnym.

- I co? - spytał James z wyraźnym niepokojem.

- Wszystko w porządku - zapewniła Ellen bezbarwnym głosem. - Nie poznały mnie. W ogóle.

Czułam się trochę dziwnie. Rozmawiały o Liberty. No wiesz, że dobrze jej z krótkimi włosami czy coś w tym stylu. Potem jedna z nich uniosła głowę i spojrzała na mnie. - Ellen wybuchnęła śmiechem. - Spytała, która godzina.

- Jesteś pewna, że cię nie poznała? - dociekał James. - Tak.

- Cholera... A co z gazetą?
- Wzięłam ją - powiedziała Ellen. - I spaliłam.
- To dobrze. Ogień zatrzęszczał.
- Czyja... to znaczy: czyja w ogóle nie wyglądam...? Głos Ellen się załamał.
- Myślę, że nie! - odparł James zadowolony. - Chociaż, z drugiej strony, kto by wpadł na to, że tu jesteś? Na końcu świata, przystanek przed Antarktydą? A w dodatku spodziewasz się dziecka. -
Otoczył ją ramieniem. - Jesteś wolna! Dzisiejszy dzień tego dowiódł. - Podszedł do kredensu, omijając szczeniaka. - Myślę, że warto to uczcić! - Wyjął butelkę szampana i zdmuchnął z niej kurz. - Niestety, obawiam się, psze pani, że nie mamy wiaderka z lodem. - Obejrzał się przez ramię. - Och, póki pamiętam! Widziałem w barze mlecznym Dave'a. Powiedział, że kilka pań przygotowuje dla ciebie specjalną uroczystość. Ktoś jutro przyjdzie ci o tym powiedzieć.
- O czym ty mówisz? - spytała Ellen. James wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia. Nazywają to *baby shower*. To chyba przyjęcie z okazji narodzin dziecka. Zaczął zdejmować cynfolię z korka.
- Żartujesz! Nie pójdę.
- Pójdziesz. Nie możesz odmówić.
- Chcesz się założyć?
James odstawił butelkę i odwrócił się do niej z napiętą twarzą.
- Pójdziesz. Nie pozwolę, żebyś wszystko zepsuła. Mieszkamy tutaj. Nasze dziecko będzie dorastało na tej wyspie. -Bezradnie rozłożył ręce. - Musisz pogodzić się z myślą, że już nie jesteś kimś wyjątkowym. Że będziesz zwyczajną młodą mamą, taką samą jak one. - Głos mu złagodniał. - Tego chcieliśmy, Ellen. Oboje. Pamiętasz? - Chwilę czekał na potwierdzenie. - Pamiętasz? - upierał się.

Przytaknęła.

- Co? - spytał James. - Powiedz, co pamiętasz.

- Oboje chcieliśmy uciec i zacząć wspólnie nowe życie. Być tylko we dwoje.

Mówiła bezbarwnym tonem, jak dziecko, które recytuje wiersz dla dorosłych, niezupełnie rozumiejąc słowa. - No właśnie - powiedział James. - Dlatego tu jesteśmy. Ellen pochyliła się do przodu, rozciągając kręgosłup, a przy okazji zakrywając twarz włosami.

- Nie chodzi o to, że uważam się za kogoś wyjątkowego czy lepszego od nich - powiedziała powoli.
- Po prostu...

Cisza po jej słowach przeciągała się bez końca.

- No cóż, w końcu to drobiazg - skwitował James po chwili. - Pójdiesz na to przyjęcie i będziesz miła. Kto wie, może nawet ci się spodoba?

Wyjął z kredensu dwa kieliszki i otarł je z kurzu wystającym ze spodni rogiem koszuli. Gwiżdżąc przez zęby, uniósł je do światła, by sprawdzić, czy czyste.

- A tak przy okazji - powiedział nagle. - Czy zatrzymałaś Tasa?

- Co takiego?

- Czy zatrzymałaś Tasa? Czy zaproponowałaś mu drinka?

- Nie - odparła szybko. - Nie zatrzymywałam go. Nie było cię, uznałam więc, że nie byłbyś zadowolony.

James przytaknął.

- Taak, wiem, ale jeśli chodzi o Tasa... nie chcę, by pomyślał, że zadzieramy nosa.

Zajął się otwieraniem szampana.

Ellen spojrzała na niego bez słowa. Szczeniak podszedł i zaczął obwąchiwać jej stopy. Podkurczyła palce, by uniknąć dotyku wilgotnego nosa. Psiak był ciepły i mokry. Zamknęła oczy. Zapach zwierzęcia sprawił, że jakaś klucha stanęła jej w gardle.

Korek wystrzelił i uderzył o sufit. Szczeniak zaskomlał ze strachu i podbiegł do drzwi.

James uniósł kieliszek.

- Na zdrowie! - powiedział z uśmiechem. - Za wolność...

6

Reflektory rzucały w ciemność długie snopy światła; jeep podskakiwał na drodze. Ellen jechała wychylona do przodu, kurczowo ściskając kierownicę i patrząc przed siebie, by wybrać drogę między kamieniami, koleinami i zagłębieniami. Nagle tuż przed maską wyłonił się z mroku ciemny kształt. Nacisnęła hamulec, ale nie zdążyła odbić w bok. Usłyszała tępe uderzenie w podwozie, coś wpadło pod samochód. Zadrżała.

- O Jezu! - jęknęła.

Tylko nie to! Wrzuciła bieg wsteczny i tak długo cofała, aż w przednich światłach zobaczyła młodego kangura. Ciemna krew utworzyła już plamę na kredowej drodze. Nagle zwierzę poruszyło się i zaczęło pełznąć w stronę krzaków, ciągnąc za sobą bezwładną tylną łapę i ogon. Ręce Ellen znieruchomiały na kierownicy. Wiedziała, że musi zwierzę dobić, inaczej długo będzie umierało w męczarniach, już za życia zjadane przez mrówki i wrony.

Spojrzała w dal i ruszyła prosto przed siebie. Tym razem coś uderzyło w opony. Zahamowała i jeździła po tym czymś w przód i w tył... póki w przednich światłach nie zobaczyła zakrwawionego futerka rozciągniętego na drodze. Oparła głowę na kierownicy. To jest życie. Prawdziwe życie. Tak powiedziałby James. Na Fifth Avenue nie widuje się rozjechanych zwierząt. Dlaczego? Bo uciekły. Zniknęły. Widzisz? Wielkie miasto to martwe miejsce.

Jechała dalej powoli, aż w kępie drzew herbacianych błysnęły światła domu Lizzie; jasnozielone gwiazdy wiszące tuż nad ziemią.

Ellen i Lizzie dotychczas spotkały się tylko raz, na nabrzeżu. James ważył tygodniowy połów langust, a Tas podszedł, by sprawdzić, jak mu poszło.

- Nieźle jak na mieszcucha - powiedział.
- Dorównam wam, nie bój się - odparł James z uśmiechem.
- Ahoj! - zawołał Tas.

Jakaś postać uniosła głowę i podeszła do nich. Okazało się, że to kobieta. Jak wszyscy wyspiarze, miała opaloną twarz, skórę stwardniałą od wiatru i soli, ale wciąż wyglądała młodo. Mogła zbliżyć się do trzydziestki, jak oceniła Ellen, albo być tuż po.

- Cześć. - Kobieta powitała ich promiennym uśmiechem.
- Moja kuzynka, Lizzie - przedstawił ją Tas. - To Jimmy i... Helen? Z Ameryki.
- Oczywiście, dużo o was słyszałam - wyznała Lizzie. - Kupiliście „Skromną Pszczołą”. - Ruchem głowy wskazała rząd zniszczonych kutrów.
- Porozmawiajcie przez chwilę - powiedział Tas. Poprowadził Jamesa w stronę biura, zostawiając kobiety

same. Przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu, jak dzieci, które przez przypadek znalazły się w tej samej piaskownicy.

Ellen uśmiechnęła się, uprzejmie, ale z rezerwą, po czym przyjrzała się twarzy i ubiorowi Lizzie. Mieszkanka wyspy na pewno nie spodobałaby się Carterowi - pomyślała. Powiedziałyby, że to baba-chłop. Wyraziste kości policzkowe, zdrowe zęby i cera, ładne oczy i usta, ale też kilka zbędnych kilogramów, brak makijażu, nierówne brwi i włosy, które chyba w życiu nie widziały fryzjera. Co gorsza, miała na sobie męskie spodnie, związane w pasie kawałkiem grubego sznurka, a z postrzępionych rękawów poplamionego swetra sterczały powyciągane nitki. Jednak, co dziwne, ten strój doskonale do niej pasował. Tak samo jak poszarpany kawałek płótna, który zwisał jej na szyi jak krawat.

- Cały Tas! - powiedziała w końcu Lizzie, wzruszając ramionami. - Boże, jak ja wyglądam! Właśnie zesłam z kutra...

- Ja też - powiedziała Ellen. - Wypływałam z Jamesem... Głos jej się załamał, gdy poczuła, że Lizzie przygląda się

jej aksamitnej kurtce i jedwabnym spodniom.

- Przywiozłam ze sobą tylko takie rzeczy - wyznała przepraszającym tonem. - Gdzie kupujecie ubrania? Stroje robocze?

- Takie jak ten? - spytała Lizzie. - Nie kupujemy. Po prostu każda z nas zdejmuje łańchy ze swojego starego. - Wybuchnęła śmiechem. - Ale kiedyś, dawno temu, zostały kupione w Farmers and Graziers. - Kiwnięciem głowy wskazała pobliskie budynki. - Jeśli chcesz, mogę ci pokazać. Nawet teraz. Muszę poczekać na Tasa, a obaj panowie pewnie będą gadać i gadać bez końca.

- No cóż... dzięki - powiedziała Ellen. - Ale nie mam przy sobie gotówki.

- Nie ma sprawy, dadzą ci na kredyt - zapewniła Lizzie.

- Na American Express? Lizzie zachichotała.

- Raczej nie. Po prostu zapiszą kwotę w zeszycie. Twój stary zapłaci, jak przyjedzie następnym razem.

Powędrowały drogą, minęły urząd miasta i stary Memorial Hall.

Lizzie zerknęła na Ellen.

- Przede wszystkim musimy kupić ci coś na głowę. I na szyję. Spalisz ją.

Ellen dotknęła ręką karku.

- Zazwyczaj osłaniam go włosami - wyjaśniła.

- Na kiedy masz termin? - spytała Lizzie. - To twoje pierwsze?

Ellen przytaknęła.

- Piąty miesiąc.

- Ja przy pierwszym wciąż wymiotowałam. Drugiej ciąży prawie nie czułam, przynajmniej do ostatniego miesiąca, kiedy to maleństwo nacisnęło stopą nerw mojej nogi. Nie mogłam chodzić!

- Świetnie się czuję - zapewniła szybko Ellen. - Prawie nie czuję, że jestem w ciąży.

Droga jednak pięła się w górę, dlatego Ellen wkrótce musiała się zatrzymać, by odpocząć. Lizzie czekała. Obydwie spoglądały na morze i horyzont, na którym wynurzały się dwie wyspy.

- Słyszałam, że wybudowaliście dom w Nautilus Bay - powiedziała Lizzie. - Często jako dzieci organizowaliśmy sobie tam obozy. To były czasy! - dodała wesoło. - Teraz jest tylko ciężka harówka.

Ellen zerknęła na jej twarz. Lizzie wyglądała na zmęczoną, ale spokojną. Jak ktoś, kto wie, że zawsze będzie mieć za dużo do zrobienia, ale zna sposoby, żeby sobie poradzić.

- Słyszałam, że byłaś tancerką - powiedziała Lizzie, gdy znów ruszyły.

Ellen szła równym krokiem. -Tak.

Lizzie westchnęła.

- Marzyłam o tym, będąc w szkole średniej. O baletkach i krótkiej spódniczce, chociaż wiem, że to ciężka praca. Byłaś sławna? - Uśmiechnęła się żartobliwie.

- Nie - odparła Ellen.

To było takie proste. Nie zatrzymywała się.

- Tylko nielicznym się udaje - dodała. - Dostają główne role, dużo podróżują. Ja byłam jedną z tancerek w grupie baletowej. Na pewno wiesz, o czym mówię. Wszystkie są podobne do siebie. Tańczą w tle lub na skraju sceny. Koniec końców to się stało nudne.

- Chyba nie tak nudne jak wybieranie przegrzebków z muszli - powiedziała Lizzie.

- Chyba nie - odparła Ellen.

Zapadło krótkie milczenie. Spojrzały na siebie i obie zaczęły się śmiać. Śmiały się długo i beztrudnie, jakby były przyjaciółkami.

Dom Lizzie stał na szczycie niewielkiego wzniesienia, otoczony przez wraki samochodów. Wokół unosił się zapach mokrych owiec. Nad tylnym wejściem płonęło pojedyncze światełko. Ellen wysiadła z auta, obciągnęła pulower i ze zdenerwowania oblizwała spierzchnięte wargi. W pobliżu drzwi zauważyła okno z opuszczoną częściowo roletą. Podeszła szybko i zajrzała do środka.

Tuż przed oczami miała szerokie siedzenie wciśnięte w parę męskich spodni, znad których wystawała bielizna. Dalej widać było składany stół do kart, a na nim jedzenie, porozkładane na talerzach z różnych kompletów. Placki, ciastka i ciasteczka, kanapki, babeczki. Pośrodku kryształowa popielniczka, pełna niedopałków. Pomieszczenie wypełniały kobiety, siedzące na krzesłach i poduchach, palące, rozmawiające, ale głównie śmiejące się. Ellen bacznie przyjrzała się ich twarzom. Nie poznawała prawie nikogo. Czuła, że jej myśli wracają na stare ścieżki. Nie polubią mnie. Na pewno mnie odtrąca. Szybko sięgnęła po lekarstwo: pomarszczone od słońca i starości oblicze swojego przyjaciela, Eildona. Nosila w sercu jego twarz i uśmiech jak talizman, coś, co dodaje odwagi w ciemności. Mimo to nadal nie chciała wchodzić.

Zerknęła przez ramię w stronę jeepa. Mogła zawrócić, powiedzieć, że źle się poczuła. Tyle że James nie przyjąłby takiego wyjaśnienia. Byłby wściekły. Podniosła rękę i zdjęła opaskę z włosów. Ciemne loki opadły jej na ramiona. Powędrowała powoli w stronę drzwi. Będzie musiała wejść - nie ma wyboru. Zawsze ktoś jej pilnował. Madame Katrinka ze swoimi starymi, szorstkimi rękami i głosem zachrypniętym od przełkniętej dumy. Carter z listą przyjęć. Ależ pójdiesz, włożysz coś z Young Design i będziesz się uśmiechać. A teraz James...

Podskoczyła, gdy zaskrzypiała siatka na muchy. W drzwiach pojawiła się Lizzie.

- Ellen! Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz. Wejdz!

Położyła dłoń na ramieniu Amerykanki i wciągnęła ją do środka.

- Mam nadzieję, że nie jesteś o to zła. Zawsze organizujemy taką imprezę, a dodatkowo przyszło mi na myśl - Tas też zresztą o tym wspomniał - że dzięki temu miałabyś szansę poznać przynajmniej część dziewcząt. Po urodzeniu dziecka na pewno będziesz potrzebowała pomocy, choćby tylko po to, żeby ktoś podał ci sherry!

Ellen weszła za Lizzie do salonu, przez chwilę kryjąc się za jej plecami. Niestety, po chwili musiała stawić czoło zebrany. Rozmowy ustały, papierosy zawisły w połowie drogi między ustami a popielniczką. Oczy zsunęły się z jej twarzy na brzuch i z powrotem.

- Przedstawiam wam Ellen - powiedziała Lizzie, zerkając na nią, jakby i ona widziała Amerykanke po raz pierwszy. - Nie zapamiętasz wszystkich imion, ale i tak ci je podam... To Pauline, którą już widziałeś na pocztce; Susie też znasz; Kaye - nowa nauczycielka; Mavis i Elsie - tasmańska mama; a to moja ciocia, Joanie, i Jan ze Stacky's Marsh...

Lista imion ciągnęła się bez końca. Ellen uśmiechała się i przez chwilę bacznie studiowała każdą z nowych twarzy.

- Zostawiłyśmy dla ciebie miejsce.

Lizzie podprowadziła honorowego gościa do krzesła z wysokim oparciem, ustawionego jak tron nieco na uboczu, ale w pobliżu stołu z jedzeniem. Ellen zajęła miejsce. Rozejrzawszy się dookoła, ku swojej rozpaczy zauważyła, że każda z kobiet przyniosła małą paczuszkę. Pakieciki owinięte w ja-snożółte, zielone, kremowe albo białe bibułki, porzrzucone po całym pomieszczeniu, przypominały stado ptaków, które przysiadły, gdzie im się wydawało najwygodniej.

- Zaczniemy od prezentów - zaproponowała Lizzie. - Na wypadek, gdyby któraś musiała wcześniej wyjść.

- Najstarsi zaczynają! - dobiegł zachrypnięty głos z boku. - Proszę, kochanie.

Pierwszy prezent podała uśmiechnięta Elsie o szarobłękitnych oczach swojego syna. Bibułka była miękka i zmięta, jakby już wcześniej kilkakrotnie jej używano. Ellen niezgrabnie rozpakowała maleńki, zrobiony starannie na drutach ja-snożółty sweterek.

- Śliczny - powiedziała, odwracając się do Elsie. - Zrobiła go pani na drutach?

Starła się nie patrzeć na zniszczone ręce starszej pani.

- Oczywiście, kochanie. Mam jeszcze kilka pomysłów! Wszystkie kobiety roześmiały się, Ellen spoglądała zdezorientowana, ale Elsie promieniała.

- Ten kolor jest trochę wyblakły, nie tak żółty, jak powinien - powiedziała.

W pokoju rozległy się jednak słowa podziwu. Nagle, bez ostrzeżenia, otworzyły się drzwi, a w ich szparze pojawiła się głowa i ramiona mężczyzny.

- Czołem, dziewczęta - rzekł z uśmiechem. - Chyba nie muszę pytać, gdzie jest Mick... W pubie?

- Tak - odparła Lizzie. - Nie wolno mu wracać przed zamknięciem.

- Twarda z ciebie sztuka.

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, kto tu jest. Jego oczy napotkały spojrzenie Ellen. Odwróciła głowę, ale czuła, że nieznajomy przygląda się jej z zaciekawieniem. Tak jak bezimienni kelnerzy, taksówkarze, listonosze, a nawet lekarze wezwani w środku nocy. Spoglądając z boku, od razu widzieli, że to nie jest jej miejsce. Widziała to w ich oczach.

- Idź już - nakazała Lizzie.

Mężczyzna cofnął się i zamknął za sobą drzwi.

Któraś z kobiet sięgnęła po sweterek Elsie i puściła go w obieg. Potem pojawiła się następna paczuszka, która zawierała dwie białe, robione na drutach bluzeczki z kremowymi wstążeczkami. Następnie był marszczony kaftanik, robiona na drutach czapeczka i szydełkowe buciki.

Ellen uśmiechała się za każdym razem i usiłowała powiedzieć coś nowego. Obok jej fotela rósł stosik ubranek. Nauczycielka wręczyła jej prezent opakowany w kolorowy papier.

- *O czym szumią wierzby* - powiedziała, gdy Ellen rozpakowała książkę. - Prawdopodobnie miałaś ją jako dziecko?

- Tak - odparła Ellen niepewnie. Szybko przerzuciła kartki. - Piękne obrazki.

Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że stoi nad nią ciocia Lizzie z pakunkiem. W środku był komplet sweterków.

-Zadała sobie pani tyle trudu... - powiedziała Ellen, oglądając je po kolei.

Godziny spędzone z igłą, drutami i wełną w ręce. Wszystko to dla osoby obcej, dla niej...

- Dziecko to skarb - powiedziała zdecydowanie staruszka. - A pierwsze rodzi się tylko raz.

Baczenie przyjrzała się Ellen. Miała wyblakłe starcze oczy i głębokie kurze łapki.

- Na pewno zasługuje na odrobinę wysiłku - dodała.

- Już wszystkie? - Lizzie omiotła wzrokiem pomieszczenie. - W porządku, teraz moja kolej. Nie mogłam znaleźć papieru, więc...

Wyjęła robótkę zza gzymsu nad kominkiem i przyklękła na podłodze przed fotelem Ellen. Pochyliła się i ostrożnie rozwinęła kombinezon z nogawkami zakończonymi stopami, z długimi rękawami i rękawiczkami na ich końcach oraz z kapturem. Całość od góry do dołu zapinała się na guziczki. Kombinezon miał kształt niemowlęcia i leżał tak, jakby jego użytkownik właśnie się z niego wyplątał i zrzucił jak skórę węża.

Przez kilka chwil Ellen patrzyła na ten strój. Był malutki, niewiele dłuższy od jej stopy. Odcinał się jasną plamą od brązowego dywanu. Wyobraziła sobie spowitą w ten kaptur główkę dziecka - małego chłopczyka o oczach Jamesa i drobnych, uśmiechniętych usteczkach. Uśmiechnęła się.

- Podoba ci się? - spytała Lizzie. - Znalazłam wzór w jakiejś gazecie i zrobiłam zgodnie z opisem. Jedna nogawka trochę wykręca się w bok.

- To... wygląda jak niemowlę - powiedziała Ellen bez zastanowienia.

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Spokojny, przyjacielski śmiech przybiera! na sile. Trwa! przez jakiś czas, a potem przeobrazi! się w cichy pomruk, gdy panie wróciły do swoich rozmów i drinków.

Przed Ellen pojawił się talerz posmarowanych masłem babeczek. Wzięła jedną.

- Babeczki dyniowe - wyjaśniła Elsie.

- Weź drugą - poradziła inna z kobiet. - Pamiętaj, że powinnaś jeść za dwoje.

W pokoju było ciepło i głośno, zapach podgrzewanych kiełbasek mieszał się z dymem papierosów i perfumami. Lizzie przyniosła Ellen herbatkę rumiankową. Amerykanka poprosiła o poduszkę pod krzyż i oparła głowę na rękach.

- To dobry pomysł, kochanie - pochwaliła Elsie. - Odpoczywaj, kiedy tylko możesz. Potem będzie ci brakowało na to czasu... zwłaszcza że nie masz tu żadnej rodziny. - Schyliła się i poklepała Ellen po ramieniu. - Jak zdobędziesz, moja droga, łóżeczko, wózek, pieluchy i całą tę resztę?

Ellen patrzyła na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Może będzie chciała kupić nowe - szybko pospieszyła z pomocą Lizzie.

- To byłoby czyste marnotrawstwo - zaoponowała Elsie. - Jest tu tyle rzeczy. Niektóre trochę poplamione, ale wciąż całe. Wczoraj widziałam najmłodszego synka Roberta. Miał na sobie sweterek, który kiedyś zrobiłam dla Bobbiego. Potem nosiła go Sally, po niej zmienił jeszcze kilku właścicieli, aż dotarł do Browningów. Musiała go nosić szóstka albo nawet siódemka dzieci.

Pochyliła się i spojrzała Ellen w oczy.

- Uważam, że to miłe, a ty?

- Również tak sędzę - rzekła Ellen.

Przytaknęła, przekonując samą siebie. To naprawdę... miłe. Uspokajające. Daje poczucie pewności i bezpieczeństwa. Warto się tego trzymać.

- Spójrzcie na nią - powiedziała Elsie. - Nie ma nic piękniejszego niż przyszła matka. - Poklepała dłoń Ellen, dodając jej otuchy.

Amerykanka uśmiechnęła się, nagle przepelniona ciepłem i siłą. James miał rację. Będzie matką. Zwykłą, przepracowaną, zmęczoną, ale szczęśliwą matką - jak wszystkie inne. W chacie nad brzegiem morza wychowa swoje dzieci, będzie im dawać mleko i ciastka, cerować podarte spodnie i kurować podrapane kolana. Będzie je kochać jak odważna i bezwzględna lwica, a one odpłacą jej miłością. Wszystko będzie w porządku.

7

Ellen spojrzała na śpiące dziecko, na jego zaróżowione od ciepła policzki i ciemne loki, które odcinały się od jasnokremowej skóry. Cieniuchne fioletowe żyłki na powiekach. Wilgotne, lekko rozchylone wargi. Unoszącą się i opadającą klatkę piersiową.

- Zeldo! - zawołała cicho. - Pora wstawać.

Dziewczyneczka poruszyła się i odwróciła na bok, ale wyraźnie nie miała zamiaru się budzić. Ellen przyjrzała się zarysowi dziecięcego ciała, zwiniętego pod kocem. Wyglądało na niepokojąco małe, w niemal pustym łóżku, pozostawione własnemu losowi.

Rozejrzawszy się po niewielkiej alkwie, Ellen przypomniała sobie, że pierwsze maleńkie łóżeczko stało w rogu, było niewiele większe od skrzynki na jabłka i otoczone nierównymi stosami pieluch, ubranek oraz kocyków. To dziwne - pomyślała - że lata, które minęły od tamtej chwili, wydają się takie krótkie, a jednocześnie takie długie.

Zerknęła na zegarek.

- Wstawaj, aniołku - powtórzyła. - Obudź się.

Pochyliła się, chwyciła za drobniutkie ramionka i potrząsnęła lekko. Oczka dziewczynki otworzyły się. Ellen spojrzała na małą.

- Witaj, ślicznotko. Uśmiechniesz się do mnie?

Zelda przeciągnęła się, rozspana, wykrzywiła buźkę i poruszyła rączkami. Potem uśmiechnęła się promiennie i usiadła.

- Grzeczna z ciebie dziewczynka. - Ellen uśmiechnęła się. - Wstawaj. Ubierzemy cię w to. - Pokazała gruby pulower.

- Nie. - Zelda potrząsnęła główką. - Nie chcę. Drapie.

- Bez niego będzie ci zimno. No, chodź.

Ellen szybko wciągnęła sweterek przez główkę córeczki. Mała nadeła usteczka, ale wsunęła rączki w rękawy.

- Gdzie mój dres?

- Mokry - odparła Ellen. - Miałaś go na plaży, pamiętasz? Cofnęła się, by Zelda mogła wstać.

Bluey wpadł do domu i zaczął machać ogonem. Przecisnął się obok Ellen, by powitać Zeldę liźnięciem po twarzy. Dziewczynka wybuchnęła śmiechem i pociągnęła go za uszy.

- Idź stąd, Bluey. - Ellen chwyciła psa za kark i próbowała wypchnąć go za drzwi.

Zaparł się łapami i nie pozwolił się ruszyć.

- Idź stąd! - powtórzyła. Pociągnęła mocniej, pazury psa zaskrzypiały na drewnianej podłodze.

Kiedy zamknęła drzwi za psem, podjechała do niej Zelda na trzykołowym rowerku, odziedziczonym po chłopcach Lizzie.

- Nie wolno jeździć po domu, Zeldo - przypomniała Ellen. - Przecież dobrze o tym wiesz.

Dziewczynka zlekceważyła słowa matki, obejrzała się jedynie przez ramię.

- Zabierz rower na dwór - powiedziała Ellen spokojnie.

Zelda po raz kolejny okrążyła pokój. Kiedy mijała matkę, Ellen mocno pchnęła rowerek w stronę drzwi. Trójkołowiec przesunął się kawałek do przodu, potem przewrócił się, a Zelda razem z nim. Uderzyła główką o ostry róg skrzynki na drewno i upadła na podłogę z nóżkami zaplątanymi w rowerek. Otworzyła szeroko usta i z trudem łapała powietrze. Ellen stała jak zamurowana. Po chwili dziewczynka zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Na zewnątrz zaszczekał Bluey, potem otworzyły się drzwi i do domu wszedł James z dwoma koszami na langusty i nareczem sprzętu rybackiego.

- Co się stało? - Odłożył ładunek i przeszedł przez pokój. - Zeldo!

Opadł na kolana, podniósł dziecko i delikatnie obmacał palcami główkę. Gdy wysunął rękę z włosów dziecka, jego palce były czerwone i lepkie od krwi.

- Boże, ona krwawi! Przynieś mi ręcznik!

James obejrzał się na żonę. Zobaczył, że stoi nieruchomo za jego plecami.

- Na litość boską, Ellen! - zawołał, przekrzykując pisk Zeldy. - Daj mi coś.

Ellen zdarła prześcieradło z łóżeczka Zeldy. James przycisnął je do główki dziecka. Mała wciąż krzyczała; jej pisk zagłuszał spokojne słowa ojca.

- Już wszystko w porządku, Zeldo. Tatuś jest przy tobie, już wszystko w porządku.

Ellen stała nad nimi, z rękami bezwładnie zwieszonymi po bokach.

- Przyrowadź jeepa - rozkazał James. - Rana wygląda na głęboką. Musimy zawieźć ją do Bena.

W samochodzie krzyki dziewczynki ucichły, zamieniając się w ciche szlochy. Ellen trzymała Zeldę w ramionach, jedną ręką przyciskając prześcieradło do rany. Patrzyła prosto przed siebie. Zimowy krajobraz był monotony, pozbawiony wyrazu. Niedawna powódź zalała wybiegi dla zwierząt,

dlatego też owce stały pozbijane w stadka przy bramach i plotach.

- Jak to się stało? - spytał James, nie odrywając wzroku od drogi.

Jechał szybko, starając się omijać wyboje. Zapadła krótka cisza, w której słychać było jedynie pomruk silnika i żalosne popłakiwanie Zeldy.

- Nie wiem - odparła Ellen spokojnie. - Nie widziałam dokładnie. Spadła z rowerka.

- Trzeba było lepiej jej pilnować. - James zmarszczył czoło i zerknął na Zeldę.

Ellen nie odezwała się. Miarowymi ruchami poklepywała córeczkę po plecach. Dziewczynka przestała w końcu płakać i włożyła kciuk do buzi.

Dotarli do gabinetu, mieszczącego się w aneksie dobudowanym do bocznej ściany domu doktora Bena. James wziął Zeldę na ręce i zaniósł do środka. Ellen powoli wędrowała za nimi.

To ja powinnam tam być - pomyślała. Pochylać się nad córeczką i trzymać ją za rączkę. A Zelda powinna wyciągać do mnie ręce i wołać mnie. Tylko mnie. Nikogo innego. Jedynie mamę.

Kiedy weszła do poczekalni, Jamesa i Zeldy już tam nie było. Miejsce za biurkiem zajmowała Marian, żona Bena.

- Są w gabinecie - poinformowała.

Na krzesłach siedziało kilka osób. Ellen czuła, że bacznie jej się przyglądają.

- Wiem, co czujesz. - Marian wychyliła się zza biurka i przemawiała cichym, życzliwym głosem. - Nie miej do siebie pretensji; dzieci w tym wieku są nieprzewidywalne! Gdybyś wiedziała, ile skaleczeń i siniaków tutaj widzimy...

Ellen kiwnęła głową.

Marian wskazała na zamknięte drzwi z napisem: *Pokój zabiegowy*.

- Wejdz.

Gdy Ellen otworzyła drzwi, usłyszała dziecięcy krzyk. Zatrzymała się w pół kroku. Tym razem był to inny krzyk, przez ból przebijał się strach. Miała ochotę się cofnąć. Jej stopy ani drgnęły, ale krzyki ją odpychały. Ben odwrócił się w jej stronę z pustą strzykawką w ręce.

- Najgorsze mamy już za sobą - oznajmił. - Teraz nic nie będzie jej bolało.

Ellen bezmyślnie przytaknęła. Poczowała, że ogarnia ją panika. Przed jej oczami znów mignęła ręka Bena. I długa, błyszcząca igła wymierzona w powietrze. Kobieta poczuła zapach środka odurzającego. Podbiegła do umywalki i wymiotowała.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiem...

Otarła usta i przysłoniła je dłonią. Powietrze wydawało się jej dziwnie przejrzyste, wszystkie kolory i kształty nabrały niecodziennej ostrości. Ben, Zelda i James przypominali postaciom odlane ze szkła i podświetlone od tyłu przez mocny reflektor. Za plecami zimna i twarda ściana naciskała na jej plecy.

James w milczeniu przyglądał się twarzy córki.

- To tylko kilka szwów - wyjaśnił Ben spokojnie. - Nie musisz patrzeć.

Otworzył drzwi i zawołał Marian.

- Może zabrałabyś Ellen do kuchni i dała jej trochę herbaty?

Marian skierowała matkę Zeldy do sąsiedniego pokoju, z którego wchodziło się do części mieszkalnej domu. Zamiast czystej bieli dominowało tu drewno na wysoki połysk i perskie dywany. Zamknięte drzwi stłumiły płacz dziecka.

- Chodź do kuchni.

Marian otworzyła następne drzwi, wiodące do pomieszczenia zalanego promieniami porannego słońca. W powietrzu unosił się delikatny zapach pieczonego ciasta. Nastawiła czajnik i wyjęła dwie filiżanki ze spodeczkami.

- Usiądź i uspokój się. - Zerknęła na twarz Ellen. - Małej nic nie będzie. To tylko kilka szwów...

Mówiła i mówiła, próbując dodać otuchy milczącej matce.

- Za kilka godzin będzie biegała szczęśliwa, jakby nic się nie stało.

Ellen oparła się o krzesło. Była otepiała, jakby właśnie przestała mieć migrenę, ale czuła jeszcze słaby ból. Próbowała przyjrzeć się rzadkowi miedzianych rondli, które wisiały na ścianie, zasłonkom w kratkę, ręcznie malowanym naczyniom. Była to kuchnia żywcem wyjęta z jakiegoś czasopisma i nie-pasująca do tego miejsca. Jedynym elementem typowo wyspiarskim był leżący na półce kołowrotek.

- Przepraszam. - Ellen uśmiechnęła się, mając świadomość, że Marian przygląda jej się wyczekująco. - Nie usłyszałam, co mówiłaś.

- Och, nieważne. Po prostu przypomniałam sobie, że nie masz tu żadnej rodziny, prawda?

- Nie mam - odparła zagadnięta.

- Są w Ameryce? - dopytywała gospodyni. Ellen wyjrzała przez ogromne okno na ogród.

- Krewni Jamesa mieszkają w Waszyngtonie - powiedziała wymijająco. - Ja nie mam rodziny.

Na chwilę zapadła cisza. Z gabinetu nie dochodził żaden dźwięk.

- Przykro mi. - Marian podała jej filiżankę herbaty. - Sama zrobiłam - oznajmiła.

Ellen upiła łyk i uśmiechnęła się, nieco zdezorientowana.

- Filiżankę - wyjaśniła Marian.

- Jest bardzo ładna.

Ellen poruszyła się niespokojnie na krześle i próbowała jak najszybciej wypić gorącą herbatę.

- Właśnie dostałam nowe czasopisma. - Marian pokazała stosik w rogu stołu. Uśmiechnęła się ponuro. - Próbuję być na bieżąco, chociaż nie wiem, po co się trudzę. Czasami wydaje mi się, że Ben ma zamiar zostać tu na zawsze.

- To piękne miejsce - powiedziała Ellen. Marian prychnęła.

- Jeśli lubi się góry, plaże i wybiegi pełne owiec. Ja wolę galerie, kafejki, dobre sklepy i muzykę. - Urwała, a potem wybuchnęła śmiechem. - Podobno byłaś tancerką. Nie brakuje ci tego? Sceny, podniecenia? Interesujących ludzi?

- Hmm...

W ogrodzie czarny kot drapał ziemię.

- Znasz kogoś? - spytała Marian. Wychyliła się do przodu i czekała na odpowiedź. - Kogoś sławnego? Przyznaj się!

- Och... Sama nie wiem. - Ellen zmarszczyła czoło. - Nie bardzo pamiętam...

Na szczęście, zadzwonił telefon i odwrócił uwagę Marian. Ellen wstała i odstawiła filiżankę na zmywarę. Wyrzawszy przez okno, ujrzała w ogrodzie Jamesa. Trzymał na rękach Zeldę, która wtuliła twarz w jego ramię. Ze wszystkich stron otaczały ich wysokie krzaki i pnące winorośle, blade zimowe słońce padało na ich sylwetki. Ellen przypomniała sobie obrazek, który wisiał w jadalni w szkole baletowej. Była to stara odbitka pozostawiona przez zakonnice, które wcześniej mieszkały w tym budynku. Jezus z długimi włosami i w hipisowskich sandałach trzymał na rękach dziecko: śliczną, małą dziewczynkę ze złocistymi lokami, w prostym angielskim ubraniu. „Bądźcie wyrozumiali wobec małych dzieci, jeśli chcecie przyjść do mnie” - mówił napis.

Zelda poruszyła się w ramionach Jamesa, a on pochylił głowę, by pocałować małą w policzek. Ellen obserwowała ich. Idealnie pasowali do siebie i do wyspy. Mała Zelda, osmagana przez słońce i wiatr, silna dzięki jedzeniu burzyków, świeżych ryb i picciu mleka pochodzącego z farmy. I James, wysoki, mocny, ze zgrubiałymi od pracy rękoma. Stawiał szeroko nogi, jakby kroczył po pokładzie łodzi kołysanej przez morze.

Tego samego wieczoru Ellen siedziała przy kominku i słuchała, jak James czyta Zeldzie bajeczkę na dobranoc. Jej łzy dawno wyschły, a szwy zniknęły między długimi włoskami.

- „Mały niedźwiadek spytał: Kto śpi w moim łóżku?” -czytał James piskliwym, dziecięcym głosem.

Dziewczynka uśmiechnęła się i spojrzała na matkę.

- „Najmniejszy niedźwiadek tatusia!” - odpowiedziała. James czytał dalej z brodą opartą na główce córeczki.

Jego piaskowe włosy bardzo urosły i opadały na jej ciemne loki. Ellen bacznie przyjrzała się twarzom obojga. Zeldą ma moje włosy - pomyślała. Moje oczy, moje usta i mój nos. Nie odziedziczyła nic z Jamesa. Jest kropla w kroplę podobna do mnie.

- I co się potem stało? - spytał James, gdy dotarli do końca książeczki.

- Żyli długo i szczęśliwie - oznajmiła dziewczynka. Ojciec wybuchnął śmiechem.

- Tak samo jak my. Teraz idź i pocałuj Ellen.

Mała podeszła i położyła główkę na kolanach matki.

- Przepraszam, Ellen - powiedziała. Kobieta uniosła głowę.

- Za co?

- Że byłam niegrzeczna i jeździłam rowerkiem po domu. Odezwał się jakiś nocny ptak, zakłócając ciszę. Ellen zerknęła na męża.

- To był wypadek. Nie twoja wina.

Pogłaskała córeczkę po główce i odsunęła włoski z szyi.

- Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, dziecinko.

Wzięła ostrożnie małą w ramiona, przytuliła ją i przez chwilę wdychała zapach czystego, ciepłego ciała.

- Kocham cię, aniołku.

James nachylił się, jedną ręką dotknął policzka Ellen, a drugą wsunął pod jej pizamę. Znalazł drobną, miękką pierś, a potem zaczął powoli zsuwać dłoń w dół.

-Zaczekaj... Pomniesz książkę. - Ellen odwróciła się i lekko uniosła na łokciu.

- Kto by się tym przejmował? - James ściągnął ją z powrotem w dół. - Na świecie jest mnóstwo książek.

Położył się na niej, gniotąc jej piersi i próbując wcisnąć kolano między jej nogi.

- Nic z tego - roześmiała się.

Mięśnie jej ud i łydek były napięte i twarde.

James chwycił ją za rękę i nogę, i odwrócił na brzuch. Potem położył się na niej. Ich ciała stykały się od ramion po stopy.

- Zaciągnij story - powiedziała Ellen przez ramię.

- Co takiego?

- W takim razie zgaś światło.

- Niech to diabli! - James zsunął się z niej i sięgnął do wyłącznika. - Myślisz, że ludzie przychodzą tutaj i czekają w ciemności, mając nadzieję na przedstawienie?

Ellen nie odezwała się ani słowem. Odwróciła się na wznak i leżała w bezruchu. Blask ognia zabarwia! jej skórę na różowo. Zza zasłony dobiegał cichy oddech Zeldy.

James wsparł się na rękach, zawisł nad żoną i spojrzał z góry na jej jasne, smukłe ciało, niemal przejrzyste w półmroku. Miała ogromne, ciemne oczy.

- Wciąż jesteś małą dziewczynką - powiedział, pochylając się i całując ją lekko w nos. - Idę o zakład, że prawie się nie zmieniłaś. Widzę cię z warkoczykami i klamerkami na zębach.

- Nie jestem małą dziewczynką - zaprotestowała. - Mam dwadzieścia sześć lat i jestem matką trzyipółletniej córeczki.

- Ale nosiłaś klamerki, prawda? - spytał James. - Zawsze uważałem, że masz zbyt równe zęby.

Ze zmarszczonym czołem spojrzała na męża.

- Nie nosiłam.

- Na pewno? - spytał, drażniąc się z nią.

- Na pewno.

- Panie i panowie... oto wielka nowina! - zawołał. - Ellen coś sobie przypomniała. - Przez jego twarz przemknął cień irytacji. - Nie wiem, dlaczego jesteś taka tajemnicza. Czasami zastanawiam się, czy nie ukrywasz czegoś. Innego życia. - Wybuchnął śmiechem. - Może poszukują cię agenci CIA? Chociaż na to jesteś za młoda.

- Oczywiście, że ukrywam swoje prawdziwe życie - powiedziała Ellen z uśmiechem. - Byłam kiedyś sławna i bogata, pamiętasz? Piękna, seksowna...

- O tak, to nawet zabawne - przyznał James. - Seksowna Ellen, nastoletni symbol seksu.

Uwodzicielskie oczy i jedno wielkie wołanie: „Przeleć mnie!”. Też mi coś! Wtedy po prostu kłamałaś.

Ellen wyslizgnęła się spod niego i odsunęła na skraj łóżka. Wbiła wzrok w ścianę i głośno przełknęła ślinę.

- Kiedyś bywałam kimś więcej... robiłam coś więcej - powiedziała w końcu. - Nie podobało ci się to. Zawsze mówiłeś, że gram.

- Bo grałaś! - zapewnił James. - Niemal słyszałem, jak reżyser podpowiada ci kwestie.

- Widzisz? Nie mogę z tobą wygrać.

Ellen zamknęła oczy i zamilkła, nagle czując się stara i zmęczona.

- Hej, nie walcz ze mną - powiedział w końcu James. - Chodź do mnie.

Przyciągnął ją i zaczął głaskać po włosach. Zsunął dłoń na ramię, a potem na pierś.

Opos zadrapał w dach, budząc Blueya, który podbiegł do drzwi i zaczął wyć.

Kobieta zeszywniała.

- Wszystko w porządku, to tylko opos - uspokoił ją James.

Ellen wbiła wzrok w ciemność.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała w końcu. - Wycie psa...

Szukała odpowiednich słów, wiedząc, że jeśli już je wypowie, zawisną między nimi w ciemności.

Dlatego w końcu próbowała zażartować.

- Przypomina to odgłosy dobiegające z gabinetu dentysty.

- To szaleństwo, Ellen. - James odwrócił się i naciągnął kołdrę na ramiona. - Jak powiesz Zeldzie, żeby była odważną dziewczynką? Po prostu przestań się przejmować, dobrze?

Ellen czuła, że mąż czeka na jakąś odpowiedź. Roześmiała się cicho.

To wystarczyło. Naciągnął kołdrę i westchnął uspokojony.

- W takim razie miłych snów!

Ellen patrzyła na ciemny zarys ciała Jamesa i słuchała jego cichego, miarowego oddechu.

Wyobraziła sobie jego spokojne sny. Nigdy nie krzyczał przez sen. Nigdy niczego się nie bał...

Wróciła myślami do gabinetu lekarskiego. Do strachu Zeldy. Ręki. Igły. Potem jasności. Chwili, kiedy wszystko stało się bardziej realne niż w rzeczywistości. Nagle ożyło wspomnienie.

Dobiegł do niej głos Cartera, wyraźny i mocny, przebijający się przez pełną świeateł nowojorską noc.

- Nie podoba mi się ten blask w twoich oczach!

Bez słowa przeszukał jej torebkę i znalazł prochy - małe tabletki w poplamionym papierze, wsuniętym w foliowy woreczek.

- Niezły towar! - Potrząsnął głową. - Jestem twoim agentem, nie matką. I mam tylko dwie reguły.

Nie wolno ci opuszczać spotkań i brać prochów. Wsiadaj do samochodu.

Długiego, czarnego samochodu z miękkimi, głębokimi siedzeniami. Miała ochotę leżeć w nich bez końca. I nigdy nie wracać do domu.

Łzy napłynęły do oczu Ellen, zebrały się w kącikach i spłynęły na skronie, a potem włosy. Od wielu lat nie brała LSD

ani niczego innego. Myślała powoli, świadoma, że jej mózg pracuje, tropiąc słowa jak mysz w labiryncie.

Dzieje się ze mną coś złego. Coś zżera mnie od środka. Może wariuję? Jak siostra Annunciata? Zamknęła się w ogrodowej altanie, mamrotała coś całymi dniami i wychodziła tylko po to, żeby zabrać tacę z jedzeniem, położoną na progu. Biedna, stara Annunciata, ostatnia z zakonnic. Bez męża, bez dzieci, które mogłaby kochać. Nosiła na palcu cie-niuchną złotą obrączkę. Oznakę zaślubin z Bogiem.

Ellen leżała nieruchomo, czując, że ogarnia ją lodowaty strach. Wyobrazila sobie, jak by to było, gdyby na starość została samotna. Opuszczona. Spoglądała w otaczające ją cienie, szukając otuchy w znanych przedmiotach... ale jej myśli wciąż zbaczały, podsycając strach. Ostrożnie, żeby nie budzić Jamesa, wstała z łóżka i powędrowała cichutko do dużego pokoju. Tam zapaliła świecę i usiadła, trzymając ją w dłoni.

Rozkoszowała się jasnością płomienia i ciepłem. Nie zwracając uwagi na to, że gorący воск spływa jej po palcach, nie odrywała wzroku od płomienia. Starła się spokojnie, głęboko oddychać. W końcu strach znikł.

8

Świt ozłacał delikatnie niebo nad górami, ale wśród koron drzew wciąż królowały nocne cienie. Plaża przypominała rożek księżycy wymalowany na białym i szarym.

Ellen biegła przed Jamesem i Zeldą. Stawiała długie kroki, a potem skakała, prostując ręce i nogi, unosząc wysoko głowę. Piasek był chłodny i twardy. Podskoczyła, obróciła się w powietrzu, potem ledwo dotknęła ziemi nogą i znów odbiła się od piasku.

Zaczekała na męża i córeczkę na krańcu plaży, w miejscu, gdzie zaczynały się granitowe głazy z plamami pomarańczo-

wych porostów. Brakowało jej tchu i miała zaróżowione policzki.

- Wyglądasz jak wróżka! - zawołała Zelda, kiedy się zbliżyli. Ellen spojrzała nad jej główką na Jamesa.

- Zapominam, jak się tańczy - powiedziała.

Skakali z kamienia na kamień, wybierając różne drogi i zerkając w dół, w głębokie szczeliny, inkrustowane maleńkimi czerwonymi małżami. Nieco dalej zatrzymali się, zjedli muffiny z galaretką i wychylali się znad obrośniętego wodorostami urwiska, by obejrzyć czerwone ukwiały, które poruszały w wodzie cienkimi wypustkami.

- Tas nazywa je krwiopijcami - rzekł James.

Sięgnął w dół i dotknął jednego palcem. Ukwiął zamknął się, skurczył w sobie. Zelda ze śmiechem próbowała naśladować ojca, ale nie odważyła się, pisnęła i cofnęła rękę.

- Musimy wracać - powiedziała Ellen, obserwując, jak okruchy jej muffina opadają w dół i zaczynają zataczać kółka na powierzchni wody. - Chcę zrobić coś przed domem, nim będzie za gorąco.

- Dla mnie nigdy nie jest za gorąco - oznajmiła dziewczynka. - Prawda, tatusiu?

James spojrzał na ocean, a potem w głąb lądu, na góry zarośnięte potarganymi przez wiatr krzakami.

- To prawdziwy kraniec świata - stwierdził, a potem odwrócił się do Ellen. - Czuję się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie.

- Chciałabym, żeby tak było - wyznała.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Byłoby... prościej. Nie trzeba by się o nikogo martwić. Nikt by nie głodował ani nie umierał z zimna.

James spojrzał na nią i potrząsnął głową.

- To w tobie lubię, Eli. Nigdy nie wiem, co powiesz... albo zrobisz. - Przymrużył oczy. - Cicha woda brzegi rwie, jak mawiała moja mama. W twojej głowie musi być cholernie głęboka studnia.

Szli teraz w milczeniu. Nawet Zelda przestała paplać i pokazywać różne rzeczy. Słońce wznosiło się coraz wyżej na bezchmurnym niebie, podążając w ich ślady, gdy przeskakując z kamienia na kamień, wracali do domu.

Cicha woda brzegi rwie. Ellen spojrzała w szczelinę między głazami. Była głęboka i ciemna. Ukrywała wszelkie zło. James miał rację. Trudno było przewidzieć, co Ellen zrobi. Nagle zatrzymała się i kucnęła.

- Popatrzcie! Chodź tu, Jamesie.

Podszedł, trzymając Zeldę za rączkę, kiedy wybierała drogę między ostrymi pąklami.

- Tam... - Ellen wskazała w dół, między kamieniami.

Na środku łąty piasku leżała biała muszla. Na tle ciemnego bazaltu jasny kształt błyszczał, jakby świecił własnym światłem.

- To *nautilus*, czyli łodziki - wyjaśniła Ellen, wymawiając te słowa powoli, jak imię boga.

- Co takiego? - spytał James.

- Czytałam o nim w muzeum Joego. Spotyka się je tylko raz na siedem lat. - Uniosła głowę. - Nie powinno go tu być. Od ostatniego razu, jak powiedział Joe, minęły dopiero cztery lata.

James wyjął muszlę z zagłębienia i położył ją na dłoni.

- W takim razie to dobry znak - powiedział z roześmianymi oczami. - Może przyniesie nam siedem lat szczęścia? - Obrócił łodzika i podał Ellen. - Popatrz, jest zdumiewający. Prawie nic nie waży.

Musnęła palcami bezbarwne wypukłości. Muszla była cienka jak papier. Kobieta wyobraziła sobie podróż głowo-noga; maleńki, delikatny okręciak unoszący się w bezlitosnym morzu, w głębokiej, ciemnej otchłani, pełnej kamieni, raf i nieokiełznanych prądów.

- Daj mi! - Zelda wyciągnęła rączkę.

- Możesz popatrzeć, ale nie dotykaj - powiedziała Ellen. Pochyliła się, delikatnie trzymając muszlę w obu dłoniach.

- Nie, daj mi go! - krzyknęła Zelda. - Chcę potrzymać.
- Nie, po prostu popatrz.
- Daj jej. Nic mu nie robi - powiedział James.
- Tatuś powiedział, że mogę. - Zelda z nieskrywaną złością spojrzała na matkę.
- W porządku. - Ellen wzruszyła ramionami. - Proszę. Zelda oddaliła się na kilka kroków, udając, że uważnie ogląda muszlę. Uniosła ją do ucha.
- Nawet nie szumi. Nie można usłyszeć morza. Wyciągnęła łodzika w stronę Jamesa.
- Masz, tatusiu.
James wziął muszlę i ułożył ją ostrożnie w plecaku Ellen, na okruchach muffinów i butelce z wodą.
- Chodźmy. Chcę złapać pływ. Mam sporo do zrobienia. Kiedy dotarli do Nautilus Bay, zobaczyli Lizzie, która ze swoimi chłopcami łowiła na skałach ryby. James pomachał im ręką, a potem, nie zatrzymując się, powędrował w stronę pomostu, gdzie kołysała się przycumowana „Skromna Pszczoła”.
- Nie możemy zostać i łowić z nimi ryb - ostrzegła Ellen Zeldę, gdy zbliżały się do przyjaciół. - Tylko się przywitamy. Lizzie wstała.
- Cześć - powiedziała. - Gdzie byliście tak wcześnie? Myślałam, że was zastanę.
- Wybraliśmy się na spacer - odparła Ellen.
Pomogła Zeldzie wdrapać się na duży, płaski głaz, na którym siedzieli trzej chłopcy pochyleni nad swoimi żyłkami.
- Złapaliście coś? Sammy? Mickey? Drew?
- Nic - odparli chłopcy chórem, nie odwracając głów. Dziewczynka wepchnęła się między Drew i Mickeya, przykucnęła i oparła łokcie na kolanach.
- Zabrałam ze sobą termos - powiedziała Lizzie. - Drew, nie spuszczaaj Zeldy z oka, a my napijemy się herbaty. Dobrze?

- W porządku, mamusiu.

Ellen poszła za Lizzie aż do miejsca, gdzie skały graniczyły z piaskiem. W niewielkim cieniu dębu leżał rozłożony dywanik, a na nim buty plażowe, kije do krykieta, piłki, ręczniki i torby.

- Och, ci chłopcy... - westchnęła żartobliwie Lizzie, ze zmarszczonym czołem, przesuważąc przedmioty, by było gdzie usiąść.

Wyjęła metalowy termos i nalała dwa kubki herbaty.

- Tylko spójrz na Zeldę - powiedziała z uśmiechem. - Między Mickeyem i Drew czuje się jak ryba w wodzie! - Jej twarz spoważniała. - Gdybym wiedziała, że będę miała dziewczynkę, jeszcze dziś zdecydowałabym się na następne dziecko.

- Naprawdę? - spytała Ellen.

- O tak! - odparła Lizzie. - Uwielbiam małe dziewczynki.

- Dlaczego?

- Chyba chciałabym mieć kogoś, kto jest... taki jak ja. Kiedy widzę ciebie i Zeldę... No wiesz, mała jest podobna do ciebie kropka w kropkę. - Spojrzała na Ellen znad brzegu kubka. - To musi być wspaniałe uczucie. Ellen nie odpowiedziała.

- Prawda? - dopytywała Lizzie.

- No cóż - odparła powoli Ellen, przeciągając słowa. - To dość dziwne. - Zniżyła głos, chociaż dzieci nie mogły jej usłyszeć. - Czasami wydaje mi się, że jest aż za bardzo do mnie podobna.

- O co ci chodzi? - spytała Lizzie.

- Och... właściwie o nic.

- Coś cię dręczy. Widzę to po twojej minie. Co się dzieje?

- Nie umiem tego wytłumaczyć.

Ellen wbiła wzrok w dal, gdzie widać było łódkę, która wyglądała stąd jak czarna plamka na morzu.

- Spróbuj - zachęcała Lizzie. Ellen przez chwilę obgryzała paznokcie.

- Czasami czuję... Wierzysz w telepatię?

- Tak, chyba tak.

- No cóż, to coś w tym rodzaju. Niekiedy Zelda patrzy na mnie tak, jakby... - Głos Ellen się załamał. Lizzie wychyliła się, by spojrzeć jej w twarz.

- Jakby co? - ponagliła.

- No cóż, powiedzmy, że stoi na kamieniach. Wydaje mi się wtedy, że mówi do mnie: „Chcesz, żebym upadła i skręciła sobie kark”. Albo kiedy trzymam gorące żelazko lub zamykam drzwi samochodu. To coś tkwi w moim wnętrzu. - Znów zniżyła głos. - Czasami czuję się tak, jakbym tylko udawała, że ją kocham, a w głębi duszy jej nienawidziła.

Lizzie nie kryła zdumienia.

- Nie mów tak! - zaprotestowała szybko. - Wcale tak nie myślisz. Musisz porozmawiać z Jamesem. Zrobić sobie urlop.

Ellen kiwnęła głową i podniosła kawałek drewna wyrzucony przez morze na piasek. Wiatr i woda przez lata rzeźbiły jego powierzchnię. Oderwała paznokciem sterczącą drzazgę.

- Posłuchaj, Ellen - powiedziała Lizzie pewnym głosem. - Zostaw Zeldę ze mną i jedź na kontynent. Pochodź po sklepach, wybierz się do kina. Tutejszy tryb życia odpowiada nam, wyspiarzom, którzy tutaj się urodzili i wychowali. Przybysze od czasu do czasu muszą stąd wyjechać. Inaczej dostają choroby nadmorskiej.

- Co to takiego? - spytała Ellen.

- Choroba nadmorska? Coś, co zdarza się krowom, gdy zbyt długo przebywają na nadmorskich pastwiskach. Trawie brakuje jakiegoś minerału, którego potrzebują. Po jakimś czasie zaczynają zwieszać głowy na jedną stronę. Koniec końców dostają lekkiego szału.

- Och, dziękuję - powiedziała Ellen.

- Zawsze do usług - uśmiechnęła się Lizzie. - Naprawdę, mówię szczerze...

Uniosła głowę, słysząc krzyk podniecenia.

- Złapali coś! - Poderwała się na równe nogi. - Uważajcie! - krzyknęła. - Żeby tylko któreś z was nie wpadło do wody. Słyszycie?

9

Promienie słońca błyszczały i migotały jak diamenty na powierzchni morza. Zelda stała po kolana w wodzie, piszczała i przeskakiwała każdą nadpływającą niewysoką falę. Ellen obserwowała ją z plaży, a spieniona woda omywała jej stopy.

- Chcę poćwiczyć pływanie! - zawołała Zelda.

- Tatuś uczy cię pływać - odparła matka. - Ja nie wiem, jak się to robi.

- Pokażę ci. Chodź. Proszę!

Ellen powoli wstała, odwiązała sarong, rzuciła go na piasek i weszła do wody.

Zelda spojrzała na nagie ciało matki, jej oczy przeskoczyły z jednej piersi na drugą, a potem powędrowały w dół, do włosów łonowych.

- Mamusie noszą stroje kąpielowe - stwierdziła dobitnie.

- Niektóre tak - odparła Ellen. - Ale twoja nie. Przynajmniej nie na swojej własnej plaży.

- Dlaczego?

- Bo nikt mnie tu nie widzi.

- Lizzie zawsze nosi strój kąpielowy.

- Wiem. - Ellen westchnęła. - Myślałam, że chcesz nauczyć się pływać.

Dziewczynka przytaknęła i wskazała na morze.

- Musimy wejść głębiej.

Odwróciły się twarzami do horyzontu i ramię przy ramieniu weszły do głębszej wody. Zelda oparła rączkę na udzie matki, rozcapierzyła paluszki, gotowa chwycić się mocniej, gdyby straciła równowagę.

- Teraz musisz mnie podnieść.

Dziewczynka położyła się na wodzie na wyciągniętych ramionach matki. Miała skórę gładką i śliską od olejku do opalania. Poruszające się w wodzie rączki i nóżki wyglądały jak jasne cienie.

- Co teraz? - spytała Ellen.

- Musisz po prostu stać, a ja będę pływać - oznajmiła Zelda. - Tylko nie pozwól mi utonąć.

Spojrzała na matkę ciemnymi, przenikliwymi oczami. Potem wykrzywiła buźkę z wysiłku i zaczęła jak szalona wymachiwać nóżkami i rączkami.

Ellen trzymała ręce sztywno przed sobą. Spojrzała nad główką Zeldy w stronę horyzontu. W miejscu, gdzie morze było zimne i głębokie, ponure, bezgłośnie cienie przesuwały się pod nieświadomymi niczego kutrami.

Nagle Zelda zaczęła z trudem chwycić powietrze i wykonywać nieskoordynowane ruchy. Wpadła do wody. Chcąc krzyknąć, zakrztusiła się i zniknęła pod powierzchnią. Mała twarzączka wyglądała wśród fal jak biały księżyc.

Ellen zamknęła oczy. Wiedziała, co teraz nastąpi - obrazy przewijały się przed jej oczami jak dobrze znany film, na którym ręce naciskają małą, ciepłą, twardą główkę, włosy unoszą się w górę jak wodorosty, kończyny miotają się na wszystkie strony, słabe paluszki drapią duże, mocne ręce, uszy napełniają się wodą i docierają do nich ciche, podwodne dźwięki...

Niekończąca się agonია, w której nic nie jest prawdziwe.

Nie! Ellen stała nieruchomo, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę siły. Potem zacisnęła ręce po bokach, nie reagując na wezwanie. Pozwalając, by film toczył się dalej bez niej.

Spojrzała w miejsce, gdzie zniknęła Zelda. Fale zamknęły się nad główką dziewczynki i spokojnie płynęły dalej, nie zostawiając po sobie ani śladu.

Zeldo! Potworny krzyk, jak z nocnego koszmaru, próbował się przedrzeć przez grube warstwy snu i przeszyć ciche powietrze.

- Zeldo!

Ellen rzuciła się za córeczką. Zanurkowała, chwyciła drobne ciało i wyciągnęła dziewczynkę na powierzchnię, tam gdzie było powietrze i bezkresne niebo. Małe rączki wciąż wywijają młynka, klatka piersiowa niespokojnie unosiła się i opadała, gdy Zeldą wypluwała wodę, do której dołączały się łzy.

- Mamusiu! - zawołała, wciąż się krztusząc. - Mamusiu!

- Już wszystko w porządku... Wyciągnęłam cię. Jestem tutaj.

Ellen pochyliła głowę, a Zeldą mocno objęła ją za szyję. Kobieta czuła małą, mokrą twarzyczkę wciśniętą między piersi.

Wyniosła córeczkę z wody i opadła na piasek, a potem mocno przytuliła Zeldę i zaczęła głaskać mięciutkie ciało. Czuła, że z oczu płyną jej łzy.

- Wysunęłaś mi się z rąk jak mała, śliska rybka - powiedziała beztrosko, pomimo dławiącego szlochu.

- Mamusiu...

- Już wszystko w porządku, aniołku.

Minęła długa chwila. Słońce paliło je w ramiona, ptaki morskie zataczały kółka nad ich głowami. W końcu dziewczynka uspokoiła się.

- Nie płacz, mamusiu.

Ellen wbiła wzrok w jasny piasek, w miliony ziarenek, każde wypolerowane jak maleńki klejnot. Jej stopy zagłębiły się w nim, nie było ich widać. Tonęła, zniknęła.

- Chcę do domu - oznajmiła Zeldą. Zaczęła płakać, jej dolna warga drżała, a łzy lśniły na twarzyczce. - Chodźmy już, mamusiu.

Zrobiła kilka kroków do tyłu i spojrzała. Ellen nie mogła oderwać wzroku od piasku. Jej włosy poruszał delikatny podmuch wiatru.

Dziewczynka powoli odwróciła się i odeszła.

10

- Na pewno niczego pani nie potrzebuje? - Kobieta przywołała na usta sztuczny uśmiech.

Ellen zamknęła oczy. Po chwili usłyszała, że stewardesa oddala się, zostawiając za sobą zapach jakichś dobrze znanych francuskich perfum. Ellen usiłowała przypomnieć sobie ich nazwę, szukała w pamięci... *L'air* jakiegoś tam. *L'Air du Temps*. Powiew czasu.

Obok niej pojawił się młody steward.

- Czy mogę coś dla pani zrobić...?

Potrząsnęła głową. Zdawała sobie sprawę, że obsługa samolotu ze zdziwieniem przygląda się jej twarzy, ukrytej za okularami przeciwsłonecznymi. Nagle uświadomiła sobie, że zapomniała poprosić o odpowiednie miejsce. To musi być 2B. Śledziła własne myśli, rozważając każdą sprawę, przy której zatrzymały się na dłużej. Ilekroć podróżowała sama, zawsze korzystała z IB, a 1A zostawało puste. Miała to zastrzeżone w kontrakcie. Gdy pewnego razu popełniono błąd, odmówiła wejścia na pokład samolotu. Carter zachęcał ją do takich gestów, mówił, że to podkreśla jej styl. Carter. Wyobraziła sobie, z jakim zadowoleniem, a jednocześnie niedowierzaniem słuchał jej słów na drugim końcu linii telefonicznej. Lepiej, żebyś po mnie wyszedł - pomyślała.

Stewardesa odsunęła zasłonę, która oddzielała klasę ekonomiczną, i poprowadziła małą dziewczynkę do przedniej części samolotu. Ellen odwróciła się i patrzyła, jak ją mijają. Przez chwilę widziała promienną twarzyczkę dziecka, włosy starannie rozdzielone na czubku głowy i splecione po bokach w dwa identyczne warkoczyki. Długa spódniczka kołysała się na boki, obrąbek muskał fotele, obok których dziewczynka przechodziła. Na chwilę otworzyły się drzwi, ukazując plecy w mundurze i błękitne niebo. Potem mała zniknęła.

Ellen opuściła głowę i ukryła twarz za kurtyną włosów. Jej ręce spoczywały sztywno na kolanach.

Żegnaj, aniołku.

Do oczu napływały jej łzy. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, zamknęła oczy i mocno nacisnęła powieki palcami. Mimo to łzy napływały nadal, a wraz z nimi niedawno przeżyte, bolesne sceny...

Lizzie pochylała się nad ciemną główką Zeldy, obiecując jej lody, przebieranki i opowieści przy ognisku. Potem machnęła ręką do Ellen i zawołała:

- Przywiozę ją z powrotem po podwieczorku. Dzięki temu będziesz mogła nadrobić zaległości.

Z powątpiewaniem przyjrzała się twarzy Ellen.

- Dobrze się czujesz?

Matka Zeldy próbowała coś powiedzieć, ale w końcu kiwnęła tylko głową.

- Posłuchaj, wiem, jak to jest - zapewniła ją życzliwie Lizzie. - Wiem, jak to wygląda, kiedy człowiek stara się wszystko zrobić jak najlepiej. Po prostu bądź dla siebie bardziej wyrozumiała, dobrze? Zeldo, daj mamie buziaka.

Dziewczynka przebiegła przez podwórko, z rozwianymi długimi włoskami. Po dotarciu do matki zatrzymała się, a na jej twarzyczce pojawił się promienny uśmiech.

- Do zobaczenia - zaśpiewała. - Idę do Lizzie na cały dzień!

Ellen pochylila się, nie mając odwagi spojrzeć w uniesioną twarzyczkę. Nie mając odwagi oddychać ani mówić. Przycisnęła wargi do ciepłej, delikatnej skóry.

Mała uwolniła się z objęć matki i odbiegła.

Po powrocie do chaty Ellen stała, mocno zaciskając palce na szorstkiej, drewnianej framudze drzwi. Patrzyła, stojąc w bezruchu, jak Zelda wsiada do auta Lizzie. Szyby były mocno zakurzone, twarze osób w środku niewyraźne jak duchy; znikwały...

Rozległ się dźwięk klaksonu i auto wjechało na drogę. Czerwona plamka pojawiała się i znikwała wśród drzew, a w końcu rozmyła się w błękitnawej mgielce letniego popołudnia.

Ellen z trudem oddychała, jakby nagle coś wysało wokół niej całe powietrze. Bezwładnie osunęła się na podłogę i oparła plecy o drzwi. Mijały chwile. Martwe, ciągnące się bez końca chwile. Potem podniosła się i odwróciła w stronę mrocznego wnętrza chaty. Pod łóżkiem czekała zakurzona walizka. I jeszcze nienapisany list. Pusta, biała kartka na stole.

Carter czeka! za stanowiskiem kontroli paszportowej. Odciągnął! Ellen szybko na bok i przez chwilę bacznie się jej przyglądał, dopiero potem mocno przytulił do siebie.

- Dziecinko! - powiedział wyraźnie zadowolony. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. Witaj w Nowym Jorku. Witaj w domu. Auto czeka.

Ellen wsparła głowę na jego ramieniu.

- Okropnie się czuję.

Kiedy w milczeniu jechali w stronę miasta, spoglądała na uliczny ruch, szare i brudne ulice. Nic się nie zmieniło. Nic. Czowała, że Carter wciąż bacznie jej się przygląda.

- Ellen... - powiedział w końcu. - Jeśli mogę coś zrobić... Chcesz porozmawiać?

Mówił lekkim, niemal beztroskim tonem, ale jego oczy błyszczały z ciekawości.

-Nie, nie chcę - zapewniła Ellen stanowczo. - Ale... dziękuję za propozycję i za to, że po mnie przyjechałeś. Nie chciałam dzwonić do nikogo innego.

Carter przez chwilę uważnie się jej przypatrywał, potem uśmiechnął się i machnął ręką, jakby stara! się zbagatelizować sprawę.

- Nawet nie wiesz, ile spotkań odwołałem i ile karier bezlitośnie odsunąłem w czasie, żeby się tutaj znaleźć.

- Możesz mnie zawieźć do jakiegoś miłego hotelu?

- Och, jestem pewien, że uda się nam namówić właściciela któregoś z nich, żeby cię wpuścił - zażartował. Poklepał ją

po dłoni. - Wszystko załatwione. Porządnie odpoczniesz, a koło siódmej przyślę po ciebie samochód i wybierzemy się gdzieś na kolację. Jak za dawnych czasów.

Ellen rozparła się w miękkim, głębokim siedzeniu i zamknęła oczy.

Samochód wjechał na szeroki podjazd. Odźwierny i chłopiec hotelowy na sygnał Cartera pomogli Ellen wysiąść i zanieśli jej bagaże na górę.

Otworzyli drzwi do jej apartamentu i włączyli światła. Zwracali się do niej per „panno Kirby”.

- Czy ja tu kiedyś byłam? - spytała swego towarzysza.

- Wiele razy. To twój dawny apartament, ale jego wystrój ostatnio zmieniono. Wydaje mi się też, że obok zbudowano nowy wieżowiec. - Podeszedł do okna. - Kiedyś było stąd widać Statuę Wolności.

Ellen ruszyła w jego stronę, ale po drodze zatrzymała się na widok bukietu kwiatów w sypialni. Poczowała przyływ nadziei. Niepotrzebnie. Mógł pochodzić od dyrekcji hotelu, Cartera albo jego sekretarki.

- Tak, jest tam, zaraz za wieżą. - Carter pokazał palcem, a potem odwrócił się. - Teraz odpoczywaj, dziecinko.

- Jasne.

- Każę ci przysłać perriera.

- Dzięki.

Ellen odprowadziła go do drzwi. Nim wyszedł, zmarszczyła czoło.

- Och, Carterze! Potrzebuję trochę gotówki. To znaczy powinnam mieć jakieś pieniądze, ale nie wiem, co się z nimi wszystkimi stało po moim wyjeździe. To James zajmował się finansami.

Carter zamarł w bezruchu.

- Kochanie, przez cały czas przelewałem pieniądze na twoje konto. - Wyciągnął rękę i zaczął wyliczać na swoich tłustych palcach. - Bajońskie sumy za lalki. Z Young Design. Wpływy z reklam. Spłaty udziałów. To wszystko samo się na-

kręca. - Przez jego twarz przemknął cień powątpiewania. - Ile potrzebujesz? Nie masz żadnych problemów, prawda? Ellen potrzęsnęła głową.

- Nie. Potrzeba mi tyle, co na życie. Wiesz, jak to jest w wielkim mieście.

- Jasne. Płacisz nawet za to, że oddychasz. - Wyjął plik banknotów i położył na kredensie. - Weź to. Każę Lois, żeby wszystko ci pozłatwiała.

- Dzięki. - Ellen sięgnęła po pieniądze.

- Nie ma za co. - Carter urwał i z zamyśleniem przymrużył oczy. - Czy... czy mógłbym zapytać, gdzie byłaś przez tyle lat?

Ellen zamarła z jedną ręką nad zielonymi banknotami. Spodziewała się tego pytania, ale nie tak prędko. Zastanawiała się, co powiedzieć, ale miała w głowie jedynie czarną, bolesną otchłań. Kiedy uniosła głowę, w jej oczach lśniły łzy.

- Przepraszam - wymamrotał Carter. - Nie przejmuj się, dobrze? Mamy mnóstwo czasu.

Wziął do ręki hotelowy jadłospis i podał go Ellen.

- Jesteś głodna? - Nie.

Zapadła niezręczna cisza. Pierwszy otrząsnął się Carter.

- Co mogę powiedzieć, dziecinko? Cieszę się, że wróciłaś.

Ellen zanurzyła się w wodzie z grubą warstwą piany. Wdychała piękny zapach i powoli rozluźniała mięśnie. Była to jej pierwsza prawdziwa kąpiel od lat. Rozejrzała się po wykładanych lustrami ścianach, puszystych ręcznikach, pluszowych fotelach, kosztownych dywanach. To był jej świat. Przynajmniej jeszcze kilka lat temu. Teraz będzie znowu. Jakie to proste. Wcześniej też pojawiała się i znikwała, zmieniała styl życia i osobowości. Tym razem zostanie tylko większa rana, silniejszy ból. To wszystko.

Powoli zanurzyła się, czując, jak twarz okleja jej piana nieco chłodniejsza niż woda pod nią. Zamknęła oczy i pozwoli-

ła, by biała warstwa przykryła ją. Jej włosy przez chwilę unosiły się na powierzchni, potem powoli zanurzyły się i zaczęły przyklejać długimi pasmami do oczu i ust, kołysać się jak wodorosty. Nagle poczuła potworny strach. Wypełnił jej wnętrze, rozszedł się po całym ciele. Boże, dopomóż! Małe rączki uderzały bezradnie o powierzchnię, otwarte usteczka krzyczały „mamusiu!”. Ellen zeszywniała, nie mogąc się ruszyć. Ból był zbyt duży, żeby z nim walczyć, postanowiła więc go przetrzymać, wystawić ciało na jego bolesny płomień. W końcu przestała odczuwać tępe rwanie we wnętrzu, w jego miejscu pojawiła się dziura.

Gdy kelner prowadził Ellen do stolika, Carter wstał, żeby ją powitać. Wtedy odwróciły się i inne głowy - zwykłych, bogatych bywalców, rozglądających się za sławami. Wyczuła, że z wahaniem próbują ocenić jej szyty w domu strój, zastanawiając się, czy nowo przybyła po prostu niewłaściwie się ubrała, czy też raczej lansuje nową modę.

Carter również bacznie jej się przyglądał. Szła spokojnie, z rozpuszczonymi, przerzuconymi przez ramię włosami. Nie miała makijażu, jedynie pomalowała na różowo wargi, jej gładką skórę zdobiła opalenizna. Zauważyła, że oczy mu zapłonęły.

Uśmiechnął się, ale nie odezwał ani słowem, kiedy kelner wysunął dla niej krzesło, a potem skłonił się i odszedł.

- Kiedyś nie wyobrażałem sobie, że możesz wyglądać inaczej - powiedział szczerze. - Ale, do diabła, sprawiasz wrażenie, jakbyś była tworem niebios!

Ellen wybuchnęła śmiechem, ale nie wzięła sobie komplementu do serca.

- Mówię prawdę - obstawał przy swoim Carter. - Mam przed sobą... nową wersję Ellen!

Nalewał szampana, ani na chwilę nie przestając gadać. Był to *veuve clicquot* z etykietką bez skazy.

- A jaka jest... ta nowa wersja? - spytała Ellen, udając kapryśny ton i ukrywając niepokój.

Mężczyzna puścił perskie oko, jakby miał opowiedzieć kawał.

- Ewa - stwierdził. - Prosto z raju. Ellen roześmiała się.

- Posłuchaj mnie, Carterze...

Mówiąc to, wychyliła się w jego stronę, potem odsunęła się, przypomniawszy sobie, że to on nauczył ją tej sztuczki: przysuwania się bliżej, zmniejszania odległości, aby słuchająca osoba czuła, że jest dla swojego rozmówcy kimś ważnym. Dzięki temu łatwiej wysłuchają twoich życzeń - mawiał.

- Nie wiem jeszcze, co będę robić. Nie wiem, czy chcę tańczyć, czy być modelką, czy też zdecyduję się na coś nowego. Potrzebuję czasu na zastanowienie.

Carter położył dłoń na jej ramieniu.

- Jasne, dziecinko. Nie ma pośpiechu. Zaczekam. Spojrzeli sobie w oczy. W tym momencie Ellen dostrzegła w nim dawnego Cartera - mężczyznę, który zawsze wszystko podporządkowywał własnym potrzebom. Poczowała się samotna i pozbawiona przyjaciół.

- Ziggy... Jak miewa się Ziggy? - spytała. - Trzy, może cztery lata temu... widziałam ją w jakimś australijskim czasopiśmie. Nie mogłam uwierzyć... - Urwała, widząc nieufność w jego oczach. - Czy ona wciąż pracuje?

-Nie.

Carter rozejrzał się dookoła, jakby chciał zmienić temat.

- Zdrowie jej szwankuje.

- Ziggy? Nigdy w życiu nie chorowała! - krzyknęła Ellen.

- No cóż. - Carter wzruszył ramionami. - Nerwy, jak sędzę. Ciągłe napięcie.

- Załamała się? - naciskała.

- Nie znam szczegółów.

Mówił celowo spokojnym i łagodnym głosem, jak mężczyzna przyzwyczajony do babskich problemów.

- Nie widziałem jej od wieków. Wydaje mi się, że przebywa w jakiejś klinice w Nowej Anglii... W okolicy, z której pochodzisz.

Ellen bez słowa wpatrywała się w niego i czekała na dalsze informacje. Carter wyraźnie gra! na zwłokę, dolał sobie szampana i wypił go.

W końcu się odezwał:

- Gdzieś mam jej adres. Na pewno. Kiedyś nawet posłałem jej kwiaty.

Nagle zmienił głos. Jego wzrok znalazł to, o co mu chodziło.

- Michael!

Gdy Ellen się odwróciła, ujrzała wysokiego mężczyznę w pogniecionym garniturze, zmierzającego w ich stronę. Nikt nie uniósł głowy, kiedy przechodził między stolikami, z tenczem przerzuconym przez ramię i ze zniszczoną aktówką w ręce.

- Ellen, pamiętasz Michaela Hollanda? - spytał Carter, dając znać kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze jedno krzesło.

Spojrzała na przybysza i uśmiechnęła się obojętnie. -Nie.

- Na pewno go pamiętasz... Usiądź, Michaelu. Mężczyzna opadł na krzesło, jakby dotarł do kresu długiej podróży.

- Cześć - przywitał Ellen.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, ale nic nie wskazywało na to, że ją poznaje. Zdwrócił się do Cartera:

- Gdzie ona jest?

Carter na chwilę zamarł w bezruchu, potem wybuchnął śmiechem.

- Ale z ciebie oryginał! - Wskazał Ellen. - Spójrz na nią, prawda, że wygląda wspaniale? Idę o zakład, że jej nie poznałeś. Michael spojrzał Ellen w oczy.

- Przepraszam... Minęło tyle lat. Przytaknęła.

- Ja też cię nie poznałam.

Carter poprosił o następnego szampana i kartę.

- Zjesz z nami, Michaelu, prawda? Michael napisał o tobie ów pamiętny artykuł do „Teen”. Lata temu - dodał, zwracając się do Ellen.

Ellen sączyła szampana. Z zamyśleniem przymrużyła oczy. Po chwili przypomniała sobie tamten wywiad. Holland był dokładny i poważny, zadawał pytania i odręcznie zapisywał w notatniku odpowiedzi. Była wówczas młoda i zdenerwowana, ale potrafiła opanować panikę. Siedziała grzecznie, machając nogami, na wysokim stołku barowym i odpowiadała na wszystkie pytania. Szybko wpadł na pomysł, jak ją opisać. Była dla niego kopciuszką przeobrażoną we wschodzącą gwiazdę i nową Pawłową - idealną bajkową postacią dla swoich rówieśniczek. Za jego pośrednictwem świat dowiedział się, że jej naukę opłacał samotny starszy pan, który mieszkał w podupadłej rezydencji z czterdziestoma siedmioma kotami. Ich przypadkowa przyjaźń zaczęła się, gdy mała Ellen wracała ze szkoły do domu... Niezależnie od tego, jak się spojrzało na tę opowieść, odniosła sukces. To Holland sfotografował Ellen na wysokim barowym stołku, ze smutnymi oczami, rozmazanym lekko makijażem i z łagodnym uśmiechem. Wbrew wcześniejszym zamierzeniom i dotychczasowej tradycji, zdjęcie trafiło na okładkę czasopisma. To właśnie tam Carter ujrzał ją po raz pierwszy... A wraz z nim cały świat.

- To wciąż jeden z moich najlepszych artykułów - powiedział Michael.

- Wiesz... - Carter uniósł głowę, jakby nagle wpadł mu do głowy wspaniały pomysł. - Może on znów napisałby coś o tobie? No wiesz: „Powrót Ellen”.

- Dzięki. To zabrzmiało tak, jakbym była Marsjanką - zaprotestowała.

Tym razem to ona rozejrzała się po sali, szukając ucieczki. Carterze, nigdy nie porzucisz swoich starych sztuczek, prawda?

Dziennikarz już sięgał po notes. Ellen przyglądała się jego twarzy, widziała, że mężczyzna rozważa różne możliwości i układa plany. Mógł wykorzystać fragmenty starego artykułu, by zrobić zestawienie „dawniej i dziś”. Powtórzyć wszystkie plotki na temat jej nagłego zniknięcia. I spytać, dlaczego po tylu latach postanowiła wrócić...

Wyjął ołówek z kieszeni marynarki i trzymał go nad notesem. Wychylił się w stronę Ellen.

- Wiesz... - powiedział. - W pewnym sensie jesteś taka sama jak wtedy. Przed laty. Gdzie to byliśmy? W jakiejś małej kawiarence. - Uśmiechnął się. - Zamówiłaś espresso i nie mogłaś go wypić.

- Naprawdę? - spytała Ellen. - Nie pamiętam takich szczegółów.

- Ach - westchnął Michael. - Ale ja tak. Dziennikarze pamiętają nawet drobiazgi.

Zerknął na Cartera, który kiwnął zachęcająco głową.

- Tak - ciągnął, usadowiając się wygodnie na krześle. - Mogę niemal słowo w słowo powtórzyć tamten wywiad. Moja opowieść zaczynała się w chwili, kiedy miałaś dziesięć lat i nigdy wcześniej nie tańczyłaś. To było lato pięćdziesiątego dziewiątego roku.

Ellen nagle wstała, odsuwając krzesło.

- Przepraszam, musicie mi wybaczyć - powiedziała. - Jestem bardzo zmęczona.

Carter poderwał się z wyrazem niepokoju na twarzy i podbiegł do niej.

- Odwiozę cię.

- Nie, dziękuję. - Strząsnęła jego dłoń z ramienia. - Wezmę taksówkę. - Zmusiła się do uśmiechu. - Poradzę sobie. Dajcie mi spokój, proszę.

Przed restauracją minęła czekającą taksówkę, przeszła na drugą stronę ulicy i powędrowała do małego parku. Jasno-żółte lampy uliczne oświetlały drogę, ale wszystko inne wokół było szare: szare budynki i ścieżki, ciemnoszare ulice.

Nawet nocne niebo, które odbijało światła wielkiego miasta, było mgliście szare, bez gwiazd.

Dotarła do parku i weszła między drzewa. Wiedziała, że wieczorem nie powinna przebywać tu samotnie, ale za nic w świecie nie chciała wracać do hotelu - do cichego, pustego pokoju i kilku rzeczy, które przywiozła ze sobą i które wydawały się wyblakłe i zagubione na ogromnym łożu z aksamitną kapą.

Znalazła ławeczkę niemal ukrytą pod zwisającymi gałęziami i usiadła. Z daleka dochodziły przytłumione odgłosy ruchu ulicznego, powietrze było rześkie, unosił się w nim zapach wilgotnej trawy. Ściemniało się. Pomyślała przez chwilę o Carterze i Hollandzie, pochylonych nad posiłkiem. Dopiero teraz przypomniała sobie dziennikarza, a nawet jego twarz, chociaż bardzo się postarzał w ciągu lat, które minęły od pierwszego spotkania w kawiarni „Footlight Cafe”.

Zamknęła oczy, by przypomnieć sobie metalowe krzesła, poustawiane starannie wokół stolików z czarnego drewna. Próbowwała od tego uciec, ale wspomnienie było silniejsze -widziała, jak siedzi na wysokim stołku przy barze. Miesza czarną, gorzką kawę, która dawno wystygła.

- Ile miałaś lat, gdy zaczęłaś tańczyć? - spytał wówczas.

- Dziesięć.

Dziesięć lat. Wieki temu.

Wbita wzrok w ciemność, starając się odróżnić zarysy splecionych gałęzi, próbując skupić myśli na tworzonym przez nie wzorze, ale słowa i obrazy wciąż wracały.

Zobaczyła matą dziewczynkę o bladej twarzy. Wracała ze szkoły do domu. Szła, jak zawsze, sama...

11

Kwitnące drzewa owocowe pochylały się nad wąską drogą, a na jej skraju rosła młoda, gęsta trawa. Ellen szła ostrożnie, unikając czerwono-zielonego trującego bluszczu i błota,

pozostawionego przez ostatni deszcz. Jej podkolanówki wciąż były nieskazitelnie białe, a sweter starannie zapięty. Słomkowy kapelusik nadal spoczywał na swoim miejscu, chociaż szkoła dawno temu zniknęła z pola widzenia. Dziewczynka trzymała w ręce gałązkę wawrzynu. Idąc, obrywała delikatne, białe płatki oraz różowe wąsy i rozrzucała je po drodze.

Zatrzymała się, by urwać garść delikatnej trawy dla brązowego konia, który stał przy płocie po drugiej stronie drogi. Karmiąc go, czuła, jak aksamitne wargi czworonoga przeszukują jej dłoń. Był o wiele wyższy od niej. Wyobraziła sobie, że unosi ją na grzbiecie w dal, przeskakuje przez płoty i strumienie, przecina drogi i autostrady, wciąż dalej i dalej, aż w końcu docierają do takiej okolicy, w której dziewczynka niczego już nie rozpoznaje i nikt nie wie, kim jest mała amazonka i jej rumak...

Odskoczyła do tyłu, gdy koń nagle potrząsnął głową, a w powietrzu zawirowały zielonawe kropelki śliny. Jedna z nich kapnęła na nieskazitelną skarpetkę. Ellen pochyliła się i starła plamę brzegiem spódniczki. Potem powędrowała dalej, aż dotarła nad kanał. Spojrzała na szeroką wstęgę wody, nie zwracając uwagi na kaczki, zatrzymując natomiast wzrok na brązowym tobołku, który leżał w mule na granicy wody. Zeszła ze ścieżki, żeby sprawdzić, co to takiego.

Był to worek po ziemniakach, związany sznurkiem, z czymś małym w środku. Ellen szturchnęła worek czubkiem buta i odskoczyła z okrzykiem, kiedy coś się w nim lekko poruszyło. Patrzyła przerażona. Coś żywego było w środku i nieporadnie próbowało się wydostać. Wyobraziła sobie mokre, zakrwawione i drapiące ze strachu zwierzątko, pokryte ranami od szorstkiego worka. Odbiegła kilka kroków i rozejrzała się niespokojnie po pustej drodze. Za jej plecami rozległo się słabe miauknięcie. Odwróciła się.

- Kici-kici - zawołała niepewnie.

Na dźwięk głosu ruch ustał. Worek leżał nieruchomo, jakby na coś czekał. Dziewczynka pochyliła się szybko i podnio-

sła go. Wilgotny, zabłocony tobołek uderzał o jej nogi. Trzymając go więc z dala od siebie, pobięła drogą w stronę dużego domu, który stał na wzgórzu wśród cięmych sosen.

Jej buty zachręściły na wysypanym żwirem podjeździe, wtórując rytmowi oddechu. Potem pobięła ścieżką pokrytą warstwą mokrych liści i przecięła trawiasty kort, otoczony zardzewiałym drucianym ogrodzeniem. Wybrała okrężną drogę i ostrożnie obesła basen. Był elegancko wyłożony niebieskimi i złotymi płytkami, ale stała w nim brudna, śmierdząca woda, a wśród gnijących wodorostów widać było nadmuchiwana złotą rybkę. Ellen przez cały czas patrzyła prosto przed siebie, nie chcąc za nic w świecie zerknąć w dół, jakby bała się, że ponura głęбина przyciągnie jej wzrok i zawoła do siebie.

W końcu dotarła do starej przebieralni, która przypominała miniaturową górską chatę. Była zaniedbana tak samo jak reszta posiadłości; drewniane okiennice z wyciętymi w środku serduszkami zwisały bezwładnie na zawiasach przeżartych przez rdzę.

W przebieralni dziewczynka przyklęła i drżącymi palcami rozwiązała worek. Jednocześnie jej wzrok wędrował po małym pomieszczeniu, przeszukując stopy gratów. Wyciągnęła jakiś karton, włożyła do niego pożółkłe gazety, które wcześniej pozwijała w kulki. Potem znalazła sztywny ze starości ręcznik, który wciąż wisiał na haczyku pod zbutwiałym gumowym czepkiem kąpielowym. Przez chwilę powoli oddychała, potem chwyciła za rogi worka i potrząsnęła najpierw delikatnie, a potem nieco mocniej.

- Wychodź!

Po podłodze potoczyło się małe, bezwładne ciało. Po chwili z trudem uniosło się na łapki i stało sztywno, z wyprostowanym ogonkiem. Ellen patrzyła przerażona. Żałośnie chude ciało drżało, mokre białe futerko było przyklejone do ciężko unoszących się żeber i wychudłych łapek. Wybałuszone oczy zdominowały cały pyszczek, a głowa, dzięki du-

zym, sterczącym uszom, przypominała nietoperza. Kociątko powoli zaczęło podchodzić do Ellen. Dziewczynka odskoczyła do tyłu.

- Nie. Idź sobie!

Zaburczało jej w brzuchu. Kotek był brzydki, niezgrabny i brudny. Chciała, żeby wróci! do worka, znalazł się na środku kanału i utonął.

Wciąż idąc, nie odrywał od niej wzroku. Jedno oko miał błękitne jak letnie niebo, drugie ciepłe, brązowe. Otworzy! szeroko pyszczek i cichutko miaukną!

Ellen jęknęła, jej oczy napęłniły się łzami.

- Chodź do mnie...

Przyklekła przy kotku i szybko wytarła go ręcznikiem do sucha, starając się robić to jak najdelikatniej, by nie wyrzucić zwierzątku krzywdy. Potem włożyła je do pudła i wybiegła. Po kilku minutach wróciła z butelką mleka. Nalała trochę na jakiś spodeczek i postawiła obok kociątka. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach i obejrzała. Biały kształt poruszył się i zaczął chleptać mleko różowym języczkiem.

Poczuła ciepło w okolicach serca. Zadowolona z siebie, powędrowała w stronę domu.

Tego wieczoru Margaret wróciła późno. Ellen, jak zawsze, czekała na matkę, siedząc nad zadaniami. Zaplamione skarpetki dawno wyprała i zawiesiła na strychu. Zabłocone buty znów były czyste, tylko trochę wilgotne. Dziewczynka miała na nogach nowe, nieskazitelnie białe podkolanówki. Mimo to, słysząc dźwięk opon na podjeździe, poczuła kluchę w gardle. Wyprostowała się, gdy wysokie obcasy zastukały na parkiecie w korytarzu, przeszły przez jadalnię i zatrzymały się przy wejściu do kuchni.

- Cześć, Margaret - powiedziała, nie unosząc głowy. Poczuła zapach papierosów i perfum. Skupiła się na perfumach. Poznała je, była nawet w stanie przypisać ich zapach

do jednej z buteleczek na toaletce Margaret. *Madame Rochas*. Poczula przyływ optymizmu. Ten zapach kiedyś towarzyszył im na plaży. Wtedy, kiedy Margaret kupiła córce lody, śmiała się i bawiła się z nią jak przyjaciółka, nie matka. Miała na sobie nowy strój kąpielowy i była tak piękna, że Ellen chciało się płakać...

Dzisiaj jednak to nie miało żadnego znaczenia. Margaret stała w drzwiach, w jednej ręce trzymając poczerńiałą lufkę, w drugiej otwarty list. Zmarszczone czoło szpeciło jej gładką, wypielegnowaną twarz. Ellen starała się nie patrzeć, wiedząc, że Margaret nie cierpi, kiedy ktoś się na nią gapi. Martwił ją natomiast list, chociaż wiedziała, że nie zrobiła nic złego.

- Taaak! - Margaret wydeła wargi. - To będzie dobre.

Zerknęła na Ellen, w ułamku sekundy oceniając jej postawę, ubiór i pismo. Uznała, że wszystko jest w porządku, ale nie siliła się na pochwałę.

- Chodzi o najbliższe wakacje - wyjaśniła. Przerwała, jakby doskonale wyczuwała niepokój córki. - Codziennie będziesz chodzić do szkoły.

Ellen ukryła zaskoczenie i ulgę. Szkoła! Zamiast długich, pustych dni, siedzenia w domu w samotności i ciszy, czekania na koniec wakacji.

- Organizują kursy tańca. Rano balet, popołudniami tańce ludowe. Możesz chodzić na obydwie.

- Tylko nie to. Proszę. - Ellen uniosła głowę, przerażona i pełna niedowierzania. - Wolałabym zostać w domu. Nie umiem tańczyć, nie...

Urwała. Margaret uśmiechnęła się, a dym spowił jej błyszczące, czerwone usta.

- Nie sprzeciwiaj się, kochanie. Jesteś trochę niezdarna... Jak większość małych dziewczynek. - Zerknęła na obgryzione paznokcie córki. - Dobrze ci to robi.

Jeszcze tego samego wieczoru Ellen stała przy oknie w swoim pokoju, z czołem opartym o zimną, gładką szybę, wsłuchując się w odległy głos radia, dochodzący z parteru.

Cofnęła się i spojrzała na twarz odbitą w szybie, otoczoną ciemnością panującą na zewnątrz. Za duże oczy, za gęste brwi, za wysokie czoło. Błada skóra i ciemne włosy. W niczym nie przypominała Margaret ani łagodnego, chudego mężczyzny o jasnych włosach, którego widać obok niej na ślubnym zdjęciu wiszącym w korytarzu.

Jestem podrzutkiem - pomyślała Ellen. Dzieckiem zamienionym w kołysce. Albo kimś z filmu niemego. Kimś tak niezgrabnym i niezręcznym jak Charlie Chaplin. Nie pójdę - powiedziała sobie. Jej oczy przypominały czarne studnie. Będę się ukrywała.

Policzyła tygodnie do końca roku szkolnego. Zostały prawie dwa miesiące. Osiem tygodni oczekiwania i strachu...

Znów przycisnęła czoło do szyby i wyjrzała na zewnątrz, między ciemne konary sosen, w stronę starej przebieralni. Wyobraziła sobie kotka, skulonego w pudle, z brzuszkiem pełnym mleka. Już by nie żył - pomyślała, znów czując cudowne ciepło. Zatrzymała je jak tajemny płomień, coś, co może uchronić przed ciemnością.

Następnego ranka nie udało jej się odwiedzić kotka przed szkołą. Próbowwała nie wyglądać na zbyt zajęta, kiedy sprzątała kuchnię, świadoma, że matka stoi za jej plecami i starannie szczesuje szczotką klaczki z nowego kostiumu szytego na miarę. Tymczasem myśli Ellen pędziły jak szalone. Czy kotek dobrze się czuje? I co ona, do diabła, z nim robi? Zastanawiała się przez chwilę, czy nie trzymać go po prostu w przebieralni, karmić codziennie przed powrotem Margaret i pozwolić, by buszował po ogrodzie jak bezpieczny pies. Tyle że Margaret szybko by się zorientowała. Koniec końców matka zawsze o wszystkim się dowiaduje.

Wciąż jeszcze zastanawiała się, co zrobić, gdy samochód zatrzymał się przed szkołą. Nie na drodze, gdzie zatrzymywali się wszyscy inni - czerwone sportowe auto Margaret jak

zwykle wjechało na boisko i stanęło tuż pod oknami sekretariatu. Nauczyciele i rodzice pozdrawiali Margaret, kiwając jej głową, a ona odpowiadała uśmiechami.

- Do widzenia, kochanie. Pochyliła się i pocałowała córeczkę.

Ellen czuła, że wszyscy na nią patrzą i serdecznie jej zazdroszczą. Margaret była idealną mamą: młodą, piękną, odnosiła sukcesy jako lekarz i wszyscy podziwiali ją za pomoc niesioną dzieciom.

- Wytrzymaj twarz - powiedziała cicho.

Ellen podniosła rękę w miejsce, gdzie został ślad po szmince. Ścierając czerwoną plamę, przez chwilę patrzyła matce w oczy.

- Dziś znów wrócę późno - zapowiedziała Margaret, zerkając w lusterko wsteczne.

Podczas przerwy na lunch dziewczynka powędrowała do biblioteki i zaczęła szukać w książce telefonicznej hasła „Koty”. Hodowcy. Hotele dla zwierząt. Właściwie nie bardzo wiedziała, co chciałyby znaleźć. Nagle zobaczyła ogłoszenie napisane chyba z myślą o niej. Towarzystwo Ochrony Zwierząt - dom dla kotów.

Po szkole pobiegła do domu i poszła prosto do przebieralni. Kotek czekał na nią, miauczał z radości i ocierał się o jej nogi. Włożyła go do pudła i zamknęła wieko.

Zabrała je ze sobą do domu i zadzwoniła po taksówkę. Potem poszła na piętro, wyjęła pieniądze, które dostała na Boże Narodzenie i przykleiła w kopercie pod blatem biurka. Poruszała się jak we śnie, wiedząc, że gdyby zaczęła myśleć logicznie, nigdy, przenigdy nie odważyłaby się...

Taksówka podjechała pod drzwi i zatrąbiła. Ellen podskoczyła i oblała się zimnym potem. Po chwili zbiegła schodami na parter.

Podawała taksówkarzowi kartkę z adresem.

- Ile nam zajmie dojazd? - spytała chłodnym głosem Margaret, lekko marszcząc czoło.

- Och, to niedaleko... Jeśli pojedziemy bocznymi drogami, jakieś piętnaście minut.
 - Proszę się pospieszyć - powiedziała Ellen. - Muszę zdążyć na następne spotkanie. Taksówkarz uśmiechnął się do niej, ruszył i żartobliwie zasalutował.
 - Tak jest, psze pani! Kiwnięciem głowy wskazał na pudło.
 - Masz tam zbłąkanego kota?
 - Nie, to kociątko, które znalazłam w worku nad kanałem. - Słowa same wyrwały jej się z ust. - Jest chude, potrzebuje jedzenia, ale nie mogę zatrzymać go w domu, bo... bo mama nie lubi żadnych stworzeń. Tak czy inaczej, znalazłam ten adres w książce telefonicznej. - Urwała i spojrzała niepewnie na mężczyznę. - Jak pan sądzi, zajmą się nim?
 - Och, na pewno... - zaczął kierowca. - Sądzę, że... -Znów urwał.
 - Ze co? - spytała niespokojnie.
 - Hmm, pewnie spróbują znaleźć dla niego dom. To by było najlepsze, co mogliby zrobić, prawda?
 - O czym pan mówi? - spytała Ellen, marszcząc czoło. -A jeśli nie znajdą? Nie zatrzymają go u siebie?
 - Może na jakiś czas. Potem pewnie będą musieli go uśpić.
 - To znaczy... zabić? - spytała Ellen pełnym przerażenia szeptem.
 - To jedyna możliwość - oznajmił kierowca zdecydowanie. - Wiesz, zazwyczaj mają za dużo kociąt. Gdyby zatrzymywali je wszystkie...
- Ellen w milczeniu patrzyła na drogę i mocno ścisnęła pudło na kolanach. Jest takie lekkie - pomyślała. Kociątko było takie chude. Zerknęła przez szybę na mijane drzewa, domy, bramy i podjazdy. Nagle jej wzrok padł na napis przy skrzynce pocztowej.
- Proszę się zatrzymać - powiedziała. - Tutaj.

Taksówkarz odwrócił się zaskoczony.

- Co takiego?

- Proszę się zatrzymać. Chcę wysiąść.

- Posłuchaj, skarbie, wydaje mi się, że wpadłaś na całkiem niezły pomysł, żeby zawieźć znajdę do domu dla kotów.

- Nie, zmieniłam zdanie. Proszę mnie wypuścić.

- Odwiozę cię z powrotem. Zawrócił.

- Wróć na piechotę - oznajmiła Ellen. - Mogę przejść przez pola... Widzi pan?

Wskazała na wysokie sosny na wzgórzu. Kierowca stanął, wypuścił ją i nie wziął zapłaty.

- Po prostu pokaż mamie swoje słodkie kociątko, a na pewno ci nie odmówi! - zasugerował życzliwie. - Ale idź prosto do domu, dobrze?

Ellen uśmiechnęła się. Stała w bezruchu, ściskając w rękach pudło, póki taksówka nie zniknęła za zakrętem. Potem wróciła drogą, którą przyjechali. Wkrótce dotarła do długiego, półkolistego podjazdu. Zatrzymała się przy tabliczce wiszącej nad skrzynką na listy. Była wypisana odręcznie złusz-czającą się czerwoną farbą. *Kotki. Oddam za darmo do dobrych domów.*

Dom był ogromny i stary jak dom Margaret, ale podczas gdy u niej zaniedbane były tylko zabudowania gospodarcze i teren posiadłości, tutaj wszystko popadało w ruinę. Dwa koty spały w drzwiach przytulone do siebie. To dobry znak -pomyślała Ellen. Zapukała mocno.

Dość długo panowała cisza. Nawet koty nie poruszyły się przez sen. Dziewczynka zastanawiała się, czy nie powinna po prostu zostawić pudła na progu i odejść. Nie chciała jednak tak postępować. W końcu usłyszała ciche kroki, a drzwi otworzyły się szeroko. W ciemnym korytarzu stanął starszy pan, otoczony przez dziesiątki kotów. Kręciły się wokół jego stóp jak woda w strumieniu. W powietrzu unosił się zapach kotów, fruwała sierść i słychać było cichy pomruk.

- O Boże! - zawołał mężczyzna, otwierając szeroko ramiona, jakby chciał ją objąć. - Przyszłaś po kotka! Wejdz, proszę, wejdz.

- Proszę zaczekać. Nie...

Niestety, staruszek wędrował już korytarzem, a za nim gromada kotów.

Poszła za nim, przyciskając pudło do piersi. Mijali ciemne pokoje z wiszącymi w nich długimi aksamitnymi kotarami, udekorowane kandelabrami, chińskimi kanapami, perskimi dywanami, wypchanymi zwierzętami i wazonami pełnymi suszonych kwiatów. Gdzieś na stołach i kredensach stały kryształowe kieliszki, które wyglądały, jakby postawiono je tam przed chwilą, ale wszystkie były pokryte grubą warstwą białego kurzu i kociej sierści. Drewniane powierzchnie nosiły ślady kocich pazurów, a zasłony i gobeliny zwisały w strzępach.

W końcu weszli do zalanej światłem słonecznym oranżerii, w której stały trzy długie stoły i drewniane ławy. Przez otwarte okna wpadało świeże powietrze. Na stołach, wśród bardzo licznych koszyków, szczotek, butelek, puszek z proszkiem na pchły i jedzeniem dla kotów, stały filiżanki po herbacie.

Ellen zatrzymała się w drzwiach.

- Przepraszam - powiedziała tak uprzejmie, jak tylko potrafiła. - Ale ja tylko przyniosłam panu kotka.

Mężczyzna odwrócił się powoli. Zerknął na nią spod krzaczastych brwi.

- Wyciągnęłam go z kanału - wyznała Ellen szczerze. - Jest wygłodzony, ale nie mogę zatrzymać go w domu. Pan go musi wziąć. Proszę.

Położyła pudło na najbliższym stole i ostrożnie otworzyła.

- Zaczekaj chwileczkę. - Mężczyzna szybko podszedł. - Nie wypuszczaj go, bo ucieknie i potem nie zdołamy się do niego zbliżyć.

- Nie będzie problemu - zapewniła, wyjmując kotka. - Nie boi się mnie.

Przytuliła go do klatki piersiowej.

- Proszę, proszę - powiedział mężczyzna. - To kot z bajki. - Poglaskał go po maleńkim łebku. -
Widzisz? Jedno oko ma błękitne, a drugie brązowe.

Ellen przytaknęła. Staruszek zmarszczył czoło i zacmokał.

- Biedactwo.

Kiedy wyczuł chude ciało, na jego twarzy odbiła się złość.

- Jest wygłodzony!

- Znalazłam go wczoraj - wyjaśniła Ellen szybko. - Dałam mu mleka.

- Dobra z ciebie dziewczynka. Miałeś, kotku, szczęście - powiedział łagodnie.

Wziął zwierzątko i obejrzał je.

- To chłopiec. Jak ma na imię?

- Nie wiem.

- Jeśli ma być twoim kotkiem, musisz nadać mu imię.

- Pan nie rozumie! - powiedziała Ellen z goryczą. - On nie będzie moim kotkiem. Nie wolno mi...

- Ależ on już jest twoim kotkiem. Uratowałaś mu życie! Zajmę się nim, ale to będzie twój kotek.

- To znaczy, że... będę mogła go odwiedzać? - spytała Ellen nieśmiało.

- Oczywiście. Kiedy tylko zechcesz. - Mężczyzna rozłożył ręce w zapraszającym geście.

Ellen uśmiechnęła się, a w jej oczach błysnęła radość, gdy dotarło do niej znaczenie usłyszanych słów. Koniec z długimi godzinami grzecznego czekania na powrót Margaret. Po szkole będzie przychodzić tu, żeby odwiedzić kotka, tak jak inne dzieci odwiedzają szkolnych przyjaciół, żeby zjeść ciastka i wypić mleko w ciepłej kuchni.

- Jesteś tu zawsze mile widziana - zapewnił staruszek. Ellen bacznie przyjrzała się jego twarzy.

- Pod warunkiem, że to będzie nasza tajemnica - zastrzegła.

- Jasne - zapewnił mężczyzna. - Jeśli chcesz, możesz przychodzić w przebraniu, a nawet przybrać fałszywe imię. A tak przy okazji, jestem Eildon.

Wyciągnął rękę. Na szorstkiej starczej skórze widać było liczne ślady zadrapań.

Dziewczynka ujęła tę dłoń i poczuła jej ciepło.

- Ellen - przedstawiła się. - Mam dziesięć lat.

Nazwali kotka Perdito, czyli „ten, który się zgubił”. Kiedy Ellen po szkole przychodziła z wizytą, snuł się za nią, mruczał i ocierał łebkiem o jej nogi, zwłaszcza gdy pomagała Eil-donowi w jego zajęciach. Razem karmili osieroczone kociąt-ka, szukali w ich uszach kleszczy i wyjmowali rzepy z ogonów długowłosych persów. Potem myli miseczki kotów, płukali filiżanki po herbacie i wcierali w robione ręcznie obroże ziołowy środek na pchły. Kiedy zrobili wszystko, co mieli do zrobienia danego dnia, siadali w zakurzonej saloniku i pili herbatę. Nie używali mleka ani cukru; eleganckie porcelanowe filiżanki wypełniał płyn złocisty jak miód. Nektar bogów, jak mawiał Eildon, a Ellen mu wierzyła. W poniedziałki pijali darjeeling, we wtorki - herbatę jaśminową, potem ceylon, assam i russian caravan. Czasami przy herbacie opowiadali sobie historię o kocich rodzinach, ale często po prostu siedzieli w milczeniu, które przerywało tylko miauczenie kociąt i szum wiatru w gałęziach drzew za oknem.

- Pora iść - mówił zawsze Eildon po drugiej herbacie. -Nie możesz się spóźnić...

Kiedy samochód Margaret skręcał w podjazd, dziewczynka siedziała przy biurku, czysta, świeża i najedzona. Zdążyła nawet umyć naczynia po odgrzewanym obiedzie i rozwiązać zadania. Kiedy słyszała, że klucz obraca się w zamku, a wysokie obcasy stukają na podłodze w korytarzu, wbijała wzrok w swoje dłonie, bojąc się, że oczy mogą zdradzić jej tajemnicę.

Żeby odpędzić myśli o Perdicie, Eildonie i wielkim, zniszczonym domu, wybiegała myślami kilka tygodni naprzód, do końca roku szkolnego. Wisiał nad nią ponury cień - kursy tańca. Balet i tańce ludowe, ranki i popołudnia, dzień po dniu, przez całe wakacje. Wyobrażając sobie przykre sceny, wpadała w ponury nastrój. Czas nie stoi w miejscu - przypominała sobie, czując, że jej tajemnica bezpiecznie spoczywa na dnie serca. Czas płynie. Koniec roku szkolnego i tak nadejdzie, a wtedy nie będzie ucieczki.

12

Koleżanki patrzyły, jak Ellen nakłada różowe trykoty, różową bluzeczkę i różowe satynowe buciki. Nie odzywały się ani słowem, ale czuła ich zazdrosne spojrzenia.

Obok Caroline wsuwała chude nogi w obcisłe, czarne rajstopy. Przechyliła się nad Ellen, żeby porozmawiać z dwiema dziewczynkami, które o czymś szeptały, zakrywając dłońmi usta.

- Spójrzcie tylko na Nicolę.

Caroline kiwnięciem głowy wskazała przeciwległy róg sali, gdzie koleżanka wkładała czarny strój, który wyglądał na ciepły i wełniany, co gorsza, miał lekko wypchane kolana.

- Robiony na drutach... przez jej mamę! Chyba umrę! Spojrzała na jasnoróżowe buciki Ellen z długimi wstążeczkami.

- Szczęściara z ciebie. Twoja mama jest najlepsza.

- Wiem - powiedziała Ellen. Przez chwilę milczała, potem dodała: - Niestety... Nie pozwala mi nigdzie chodzić. Znalazłam się tutaj tylko dlatego, że kiedy pracuje, chce koniecznie wiedzieć, gdzie jestem.

Wbiła wzrok w stopy, jakby wstydziała się swoich słów. Caroline przytaknęła ze zrozumieniem.

- Wszystko dlatego, że nie masz taty. Ona ma tylko ciebie... Nic dziwnego, że jest nadopiekuńcza. Tak przynajmniej mówi moja mama.

Ellen uniosła głowę.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła Caroline. - Chociaż nie do mnie, tylko do pani Edwards.

Ellen schyliła się, by zawiązać buty. Próbowwała sobie przypomnieć sposób, jaki pokazywała jej sprzedawczyni, ale trudno było jej się wtedy skupić pod czujnym wzrokiem Margaret, która opowiadała ekspedientce o małych dziewczynkach i o tym, ile jest przy nich pracy.

W drzwiach pojawiła się jakaś wysoka, prosta jak kij kobieta o długich, ciemnych włosach upiętych w kok. Miała na sobie luźne ubranie i skórzane pantofelki na płaskich obcasach.

- Witajcie, dziewczęta - powiedziała wesoło, z uśmiechem na ustach. - Jestem panna Louise.

Wszystkie gotowe?

Omiotła wzrokiem zgromadzone uczennice, na chwilę zatrzymując się na Ellen, którą zmierzyła od stóp do głów. Lekko uniosła brwi. Dziewczynka zarumieniła się i zaczęła obgryzać kciuk.

Kobieta przesunęła wzrok dalej.

- Kochanie... mówię do dziewczynki we wzorzystym sweterku. Zdejmij go. Jak to zrobisz, będziecie mogły wejść do sali.

Kiedy wyszła, w szatni zapanowała cisza. Caroline zrobiła głupią minę i głośno jęknęła.

- To będzie gorsze niż szkoła. Nie mam zamiaru przychodzić.

Kobieta czekała na sali gimnastycznej. Mijając ją, Ellen bacznie jej się przyjrzała. Z bliska twarz panny Louise wcale nie wyglądała na surową. Czarne kreski biegły przez obie powieki i unosiły się lekko w kącikach oczu. Kobieta pachniała talkiem. Uśmiechnęła się. Ellen szybko odwróciła wzrok.

- A teraz, dziewczęta, stańcie przy poręczy w taki sposób! - zawołała panna Louise.

Rozchyliła na zewnątrz stopy i jedną rękę położyła lekko na poręczy zainstalowanej przed ogromnym lustrem, które biegło wzdłuż sali gimnastycznej.

Dziewczynki szybko pozajmowały miejsca. Ellen poszła w najdalszy kąt i stanęła przy końcu poręczy. Nauczycielka najpierw wszystko wyjaśniła, a potem, licząc, wykonywała wolne ruchy rękami i nogami. Dziewczynki uważnie słuchały i naśladowały ją najlepiej, jak umiały. Pracowały w skupieniu, nie mając odwagi na śmiech i żarty w obecności poważnej Louise. Miała niski, melodyjny głos z lekkim francuskim akcentem, dzięki któremu jej słowa nabierały nieco tajemniczości.

Dziewczynki dosłownie wisiąły wzrokiem na jej wargach, jakby obiecywała coś nadzwyczaj cennego.

Ellen czuła się naga i niezgrabna, próbując naśladować płynne ruchy nauczycielki. Wiedziała, że jej strój ukazuje każdą wklęsłość i wypukłość ciała; żałowała, że nie ma na sobie zwykłego stroju gimnastycznego, jak inne dziewczęta. Zastanawiała się, czy Margaret zdawała sobie sprawę, jak głupio będzie się czuła jej córka ubrana jak baletnica, a przecież tak niezgrabna. Pochyliła głowę i spojrzała na obciągnięte satyną palce stóp, ale nie mogła schować się za kaskadą włosów. Wciąż swędziało ją cała czaszka po tym, jak Margaret podciągnęła jej włosy do góry, zwinęła je ciasno na czubku głowy i przypięła ostrymi spinkami.

Dziewczynka uniosła głowę, czując nagle, że ktoś uważnie jej się przygląda.

- Ellen - poleciała nauczycielka. - Chodź tutaj. Podeszła, mając nadzieję, że zostanie wyrzucona z kursu.

„Bardzo nam przykro, pani Kirby - wyobrażała sobie wyjaśnienie. - W przypadku pani córki byłaby to tylko strata czasu". Poczwała zdecydowane, ale delikatne dłonie Louise na swoim ciele.

- Unieś... a teraz naciągnij. Czujesz to? - spytała nauczycielka.

Dziewczynka przytaknęła.

- Teraz wyciągnij palce i skreć nogę na zewnątrz. I jeszcze raz. Czujesz?

Tak. Ellen, zaskoczona, uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dobrze - powiedziała Louise, kiwając z wdziękiem głową na długiej, białej szyi. - Bardzo dobrze, Ellen. A teraz zostań tutaj, z przodu.

Dziewczynka obserwowała wyprostowaną postawę kobiety i starała się ją naśladować. Gdy od czasu do czasu dostrzegała swoje odbicie w lustrze, była zaskoczona. Czuła się tak, jakby nagle odkryła inne ciało, marionetkę, która reaguje na jej polecenia.

Louise znów podeszła, stanęła obok i ułożyła ręce i palce Ellen tak, że tworzyły jakby łagodne fale.

- Dobrze - pochwaliła. - A teraz wytrzymaj w takiej pozycji, Ellen. Wyciągnij szyję. Spróbuj stać się łabędziem. Spójrzcie na nią, dziewczęta. - Uśmiechnęła się, widząc rządki twarzyczek. - Jesteście wszystkie brzydkimi kaczątkami, ale możecie stać się łabędziami. Ćwiczcie w domu. Raz, dwa, trzy, cztery. Przed lustrem w sypialni. Co wieczór. Powtarzajcie to jak modlitwę.

Po zakończeniu zajęć skłoniła się lekko i zaklaskała w dłonie.

- Dziękuję, moje panie.

Dwa tygodnie przypominały sen o napinaniu mięśni, pocie i maleńkich, słodkich chwilach sukcesu. Ellen szybko zdała sobie sprawę, że nowe ruchy wcale nie są naturalne. Trzeba było unosić ręce przy opuszczonych ramionach. Pochylać szyję, ale przez cały czas mieć wyprostowane plecy. Dziewczynka nauczyła się wydawać rozkazy poszczególnym częściom ciała, żądać od nich posłuszeństwa, podporządkowa-

nia i zorganizowania. „Umysł rządzi materią” - brzmiało jedno z ulubionych powiedzonek Margaret. Miała rację. To był pierwszy etap. Potem wszystko trzeba było połączyć, żeby ruchy nabrały płynności. Przez cały czas twarz powinna być poważna, spokojna i lekko uśmiechnięta, chociaż bolały palce pokryte pęcherzami i mięśnie łydek, gdy chwytaly je kurcze.

Louise przez cały czas trzymała Ellen blisko siebie i naklaniała ją do jeszcze większego wysiłku, jeszcze silniejszego napięcia mięśni, jeszcze płynniejszych ruchów. Pozostałe dziewczęta obserwowały koleżankę z zazdrością; ona sama czuła się tak, jakby została w jakiś sposób naznaczona i powoli przeobrażała się w kogoś nowego. Z każdym dniem coraz bardziej oddalała się od pozostałych uczestniczek kursu.

Po zajęciach szła na piechotę do domu drogą, która rozciągała się przed nią jak pusta scena. Stojący przy drodze koń obserwował ją i aprobując kiwał głową, kiedy podskakiwała i wykonywała obroty w powietrzu.

Eildon otoczony kotami uśmiechał się i klaskał.

- Jestem w tym naprawdę dobra - wyznała Ellen.

- To prawda - potwierdził. - Masz kocie ruchy! Wakacje szybko dobiegły końca. Kiedy skończyły się

ostatnie zajęcia, Louise odciągnęła Ellen na bok.

- Ellen - powiedziała niemal ze smutkiem, jakby miała przekazać dziewczynce złą wiadomość. - Masz idealne ciało baletnicy. Powinnaś kontynuować naukę tańca.

- Przyjedzie pani na następne wakacje? - spytała dziewczynka z nadzieją. - Świetnie się bawiłam.

- Nie, nie rozumiesz - mówiła Louise. - Mam wobec ciebie pewne plany. Wkrótce otworzą nową szkołę baletową, wzorowaną na starej cesarskiej szkole baletowej w Rosji: będzie to szkoła z internatem, a przyjęte do niej zostaną tylko te dziewczęta, które mają odpowiednie predyspozycje. - W jej głosie zabrzmiało podniecenie. - Będą stanowić elitę,

wybraną wśród dziewcząt z całej Ameryki. Szkoła zapewni im wszystko, wszechstronne przygotowanie i wykształcenie. Zostaną pierwszymi prawdziwymi baletnicami w naszym kraju. - Ujęła Ellen za ramiona, a jej oczy zalśniły na myśl o przyszłości, jaka czeka dziewczynkę. - Mam zamiar zgłosić twoją kandydaturę na egzamin wstępny i do stypendium. To szansa, jakiej ja nigdy nie miałam. Och, chciałabym znów być młoda i móc poświęcić wszystko dla tańca!

- Mama mi nie pozwoli - wtrąciła Ellen. - Nawet nie śmiałybym jej o to prosić. Po prostu się nie zgodzi.

- Na razie o nic się nie martw. Jeśli zostaniesz przyjęta, będzie to taki zaszczyt, że mama zmieni zdanie - tłumaczyła Louise.

Ellen potrząsnęła głową, ale nauczycielka była nieugięta.

- Miałam już do czynienia z podobnymi sytuacjami - obstawała przy swoim. - Tak czy inaczej, minie kilka miesięcy, nim zorganizują nabór w tym regionie. Załatwię wszystko tak, żeby przeprowadzono z tobą rozmowę tutaj, podczas zajęć szkolnych. Dzięki temu nie sprawimy twojej mamie dodatkowego kłopotu. W porządku?

Dziewczynka przytaknęła.

- I jeszcze jedno - dodała Louise. - Do tego czasu nie chodź do nikogo na lekcje. Lepiej, jeśli będziesz... - Zmarszczyła czoło, jakby szukała słowa. - ...Surowa - zakończyła.

Kiedy w końcu nadszedł dzień rekrutacji do szkoły baletowej, Louise pojawiła się w drzwiach klasy Ellen. W całym pomieszczeniu rozeszły się pełne podniecenia, stłumione okrzyki, gdy część dziewcząt ją rozpoznała. Nawet nauczyciel wyraźnie ucieszył się na jej widok. Sprawiał wrażenie zawiedzionego, gdy spytała tylko, czy może zabrać Ellen na umówione spotkanie.

Wędrowały korytarzami szkoły.

- Nie denerwuj się - powiedziała Louise. - A jeśli nawet będziesz niespokojna, ukryj to. Najważniejszą rzeczą pod-

czas występu jest umiejętność panowania nad lękiem. Bez tej umiejętności nie możesz zostać baletnicą.

Ellen szła spokojnie obok niej. Zrobi, co jej każą, zachowa się grzecznie i uprzejmie, tak jak ją wychowano. Poza tym, prawdę mówiąc, i tak nie ma żadnych szans, bo Margaret po prostu się nie zgodzi, żeby córka wyjechała do szkoły baletowej. Ukarze ją tylko za to, że okazała się egoistką. Pomyślała o swych planach i o tym, że matka ratuje życie przerażonych dzieci, usuwa im chore nerki, daje lekarstwa, żeby włosy rosły im jak małpkom... Chociaż wyobraź sobie - rozmyślała Ellen - dom, w którym dziewczynki mieszkają w gromadzie, gdzie wszystkich obowiązują te same reguły. To przypominało nieśmiertelne marzenie o koniu, który unosi ją w dal. Marzenie, które nigdy się nie spełni.

Kiedy weszła do sali gimnastycznej, trzech mężczyzn w garniturach wstali i czekali na nią. Obok siedziała chuda, młoda kobieta, koło której leżało pudełko przypominające apteczkę. Na jej widok Ellen poczuła lekki niepokój. Louise podprowadziła ją do oczekujących mężczyzn.

- To Ellen Kirby, ma dziesięć lat. Ukłoń się, Ellen... Mężczyźni sprawiali wrażenie niespokojnych, jakby gdzieś

im się spieszyło. Sądząc po wyrazie ich twarzy, nie spodziewali się wiele.

- Ellen tylko się przebierze - mówiła Louise.

Dziewczynka wyszła, gotowa zaprezentować wszystko, czego się nauczyła, ale okazało się to zbyt ciche. Panowie tylko przyglądali się niezwykle uważnie jej ciału. Poprosili ją, żeby się przeciągnęła, skręciła w bok, sięgnęła po coś, i komentowali jej elastyczność. Potem chuda kobieta otworzyła torbę i wyjęła z niej miarkę. Ellen starała się nie wdychać zapachu środków dezynfekujących, który dobiega! od nieznajomej, kiedy pochylała się i mierzyła długość jej najważniejszych kości, a także obwód głowy, talii, bioder. Jeden z mężczyzn wszystko notował. Sprawdził coś na wydrukowanych wykresach, a potem stał już nieruchomo i z natężeniem przyglądał

się Ellen. Miał głęboko osadzone oczy w okrągłej twarzy. Zatrzymał na chwilę wzrok na wzniesieniach jej piersi.

- Czy zaczęła miesiączkować? - spytał Louise.

- Och... - Nauczycielka uniosła dłonie do twarzy. - Nie pytałam.

Podbiegła do Ellen i spytała półszeptem:

- Czy zaczęłaś już... comiesięczne krwawienia?

Ellen powoli unosiła głowę, grając na zwłokę. W jej oczach widać było zaskoczenie i czający się strach kogoś, kto został o coś niesłusznie oskarżony.

- Nie - odparła Louise. Mężczyzna wyglądał na zadowolonego.

- A teraz, hm... Ellen... powiedz mi coś o swojej mamie. Ellen drgnęła, jakby ktoś wymierzył jej klapsa.

- Czy jest wysoka? Tęga?

- Jest... duża - zaczęła dziewczynka, ale urwała, bo Louise wybuchnęła śmiechem.

- Nie, to nieprawda! Widziałam ją. Jest wysoka, ale nie za bardzo, i cudownie smukła.

- A co z ojcem? - ciągnął mężczyzna. - Ile ma wzrostu? Ellen nie odrywała wzroku od podłogi.

- Nie wiem nic na temat taty - szepnęła.

W domu nigdy nie wymieniało się nawet jego imienia, a dziewczynka nauczyła się nie zadawać pytań na jego temat. Tylko raz zaryzykowała. Podczas jednej z rzadkich wypraw do miasta, kiedy razem z Margaret kupowały ubrania i nowe perfumy.

- Jesteś już duża - powiedziała Margaret. - Możesz wybrać się z mamą na kawę.

Siedziały w eleganckiej kawiarni, rozmawiając o kawie wiedeńskiej i trzywarstwowym cieście. Teraz mogę spytać - pomyślała Ellen.

- Margaret, co się stało z moim tatą?

Zapadła okropna cisza, słońce straciło blask. Twarz matki stężała i pojawił się na niej ogromny smutek.

- Twój ojciec odszedł, kiedy byłaś małeńka. Próbowałam nakłonić go, żeby został, ale powiedział, że nie jest w stanie dzień po dniu tolerować obecności niemowlęcia. Tak powiedział. Po prostu, kiedy patrzył na ciebie, czuł się nieszczęśliwy i... robiło mu się niedobrze. Więc odszedł.

W oczach Margaret pojawiły się łzy.

- Po prostu zniknął - dodała.

Westchnęła. Ellen sięgnęła ręką przez stolik, ale Margaret cofnęła dłoń i przycisnęła ją do piersi.

Louise zaprowadziła Ellen w przeciwny róg sali gimnastycznej i kazała jej podejść do mężczyzn, obrócić się dwa razy przed nimi, a potem udać się na poprzednie miejsce.

Ellen wykonała polecenie, czując, że mężczyźni bacznie ją obserwują. Wy też mnie nienawidzicie - pomyślała i przez chwilę miała ochotę zniknąć jak suchy liść wrzucony do ognia. Wyobraziła sobie więc, że ukrywa się w pięknej i pełnej gracji marionetce. Unieś głowę, opuść ramiona, odwróć głowę i lekko się uśmiechnij. Pamiętaj, że jesteś brzydkim kaczątkiem przemienionym w śnieżnobiałego łąbędzia. Wszyscy są tobą zachwyceni...

Chociaż była bardzo skoncentrowana na sobie, dotarły do niej ciche głosy:

- Jest idealna! -Tak!

- Tak, przyjaciele, to ciało rosyjskiej baleriny.

13

List przyszedł dopiero po kilku tygodniach, pod adresem szkoły. Amerykańska Akademia Baletu Klasycznego proponowała Ellen Livingstone Kirby stypendium i miejsce od najbliższego semestru.

Ellen odczekała, aż Margaret odpocznie nieco po pracy, i dopiero wtedy wręczyła jej list, a z nim drugi - od Louise,

która wyjaśniała, jaki honor spotkał dziewczynkę i jak wszyscy są z niej dumni.

Margaret odłożyła list i długo się śmiała głośno. Obserwując ją, Ellen zaczęła się bać, żałowała, że nie wyrzuciła listu do sadzawki, tak jak pierwotnie zamierzała.

Nagle matka przestała się śmiać. Jej twarz miała dziwny wyraz, usta były wykrzywione, a oczy wydawały się za duże. Chyba zastanawiała się, co powiedzieć.

- Chcesz iść do szkoły baletowej? - spytała wyzywająco. Powiedz: „nie”. Powiedz: „nie”. Powiedz: „nie”. Ellen

czuła, jak serce wali jej w piersiach.

- Tak, chcę. Chcę zostać tancerką. Margaret odwróciła się od niej.

- Nie będziesz musiała już po mnie sprzątać - ciągnęła dziewczynka.

Potem urwała, nagle zaskoczona dziwną myślą, że może Margaret wcale nie chce się jej pozbyć.

- Będę przyjeżdżała do domu na święta, jak wszystkie dziewczynki, które uczą się w szkole z internatem.

Twarz matki była nieprzenikniona. Jeszcze raz Margaret podniosła list do oczu i znów go przeczytała.

- Co my tu mamy? - zastanawiała się na głos. - Zgoda rodziców lub opiekunów... zwolnienie od odpowiedzialności... podpis jednego z rodziców lub opiekunów.

Wyjęła z torebki długopis i starannie podpisała dokument. Potem złożyła kartkę i wręczyła ją Ellen, przez moment przyglądając się jej z kamienną twarzą.

Ellen powoli powędrowała na piętro, niosąc dokument jak relikwię. Chciała biec i tańczyć z radości. Chciała zobaczyć pełną dumy twarz Eildona. Chciała wziąć Perdita w ramiona i mocno go uściskać. Potknęła się na najwyższym stopniu, a oczy zasnuły jej się łzami. Niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby matka powiedziała: „świetnie się spisałaś” i uśmiechnęła się z dumą i miłością w oczach.

Nieco później Margaret przysłała do pokoju Ellen, z kieliszkiem bezbarwnego alkoholu w ręce.

- Mam nadzieję, że jeszcze się nie pakujesz? - Znów się roześmiała, wykrzywiając usta. - Prawdę mówiąc, nigdzie nie pojedziesz. Wiesz o tym, prawda?

Ellen stała cicho, wiedząc, że za chwilę matka wyciągnie jakiegoś asa z rękawa. Zawsze tak było. Margaret westchnęła.

- Gdyby stypendium obejmowało wszystkie wydatki, właściwie nie mogłabym cię zatrzymać. Nie miałabym prawa stawać na drodze tak wielkiemu talentowi, ale jeśli człowiek uważniej wczyta się w te pięknie brzmiące słowa, okaże się, że akademia nie ma zamiaru pokrywać kosztów utrzymania uczennicy ani zakupu odpowiednich rekwizytów, niezależnie od tego, co to jest. Informują tylko, że z semestru na semestr wydatki te rosną o kilkaset dolarów. Wiesz, że nie stać mnie na to, a i bez tego ciężko pracuję. - Wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się ból. - Chyba że masz jakieś sekretne źródło pieniędzy, złotko, i możesz utrzymać się sama.

Spojrzała na Ellen z dziwnym niepokojem. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy do nich dotarła, kieliszek wypadł jej z ręki. Rozbił się i szkło rozprysnęło po całym pokoju. W powietrzu rozszedł się mocny, ostry zapach.

Dziewczynka patrzyła w puste drzwi i słuchała kroków na schodach. Wyobrażała sobie, że biegnie, ucieka stąd.

W następnych dniach Margaret, jak zwykle, późno wracała do domu. Sprawdziała zadania Ellen i jej ręce, a potem spędzała całe wieczory w swoim gabinecie na czytaniu. Powoli do domu wróciła normalna cisza, jakby nigdy nie było żadnego listu ani szalonych marzeń. Dziewczynka próbowała sobie wmówić, że to już przeszłość i że lepiej będzie, jeśli o wszystkim zapomni.

Podczas którejś wizyty u Eildona staruszek wyczuł, że stało się coś, i wydusił z niej prawdę. Kiedy powiedziała, że dostała stypendium na naukę w nowej akademii, jego twarz

rozpromieniła się z dumy i podniecenia. Podskoczył, płosząc kociaki, i chwycił ją za rękę.

- Świetnie się spisałaś! - powiedział, ściskając jej dłoń. - Jestem z ciebie dumny!

- Ale nie mogę jechać - wyjaśniła Ellen z goryczą. - Za dużo trzeba by płacić, a Margaret na to nie stać.

Uśmiech zamarł na twarzy Eildona.

- Czy tak właśnie ci powiedziała? - spytał z niedowierzaniem.

Dziewczynka przytaknęła.

- Mamy dużo wydatków, a mama już i tak ciężko pracuje.

- Za ciężko - zgodził się Eildon, ale bez śladu współczucia w głosie.

Pochylił się i podrapał za uszami kota, który ocierał się o jego nogi.

- Chcesz tam jechać? - spytał cicho.

- Chcę być tancerką - odparła Ellen. - Dobrze mi to idzie... - Oddychała powoli. - Ale mama mi nie pozwoli. Koniec, kropka. Nigdy nie zmienia zdania.

- Tym razem zmieni - zapewnił ją zdecydowanie Eildon. Kiedy przymrużył oczy, pojawiła się w nich złość.

- Nie wierzę - powiedziała Ellen i niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Może i wyglądam na nędzarza - mówił jej przyjaciel. - Ale wciąż mam niezłe znajomości.

Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie przez mruczenie kotów. Kiedy starszek znów się odezwał, jego głos był lekki, niemal beztrouski.

- Twoja matka jest bardzo szanowanym pediatrą. Dziewczynka skinęła głową i dodała z dumą:

- Ludzie przyjeżdżają do niej nawet z Anglii.

- Owszem - przyznał Eildon. - Słyszałem, że zastanawiają się, czy nie oddać jej katedry w Harvardzie.

- Byłaby pierwszą kobietą na tym stanowisku - stwierdziła Ellen. Uniosła brodę, nie kryjąc dumy.

- Hmm - mruknął starzec. Zaciśnął wargi w wąską kreseczkę i opuścił kąciki ust. - To dziwne, że tyle czasu poświęca, by pomóc innym dzieciom, podczas gdy ty siedzisz sama w domu. Nigdy mi się to nie podobało.

Przez cały czas głaska! starego kocura, którego trzymał na kolanach. Jego ruchy były miarowe, ale zbyt mocne, więc w końcu kot uwolnił się z uścisku i uciekł.

- Niezależnie od tego, jak na to spojrzeć, powinna się cholernie wstydzić - ciągnął Eildon. - Ile ty masz lat? Dziesięć? Jedenaście? Uważam, że cię zaniedbuje.

Ellen spojrzała na niego, wyraźnie zaszokowana. Rozchyliła usta i wyrzuciła z siebie wszystko, co miała na końcu języka.

- Margaret musi pracować do późna. Ma pod opieką wiele chorych dzieci. Potrzebują jej w szpitalu.

- No cóż, pora, żeby ktoś pomyślał o tym, czego ty potrzebujesz - oznajmił Eildon zdecydowanie. - Myślę, że muszę uciąć sobie z doktor Margaret pogawędkę, a jeśli to nie poskutkuje, porozmawiam ze swoimi kolegami z Harvardu. Jestem pewien, że się ze mną zgodzą.

- Nie, proszę! - błagała Ellen. - Będzie zła.

- Ja już jestem zły - odparł Eildon. Wychylił się do przodu i spojrzał dziewczynce prosto w oczy. - Posłuchaj, nie masz się o co martwić. Dopilnuję, żeby wszystko było jak należy.

- Ale nie... - Ellen urwała.

- Zaufaj mi - poprosił Eildon. - Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Nie odrywał wzroku od Ellen, aż w końcu potakująco kiwnęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Uśmiechnął się.

Ellen pochyliła się, żeby podnieść Perdita, i przytuliła go do piersi. Spojrzała w jego oczy, jedno niebieskie, drugie brązowe.

- Margaret mnie lubi - powiedziała cicho, bezbarwnie, a jej głos bardziej przypominał tchnienie wiatru. - Naprawdę mnie lubi.

Twarz Eildona złagodniała.

- Oczywiście, ale dużo pracuje. Nie może odpowiednio się tobą zająć. Powinna więc wysłać córkę do dobrej szkoły z internatem, a jestem pewien, że szkoła baletowa będzie odpowiednia!

- Niestety, wciąż pozostaje problem pieniędzy - przypomniała dziewczynka.

Na jej twarzy widać było niepewność, rozdarcie między nadzieją a bólem.

- Do diabła z pieniędzmi! - Eildon uśmiechnął się i machnięciem ręki wskazał salon. - Mam tutaj mnóstwo cennych rupieci, które tylko niszczej. Zapłacę za szkołę.

- Nie... - zaczęła Ellen.

Eildon położył palec na jej ustach. Poczowała delikatny dotyk szorstkiej skóry.

- Możesz wziąć wszystko - powiedział. - Mojego konia, moje królestwo. - Zacisnął ręce i zrobił błagalną minę. - Wszystko za jeden uśmiech.

Wargi Ellen zadrżały. Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły ściekać po policzkach, ale w końcu uśmiechnęła się promiennie, odsuwając strach na bok.

Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, niebo było błękitne i pełne słonecznego blasku. Na dworcu panował hałas i tłok. Tragarze przeciskali się między grupami pasażerów, gapiów i przyjaciół odjeżdżających. Bagaze tworzyły na ziemi całe stosy.

Margaret stała na skraju peronu i wysokim obcasem buta w krwistoczerwonym kolorze nerwowo wystukiwała rytm o beton. Wysoki, nieruchomy Eildon stał tuż za nią. Ellen wychyliła się przez okno i przeniosła wzrok z jednej twarzy

na drugą. Niezgrabnie objęła się rękami, czując sztywny materiał nowego szkolnego mundurka. W kieszeni swetra, na piersi, miała kartonik o ostrych brzegach. Z jednej strony było tam czarno-białe zdjęcie jej twarzy o dużych, ciemnych oczach. Z drugiej widniał napis: *Legitymacja uczniowska. Amerykańska Akademia Baletu Klasycznego*. Ellen czuła się tak, jakby legitymacja stanowiła dowód jakiegoś przestępstwa.

Margaret podała Eildonowi bagaże córki. Uśmiechnęła się ponuro i kiwnęła głową, jakby dokonali jakiejś transakcji.

Kolejarz zagwizdał. Eildon wniósł torby do pociągu, potem z uśmiechem zwrócił się do dziewczynki:

- Pora się pożegnać.

Przyciągnął Ellen i mocno ją uściskał. Pachniał tweedem, kotami i ziołami.

- Uważaj na siebie - szepnął jej do ucha. - I pisz do mnie, dobrze?

Przyszła kolej na Margaret.

- Do widzenia, Ellen.

Pocałunek w policzek. Dotyk wyprasowanego bawełnianego kołnierzyka. Ellen cofnęła się, przerażona. Nie poczuła żadnych perfum. Ani śladu zapachu, co wywołało w niej wrażenie, że Margaret nie żyje. Że została zamordowana. Zdradzona. Opuszczona po raz drugi w życiu.

Z okna pociągu ona i Eildon wyglądali na małych. Byli mężczyzną i kobietą, którzy stali obok siebie jak mama i tata. Ellen próbowała udawać, że właśnie nimi są, że kochają siebie nawzajem, że kochają ją; że będą tęsknić za swą córeczką.

Pociąg ruszył. Dwie postacie na peronie zaczęły machać rękami. Ellen odpowiedziała tym samym. Otworzyła usta, żeby zawołać coś na pożegnanie, ale nie mogła wydobyć głosu.

Potem siedziała w pociągu, kołysana miarowymi ruchami, a jej głowa rytmicznie uderzała o twardą, zimną szybę. W rę-

ce ścisnęła wymięty, wilgotny bilet. Przygarbiła plecy. Łzy płynęły jej po policzkach, gdy pociąg wiozł ją coraz dalej i dalej. Czuła się odrętwiała, zmarznięta, rozdarta między ból, strach i poczucie straty a nikłą, ale cudowną nadzieję.

14

Ellen jechała przez Nową Anglię, od czasu do czasu zatrzymując się, by zerknąć na mapę. Carter przysłał jej faks z objaśnieniami, jak znaleźć klinikę, w której przebywa Ziggy, ale drogi były wąskie, kręte i nie najlepiej oznakowane.

Spoglądając przez szybę, starała się zachować dystans między sobą, zamkniętą w samochodzie, a światem zewnętrznym. Mimo to gdzieś w głębi duszy zaczęły kształtować się znane obrazy. Przypomniała sobie dużego konia i dotyk jego aksamitnych warg na dłoni. Ciemnoczerwone owoce głogu, zerwane z krzaków i rozdeptane na drodze. Ogromne, wilgotne liście klonów w kształcie parasolek. Kaczki nurkujące i pływające po spokojnej wodzie. Ugory z wysoką do kolan trawą. Młode sadzonki drzewek w świeżo zalesionych miejscach. I domy, które dzięki takim samym fasadom i rządcom identycznych okien sprawiały wrażenie zimnych i ciemnych.

Wróciła myślami do Ziggy, próbując wyobrazić ją sobie w łóżku, bladą, chorą i spiętą, ale widziała tylko, jak przyjaciółka biegnie z rozwianymi jasnymi włosami i błyszczącymi zielonymi oczami, wciąż zadyszana z powodu realizowania nadmiaru nowych pomysłów. Ellen przypominała sobie także inne oblicza Ziggy - jedne ulotne, inne nieco trwalsze, czasami towarzyszyły im urywki rozmów i częste wybuchy śmiechu. Nic nie zapowiadało w jej życiu szpitali, lekarzy i braku chęci życia.

Jako dziesięciolatki, wspólnie zajmowały pokój w Amerykańskiej Akademii Baletu Klasycznego. Była to małe dziecko, nie

ogrzewana klitka na piętrze, z oknem wychodzącym na stare drzewa, które rosły na terenie należącym do dawnego klasztoru. W zimie obie spiskowały przeciw oknu, chcąc zabić je deskami albo przynajmniej zasłonić kocem. Leżały w łózkach, plecami do okna, czując chłód dochodzący przez szybę. Za to w lecie wieszały kawałek muślinu, by zabezpieczyć się przed komarami, i zostawiały otwarte okiennice na dzień i noc. Gdy leżały i szeptały w ciemności, usypiał je szum pobliskich drzew.

- Ten pokój niegdyś należał do zakonnic - powtarzała często Ziggy. - Ich łóżka stały dokładnie tu, gdzie nasze, tyle że one spały na gołych deskach. Co wieczór, kiedy klękały do modlitwy, biczowały się różgami z haczykami na końcach. W ten sposób się umartwiały.

Żadna z dziewczynek nie wiedziała, co znaczy „umartwiać się”, ale to określenie brzmiało dziwnie tajemniczo i szlachetnie.

Zyty zgodnie z surowo przestrzeganiem harmonogramem, a wszelkie ewentualne zmiany wybijał stary dzwon. Nosiły czarno-białe, proste stroje, zapewniane im przez szkołę: trykoty, kamizelki, swetry, spódniczki i legginsy - wszystko dobierane zależnie od okoliczności. Posiłki jadały przy długich stołach w refektarzu, a dostawały na talerzach starannie odmierzone, małe, odtłuszczone porcje. Nikt nigdy nie prosił o repetę. Nauczyły się sztuki milczenia i kierowania myśli do swojego wnętrza, by osiągnąć nad sobą pełną kontrolę.

Pomimo ciężkiej pracy i wieczornych dziewczęcych szlochów ze zmęczenia i tęsknoty za domem w szkole panowała dobra atmosfera. Czuły, że są istotami wybranymi i uprzywilejowanymi. Wiedziały, że na uczennice, które dotrą do końca podróży i udowodnią swoją wartość, czeka sława... Nigdy nie wyjdziemy za mąż - zarzekały się Ellen i Ziggy. - Poświęcimy życie baletowi.

Pod koniec dnia siadywały pod oknem z nachylonymi ku sobie głowami - jedna jasna, druga ciemna - i myły sobie nawzajem nogi, liczyły fioletowe siniaki, rozpaczały nad pęche-

rzami i nadwreżonymi mięśniami, honorowymi znakami, a zarazem stygmatami ich wiary.

Opanowały nowe sposoby pracy nad ciałem: jak opuszczać ramiona, rozluźniać wiązadła, jak stać ze stopami zwróconymi w przeciwnym kierunku. Często siadały ze zgiętymi kolanami i stopami wsuniętymi pod ciężką komodę. Rozprostowując kolana, wywoływały napięcie w podbiciu. Siedziały tak jedna obok drugiej, zwiększając obciążenie, aż stawy robiły się czerwone i obolałe. Wymyślały nowe pozycje, dzięki którym mogły jeszcze bardziej naciągnąć mięśnie, a potem pomagały sobie nawzajem osiągnąć jak najlepszy efekt. Przed rozpoczęciem takiego ćwiczenia umawiały się, jak długo ma trwać, i obiecywały sobie, że nie zakończą go wcześniej. Nauczyły się bacznie obserwować wykrzywioną twarz koleżanki, słuchać jej okrzyków i patrzeć na płynące łzy, ale nie ulegać słabości. Odwracały głowy w bok. Nigdy jedna drugiej nie zawiodła.

Podczas wyjątkowych dni - wieczorów premierowych, dorocznych pikników, Święta Dziękczynienia - uczennice mogły spotkać się z bliskimi i znajomymi. Za każdym razem przynajmniej do kilku dziewcząt nikt nie przyjeżdżał, ale Ellen była jedyną dziewczynką, która nie miała gości nigdy. Mam tylko mamę, która ciężko pracuje, podróżuje, wyklada i wyjeżdża za ocean - wyjaśniała tym, którzy o to pytali.

Dla kontrastu matka Ziggy, Lucy, sprawiała wrażenie, jakby żyła tylko dla córki. Darzyła ją ogromnym uczuciem. Ellen przypominała sobie, że matka Ziggy przyjeżdżała do szkoły przy każdej okazji, przywożąc futra, jedwabne szaliki i naręcza paczek. Jej ruchom towarzyszy! szelest papieru, cieniuchnych warstw, które spowijały delikatne jak mgła bluzeczki, suknie wieczorowe i bieliznę. Niemające końca prezenty, które trzeba było wypakować na wąskie łóżka zakonne.

- Za kogo ona nas uważa? - mawiała Ziggy, nieco poirytowana, wrzucając prezenty w głąb szafy, za równe rządki poskładanych czarno-białych części garderoby.

Z okazji urodzin - zarówno Ellen, jak i Ziggy - Lucy udawało się uzyskać od dyrektorki zgodę na wyprawę z dziewczynkami do restauracji.

- Dzisiaj możecie jeść, co chcecie - mawiała, zadowolona z roli żywicielki. - Nie zagłądajcie do jadłospisu, po prostu powiedzcie kelnerowi, na co macie ochotę.

Kelner stał z długopisem zawieszonym nad kartką i przyjmował dziwne zamówienia, o których początkowo szef kuchni w ogóle nie chciał słyszeć. Potem potrząsał głową i przystępował do dzieła. Kierownik sali podwajał rachunek, Lucy dodawała do tego suty napiwek i wszyscy byli szczęśliwi.

Lucy czuła się odpowiedzialna za Ellen, zwłaszcza że przyjaciółka córki miała chyba tylko bogatego, ekscentrycznego wuja, który nie widział świata poza kotami. Przysyłał dziewczynce dziwne prezenty - śmieszne stare apaszki i broszki, które Ellen podobno się podobały. Lucy była tym wzruszona, ale wiedziała, że miejsce matki jest puste.

- Mów do mnie „Lucy” - powiedziała zaraz na początku. - I uważaj mnie za swoją... hmm... sama nie wiem...

Nagle zabrakło jej pewności siebie i ich wzajemna relacja nigdy nie zyskała nazwy.

- Obie będziecie wielkimi tancerkami - często powtarzała ze znaczącym uśmiechem. - Moje dziewczynki. Pierwsze prawdziwe amerykańskie baleriny.

Podobno ktoś powiedział kiedyś, że ona sama powinna być zostać profesjonalną tancerką. Gdy o tym opowiadała, w jej oczach pojawiał się smutek, bo nigdy nie dano jej takiej szansy. Ziggy i Ellen uśmiechały się do Lucy, zdając sobie sprawę, że i tak uzna wszystkie sukcesy córki za własne i nie będzie zawiedziona.

Potem nagle Ziggy zaczęły boleć palce u nóg. Nie był to zwykły ból spowodowany napięciem mięśni podczas tańca ani siniakami, ale prawdziwe cierpienie, którego nie mogła znieść.

- Musisz powiedzieć dyrektorze - oznajmiła w końcu Ellen, gdy Ziggy patrzyła prosto przed siebie, a łzy napływały jej do oczu.

Dyrektorka wybrała się osobiście z Ziggy na wizytę do jednego z najlepszych chirurgów ortopedów w Nowym Jorku. Lekarz zrobił zdjęcia rentgenowskie i oznajmił bez ogródek, że jeśli dziewczynka nie przestanie tańczyć, do końca życia będzie kuleć. Wyjaśnił również, że nic nie da się zrobić. Problem polegał na tym, że jej duże palce u nóg były nieproporcjonalnie długie w porównaniu z sąsiednimi. W związku z tym - wyjaśnił, wskazując długopisem odpowiednie miejsca na zdjęciach, by potwierdzić swoje słowa - duże palce są zbyt przeciążone podczas tańczenia *en pointe*. Stawy tego nie wytrzymują. Prawdę mówiąc, są już silnie zniekształcone - orzekł - i dziewczynka na pewno musiała bardzo się nacierpieć.

Ellen i Ziggy siedziały bez słowa, załamane niepowodzeniem i rozzalone, że nagle, po tak ciężkiej pracy, ciało jednej z nich odmówiło posłuszeństwa. Ziggy próbowała wyobrazić sobie przyszłość bez tańca, ale bez skutku. Ellen próbowała wyobrazić sobie tańczenie bez Ziggy, i nie mogła.

W apartamencie dyrektorki na drugim piętrze odbyła się narada. Ellen towarzyszyła Ziggy, trzymała ją za rękę i czuła, jak bardzo przyjaciółka stara się panować nad sobą. Zostały wprowadzone do luksusowego salonu i usadzone na antycznych krzesłach z połączanymi nogami, które kończyły się łapami lwa. Rozglądały się dookoła, zdumione, że taki świat istniał przez cały czas nad ich głowami. Stanowi! ogromny kontrast w porównaniu z długimi, zimnymi korytarzami i nagimi podłogami, do których przywykły. Padły słowa współczucia z ust nauczycieli, którzy dotychczas wysuwali tylko żądania. Żeby jeszcze bardziej się wyprostować, jeszcze bardziej wygiąć, dalej skoczyć, płynniej się poruszać i ładniej uśmiechać. „Musicie, dziewczynki. Po prostu musicie. Nie wychodzi ci? Jesteś kretynką?”.

Ziggy kazano położyć się na kanapie i wyprostować nogi. Leżała jak nieboszczyk na własnym pogrzebie. Nawet trochę go przypominała: była blada i nieruchoma, a na jej ustach zamarł nikły uśmiech.

Kiedy pojawiła się Lucy, natychmiast wpadła w złość i rozpacz. Zażądała, by pozwolono jej obejrzeć najpierw stopy Ziggy, a potem zdjęcia rentgenowskie.

- Przecież został jej już tylko rok! - napadła na nauczycielkę tańca. - Musi być jakiś sposób. Może operacja? Cokolwiek!

Jej głos był ostry i piskliwy, jakby lada chwila w jej wnętrzu miało coś pęknąć.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedziała nauczycielka tańca. - Naprawdę nie ma nadziei.

W pokoju zapadła ponura cisza. Lucy z przerażeniem spojrzała na córkę. Obserwując ją, Ellen nagle zdała sobie sprawę, że matka Ziggy poświęciłaby wszystko i wszystkich, byle uratować swoje cudowne marzenie.

Ziggy też to dostrzegła. Skuliła się i odwróciła głowę. Wbiła wzrok w parkiet i śledziła wzór ułożony z deseczek.

Minał ponury rok. Ellen została sama w małym pokoiku i nie miała nikogo, kto pomógłby jej jeszcze ciężiej pracować nad ciałem albo budziłby ją, gdy płakała przez sen. Czuli się jak zwierzątko pogrążone w śnie zimowym, czekające na nadejście wiosny. Cały wysiłek skierowała na przygotowania do ostatnich egzaminów i zatańczenia głównej roli w przedstawieniu dyplomowym. Potem, jak mawiano, zostanie puszczone na szerokie wody przy udziale kampanii reklamowej, zorganizowanej dla najlepszych z pierwszego rocznika prawdziwych amerykańskich balerin.

Ziggy pojechała do domu w New Hampshire, a potem uciekła z powrotem do Nowego Jorku. Wtedy znalazł ją Carter. Gdzieś wypatrzył wysoką, szczupłą dziewczynę, która

z wyjątkową gracją poruszała się między stolikami w kawiarni. Zaczekał, aż zobaczy jej twarz, spodziewając się rozczarowania, spowodowanego na przykład trądzikiem, bezbarwnych oczu, a nawet średniego wieku. Kiedy się odwróciła, okazało się, że jest śliczna - odrzucała włosy z oczu powolnym, miękkim ruchem. Jak syrena - pomyślał, zaskakując samego siebie. Nieznajoma śmiała się z głową odchyloną do tyłu.

Roześmiała się i wtedy, gdy Carter powiedział jej, że może z niej zrobić modelkę o międzynarodowej sławie, zarabiającą tysiące dolarów dziennie.

- Pasuje pani do Chanel, St Laurenta i Gaultiera - oznajmił. - Porusza się pani bowiem jak syrena.

Uśmiech zniknął z twarzy Ziggy.

- Chyba pan ze mnie żartuje - powiedziała.

- Może pani sprawdzić - odparł Carter.

Był wtedy znacznie szczuplejszy i niemal atrakcyjny.

Krzykliwe nagłówki zapowiadały uroczyste, galowe przedstawienie dyplomowe: *Sprawdzian z amerykańskiego snu, Najlepsze z najlepszych, Kulturalny sukces demokracji*.

Na przedstawienie inauguracyjne Amerykańskiej Akademii Baletu Klasycznego można było wejść tylko na zaproszenie. Z informacji podanej w mediach wynikało, że w całej Ameryce ludzie kupują, a nawet kradną bilety. Każdy, kto miał coś wspólnego z tańcem, teatrem, młodzieżą, edukacją albo modą, musiał, po prostu musiał tam być. Andy Warhol zrobił zdjęcia na okładkę programów pamiątkowych, a do archiwów i muzeów całego świata zachodniego z wyprzedzeniem rozesłano po jednym ich egzemplarzu.

Rano zebrano tancerki w surowej jadalni i zaprezentowano tym samym panom w garniturach, którzy przed laty badawczo przyglądali się ich drżącym dziesięcioletnim ciałkom.

To wasza szansa - powiedzieli. - Świat na was patrzy. Dziś wieczorem swoim tańcem zapiszecie się w chlubnej historii

najwspanialszego narodu na kuli ziemskiej. Daliśmy wam wszystko. Nie sprawcie nam zawodu.

W końcu nadszedł czas, żeby zebrać się za kulisami teatru. Pracownicy techniczni biegali jak myszy po korytarzach, sprawdzając ciała, suknie, makijaże i światła. Tu i tam kręciły się nauczycielki, próbujące uspokoić dziewczęta, chociaż zdawały sobie sprawę, że one same też stoją przed wielką próbą.

Tymczasem Ellen, pierwsza tancerka, ubrana i umalowana, gotowa do pierwszej sceny, wykradła się z garderoby. Stała w budce ze światłami i w milczeniu przyglądała się publiczności.

Trzeci rząd od tyłu. Dwunaste miejsce od lewej. Jest! Ręce matki spokojnie leżały na oparciach fotela. Patrzyła prosto przed siebie.

- Widzi ją pan?! - zawołała Ellen do operatora świateł. Podeszedł, stanął za dziewczyną i spojrzał nad jej nagim ramieniem.

- Trzeci rząd od tyłu, dwunaste miejsce. Ma białe futro przerzucone przez oparcie.

- I kręcone włosy?

- Tak. To... - Ellen odwróciła się do niego z błyszczącymi oczami. - To moja mama. Jest tutaj!

- Skarbie - powiedział. - Są tu wszystkie wasze mamy. Daję głowę, że jest dumna i zdenerwowana jak diabli.

- Nie, nie rozumie pan - szepnęła Ellen. - Ona nigdy wcześniej do mnie nie przyjeżdżała. Nigdy nie widziała, jak tańczę.

- Chyba żartujesz! - zdumiał się operator. - Dlaczego? Ellen prawie nie usłyszała jego słów.

- Ale tym razem napisałam - ciągnęła. - Poprosiłam, bardzo ją poprosiłam, żeby przyjechała. I przyjechała!

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- No cóż, sądzę, że to już coś.

Odwrócił się, gdy do budki wpadł mężczyzna w czarno-białym dresie.

- Tu pani jest! Zostało tylko dziesięć minut! Wołają panią! - Wyciągnął rękę w stronę Ellen. - Proszę... - Urwał, wziął głęboki wdech, by się uspokoić. - Panno Kirby, proszę natychmiast zejść za kulisy. Tylko proszę nie zbiegać ze schodów.

Ellen z uśmiechem na ustach czekała za kulisami. Czowała, że pozostałe tancerki patrzą na nią i podziwiają jej spokój. Nie wiedziały, że w jej mniemaniu tego wieczoru już odniosła zwycięstwo, już znajdowała się wśród gwiazd i została obsypana złotem, zdobyła bezcenny skarb.

Ona tu jest... - myślała. - Przyjechała... Żeby mnie zobaczyć.

- Zatańcz najlepiej, jak potrafisz - powiedziała Katrinka, rosyjska nauczycielka tańca, kiedy podeszła, utykając.

- Jasne - odparła Ellen.

Katrinka stanęła za nią i położyła sękatę rękę na smukłych, okrytych satyną biodrach. Wyobrażając sobie przyszłość swoich uczennic, stara tancerka przymrużyła otoczone zmarszczkami oczy i przypomniała sobie, kim kiedyś była i co straciła. Gdy zabrzmiały pierwsze takty muzyki, zacieśniła uchwyt na talii Ellen i zamarła wraz z nią w bezruchu, czekając na odpowiedni moment. Potem wypuściła ją jak gołębia w powietrze.

Ellen wpadła na scenę w serii przyprawiających o zawrót głowy piruetów. Czując szaloną radość, spokojnie i pewnie wykonywała swoje zadanie, a jej serce wybijało równy rytm nadziei. Wykorzystała całą swą energię i dyscyplinę zdobytą podczas wieloletniej nauki i zaangażowała siłę, która rosła wraz z każdym małym zwycięstwem nad bólem i słabością, a potem przelała to wszystko w ciemną przestrzeń za skrajem sceny - do trzeciego rzędu od tyłu i osoby, która trzymała w dłoni jej miłość, jej duszę, jej życie.

Do matki.

Kiedy zeszła ze sceny, Katrinka zbliżyła się do niej ze łzami w oczach.

- Jesteś aniołem. Skrzydlatym aniołem.

Ellen odsunęła ją i pobiegła do budki z reflektorami. Po krótkiej przerwie miała ponownie wykonać taniec solo. Jej występ został zapowiedziany w programie, więc na pewno Margaret będzie na niego czekać, niecierpliwie oglądać inne tancerki, by znów ujrzeć córkę.

Zerknęła na widownię. Trzeci rząd od tyłu... Białe futro jaśniało w ciemności...

Tyle że teraz miejsce było puste.

Światło ze sceny zalało pierwsze rzędy. Ellen nie pomyliła się. Matka wyszła.

Kiedy podczas następnego tańca zrobiło się jeszcze jaśniej, Ellen spojrzała na miejsce, gdzie wcześniej siedziała Margaret. Jej płaszcz zniknął, a na fotelu leżał pamiątkowy program z twarzą córki na okładce.

Następny taniec zaczęła jak we śnie. Jej ciało odgrywało swoją rolę, bez wyrazu, ale poprawnie. Potem jakimś cudem wróciła uparta nadzieja. Margaret wyszła tylko do toalety. Źle się poczuła. Wróci. Już prawdopodobnie jest. Serce bolało dziewczynę z tęsknoty. To musi być prawda.

Pod koniec tańca nastąpiła chwila bezruchu. Wbrew wszelkim zasadom tancerka spojrzała na widownię. Nie nie-widzącym wzrokiem aktora, który omiata spojrzeniem tłum, ale z czystym błaganiem... które trwało o moment za długo. Poruszyło tłum i w powietrzu rozległy się brawa. Ellen tańczyła dalej na oślep, zgodnie z wyuczonym wzorem. Kiedy skończyła, zbiegła ze sceny i rozplakała się w ramionach Katrinki.

- Co się stało? O co chodzi? Powiedz! - nauczycielka mocno potrząsnęła dziewczyną.

- Wyszła. -Kto?

- Mama! - krzyknęła Ellen. - Mama...

Nie mówiła tak dotąd na Margaret. Nigdy. Nie nazywała jej mamusią, mamunią ani mamą, ale teraz matka przyjecha-

ła, żeby zobaczyć, jak ona tańczy. Przekonać się, jak piękna i pełna gracji jest jej córka, jak wszyscy ją kochają, choć to dopiero początek. Teraz wszystko się zmieni.

- Dość tego. Skończ z tą dziecinadą! - powiedziała Ka-trinka. - Musisz wrócić na scenę.

Odwróciła się przez ramię do inspicjenta.

- Idź do garderobianej i każ jej przynieść jedną z masek karnawałowych.

Postawiła Ellen jak lalkę i otarła jej twarz brzegiem swojej spódnicy, sztywnej od kurzu zebranego ze sceny.

- Jesteś dużą dziewczynką, nie powinnaś płakać.

Jej głos był łagodny, ale ruchy stanowcze. Kiedy przyniesiono maskę, jeszcze raz otarła łzy z twarzy Ellen i osłoniła jej oczy.

- A teraz zapomnij o wszystkim - zaproponowała. - Nie jesteś Ellen. Nie masz imienia ani nazwiska. Jesteś amerykańską baleriną.

Na dany znak wepchnęła Ellen z powrotem na scenę. Dziewczyna tańczyła, brakowało jej tchu, żeby krzyknąć, ale pozwoliła, by łzy płynęły pod wyłożoną cekinami maseczką. Poruszała się z przytłaczającym bólem utraconej nadziei. Kiedy w końcu opadła na podłogę, opuściła głowę i dotknęła twarzą gładkiego drewna, czuła, że już nigdy więcej się nie poruszy.

Widzowie wstali i zaczęli bić brawo. Kwiaty posypały się zewsząd. Zaszleściły programy, gdy ludzie sprawdzali, jak nazywa się tancerka i z jakiego miasta pochodzi. Krytycy zapisywali w notesach hymny pochwalne, zachwyceni tym, że coś mogło być zamaskowane, a jednocześnie niemal nagie.

Ellen słyszała brawa, ale czuła w sercu chłód i pustkę. Łzy przesłoniły jej oczy. Wyobraziła sobie, że Margaret siedzi na swoim miejscu, a potem wstaje i kieruje się do wyjścia. Wędruje przejściem, krok po kroku, nie oglądając się za siebie.

Nie! - chciaia krzyknąć. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie. Jesteś mi potrzebna. Kocham cię. Jesteś moją mamą!

Na niewielkiej tabliczce widniały czarne litery układające się na złotym tle w napis: *Klinika Marshy Kendall*. Nad nią widać było pierwotną nazwę starej rezydencji. Warstwa świeżej złotej farby pokrywała miejsca, z których poprzednia odpadła. Orientalne litery tworzyły napis: *Shangri La*. Budynek świadczył o bogactwie i ekscentryzmie pierwotnych właścicieli. Na wieżyczkach, zdobiących rogi budynku, dach był ozdobiony smokami, tak że przywodziło to na myśl chińskie pagody, a drzwi wejściowe znajdowały się za typowym chińskim łukiem, wykonanym z grubych płyt szarego kamienia. W ogrodzie na skraju płytkiego stawu, w którym odbijało się spokojne niebo, stała marmurowa świątynka.

Ellen przeszła pod karniennym łukiem i podeszła do drzwi, które otworzyły się przed nią, wpuszczając promienie porannego słońca do wnętrza pełnego misternie tkanych chińskich dywanów i flakonów z tropikalnymi kwiatami.

Drzwi przytrzymał mężczyzna o obojętnej twarzy.

- Dzień dobry pani.

Gdy Ellen weszła do środka, poczuła pod nogami gruby, miękki dywan. W powietrzu unosił się zapach pasty, uroczynu czerwonego i świeżo parzonej kawy. Spojrzała na ściany, na których wisiały oprawione zdjęcia - nadmorskie krajobrazy, góry, wodospady o zamazanych konturach, pogrążone we mgle. Doszła do wniosku, że projektant dołożył wszelkich starań, by wewnątrz przeczyło napisowi na bramie i związanym z nim oczekiwaniom.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał odzwierny. Ellen odwróciła się i spojrzała na niego.

- Przyszłam odwiedzić przyjaciółkę, która podobno tu przebywa. Nazywa się Ziggy Somers.

- Oczywiście, psze pani. - Władczy głos złagodniał nieco pod wpływem współczucia. - Proszę zapytać w recepcji. - Ręką wskazał koniec korytarza.

Gdy Ellen stanęła w drzwiach, młoda kobieta uniosła głowę. Pióro do kaligrafii zawisło nad otwartą księgą wizyt, zapisaną ozdobnym pismem.

- Chcę się zobaczyć z Ziggy Somers - oznajmiła Ellen. Kobieta uśmiechnęła się miło i bacznie przyjrzała się

Ellen.

- Oczywiście, była tu pani poprzednio...

- Nie, nie byłam - odparła Ellen. Kobieta jakby zeszywniała.

- Och, przepraszam. Po prostu... wydawało mi się, że znam panią. Proszę usiąść.

Wyjęła z biurka następną księgę i zaczęła przerzucać kartki.

- Wolimy, aby goście wcześniej uzgadniali terminy wizyt - powiedziała, nie unosząc wzroku. - Staramy się zapewnić naszym pacjentom odrobinę prywatności. Jak się pani nazywa?

- Ellen Madison. Nie... Kirby. Ellen Kirby.

- Ach... - Kobieta kiwnęła głową, a przez jej twarz przemknął wyraz zaciekawienia. - Proszę pozwolić, że sprawdzę.

Ellen spoglądała na duży portret, który królował w pomieszczeniu. Był oprawiony w złote ramy, a przedstawiał głowę, ramiona i obróconą profilem twarz ładnej kobiety w średnim wieku. Ze stoickim spokojem patrzyła prosto przed siebie. Miała włosy ściągnięte na czubku głowy i prosty, wygodny strój, ale w tle widniał dramatyczny krajobraz z burzowymi chmurami i przedzierającymi się przez nie promieniami słońca.

- Marsha Kendall - mruknęła kobieta z nabożnym szacunkiem. - Odeszła jesienią ubiegłego roku. Święta kobieta.

Rozglądając się po pomieszczeniu, Ellen zauważyła ten sam spokojny profil, przywodzący na myśl głowę monarchini, wydrukowany na papeterii, wytłoczony na skórzanej ka-

napie, odbity na kubku i spodeczku, wyhaftowany na ręczniku, a wszędzie towarzyszyły mu ozdobne inicjały M.K.

- Przepraszam. - Kobieta uniosła głowę i zmarszczyła czoło. - Pani nazwiska nie ma na liście pani Somers.

- Co to znaczy? - spytała Ellen.

- Lista gości jest sporządzana przez pacjenta i jego rodzinę w porozumieniu z psychoanalitykiem.

- Ale mnie nie było w kraju - wyjaśniła Ellen. - Ziggy nie umieściła mnie na liście, bo byłam... za oceanem. Właśnie wróciłam.

- Przykro mi.

- Nie rozumiem.

- Przykro mi.

- Jestem pewna, że ona chciałaby się ze mną zobaczyć! Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Przyjechałam specjalnie z Nowego Jorku - błagała Ellen.

- Rozumiem, proszę pani - rzekła kobieta. - Mogę zapisać pani imię i nazwisko i spytać, czy można je umieścić na liście gości pani Somers. Gdyby zechciała pani zostawić adres...

Ellen bacznie obserwowała jej twarz, rozpoznając na niej wyćwiczony spokój.

- W klinice Marshy Kendall obowiązują nadzwyczaj rygorystyczne przepisy, dzięki którym możemy zapewnić pełne bezpieczeństwo pacjentom - dodała kobieta.

Ellen wyobraziła sobie, że bezosobowy odźwierny nagle okaże się mistrzem kung-fu, wyrzucającym byłych kochanków, siostry, córki, synów i ojców, przeciągającym ich pod chińskim łukiem aż za marmurową świątynię.

- Czy mogę zapisać pani adres? - spytała kobieta, zanurzając pióro w ozdobionym monogramem kałamarzu. - Nie, nie musi się pani trudzić.

Ellen wyszła, pokonała spokojnie całą długość korytarza i minęła odźwiernego. Czowała na plecach jego wzrok, kiedy szła przez trawnik, wsiadała do samochodu i przejeżdżała przez bramę z kutego żelaza.

Po pokonaniu pewnego odcinka zatrzymała się na poboczu i wysiadła. Stawiając ostrożnie stopy, by uniknąć trującego bluszczu, weszła w las, który graniczył z ogrodzeniem kliniki. Po kilku minutach zobaczyła nad czubkami drzew gargulce w kształcie smoków. Wkrótce dotarła do wysokiego ogrodzenia z siatki.

To by ci się na pewno spodobało, Ziggy - pomyślała, wchodząc na dolne gałęzie rozłożystej sosny. Ale teraz to ja się wspinam, zamiast czekać w oknie i wpatrywać się w gałęzie.

„Gdzie byłaś, Ziggy?!”

„Zrobiłam sobie wycieczkę do miasta”.

„Jesteś szalona. Wyrzucą cię”.

„Nie wyrzucą. Jesteśmy za dobre”.

„To nie ma nic wspólnego ze mną, Ziggy”.

„Ale umarłabyś beze mnie”. Uśmiech.

„Proszę, bądź ostrożna”. Uśmiech.

Ellen zeskoczyła po drugiej stronie ogrodzenia, poprawiła włosy, wygładziła ubranie i powędrowała w stronę zabudowań. Minęła staruszkę, który siedział na marmurowej ławce i tępo wpatrywał się w swoje dłonie. Obeszła pomnik Marshy Kendall, której kamienny profil złagodziły nieco ptasie odchody i placki porostów. Potem znalazła tylne drzwi i weszła do środka.

W wyłożonym pluszem wnętrzu słychać było ściszone głosy. Za warstwą mahoni i kości słoniowej dźwięczała stal nierdzewna i biała porcelana. Tropikalne kwiaty kwitły, ale ich zapach zagłuszała woń środków dezynfekujących. Ellen zawahała się, przycisnęła dłoń do nosa i przełknęła ślinę, a potem ruszyła szybko długim korytarzem. Po obu stronach znajdowały się pokoje, a na ich drzwiach widniały plakietki z nazwami drzew: mirt, dereń, klon, buk, cyprys, sosna.

Tylko jedne drzwi były otwarte. Ellen zatrzymała się i zajrzała do środka. Sala przypominała pokój hotelowy z ławą i fotelami, ale spod francuskiego gobelinu użytego jako na-

rzuta wystawały nogi szpitalnego łóżka; zamiast żaluzji czy firanek w oknie była biała metalowa krata. Wszystko wydawało się dziwnie zaokrąglone; pomieszczenie tak umeblowano, by nie było w nim żadnych ostrych brzegów ani kantów.

Ellen odwróciła się, słysząc ciche kroki w korytarzu. Jakiś mężczyzna o bladej, napiętej twarzy szedł w jej stronę. Wiedziała, że skądś go zna, ale nie mogła sobie przypomnieć nazwiska. Zignorował Ellen, więc ona też udała, że go nie widzi.

Z odległych części budynku docierały przytłumione dźwięki, pozbawione znaczenia, wyciszone przez grube dywany, kotary i ściany. Słyszała własny oddech, choć bezszelestnie wciągała powietrze w płuca i wypuszczała je...

Po dotarciu do rogu skrzyła w następny długi korytarz z wieloma zamkniętymi drzwiami. Nacisnęła kilka klamek, ale na darmo. Jedne drzwi się otworzyły, ale nikogo nie było w środku. Na podłodze leżała para różowych pantofelków na wysokich obcasach. Ellen szybko szła dalej, od czasu do czasu próbując otworzyć któreś drzwi. Wiedziała, że w ten sposób nigdy nie znajdzie Ziggy, ale może spotka jakiegoś pacjenta albo pielęgniarkę, kogoś, kto jej pomoże. Nagle stanęła, zaskoczona nazwą pokoju. Kasztan. W akademii za oknem dziewcząt rósł ogromny kasztan. Ona i Ziggy często zbierały jesienią z ziemi rude owoce, a potem je czyściły, bo lubiły czuć w dłoni zawsze dziwnie ciepłe kasztany. Nacisnęła mosiężną klamkę, drzwi się otworzyły.

W łóżku leżała śpiąca kobieta, zaplecione w staranne warkocze włosy tworzyły dwie ciemne linie na białej pościeli. Ellen przeszła przez salę i spojrzała na pacjentkę. Ręce i twarz chorej pokryte były ranami. Tylko powieki i usta były czyste, stanowiąc oazy gładkiej skóry. Musiała być piękna - pomyślała Ellen. Nagle kobieta poruszyła się, zmarszczki pokryły jej czoło. Palce zakrzywiły się w szpony, ręce sięgnęły powoli w stronę twarzy, a potem chora zamarła w bezruchu, powstrzymana przez gęstą pajęczynę pasów. Otworzyła brązowe oczy, skupiła wzrok na przybyłej i uśmiechnęła się.

- Przepraszam - wymamrotała Ellen, cofając się. - Szukam kogoś innego.

Na korytarzu podbiegła do drzwi, na których widniała głowa kobiety - ale tym razem wyraźnie nie Marshy Kendall - a napis informował, że to toaleta.

Wpadła do środka, minęła podświetlane lustro i weszła do jednej z trzech kabin. Pochyliła się nad sedesem i próbowała zwymiotować. Bez skutku, tylko Izy szczypały ją w oczy. Kaszłała, chociaż z jej ust wydobywał się dźwięk, który przypominał raczej szloch.

- Wyrzuć to z siebie, aniołku - dobiegły ją słowa niespiesznie wypowiedziane w sąsiedniej kabinie.

- Poczujesz się lepiej.

Ellen uniosła głowę.

- Słucham? Czy coś pani mówiła? - spytała. Żadnej odpowiedzi.

Ellen zmarszczyła czoło.

- Kto tu jest? - spytała.

Nagle coś odżyło w jej pamięci. „Aniołku"! Wskoczyła na muszlę, stanęła na palcach i wyciągnęła się, by zajrzeć przez przegrodę.

Spoglądała z góry na kobietę, która siedziała w ubraniu na zamkniętej muszli. Wyglądała jak patykowaty ludzik narysowany przez dziecko. Długie, kościste kończyny, ciemna odzież, zbyt luźne ubranie, a wszystko dziwnie pozginane w niewielkim pomieszczeniu. Głowa była pochylona, jakby nazbyt ciążyła pięknej szyi i chudym ramionom, a przykrywał ją granatowy beret.

-Hmm... - mruknęła Ellen, pragnąc zasygnalizować swoją obecność.

Kobieta spojrzała w górę, ukazując bladą, wychudzoną twarz i piękne zielone oczy.

Przez długą chwilę obydwie patrzyły na siebie, jakby żadna nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Potem chuda postać podniosła się, weszła na muszlę i przytrzymała się przepie-

rzenia, żeby nie upaść. Teraz stały twarzą w twarz. Dłoń obok dłoni. Czuli na skórze swój ciepły oddech.

- Boże, Ziggy... - szepnęła Ellen. - Co oni ci zrobili? Przez twarz przyjaciółki przebiegł dreszcz. Zaszlochała,

a potem zamknęła oczy, a na jej bladej twarzy pojawił się uśmiech.

- Ellen. Ellen. Ellen - recytowała imię przyjaciółki jak modlitwę. Po chwili spojrzała na nią oczami błyszczącymi od łez. - Wiedziałam, że przyjdiesz.

Ellen powoli wypuściła powietrze z płuc i z trudem zdobyła się na słaby uśmiech.

- Dzięki, że podałaś moje nazwisko w recepcji.

Potem stanęły obok umywalk, zachowując między sobą niewielką odległość. W przeszłości zawsze obejmowały się i całowały, potem jedna drugiej ścierała ślad po szmince, by w końcu odsunąć się i przyjrzeć sobie nawzajem. Wspaniale wyglądasz - mówiły zawsze.

Teraz stały w milczeniu, a niewypowiedziane słowa wisiały w powietrzu. Powstrzymały się od uścisków. Ellen próbowała nie patrzeć na wyniszczone ciało Ziggy, na ten zbiór kości, które naciskały na luźną, pozbawioną życia skórę, jakby lada chwila miały ją przebić. Wzdrygnęła się na myśl o dotknięciu przyjaciółki. Spojrzała jej w oczy, które wydawały się znajome.

- Carter powiedział mi, że tu jesteś - rzekła.

- To dziwne - roześmiała się Ziggy. - Jest przecież na mnie zły. Raz przyjechał nawet, żeby mi to powiedzieć. Potem przez tydzień przysyłał róże. Róże! Wyobraź sobie...

Ellen uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że obie zawsze pogardzały różami, zwłaszcza tymi, które miały długie łodygi i starannie obcięte kolce - stanowiły dla nich symbol bezdusznej piękności.

- Czy jesteś tu z jakiegoś konkretnego powodu? - spytała.

- Podobno próbuję zagłodzić się na śmierć - wyjaśniła Ziggy nonszalancko.

- Nie. Chodzi mi o ubikację.

Ziggy zeszywniała i przymrużyła zielone oczy.

- Przyszłam się wysiusiać.

- W porządku.

Ellen nachyliła się do lustra, udając, że chce wyjąć rzęsę z oka.

- Czy możemy pójść do twojego pokoju albo gdziekolwiek? - spytała.

- Taak - odparła Ziggy. - Chyba tak. Chociaż mam gościa. - Zachowywała się tak, jakby nagle się obudziła. - To mama. Na pewno ucieszy się na twój widok. Chodź.

Ziggy szła powoli, ręką przytrzymując się ściany. Ellen wędrowała za nią. Podeszły do jednych z licznych drzwi, oznaczonych nazwą drzew. Ziggy zatrzymała się, żeby wpuścić przyjaciółkę przed sobą.

Ellen weszła i na sekundę zamarła w bezruchu, kiedy zdała sobie sprawę, że postać klęcząca przy łóżku przeszukuje szuflady Ziggy.

- Lucy! - zawołała.

Matka Ziggy odwróciła się z wyraźnym poczuciem winy, jasne loki zawirowały w powietrzu.

- Ellen, kochanie!

Uścisnęły się, a Lucy, tradycyjnie, zostawiła na półeczku Ellen ślad po pastelowej szmince.

- Jesteś tak opalona, że trudno cię poznać! - powiedziała Lucy. - Ślicznie wyglądasz.

- Dzięki - odparła Ellen. - Ty również. Ani trochę się nie zmieniłaś.

Niemniej doszła do wniosku, że twarz Lucy wygląda dziwnie pozbawiona wyrazu, jakby coś przestało w niej funkcjonować. Chyba kazała sobie zrobić lifting. Ellen wyobraziła sobie, jak chirurg po kolei wygładza zmarszczki starszej pani, starając się zlikwidować oznaki jej przeżyć i przywrócić klientce gładkie oblicze z młodości. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Ziggy wchodzi do pokoju.

- Ziggy... gdzie byłaś? - spytała Lucy. - Już miałam kogoś wołać.

Chora usiadła na jednym z krzeseł, wyraźnie wyczerpana.

- Daj mi spokój - powiedziała ze znużeniem. Lucy zagryzła wargi, potem odwróciła się do Ellen.

- Czy James jest z tobą? - spytała.

Ellen spojrzała na nią, nie umiejąc udzielić odpowiedzi. W końcu potrząsnęła przecząco głową.

Kobieta zmierzyła ją od stóp do głów, lekko przekrzywiając głowę.

- Taaak - powiedziała, a jej rysy złagodniały. - Wszystkie wpakowałyśmy się w niezłe tarapaty, prawda? - Wybuchnęła płaczem.

- Przestań, mamó - poprosiła Ziggy, nie unosząc głowy.

Ellen podeszła do okna i przycisnęła czoło do zimnej szyby. Słyszała, że Lucy porusza się za jej plecami, zabiera swoją torebkę, płaszcz i parasolkę, szuka kluczyków do samochodu. Kiedy próbowała się z nią pożegnać, nagle zrobiło jej się żal starszej pani; w jej wyblakłych oczach widać było zażenowanie i poczucie klęski, kiedy patrzyła na żaloszny cień jedyńaczki, w której pokładała wszelkie nadzieje.

- Odprowadź mnie, Ellen - poprosiła, nachylając się, by pocałować czubek beretu Ziggy.

Ellen wyszła z nią na korytarz. Szły w milczeniu, aż dotarły do rogu. Lucy zatrzymała się i ujęła Ellen za ramię.

- Ziggy przebywa tu z przerwami od trzech lat. Dwukrotnie otarła się o śmierć. Lekarze mówią, że nie ma dla niej ratunku. Nic nie da się zrobić. W sąsiednim pokoju była piosenkarka, znana wykonawczyni utworów country. Miała mnóstwo pieniędzy i miłości, tymczasem zagłodziła się na śmierć. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Tak dobrze sobie radziła, sama zresztą wiesz. Carter miał wobec niej takie wspaniałe plany. - Na chwilę w oczach Lucy zapłonęła nadzieja. - Ellen, jesteś jej najlepszą przyjaciółką. Może tobie udałoby się... - Głos jej się załamał, optymizm zgasł.

Ellen mechanicznie przytaknęła. Widziała, że Lucy doszła do wniosku, iż przyjaciółka córki też nie wygląda najlepiej. Lucy zdobyła się na blady uśmiech.

- Tak czy inaczej, wciąż mieszkamy tam, gdzie dawniej. Wpadnij do nas, dobrze?

- Jasne. Dzięki - odparła Ellen. - Och, Lucy, czy mogłabyś przy wyjściu podać im moje nazwisko?

Nie chcieli mnie wpuścić.

Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

- Powiem im, że należysz do rodziny.

Kiedy Ellen wróciła do pokoju Ziggy, zastała drzwi zamknięte. Przycisnąwszy do nich ucho, usłyszała cichy głos:

- Już dobrze...

Były to spokojne słowa, jakby ktoś kierował je do przestraszonego dziecka.

- Tylko jedno małe ukłucie. Po chwili usłyszała inny głos:

- Teraz już poczuje się lepiej. Zawsze tak jest po wizycie najukochańszej mamusi. Mówiłam jej lekarzowi, że tę starą wiedźmę należałoby trzymać z daleka.

Cichy śmiech.

- Prawdopodobnie to ona płaci.

Ellen wyszła przez recepcję, zerkając po drodze na portret Marshy Kendall. Młoda kobieta przy biurku kiwnęła jej głową, a portier uśmiechnął się.

Na zewnątrz ptaki kąpały się w stawku przy świątyni.

15

Ellen siedziała w mrocznej kafejce, przesuwając żółte płatki kukurydziane po miseczce z salsą. Odchyliła głowę i wypila piwo z butelki; lodowaty płyn spłynął prosto na pikantne chili, które paliło ją w język. W kawiarence oprócz niej nie było nikogo, a meksykański kelner przez cały czas obserwował

ją zza zastawionego szkłem baru. Za jego głową stały butelki z tequilą, każda z martwym, bladym, zamarynowanym robakiem na dnie.

Ellen odwróciła się w jego stronę i wyciągnęła rękę, prosząc o następne piwo. Kiwnął głową i sięgnął do lodówki za swoimi plecami, nie odrywając wzroku od jedynej klientki. Wraz z piwem pojawił się plasterek cytryny i jadłospis z tłustymi, czerwonymi odciskami palców.

Ellen potrząsnęła głową.

- Nie chcę nic jeść.

- Pani jeść - upiera! się. - Piwo i jedzenie dobra rzecz. Piwo bez jedzenie - niedobra rzecz.

Nachylił się nad Ellen. Wbiła wzrok w rękę, czekając, aż sobie pójdzie.

- Taco? Enchilada? - zaproponował.

- Obojętne.

- Pani zdać się na mnie. Ja przynieść, co pani chceć. Powędrował do kuchni, zadowolony, że ma do wykonania

jakieś zadanie. Ellen wyprostowała się na krześle i spojrzała na sufit. Był pociemniały od dymu i starości, gdzieniegdzie zaplamiony jedzeniem. Wyobrazila sobie kłótnię kochanków, którzy biorą do ręki talerze z zapiekaną fasolką i dodatkową porcją chilli.

My nigdy nie postępowaliśmy w taki sposób - pomyślała nagle, odczuwając ból. Byliśmy spokojni i cisi. Przypomniała sobie Jamesa, który zawsze starał się zachować rozsądek, podczas gdy ona coraz bardziej się od niego oddalała, uwięziona w paraliżującej ciszy.

Teraz wszystko minęło. Dobiegło końca. Zostały tylko wspomnienia, wracające uparcie jak fragmenty filmu, którego wołałaby nigdy nie oglądać...

Ujrzała kobietę, która pisze list do swojego ukochanego, przelewa na papier słowa, których nigdy nie odważyłaby się powiedzieć mu prosto w oczy. Ze musi odejść. Ze gdyby została, groziłoby im ogromne niebezpieczeństwo. Jest zła,

szalona albo i jedno, i drugie. Stanowi poważne zagrożenie dla dziecka. Potem mnie kartkę i zaczyna od nowa. Kiedy wszystko zaczęło się psuć? Jak? Dlaczego?

Nagle pojawia się mężczyzna, który za wcześniej wrócił do domu. Od razu dostrzega spakowaną walizkę i zmięty list. Kobieta przerażona zamiera. Mężczyzna wygładza kartkę i czyta list.

- To nieprawda - mówi.

Mimo to jego oczy zdradzają, że uwierzył. Przecież od dawna wiedział, że cicha woda brzegi rwie. Cicha, głęboka i czarna woda. Nigdy nie potrafił przewidzieć, co zrobi żona.

- Zawsze wiedziałem, że kiedyś odejdziesz - wyznaje w końcu. - Będę miał to już za sobą.

Wzdycha niemal z ulgą. W końcu nadeszło to, co nieuniknione, i jak się okazało, ból wcale nie był większy niż podczas oczekiwania.

Kobieta widzi, że mężczyzna odsuwa się i pozwala jej odejść. W jego oczach gasną ostatnie iskielki miłości. Wyrwał z serca i wyrzucił to, co jeszcze między nimi istniało. Z wyjątkiem dziecka, które wywołuje jedyny blask, wciąż widoczny w jego oczach.

- Idź sobie - mówi. - Zostaw nas. Wynoś się i nigdy nie wracaj.

Tak wyglądało rozstanie, jednak przed oczami Ellen pojawiły się następne sceny, ożyły w pamięci chwile, od których wszystko się zaczęło.

Po raz pierwszy spotkali się w gabinecie Jamesa, pomieszczeniu z boazerią na wysoki połysk i solidnymi kapitańskimi meblami. Spoglądali na siebie przez szeroki dębowy stół -ogromną przestrzeń ciemnego brązu ze śladami po papierosach i rysami.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał.

Zerknął na jej dłoń w poszukiwaniu obrączki albo białego paska świeżo odsłoniętej skóry.

- To... właściwie błahostka - powiedziała. - Chciałabym tylko, żeby zerknął pan na kontrakt.

Kontrakt z moim agentem.

- A kto to taki? - spytał.

Baczniej przyjrzał się jej twarzy i dostrzegł jej duże, ciemne oczy.

Nie odwracała wzroku. Zauważyła włosy w kolorze wypłukanego piasku.

- Pan Meroe - odparła. - Carter Meroe.

Wymówiła to nazwisko cicho, jakby czuła, że zdradza Cartera, a echo w korytarzu może podchwycić tę wieść i rozgłosić ją po całym mieście.

James zmarszczył czoło.

- Czy ja panią znam? To znaczy... Carter jest agentem pierwszej klasy...

- Nie. Właśnie skończyłam szkołę... Amerykańską Akademię Baletu Klasycznego, ale on coś we mnie dostrzegł. W „Teen” zamieszczono wywiad.

-Ależ oczywiście! - Uderzył dłońmi o masywny blat. -Czytałem. Pierwsza amerykańska balerina! - Uśmiechnął się cierpko. - Tak to już jest, gdy człowiek zaufa Carterowi.

- Dużo dla mnie zrobił - próbowała go bronić.

- Bez wątpienia.

- Zawdzięczam mu wszystko. Chodzi o to, że...

- Oczywiście, potrzebuje pani prawnika. Kogoś, kto będzie bronił pani interesów. Kto będzie myślał tylko o pani.

Mówiąc to, pochylił się w jej stronę. W jego spokojnym głosie wychwyciła nutkę życzliwości.

- Może pani w pełni na mnie polegać.

Przyjrzała się jego twarzy, jego ustom, jakby chciała wszystko dobrze zapamiętać. Potem rozsiadła się w ogromnym skórzanym fotelu, w który zagłębiła się jak w morską pianę. Poczwała się miło i bezpiecznie.

Tak wyglądał początek. Chwila pewności przyszła później. W chłodny listopadowy poranek...

Gdy Ellen wyszła z Jamesem z budynku, w którym mieszkała, ze wszystkich stron otoczyły ich odgłosy porannego szczytu. Uśmiechnęła się do portiera i szybko przeszła przez chodnik. Kątem oka dostrzegła wielką czerwoną plamę. Zamarła w pół kroku. Jej samochód był obsypany różami, pokrywającymi maskę i dach, niektóre z nich spadły na ulicę.

Ellen przełknęła ślinę, czując, że coś ściska ją w gardle. Charles. To na pewno Charles...

James podszedł do auta i nachylił się, żeby włożyć kluczyki do zamka.

- Co to za gówno? - spytał, lekko marszcząc czoło, po czym zaczął wyrzucać kwiaty do rynsztoka jak śmieci.

Ellen patrzyła z poczuciem winy. Rzuciła Charlesa dla Jamesa. Tamten związek nigdy nie miał dla niej wielkiego znaczenia, ale Charles nadal do niej wydzwaniał. Mówił, że wciąż ją kocha... wciąż jej pragnie... wciąż nie może bez niej żyć.

Ruszyli. Została tylko jedna róża, która utknęła za wycieraczką. Kiedy nabierali prędkości, wiatr odrywał jej płatki. Ellen spojrzała na Jamesa. Gwizdał, jadąc z łokciem wystawionym za okno i z drugą ręką na kierownicy. Poczul jej spojrzenie i uśmiechnął się promiennie. Wybuchnęła śmiechem. W tym momencie zdała sobie sprawę, że go kocha... że chce z nim być. Zawsze.

Meksykańska restauracja zaczęła napełniać się ludźmi, którzy przyszli na lunch, ale Ellen prawie ich nie dostrzegała. Wbiła wzrok w swoje dłonie leżące na jasnym obrusie. W jej myślach układały się słowa, które potem zaczęły cisnąć się na usta, jakby koniecznie chciały wyrwać się z jej wnętrza. „To nie była miłość... Wcale go nie kochałaś”.

Ellen skrzywiła się, ale wiedziała, że jest w tym pewna doza prawdy. Tylko jej się wydawało, że kocha Jamesa i że chce być z nim do końca życia. Teraz zdawała już sobie sprawę, że po prostu chciała być taka jak on: silna, beztroska, odważna i nieskrępowana.

Przed oczami stanęła jej twarz Cartera, jego znaczący uśmiech i odrobina współczucia na twarzy. A nie mówiłem? -wyobrazila sobie jego słowa. Od początku wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Próbowałem cię nawet ostrzec, pamiętasz?

Tego dnia po raz pierwszy Ellen spotkała się z człowiekiem z American Plastics. Carter wciąż jeszcze pracował wtedy w biurze w samym sercu Nowego Jorku. Powietrze w jego gabinecie było nieruchome, zimne i martwe. Tłumiło wszelkie dźwięki, grzebiąc je w grubym dywanie i ciężkich drape-riach, które sięgały od sufitu do podłogi.

Ellen przed wejściem zatrzymała się na ulicy. Czowała, że ochroniarz, Rex, zatrzymał się za nią, a jego cień wchłonał jej cień. Ignorując kłęby spalin, wzięła dwa głębokie wdechy. Potem zerknęła na okno na drugim piętrze i weszła do środka.

Sekretarka czekała przy drzwiach windy. Uśmiechnęła się.

- Pan jest ochroniarzem, prawda? - spytała Rexa. Kiedy przytaknął, wskazała mu rządę pustych krzeseł.

- Proszę za mną, panno Kirby - powiedziała i poprowadziła ją korytarzem.

Jej obcasy stukały na marmurowych płytach; był to szybki rytm, bo długość kroków ograniczała wąska spódniczka, która krępowała kolana. Idąc za nią, Ellen poruszała się swobodnie w zielonkawych rajstopach i krótkiej spódniczce.

- Proszę wejść - powiedziała sekretarka z wystudiowanym uśmiechem, który nie zszedł z jej ust nawet wtedy, gdy odwróciła się i z zaciekawieniem przyjrzała klientce.

Ellen weszła do gabinetu. Zaciskała ręce, żeby przestać poprawiać spódniczkę. Wiedziała, że skąpy skrawek ma-

teriału sprawia wrażenie o wiele krótszego niż w rzeczywistości.

- El-len... - Carter wydłużył jej imię, jakby chciał wypełnić pustą przestrzeń.

Przeszedł przez pokój i pocałował ją w czubek głowy. Czowała jego szorstki policzek i piżmowy zapach płynu po goleniu. Z uśmiechem odsunęła się i stanęła obok wysokiej palmy w doniczce.

Carter zwlekał przez chwilę, dopiero potem wrócił na swój fotel.

- Cieszę się, że cię widzę.

Przez dłuższą chwilę oceniał jej wygląd, na moment zatrzymał wzrok w miejscu, gdzie kończyła się zamszowa spódniczka.

- Jadłaś? - spytał, zerkając w bok.

Ellen oderwała długi pasek z liścia palmy i wrzuciła go do doniczki. Potem powoli uniosła wzrok i skupiła go na wypukłym brzuchu Cartera. Był ściśnięty starym skórzanym paskiem. Wiedziała, że agent co roku popuszcza go o następną dziurkę. Każda była opisana długopisem: 1966, 1967, 1968, niczym nowoczesne graffiti nabazgrane wzdłuż pociągu metra.

- Wiem, wiem. - Carter uśmiechnął się. - Ale to nie ja mam być piękny. - Sięgnął po notes. - Na litość boską, Ellen, usiądź, proszę.

Odczekał, aż zajęła miejsce na długiej skórzanej kanapie.

- Lada chwila będzie tu człowiek z American Plastics. - Wychylił się nieco do przodu. - Dziękuję, że się nie spóźniłaś.

Ellen uniosła brwi.

- Nigdy się nie spóźniam. Wydaje mi się, że jeszcze ani razu nie przyszedłam spóźniona na spotkanie.

Carter wyraźnie zastanawiał się, jak przejść do tematu. Zerknął na zegarek.

- Ostatnio nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać - powiedział w końcu.

Ellen uważnie przyglądała się obrazowi na ścianie nad lewym ramieniem agenta. Było to oprawione zdjęcie Statui Wolności na tle zachodzącego zimowego słońca. Długie złociste promienie światła rozchodziły się ze spiczastej korony na głowie.

- Wiem, że nie lubisz Jamesa - zaczęła. - Ale nie rozumiem, o co...

- Osobiście nic przeciwko niemu nie mam - przerwał jej. - Po prostu nie jest dla ciebie odpowiednim facetem. Wiem o tym. I wcale tego nie kryję.

- Prawie go nie znasz. Machnął ręką.

- Nie muszę. Słyszałem o nim i czytałem. Widziałem go. Przez okrągły rok, dzień po dniu czarna koszula i dzinsy. Sławne podejście „gówno mnie to wszystko obchodzi”. Za kogo on się, do diabła, uważa? Za Bobby'ego Dylana?

Ellen wybuchnęła śmiechem i wciąż się uśmiechała, póki Carter nie odpowiedział tym samym. Ale on jeszcze nie skończył wykładu.

- Ellen, nie możesz chodzić z facetem, który napada na fotoreporterów. To twoi przyjaciele. Bez nich byłabyś... - Zmarszczył czoło, nim powiedział następne słowo. - ...Zwyczajną tancerką, nikiem więcej.

- To był maleńki bar. - Ellen oglądała swoje palce. - Chcieliśmy być sami. A ty... - Zerknęła na niego.

- .. Byłeś jedyną osobą, która wiedziała, dokąd się wybieram.

- Hej, daj spokój. - Carter uniósł dłoń. - Nie mieszaj mnie w to. Gdybym chciał dać komuś cynk, to na pewno nie byłby to Smithies. Nie znoszę tego faceta. - Nagle wybuchnął śmiechem. - Chciałbym tam być i zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy stał z otwartym aparatem i filmem zawieszonym na szyi.

Zadzwonil telefon. Ellen poruszyła się na siedzeniu, skóra fotela zaskrzypiała.

Carter podniósł słuchawkę.

- Tak? W porządku, daj go tutaj. Nie zwracaj sobie głowy kawą. I powiedz mu, że panna Kirby czeka. - Odłożył słuchawkę. - Już jest.

Hrabia Hollister sprawia! wrażenie, jakby na przekór chłodnemu powietrzu było mu gorąco. Gdy wszedł, wyciągnął rękę do Cartera, potem zamarł na chwilę, wyczuwając obecność Ellen za plecami.

- Proszę usiąść, panie hrabio. - Carter wskazał mu fotel. - Nie sądzę, by potrzebna była prezentacja. Panna Kirby wygląda dokładnie tak jak na zdjęciach. A my wiemy, kim jest pan.

Hrabia uśmiechnął się niepewnie.

- W takim razie przejdę od razu do sprawy - powiedział. Otworzył zamki plastikowej aktówki i odwrócił się ku

Ellen.

- Nasz projektant wykonał kawał świetnej roboty. Wiem, że będzie pani zadowolona.

Wyjął plastikowe pudełko ozdobione amerykańską flagą.

- Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli najpierw pokażę pani lalkę mężczyzny. Dzięki temu będzie sobie mogła pani wyobrazić, jaka jest nasza koncepcja.

Podał pudełko Carterowi i Ellen. W środku lalka w stroju astronauty stała na kartonie z namalowanym krajobrazem księżycowym. W ręce trzymała hełm, dzięki czemu widać było odsłoniętą twarz, a na niej pewny siebie uśmiech.

- Ma prawie ten sam rozmiar co Barbie i Sindy. Oczywiście, skopiowaliśmy do najmniejszego szczegółu autentyczne wyposażenie NASA. Jest bardzo podobny, prawda?

Carter spojrzał Ellen w oczy.

- Jasne. To nie mógłby być nikt inny. Mały krok dla człowieka, gigantyczny skok dla ludzkości - odpowiedział.

Patrzyła bez wyrazu.

- Neil Armstrong - dokończył Carter. Wzruszyła ramionami.

- Chyba byłam bardzo zajęta. Poczula na sobie wzrok hrabiego.

- No wiesz, facet, który właśnie wrócił z Księżyca - wyjaśnił Carter.

- W porządku - powiedziała. - Oczywiście.

- Armstrong ma być towarzyszem laleczki Liberty - ciągnął hrabia z zapalem. - Obie lalki jednocześnie zostaną wprowadzone na rynek.

- W takim razie zobaczymy, jak wygląda ona - zaproponował Carter.

- Jasne.

Hrabia ponownie sięgnął do aktówki. Wyjmując pudełko i podając je Ellen, bacznie obserwował jej twarz.

- Proszę. - Uśmiechnął się. - To pani.

Ellen patrzyła na nagą plastikową lalkę. Minęła długa chwila. Tancerka czuła, jak zmienia się wyraz jej twarzy: robi okrągłe oczy, zaciska usta i unosi brodę, żeby dopasować się do malowanego oblicza. Obaj panowie czekali.

- Dziwnie... się czuję - powiedziała. - To mam być ja?

- Jasne - potwierdził hrabia z dumą.

- Przyjrzyj się uważnie - zaproponował Carter, biorąc laleczkę z ręki hrabiego i kładąc ją ostrożnie na kolanach Ellen.

- Włosy... Muszę porozmawiać z panią na temat włosów - wtrącił hrabia, nerwowo rozglądając się po pokoju. - Są rude - zauważył Carter.

- Tak. Oczywiście, wiemy, że nie ma pani rudych włosów, panno Kirby. Po prostu przyszło nam na myśl... że długie, ciemne włosy... - Urwał, by nabrać powietrza. - Jestem przekonany, że tak niewątpliwie powinna wyglądać balerina, ale wszyscy w firmie uznali, że z ciemnymi włosami za bardzo przypominałaby pani Rosjankę. Ciszę przerywał tylko odgłos pisania na maszynie.

- Zastanawialiśmy się nad krótkimi włosami, kędziorkami, ale długie włosy pasują do lalki nastolatki. Więc...

- Chcecie, żeby panna Kirby ufarbowała włosy i upodobniła się do lalki?

- No cóż... chyba tak. Tak, tak, będzie musiała to zrobić.

- Na stałe? - spytała Ellen. - Czy tylko na czas promocji?

- Skarbie - wtrącił Carter łagodnie. - Masz być Liberty. Przez cały czas. Takie jest założenie, pamiętasz? Armstrong to postać prawdziwa. Ty też nią będziesz. Nie będziemy więcej mówić o tobie: Ellen Kirby, tylko Liberty.

- Tak jak Twiggy - dorzucił hrabia.

Carter obrzucił go chłodnym spojrzeniem, potem zwrócił się do Ellen:

- Oczywiście, decyzja co do koloru włosów należy do ciebie... Jak zawsze.

Ellen wzięła laleczkę do ręki i musnęła palcami nylonowe włosy. Rozdzieliła ich długie pasma. Równe rzędkie małych kępek biegły przez czaszkę. Wydeła wargi z obrzydzeniem.

- To nie jest kolor marchewkowy - zaznaczył hrabia, zaciskając niespokojnie ręce. - Wystarczy nadać pani włosom kasztanowy blask. Już konsultowaliśmy to z fryzjerem.

- Nie chodzi o kolor włosów - odparła Ellen. - Nie podoba mi się kolor skóry pod nimi. - Podniosła lalkę. - Jest zbyt biała. Widać wszystkie kępki. To brzydko wygląda.

- Świetnie! - powiedział Carter, szybko kończąc temat. - Załatwione. Po prostu każe im pan zmienić kolor skóry pod włosami i wszystko będzie dobrze. Co z ubraniem?

- Mamy kilka propozycji - odparł zadowolony hrabia.

Wyjął plik rysunków i rozłożył je na biurku. Była tam laleczka w sukniach wieczorowych, strojach dyskotekowych, w spodniach, w skórzanych spodniach i kowbojskich koszulach. Na każdym stroju powtarzał się okrągły motyw ze stokrotek.

- Miał pan wspaniały pomysł, żeby ubraniami zajęli się specjaliści z Young Designs - powiedział hrabia do Cartera. - Szyją je też dla panny Kirby, w naturalnej wielkości. Później może nawet zaprojektują inne ubranka, żeby dzieci mogły przebierać Liberty. To ich dziedzina.

Rozłożył kilka następnych rysunków: Liberty w stroju do jazdy konnej, w kombinezonie narciarskim, w stroju do tenisa i jazdy na rowerze.

- Dorzucili i to. Założenie jest takie, że można wybrać, co się chce, i ubrać lalkę wedle własnego upodobania.

- Ale Liberty nie może nosić takich rzeczy - zaprotestowała Ellen.

Hrabia spojrział na nią, potem z powrotem na rysunki.

- To znaczy...? - W zdumieniu zmarszczył czoło, a potem nieśmiało się uśmiechnął. - Chodzi pani o to, że lalka nie może... - Spojrział na Cartera, oczekując pomocy.

- Ona ma rację - rzekł Carter. - Tancerki nie mogą jeździć na nartach, rowerze ani niczym innym. Ich nogi są ubezpieczone, stąd mnóstwo dodatkowych zastrzeżeń. - Kiwnięciem głowy wskazał Ellen.

- Jej nogi są warte miliony dolarów. Wiele milionów dolarów. Nikt nie chce, by coś im się stało.

Chociaż, z drugiej strony, to żaden problem. Nikt poza nami nie wie o tym.

- To żaden problem - potwierdził hrabia. - Teraz pora porozmawiać o sukni ślubnej. Może...

- Nie - przerwał Carter. - Nie będzie żadnej panny młodej. Przecież to nastolatka. Może im pan to powiedzieć. - Oparł dłonie na blacie biurka i wstał. - To chyba wszystko.

Hrabia wyciągnął rękę po laleczkę.

- Chciałabym ją zatrzymać - szepnęła Ellen.

- Niestety... - zaczął hrabia.

- Niech pan da spokój - wtrącił Carter. - Proszę jej to zostawić. Wkrótce będzie pan miał tysiące laleczek do zabawy.

Gdy hrabia wyszedł, Carter zamówił kawę mrożoną. Dla Ellen przygotował napój, mieszając proszek pomarańczowy w szklance wody.

- To nowość - wyjaśnił, podając jej szklankę. - Opracowana specjalnie dla programu badań kosmicznych. Co o tym sądzisz?

Ellen, skosztowawszy płynu, wzruszyła ramionami.

- Może być.

- Mówią, że lepsze niż prawdziwy sok.

Carter błyskawicznie wypił swoją mrożoną kawę, potem wyjął kartkę z notatnika.

- Wspaniały duet: Neil Armstrong, robiący pierwszy krok na powierzchni Księżyca, i Liberty, amerykańska balerina tańcząca dla całego świata. On jest silnym, odważnym człowiekiem sukcesu. Ona ma te same cechy, ale jest kobieca, delikatna i piękna. - Spojrzał na Ellen. - Ludzie to kupią, wiesz? Nie ma wątpliwości, sukces murowany. Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty będzie twoim rokiem, dziecinko. Wszyscy poznają twoje imię.

- Masz chyba na myśli Liberty - przypomniała Ellen.

- Jasne. Liberty. Wolność, sukces, nagroda za ciężką pracę. Będziesz symbolem amerykańskiego stylu życia. To wielki honor. - Spojrzał na nią z powagą. - Dlatego, Ellen, teraz musisz bardzo uważać. Niestety, to, co robisz z Jamesem Madisonem, naprawdę mnie martwi. Ten facet reprezentuje sprzeciw wobec tradycji i ustalonego porządku. Idę o zakład, że nie zgadza się z wojną w Wietnamie. Jest nieamerykański.

- Kocha mnie - szepnęła Ellen, bardziej do siebie niż do Cartera.

- Na litość boską, Ellen! - wybuchnął Carter. - Wszyscy cię kochają. Wszyscy cię pragną. - Rozłożył szeroko ręce. - Możesz mieć, kogo zechcesz.

- Jego nie interesuje taniec, moda ani nic takiego - ciągnęła. - Jest inny. Zależy mu tylko na mnie.

- Tu cię mam - rzekł. - Skarbie, te same słowa słyszałem z ust wielu młodych, pięknych kobiet, które odniosły ogromny sukces. Nawet nie wiesz, ile ich było. Niestety, to złe podejście. Powinnaś poszukać sobie kogoś, kto stanie obok ciebie, będzie pracował z tobą, a nie przeciwko tobie. Jesteś to winna samej sobie. Pomyśl, ile masz za sobą lat ciężkiej pracy. Potrzebujesz mężczyzny, który ceni nie tylko to, kim jesteś, ale i to, co robisz. To dwa nieodłączne elementy. Tym-

czasem James Madison nigdy taki nie będzie. Po prostu nie jest odpowiednim człowiekiem dla ciebie.

Carter otworzył szufladę biurka i wyjął cienką, błękitną teczkę. Jego głos złagodniał.

- To nie tylko mój punkt widzenia. Znam takie sytuacje. Dlatego teraz, jeśli tylko mam jakieś wątpliwości, proszę psychologa, żeby bacznie przyjrzał się rodzinie, poobserwował konkretnego człowieka, porozmawiał z jego pracownikami i sporządził charakterystykę. - Carter położył zdecydowanie dłoń na teczce i rozchylił palce. - Wszystko tu jest, Ellen. Nieszczęśliwa rodzina. Nerwowa matka. Surowy ojciec. Czego się spodziewałaś? Jamesowi brakuje pewności siebie. Nigdy nie pogodzi się z twoim wysokim statusem. W głębi duszy będzie czuł się zagrożony tym, że inni cię podziwiają... i pożądamy. Będzie pogardzał twoimi pieniędzmi.

Zdania gładko wypływały z jego ust jak wyćwiczone kwestie. Przerwał w oczekiwaniu na odpowiedź, ale Ellen siedziała bez słowa, z nieprzeniknioną twarzą. Carter westchnął.

- Wiem, że te ostrzeżenia mogą ci się wydawać przedwczesne, ale muszę ci o tym powiedzieć, a im wcześniej, tym lepiej. Nic z tego nie będzie. Jeśli zatrzymasz go przy sobie, zniszczy cię. Jeśli wyjdiesz za niego za mąż, zrujnuje twoją karierę. Pamiętaj, że nie bez powodu odnosi sukcesy jako adwokat. Po prostu umie stawiać na swoim.

Podsunał Ellen teczkę. Powietrze było nieruchome.

- Jak powiedziałem, to stara historia, ale przeczytaj, jeśli chcesz.

Ellen potrząsnęła głową i odwróciła się. Jej ręce spoczywały na kolanach. Butem stukała o nogę krzesła.

Carter obserwował ją przez chwilę, potem westchnął i oparł głowę na dłoniach.

- Przykro mi, Ellen. Zawsze posuwam się za daleko, gdy chodzi o ciebie. To twoja wina. Gdybym powiedział komuś innemu połowę tego, co tobie, dawno by wyszedł, tymczasem ty siedzisz i wysłuchujesz wszystkiego.

Ellen sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Przywykłam do tego, że się wymądrzasz. Robisz mi wykłady na każdy temat. Zawsze.

- Taak, wiem, wiem.

- Na tym polega twoja praca. Tak przynajmniej twierdzisz za każdym razem.

Carter potrząsnął głową.

- Jesteś dla mnie wielką zagadką, Ellen. Nie mogę cię rozszyfrować. Dlatego tak się o ciebie martwię. Jeśli chodzi o Jamesa... po prostu próbuję cię chronić. - Jego głos był niski, zachrypnięty. - Gdybym był nieco starszy, mógłbym powiedzieć, że kocham cię jak córkę.

Obszedł biurko i stanął obok Ellen, czekając, aż uniesie głowę i uśmiechnie się do niego.

Zaczął siąpić kapuśniaczek, drobne kropelki rozpryskiwały się na przydymionej szybie. Ellen podniosła laleczkę z oparcia fotela i poruszyła lalką. Lalka zawিrowała w powietrzu, z jedną nogą odgiętą do tyłu i rudymi włosami kołyszącymi się sztywno z boku na bok.

- Jako dziecko, nigdy nie lubiłam lalek - powiedziała w zamyśleniu. - Oczywiście, miałam je, ale się nimi nie bawiłam. - Potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło.

Carter dotknął delikatnie jej ramienia.

- Chodź. Zapraszam cię na lunch. - Uśmiechnął się. - Nim staniesz się tak sławna, że nie będziesz mogła wychodzić z domu.

Prawdę mówiąc, było już za późno. Żadne uwagi Cartera na temat Jamesa nie mogły zmienić postawy Ellen. Madison o władnął nią jak nikt wcześniej. W obecności ludzi był troskliwy i czuły, ale przy pierwszej nadarzącej się okazji robił wszystko, żeby wyciągnąć ją z towarzystwa. Wychodzili z przyjęć, gdy większość gości wciąż jeszcze przybywała; skracali pobyt w kinach i na przedstawieniach; znikali z uro-

czystych lunchów, gdy dania parowały jeszcze na śnieżnobiałych obrusach.

Kiedy już miał Ellen tylko dla siebie, ulegał swej pasji i namiętności. Prosił, żeby się rozebrała, zmyła makijaż, rozpuściła włosy. Zachowywał się, jakby chciał dotrzeć do najgłębszych zakamarków jej duszy.

- Pragnę cię - mówił, kiedy się kochali, kiedy wsuwał w nią palce, język, jakby szukał jakichś ukrytych fragmentów. - Chcę mieć cię całą.

Ellen dała się wciągnąć w tę grę, zafascynowana siłą jego pragnień. Otworzyła się, odsłoniła twarz i ciało, starannie jednak ukrywając przejmujący strach, że kiedy odda mu już wszystko, okaże się, że to za mało.

Tymczasem, chociaż znali się od niedawna, James zaczął mówić o dziecku - ich dziecku.

- Przecież widzisz, że jesteśmy sobie pisani - przekonywał. - Już nigdy się nie rozstaniemy.

Patrząc mu w oczy, Ellen miała wrażenie, że ją porywają jego marzenia. Jednocześnie czuła, że obejmują ją mocne i zdecydowane ramiona, które przypominają port. Miejsce, gdzie nigdy nie mają dostępu zimne wiatry i gwałtowne burze.

Wyjrzała przez okno meksykańskiej restauracji. Skupiła wzrok na przechodniach i próbowała zgadnąć, kim są, dokąd pędzą i co dzisiaj kupili. To jednak nie zdało egzaminu; jej myśli biegły własną ścieżką. Przypomniała sobie chatę na wyspie, która miała być przystanią z dala od świata. I Zeldę, dziecko, którego pragnął James i które miało stanowić dopełnienie wspólnego życia. Zeldę.

Ujrzała ją, promienną i szczęśliwą, po raz ostatni machającą na pożegnanie. Przypomniała sobie jej dotyk, jej zapach. Kocham cię, aniołku - pomyślała. Bardzo za tobą tęsknię.

W takim razie dlaczego tu jesteś? - pojawiło się złośliwe, bolesne pytanie. Dlaczego uciekłaś? Łzy napłynęły Ellen do oczu, więc pochyliła głowę. Strata była zbyt wielka, zbyt ciężka, by ją znieść. Szukała rozpaczliwie następnej myśli. Miejsca, imienia, czegokolwiek, co by pchnęło ją w inną stronę.

Karl.

Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie jego twarz. Karl Steiger, choreograf, mężczyzna, który wyrwał ją z klasztornej bezpieczności akademii i wrzucił na głębokie wody świata zewnętrznego. Zobaczyła go opartego o ścianę, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, z założonymi ramionami, głową odchyłoną do tyłu, kiedy bacznie przyglądał się jej spokojnymi, brązowymi oczami.

Wszystko wydarzyło się dwa dni przed jej osiemnastymi urodzinami, kiedy została wezwana do biura dyrektora. Była spocona i zgrzana; właśnie wracała z porannych zajęć. Czowała na skórze zapach potu, który wsiąkał w stary czarny sweter i mieszał się z wonią maści i cytrynowego środka czyszczącego.

- Cześć, Ellen! - zawołał Karl, gdy weszła do gabinetu. Zerknęła na niego, pochylając się przed madame Katrin-

ką, niezbyt pewna, czy nadal powinna składać formalny ukłon, bo nie jest już uczennicą, ale gościem, który przyszedł na dodatkowe zajęcia.

- To Karl Steiger - przedstawiła go Katrinka. Spojrzała przez okno na pusty dziedziniec. Rosyjski akcent nie zdołał ukryć jej niezadowolenia.

- Rada postanowiła wypożyczyć cię mu.

Ellen zerknęła na mężczyznę, a potem wbiła wzrok w podłogę.

- Pan Steiger jest dyrektorem Nowojorskiego Zespołu Tańca Nowoczesnego - ciągnęła starsza pani.

- Chce opracować choreografię specjalnie dla ciebie.

Suchy ton zdradzał jej uczucia.

- Słuchajcie, dziewczęta - mawiała często. - Nie zadawajcie się z nimi. Brudne, bose, skierowane do wnętrza stopy. Fikołki na ziemi. Pamiętajcie, że jesteście prawdziwymi tancerkami!

- Codziennie rano będziesz chodziła do niego na zajęcia, a potem wystąpisz w pięciu spektaklach.

Głos Katrinki był życzliwy i smutny, jakby odsyłała swoje ulubione zwierzątko do domu, który, jej zdaniem, wcale nie jest dobry.

Może wiedziała... - pomyślała później Ellen. - Może wiedziała, że Karl przed zajęciami pali trawkę i połowę czasu spędza nie na tańcu czy nauczaniu, tylko na gadaniu. Siedzi z wyciągniętymi nogami na podłodze i nie przestaje gadać, popijając zieloną herbatę.

Pierwszego dnia Ellen powędrowała do prywatnego studia Karla. Była zaskoczona, gdy okazało się, że jest jedyną tancerką.

- Chcę zacząć pracę z tobą - wyjaśnił dobitnie. - Mój taniec to metamorfoza. Jesteś tancerką klasyczną, twoje ciało zostało zmuszone do perfekcji, twoją osobowość ogranicza! dotychczas surowy styl i ciasne kostiumy. W moim tańcu zaczniesz się zmieniać, odzyskiwać wolność. Odkryjesz siebie! A taniec ukáže następujące w tobie przeobrażenie. W jakiś sposób przypomina to *Śpiącą królową* albo *Brzydkie kaczątko*.

Ellen wybuchnęła śmiechem. Wyobraziła sobie, jak opowiada o wszystkim Ziggy. Nie uwierzysz! Karl Steiger to szalony hipis! Chciała wstać i wyjść, ale pokazał jej list z akademii. *Wyjątkowa możliwość* - napisano. - *W samą porę, co więcej, korzystna dla obu stron. Zdecydowanie popieramy.*

Kiedy Karl zaczął z nią pracować, Ellen w ogóle nie patrzyła w lustro, całkowicie skupiając się na nowych ruchach, naturalnych i niewyuczonych albo celowo niezgrabnych i brzydkich. Wyobraziła sobie, że połknęła truciznę, która na

zawsze napiętnowała jej ciało. Czuła się zdradzona przez swoich nauczycieli, a jednocześnie miała wyrzuty sumienia, że odczuwa dreszcz radości, który towarzyszy nieznanym ruchom szalonego, zakazanego zapamiętania.

Wciąż pracowali we dwoje, jakby taniec był czymś wstydlivym, co należy trzymać w ukryciu. W końcu Ellen spytała, kiedy dołączą inne tancerki. Karl odparł, że ćwiczy z nimi w grupie, ale spotkają się z nimi dopiero podczas występu.

- Nie będzie nawet próby kostiumowej? - spytała Ellen, czując, że zamiera jej serce.

- Nie - odparł chłodno Karl. - Nie będzie próby kostiumowej. W dzień premiery przygotuję cię i wyślę na scenę. Twój kostium będzie się zmieniał wraz z tańcem, ale nie będziesz wiedziała z góry jak.

- To szaleństwo - stwierdziła Ellen.

- Nie - odparł Karl. - Po prostu coś nowego.

Tak więc w dzień premiery Ellen siedziała w garderobie w gładkiej sukience, podczas gdy jej twarz malowano zgodnie z utrzymywanym dotychczas w tajemnicy projektem, który teraz wisiał przyklejony taśmą do lustra. Wilgotny pędzelek półkolistymi ruchami przesuwiał się po zamkniętych powiekach, potem poczuła delikatne muśnięcie puszkiem do pudru. Następnie kreszczka chłodnego kleju i ciężar długich, wywiniętych rzęs, które opierały się na policzkach. Po kolei wyprostowała palce, rozluźniając mocny uścisk na oparciu krzesła. Wiedziała, że za nią stoi Karl, jak zwykle opierający się o ścianę.

- W porządku, skarbie, teraz możesz otworzyć oczy. Specjalistka od makijażu odchyliła się, by sprawdzić efekt swojej pracy. Karl czeka! na jej ocenę, a potem podszedł, by przyjrzeć się z bliska.

Ellen patrzyła na swą twarz w lustrze. Był to makijaż do pierwszego aktu: balerina gaśienica z tradycyjną twarzą i w tradycyjnym stroju, mądra i piękna, ale nic niezwykłego. Dopiero w drugim i trzecim akcie miała się wyłonić z nie-

atrakcyjnej poczwarki, by rozwinąć nowo odkryte skrzydła, a potem odfrunąć, przemieniona na zawsze.

Kiedy po występie kurtyna opadła, Ellen stała zziębnięta i przestraszona. Cisza na widowni spowiła ją jak wilgotna, śliska chmura. Nawet Karl, który stał za kulisami, sprawiał wrażenie spiętego i niepewnego. Kurtyna znów poszła w górę, a on machnięciem ręki nakazał Ellen wybiec do przodu. Stała tam sama, mając pozostałe tancerki daleko za plecami. Brakowało jej partnera, który ująłby ją za rękę i zachęcił tłum do oklasków. To była historia jej, i tylko jej. Historia Karla.

Nagle zdała sobie sprawę, że ludzie rozmawiają, ale nie był to zwyczajny, cichy pomruk, który zaczyna się, gdy cichną brawa, a ręce sięgają po płaszcze i programy. Był to niski, pełen podekscytowania szum, który przeobraził się w falę oklasków, a potem przybrał na sile, gdy publiczność wstała i zaczęła wykrzykiwać wyrazy uznania.

Na scenę spadły kwiaty. Wśród zwykłych róż były setki dużych, żółtych stokrotek, takich samych jak te, które miała na rajstopach. Na pewno sprawka Karla - pomyślała Ellen. Ale owacja była szczera.

Pochyliła głowę i czekała, aż sympatyczny tumult przetoczy się. Dobrze mi poszło - pomyślała. Naprawdę dobrze. Niemniej, tak samo jak zawsze, poczuciu ulgi towarzyszyło wrażenie ogromnej pustki i samotności, otwierającej się rany.

Karl podprowadził ją do przodu, w strumień światła reflektorów, jedną ręką od niechcienia bawiąc się mandalą, która wisiała mu na szyi.

- Hej, skarbie - powiedział, ściskając jej dłoń. - Podobało im się.
- Uśmiechnęła się, pozdrawiając publiczność, tak jak ją nauczono.
- Bis! Bis! - żądali widzowie.
- Zatańcz coś - poprosił Karl.
- Co? - spytała, wpadając w panikę. Nie przygotowali bisów.

- Zaczynij od dowolnego miejsca - odparł spokojnie. - Orkiestra przyłączy się do ciebie.

Kiedy publiczność ucichła i usiadła, Ellen wciąż stała zmieszana. Nagle cały taniec wydał się jej jednorodną całością i nie potrafiła znaleźć miejsca, od którego mogłaby zacząć bis. Podświadomie wróciła do jednej z wcześniejszych sekwencji. Był to trudny, ale czysto klasyczny fragment, który pozwalał jej wykorzystać umiejętności zdobyte podczas wieloletniej nauki, będącej ciężką pracą, trwającą po sześć godzin dziennie przez ostatnich siedem lat.

Kiedy powoli wykonywała pierwsze kroki, czekając, aż orkiestra podchwyci wątek, nagle zdała sobie sprawę, co zrobiła. Nawet Karl, który stał na skraju sceny, odwrócił się z zainteresowaniem w jej stronę, gdy zaczęła bezbłędnie tańczyć *Giselle* - w obcisłym swetrze w jaskrawe paski, przezroczystej nylonowej minispódniczce, krótkiej peruce i rajstopach w ogromne stokrotki.

Na zakończenie występu opadła na podłogę, a sztywna spódniczka uniosła się na jej udach. Pochyliwszy głowę, by oprzeć ją na kolanie, Ellen czekała bez tchu, aż opadnie kurtyna. Słyszała, jak Karl podchodzi i staje nad nią, ale nie uniosła głowy.

- I to jest właśnie to, co nazywam pogłębianiem sztuki - powiedział z dobrze znanym akcentem. - *Giselle* w minispódniczce. Szalona.

Ellen zerknęła na niego, zdając sobie sprawę, że znów zerwały się brawa.

Błysk, obrót, pstryknięcie i znów błysk. Aparat fotograficzny na scenie? Ellen poderwała się na równe nogi. Błysk. Pstryknięcie. Błysk. Pstryknięcie. Próbowwała schować się za Karla, ale on ruszył naprzód.

- Zabierzcie go stąd! - krzyknął.

Po kilku sekundach chłopcy z ochrony wyciągnęli kogoś ukrytego w fałdach kurtyny. Karl ujął Ellen za ramię i poprowadził ją za kulisy.

- Te zdjęcia znajdują się we wszystkich gazetach - stwierdził z radością. - W całym mieście będą o nas gadać!

- Och! - westchnęła Ellen. - Sama nie wiem...

- Jesteś za młoda - stwierdził Karl. - Na coś takiego czekałem piętnaście lat. Przekonasz się.

Napiszą: „Pierwsza prawdziwa amerykańska balerina w tańcu nowoczesnym”!

Uśmiechał się, gdy ludzie głośno mu gratulowali.

- Giselle w minispódniczce!

Zerknąwszy na grupę tancerek, na przyjaciół, krytyków i reporterów, Karl pochylił się i pocałował ją w usta, a następnie wsunął język do jej ust. Korki szampana odbijały się od ścian, a na Karla i Ellen połała się słodka biała piana.

Ellen rozejrzała się. Karl ma rację - pomyślała. Spodobałam im się. Chcą mnie znów zobaczyć. Poczowała przyływ nadziei i ulgi, jakby ci obcy ludzie, którzy cisnęli się wokół z uśmiechami i pełnymi podziwu słowami, byli w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo i upragnioną miłość.

Kelner przyniósł talerz wypełniony jedzeniem i zachęcająco kiwając głową, postawił go przed Ellen.

Patrzyła, jak ser roztapia się, tworząc żółte sadzawki. Zobaczyła pomidory, wołowinę, kwaśną śmietaną i zielone plasterki chili na cieście pizzowym. Tysiące kalorii! - pomyślała. Prawdopodobnie trzydniowy limit.

Przypomniała sobie wychudzoną Ziggy w klinice, jej wy-mizerowaną twarz i zapadnięte oczy. Uniosła wzrok i przyjrzała się własnemu odbiciu w oknie. Na jej złocistej skórze kładły się blade cienie, włosy miękko opadały falami na ramiona. Wyglądała zdumiewająco dobrze, jakby jej ciało zachowywało się całkiem naturalnie, pragnąc w ten sposób ukryć mrok w jej wnętrzu.

Oderwała spory kawałek tortilli i zaczęła jeść. Odgryzała tak duże kęsy, że sos wypływał jej na brodę.

Dobre - myślała, jedząc coraz więcej i więcej, jakby chciała najeść się i za Ziggy, która najwyraźniej w jakimś momencie wypowiedziała wojnę pożywieniu i teraz nie była w stanie jej zakończyć. Lucy wyjaśniła to wszystko Ellen podczas długiej, rozpaczliwej rozmowy telefonicznej. Najwyraźniej Ziggy ma jakiś poważny, ukryty problem - powiedziała. - Trzeba go wydobyć z niej i rozwiązać. Pomóc muszą wszyscy, którzy ją kochają.

Kiedy Ellen następnym razem odwiedziła klinikę, przeszła przez recepcję i powędrowała prosto do pokoju Ziggy, nie dając sobie dużo czasu na zastanowienie.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Dopiero po zrobieniu dwóch kroków zdała sobie sprawę, że pomyliła pokoje. Ten był mroczny i pusty, a okno wychodziło nie na ogród, ale na inny pokój. Ellen podeszła bliżej i przez szybę ujrzała czterech mężczyzn w białych kitlach, stojących wokół bladej postaci na łóżku. Ellen zastygła w bezruchu, kiedy zobaczyła na podłodze beret Ziggy. Potem dostrzegła też bukiet kwiatów, który Lucy postawiła na toalecie, i inne przedmioty należące do przyjaciółki porozrzucane po pokoju.

Usiadła na obrotowym krześle ustawionym blisko okna. Przypomniała sobie, że podczas ostatniej wizyty widziała szerokie lustro, które biegło wzdłuż całej ściany pokoju. Dzięki niemu pomieszczenie wydawało się większe i jaśniejsze. Jak się okazało, lustro pełniło jeszcze jedną funkcję, było dwustronne, połączone z pokojem obserwacyjnym po drugiej stronie tafli.

Ziggy, leżąc na łóżku, kręciła przecząco głową, gdy jeden z mężczyzn podchodził do niej ze strzykawką. Inni, pochyleni, trzymali ją za ręce i nogi - delikatnie, ale stanowczo. Mieli spokojne i życzliwe twarze. Ziggy chyba zdawała sobie sprawę, że nie ma po co walczyć ani krzyżeć, dlatego też wbiła wzrok w sufit i czekała.

Nie! - pomyślała nagle Ellen. Nie poddawaj się! Nie pozwól im! Poczwała, że ogarniają panika. Mężczyzna ze strzykawką był gotowy do wykonania zastrzyku. Ellen przełknęła ślinę i odwróciła się, mimo to wiedziała, że kropelka bursztynowego płynu zbierze się na końcu igły i będzie tam wisiała, póki nie spadnie. Ta wizja wypływała gdzieś z jej wnętrza, wyłaniała się z nicości i powodowała potworny strach.

Ellen zgarbiła się i oparła o krzesło. Mętnym wzrokiem patrzyła, jak mężczyzna z przezroczystą rurką w ręku pochyła się nad Ziggy. Rozwinąwszy ją na całą długość, rozsmarował na końcu jakiś oleisty płyn i zaczął wpychać rurkę do nosa Ziggy.

- Niech to diabli! - Jego głos przerwał ciszę.

Ellen podskoczyła, przestraszona i zażenowana. Potem dostrzegła malutki głośnik, umieszczony w ścianie na wysokości jej kolan.

- Posadź ją i unieś jej głowę - powiedział ów mężczyzna. Koledzy pospieszyli mu z pomocą. Ziggy w ich rękach

przypominała szmacianą lalkę, co prawda świadomą, ale bezwolną i uległą.

- Teraz daj mi wzniernik...

Mężczyzna otworzył Ziggy usta i zajrzał do gardła.

- Jest tutaj.

Zaczął przesuwac rurkę w góre i w dół, tam i z powrotem. Ziggy zakaszlała, bolesne spazmy wstrząsnęły jej ramionami, przytrzymywanymi przez kolana w białych spodniach.

- O cholera!

Sanitariusz wyciągnął rurkę i spróbował jeszcze raz. Teraz chora zakrztusila się i zaczęła dusić; pod wpływem paniki machała dłońmi.

- Jasna cholera! Przywiąż ją - nakazał sanitariusz. Nagle na salę wszedł portier, zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w zamku. Przeszukał wzrokiem całe pomieszczenie.

- Nikt tu nie wchodził? - spytał. Mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami.

- To dobrze. Przepraszam, widziałem, jak ktoś szedł w tę stronę. Przyszło mi na myśl, że możecie mieć gościa.

Mężczyźni ułożyli Ziggy na łóżku, a jeden z nich podłączył rurkę do woreczka z mętnym płynem, zawieszono go na stojaku ze stali nierdzewnej. Mniej więcej minutę stali wokół i patrzyli, jak płyn spływa rurką do nosa Ziggy.

- Kto następny? - spytał mężczyzna, który wyraźnie kierował akcją karmienia.

- Srebrna brzoza, dereń i mahoń.

Wyszli, pozostawiając jednego z nich, który usiadł na parapecie i patrzył, jak roztwór soli i cukru spływa rurką, by dodać sił zmęczonemu ciału Ziggy.

Takie postępowanie z chorą wydawało się Ellen żalosne, bezsensowne i nieuczciwe. Dlaczego nie zostawia jej w spokoju?! - zastanawiała się. Łatwo byłoby po prostu pozwolić, żeby wszystko potoczyło się swoim torem. W jej głowie zaświtała pewna myśl, nowa, kusząca. Przecież ona również mogłaby uciec z tego świata. Czemu nie? Rozważając swój najnowszy pomysł, opracowała szybko dwa scenariusze. W jednym została uratowana i otoczona przez białe postacie, które wykonywały wszystkie swe czynności pośpiesznie i z niepokojem. Potem oddano ją w pewne ręce psychoanalityka, który obiecał, że nie spocznie, póki nie pozna jej problemów. W drugim scenariuszu udało jej się popełnić samobójstwo, chociaż nie przyłączyła się do powolnego i niepociągającego tańca Ziggy, nie walczyła, nie sapała, nie zapadała się powoli w ciemność... W przypadku Ellen musiałoby to być coś zdecydowanego, szybkiego i w pełni świadomego, jak bieg ku śmierci. Pomyślała, jak by się czuła, gdyby lodowaty chłód rozprzestrzenił się po jej ciele jak narkotyk. Wyobraziła sobie spokój, z jakim wychodziłaby śmierci na spotkanie.

„Do widzenia, Jamesie”.

„Do widzenia, Zeldo”.

„Aniołku”. „Kochanie”.

Potem powinien nastąpić koniec, który swą siłą przypominałby wybuch albo orgazm. „Mamusia cię kocha”.

16

- Przyszłam się pożegnać.

Ellen spoglądała z wysoka na Ziggy, która siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, owinięta fioletoworóżowym wełnianym kocem z subtelnie wyhaftowanym monogramem kliniki.

Chora zerknęła spod rzęs.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie wiem... Po prostu nie mogę tu zostać - odparła Ellen, po czym zamilkła na chwilę.

W napięciu przygryzała wewnętrzną część policzka, wyglądała przez okno, nie odrywając wzroku od linii horyzontu.

- Nie chodzi mi o klinikę - dodała. - Ale o Nowy Jork, o Amerykę.

- Wracasz do Jamesa? - spytała Ziggy, siłąc się na obojętność.

-Nie.

- Dlaczego? - spytała Ziggy prosto z mostu. -Nie...

Ellen urwała, marząc nagle o rozmowie z dawną błyskotliwą Ziggy. W obecnej sytuacji na pewno nie mogła paść w kruche ramiona przyjaciółki i ukryć w nich twarzy.

- Moja opowieść zajęłaby zbyt dużo czasu. Ziggy prychnęła.

- Zawsze możesz ją zacząć. Gdy skończysz, po prostu sprawdź, czy wciąż jeszcze kołacze się po tej ziemi!

Ellen zerknęła na przyjaciółkę, zaskoczona, że Ziggy próbuje żartować z własnej choroby, która powolutku, krok po kroku zżera jej ciało.

- Wyjdźmy na balkon. - Chora z trudem podniosła się z podłogi. - Tam jest przynajmniej trochę powietrza.

Usiadły obok siebie, jak niegdyś, i spoglądały na drzewa, tyle że tym razem oddzielała je od nich drobna krata we wzorek utworzony z gałęzi i liści.

- Opowiedz wszystko od początku - poprosiła Ziggy, przymykając oczy, jakby cofała się w myślach o kilka lat. - Nagle zniknęłaś! Wszyscy doszukiwali się w tym jakiegoś skandalu. Prasa szalała, ale jedyne, co znaleźli i mogli sfotografować, to twój pusty dom! Carter napadł na mnie, przekonany, że musiałam coś wiedzieć o twoich planach.

- Nie było żadnych planów - wyjaśniła Ellen. - Po prostu wyjechaliśmy. James kazał agentowi pozalać wszystkie sprawy związane z domem i całą resztą. Po prostu każde z nas spakowało walizkę i wsiedliśmy do taksówki.

- Nie przysłałaś nawet widokówki - powiedziała Ziggy z wyrzutem, choć i podziwem.

- Nie kontaktowaliśmy się z nikim. Nie rozmawialiśmy nawet o starych znajomych ani o dawnym życiu. James tak zdecydował. Postanowił spalić za sobą wszystkie mosty.

- Twoja opowieść brzmi jak bajka! - Oczy Ziggy błysnęły z podniecenia. - Nie masz pojęcia, jak ci zazdrościłam. Wszyscy marzą o ucieczce i robieniu tego, na co ma się ochotę, a ty po prostu zrealizowałaś to marzenie! Nagle znalazłaś się w raju, do którego wszyscy tak tęsknimy. Jak człowiek się czuje, gdy porzuci swoje dotychczasowe życie?

- Nie pamiętam - odparła Ellen po chwili zastanowienia. - Chyba nie czułam niczego.

Przypuszczalnie po prostu poszłam za Jamesem. - Zmarszczyła czoło i cofnęła się myślami o kilka lat.

- Chociaż dość dokładnie pamiętam swój ostatni dzień pracy. Miałam sesję zdjęciową Liberty. Coś z wielbładami.

Długi czarny samochód posuwał się powoli w ulicznych korkach. Ellen usadowiła się wygodnie i patrzyła na migające za ciemną szybą światła.

- To był długi dzień, panno Kirby - rzekł życzliwie szofer. Ellen przytaknęła. Woził ją niemal od roku i zasłużył na

krótką pogawędkę. Powiedział jej, że ma córkę prawie w tym samym wieku co ona. Dlatego też wiedział sporo o odpowiednim odżywianiu się, ciepłym ubraniu i konieczności oglądania się za siebie.

- Kim była pani dzisiaj i gdzie? - spytał.

- Liberty w Persji. Potrząsnął głową.

- Co oni jeszcze wymyślą? Jak wyglądała sceneria?

- Och... dywany, ludzie palący nargile, kobiety wykonujące taniec brzucha, zawoalowane niewiasty leżące na poduszkach... tego typu rzeczy. I, oczywiście, Liberty.

Szofer wjechał w bramę i ostrożnie minął marmurowe słupki. Zatrzymał się, by ochroniarz mógł przyjrzeć się ich twarzom.

- Podwiozę panią pod samo wejście - zaproponował, kiedy Ellen zamierzała wysiąść z samochodu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich James.

Szofer zsalutował.

- Dobry wieczór, panie Madison.

- Cześć - powiedziała bezbarwnie Ellen. Z pochyloną głową przeszła obok Jamesa i skierowała się do środka. - Nie dotykaj mnie. Mam jeszcze makijaż.

W łazience za pomocą chusteczek i lotionów zmyła grube warstwy kremu i pudru. Potem, korzystając z męskiego pędzla do golenia i mydła, dokładnie oczyściła skórę.

Wyszła z łazienki godzinę później, owinięta w aksamitny szlafrok, z rozpuszczonymi, mokrymi włosami, które opadały jej na ramiona. Wyciągnęła się na kanapie.

- Zrób mi drinka, skarbie! - zawołała do Jamesa, który był w kuchni.

- Zrób sobie sama.

Na chwilę zamarła, potem sięgnęła po telefon i wybrała numer.

- Freddie? - powiedziała głośno do słuchawki. - To ty, Freddie? Przygotuj mi wallbangera i przyślij tutaj, dobrze?

James z papierosem w ręce stanął w drzwiach.

- Miałaś dobry dzień? - spytał chłodno.

- Nie - odparła Ellen. - Carter znów nie daje mi spokoju. Ściągnął dziennikarzy, którzy przygotowują „Dzień z życia...”. Jesteś w stanie w to uwierzyć? Chcieli odwiedzić mnie w domu.

- Och, wszyscy marzą o tym, żeby odwiedzić cię w domu - powiedział James nonszalancko.

Wskazał na bukiety w rogu pokoju. - Ci, którzy przysłali te kwiaty, pewnie też.

Ellen z powrotem ułożyła się na kanapie i zamknęła oczy.

- Umieram.

Kelner w liberii przyniósł drinka. Ellen podpisała kwit i odesłała służącego machnięciem ręki.

- To nie hotel - warknął James, zamykając za nim drzwi.

- Hotel - powiedziała Ellen.

- W porządku, masz rację - przyznał James. - Biorąc pod uwagę, ile czasu spędzamy we własnym domu, możemy uznać go za hotel.

Ellen nie odezwała się ani słowem. Wypiła drinka i sięgnęła po papierosa.

- Jak możesz tańczyć i palić? - spytał James, bacznie jej się przyglądając.

- Prawdę mówiąc, wcale nie tańczę - odparła ze znużeniem. - Pozuję. Chociaż z drugiej strony... - Roześmiała się. - Carter twierdzi, że każdego dnia zarabiam więcej niż jakakolwiek inna kobieta w historii Stanów Zjednoczonych.

- Hmm, to już coś - mruknął James.

Ellen bacznie mu się przyjrzała, chociaż nie była w stanie odczytać jego myśli.

- Wybierzmy się gdzieś - zaproponowała.

- Dokąd?

- Nie wiem... Może na miasto. Na co miałbyś ochotę?

- Na co miałbym ochotę...? - James przez chwilę milczał, potem podszedł i stanął przed Ellen. - Na to, żeby wrzucić do zatoki teczkę z prowadzonymi przeze mnie sprawami. Potem... - Zerknął w kąt, na rzeźbę baletnicy naturalnych rozmiarów. - Potem po kolei poodłamywałbym jej palce.

Ellen usiadła i zachichotała.

- Mnie ona też się nie podoba, bo zawsze pokazuje nas palcem.

- A w końcu wyjechałbym łowić ryby - ciągnął James.

- Łowić ryby? Też mi coś! Zawsze możesz wybrać się na ryby tym swoim... samolotem na pływakach.

James podszedł do okna i spojrzał na oświetlone miasto.

- Nie lubię naszego stylu życia, Ellen. Jest dla nas nieodpowiedni. Uważam, że powinniśmy coś z tym zrobić.

Ellen znów położyła się na kanapie i zamknęła oczy.

- Już wielokrotnie rozmawialiśmy na ten temat i nigdy nie doszliśmy do żadnych konkretnych wniosków. Jej głos był łagodny i smutny, jak głos dziecka. Leżąc na welwetowych poduchach, z mokrymi włosami, opadającymi aż na podłogę, sprawiała wrażenie kruchej istoty.

- Nie, tym razem naprawdę uważam, że powinniśmy coś postanowić - ciągnął James. - Pamiętasz, że to ja przygotowywałem twój kontrakt? Zawiera klauzulę wyłączności. Nie możesz tańczyć ani pracować jako modelka dla nikogo innego, ale wcale nie musisz spełniać wszelkich kaprysów Young Design ani też brać udziału w promocji Liberty.

Przeszedł przez pokój, otworzył aktówkę i wyjął z niej dużą książkę w brązowej papierowej torbie.

- Prawdę mówiąc, wcale nie musisz pracować. Ja też. Rozerwał torbę i wyjął atlas.

Rozłożył wkładkę z mapą całego świata i położył atlas na stole.

- Wyjedźmy stąd, Ellen. Znajdźmy dla siebie miejsce, gdzie byłoby coś, co lubimy, i... zniknijmy.

Ellen patrzyła na niego w zdumieniu i starała się zrozumieć jego propozycję. Próbowала sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby po prostu mogła uciec od wszystkiego. Od Cartera, od tańca, od kamer, tłumów, od ciągłej konieczności bycia wesołą, piękną, odważną i wspaniałą. Nagła wizja wolności napełniła ją dziwną tęsknotą.

- Naprawdę masz taki zamiar? - spytała, przysuwając się do stołu.

-Tak.

- Zaplanowałaś to! - Z błyszczącymi oczami pochyliła się nad mapą. - Uwielbiam góry - westchnęła.

James zmarszczył czoło.

- Nie jazdę na nartach ani tego typu rzeczy - wyjaśniła szybko. - Po prostu lubię na nie patrzeć. Chciałabym widzieć je na horyzoncie albo na końcu ogrodu.

- W porządku. - James kiwnął głową z aprobatą.

- A o czym ty marzysz? - spytała Ellen.

- O posiadaniu własnego kutra.

Przyglądali się mapie, wędrowali palcem na północ i południe. Minęła godzina. Kelner w liberii przyniósł na srebrnych talerzach pstrąga z grilla.

- I oni to nazywają świeżą rybą! - zadrwił James.

Brali pod uwagę wszystkie możliwości: tu było za gorąco, tam za wilgotno, za zimno, za sucho. Ellen wciąż powtarzała, że dane miejsce jest dla niej „zbyt obce”, chociaż nie umiała wyjaśnić, o co jej właściwie chodzi.

W końcu znaleźli to, czego szukali. Na południe od Australii zobaczyli wyspę Tasmanię. Przenieśli się na dokładniejszą mapę tamtej części świata. Na Tasmanii były dwa główne miasta, jedno na północy, drugie na południu. Ellen powiedziała, że mogą rzucić monetę, by wybrać któreś z nich.

- Zaczekaj chwileczkę - powiedział James. - Spójrz tutaj.

Pod jego kciukiem niemal całkiem kryła się jeszcze mniejsza wyspa, leżąca prawie w połowie drogi między kontynentem a Tasmanią.

- Jak się to nazywa? - Ellen odsunęła jego rękę. - Wyspa Flinders.

- To jest to - powiedział James. Uśmiechnęli się do siebie.

- Co będziemy tam robić? - spytała Ellen z powątpiewaniem w głosie.

- Poznawać siebie nawzajem - odparł James. - To znaczy dowiadywać się, kim jesteśmy naprawdę. Na twarzy Ellen pojawił się uśmiech.

- Mówię poważnie - zauważył James. - Powinniśmy stąd uciec i żyć tam tylko we dwoje.

Pobraliśmy się rok temu, wciąż jednak jesteśmy sobie obcy.

Ellen spojrzała na podłogę, na dywan tak starannie wybrany przez projektanta wewnątrz poleconego przez Cartera. Chwilę milczała, a potem uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Co musimy ze sobą zabrać?

- Prawie nic.

- Pojechaliście prosto na tę wyspę? - spytała Ziggy. Wychylona do przodu, chłonęła każde słowo Ellen.

- Tak, nawet nigdzie nie zatrzymywaliśmy się na noc. Po prostu przesiedliśmy się z ogromnego samolotu do znacznie, znacznie mniejszego. - Urwała i zagryzła dolną wargę. - To piękne miejsce, chociaż początkowo trudno się do niego przyzwyczaić. Busz, dzikie zwierzęta, morze... Naprawdę nie miałam tam nic do roboty. - Spojrzała na Ziggy i skrzywiła się. - Wyobrażasz sobie, że można nie mieć nic do roboty? James zawsze był zajęty. Zaraz po przyjeździe kupił sobie kuter do łowienia langust. Potem zaszłam w ciążę.

- Urodziłaś dziecko?

- Dziewczynkę. Zeldę.

Ellen łagodnym głosem zaczęła opowiadać, jak to jest, kiedy ma się dziecko, które kocha się ponad życie. Jak to jest, gdy maleńkie rączka z miłością i ufnością wyciągają się do matki, która czuje się jak bogini.

- Zawsze tak właśnie to sobie wyobrażałam - rzekła

ziggy-

- Tylko... - Ellen zmarszczyła czoło i oblizwała spierzchnięte wargi. - Te same rzeczy, które napawały mnie radością... na przykład sposób, w jaki wyciągała rączki, kiedy się budziła, albo jak podwijiała paluszki u nóg... te same rzeczy wywoływały we mnie dziwne uczucie...

Mówiła powoli, szukając odpowiednich słów.

- Czasami czułam się tak, jakbym oglądała film. No wiesz, kiedy niby wszystko jest w porządku, nie dzieje się nic złego, ale specyficzne oświetlenie, jakiś dźwięk albo cokolwiek innego... zapowiada, że zdarzy się nieszczęście. Tak właśnie było ze mną. Albo jeszcze gorzej. - Ellen potrząsnęła głową. - Sama tego nie pojmowałam, więc nie umiałam tego nikomu wytłumaczyć. Miałam tam przyjaciółkę, Lizzie. Próbowałam jej się zwierzyć, ale w ogóle nie rozumiała, o czym mówię. Uznała, że po prostu powinnam odpocząć czy coś w tym stylu. James z kolei... Nie mogłam...

- Oczywiście - wtrąciła Ziggy. - Za nic w świecie nie mogłaś powiedzieć o czymś takim Jamesowi.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała Ellen, zaskoczona pewnością przyjaciółki.

- Zawsze przywiązywałaś duże znaczenie do tego, co sądzi o tobie James, i byłaś przerażona, że jego wyobrażenia na twój temat mogą okazać się nieprawdziwe.

Ellen spojrzała na nią uważnie.

- Nie rozumiem. Jakie wyobrażenia?

- Takie jak w wypadku wszystkich innych ludzi. Wielkiej baleriny, która zrealizowała amerykański sen. Kobiety pełnej gracji, silnej, zdrowej i pięknej, pochodzącej z krainy ko-

chających wolność śmiazków, ludzi o promiennych uśmiechach i wielkich sercach.

Ellen zastanawiała się nad słowami przyjaciółki.

- Może kiedyś rzeczywiście tak było, ale wszystko to zostawiliśmy tutaj.

- Nawet jeśli tak, na pewno wcześniejszą rolę zastąpiłaś inną i nadal bałaś się, że z niej wypadniesz.

Zawsze to robiłaś. I zawsze się bałaś.

Ellen zerknęła na nią.

- Skąd to wiesz?

- Od swojego psychoanalityka. To samo powiedział o mnie.

- Och!

- Tak czy inaczej, to tylko dygresja - przypomniała Zig-gy. - Nie wyjechałaś przecież dlatego, że od czasu do czasu czegoś się bałaś.

- Nie. Było coś więcej. - Ellen patrzyła gdzieś przed siebie. - Zaczęło mnie dręczyć dziwne uczucie, które wracało, czasem nawet wyprzedzało moje działania. Nagle na przykład miałam jakiś dziwny przeblysk i widziałam, jak sama coś robię. - Pochyliła się i przetarła dłońmi twarz. - Nie wiem, skąd się to brało. Potem...

Zaczęła płakać, a raczej rozpaczliwie szlochać. Z trudem wypuszczała powietrze z płuc.

- Co się stało? - Głos Ziggy brzmiał zdecydowanie. - Mów dalej.

- Nie mogę.

- Możesz, a nawet musisz.

- Ziggy, to gorsze, niż myślisz. - Głos Ellen był przesycony bólem. - Próbowałam ją zabić.

Chora nie odezwała się ani nie poruszyła.

- Próbowałam zabić... Zeldę - powtórzyła Ellen, jakby chciała mieć pewność, że została dobrze zrozumiana. - Prawie ją utopiłam. W morzu.

„Utopiłam”. To słowo sugerowało pogrążanie się w ciemności, raz na zawsze.

- To nie ma sensu - stwierdziła Ellen nagle, wstając. - Sama tego nie rozumiem, więc nie mogę liczyć na to, że ty...

Ziggy odchyliła się do tyłu i oparła głowę o ścianę. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Może nie wszystko rozumiem, ale wiem, że nie mogłaś się z tym uporać - powiedziała. - Spójrz na mnie. Mój stan przypomina przebudzenie się w środku snu. Początkowo człowiek odczuwa ulgę. W końcu to był tylko sen, ale potem okazuje się, że on nadal trwa. Nigdy nie jest rzeczywisty, ale skutek jest taki sam... I powoduje identyczny ból.

Siedziały teraz bez słowa. Drzewa kołysały się wokół nich, chyląc się ku sobie na wietrze.

- W takim razie dokąd się wybierasz? - spytała w końcu

Ziggy.

- Sama nie wiem... Po prostu chcę uciec - odparła Ellen, siląc się na beztroskę. - Uciec od platanów, domów obitych deskami, fordów, trującego bluszczu...

- Cartera - dodała Ziggy. Ellen wybuchnęła śmiechem.

- Marshy Kendall...

Ziggy spojrzała na nią z rozchylonymi ustami.

- Żartowałam - zapewniła szybko Ellen.

- Tak! - Ziggy pochyliła się w jej stronę. - Ucieknijmy gdzieś razem.

- Nie bądź szalona, Ziggy. Spójrz na siebie!

- Wyglądam już o wiele lepiej.

- Jesteś chora - przypomniała Ellen łagodnie. - Ktoś musi się tobą opiekować.

- Ty się mną zajmiesz.

- Nie jestem lekarzem. Nie umiem nawet udzielać pierwszej pomocy.

- Nie jestem chora.

- Jesteś. - Ellen próbowała być szorstka. - Przypominasz ludzki szkielet. Tylko popatrz, z jakim trudem wstajesz. Nie wpuszczą cię do samolotu.

Ziggy chwyciła ją za ramię tak mocno, że Ellen poczuła kości jej palców.

- Zabierz mnie, Ellen - błagała Ziggy. - Muszę stąd uciec.

- A co z... Lucy?

- Lucy?! - Z ust Ziggy wyrwał się krótki, gorzki śmiech. Ellen zmarszczyła czoło, zaskoczona.

- Zawsze byliście sobie bardzo bliskie. Co się stało?

Ziggy nie odpowiedziała. Wstała i spojrzała w głąb pokoju, zlustrowała wzrokiem ładne meble, po czym zatrzymała go na szerokim lustrze i wykrzywiła usta z obrzydzenia.

- Jesteś mi to winna, Ellen - szepnęła.

Jej oczy mówiły: To ja znalazłam cię, gdy ukrywałeś się w głębi klasy. Nie umiałaś nawet żartować ani utrzymać czegoś w sekrecie. Czekalaś, aż wszystkie dziewczęta wyjdą z toalety, żeby nikt nie słyszał, jak sikasz. Krzyczałaś przez sen i budziłaś się we Izach. Byłam twoją przyjaciółką. Zawsze cię broniłam. Sikalam w twojej obecności, przy otwartych drzwiach. Uratowałam cię.

- Najpierw musisz zacząć jeść - oświadczyła Ellen. Uśmiech pojawił się na twarzy Ziggy.

- Jasne - odparła.

- Mówię poważnie - zapewniła Ellen zdecydowanym głosem. - Będę siedzieć i patrzeć, jak jesz.

Spoglądając na Ziggy, nagle poczuła się spokojniejsza i pewniejsza, silniejsza dzięki słabości przyjaciółki i jej prośbie. Tym razem role się odwróciły.

Chora przytaknęła, ani na moment nie przestając się uśmiechać.

- No więc... dokąd uciekniemy? Jesteś ekspertem w tej dziedzinie. - Zachichotała. - Wyobraź sobie, jaką minę zrobi Carter, kiedy się dowie, że znów zniknęłaś.

CZESC III

17

Ellen oparła głowę na ramieniu i próbowała znów zasnąć, zagubić się w niskim, równomiernym pomruku silników, odciąć od cichych głosów, które docierały z miejsc za nią. Z tego, co wiedziała, nie spała też Ziggy, jej towarzyszka również. Kręciły się niespokojnie, a ich niemal pozbawione ciała kości boleśnie wciskały się w wyściełane siedzenia. Ellen zamknęła oczy i zmarszczyła czoło na wspomnienie ostatnich dni.

Kiedy jej samochód skręcił na podjazd kliniki, Ziggy czekała już przed drzwiami wejściowymi. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Przyjrzała się niespokojnie twarzy i ubraniu przyjaciółki, a potem zatrzymała wzrok na trzymany przez nią paszportach i biletach.

- Posłuchaj, Ellen... - zaczęła, ale potem pod wpływem niepewności głos jej się załamał.

Ellen czekała w milczeniu, przypuszczając, że Ziggy się rozmyśliła. Zastanawiała się, czy pojedzie bez niej, ale nie mogła się zdecydować.

- Chciałabym, żebyś... Hmm... - Obejrzała się przez ramię.

Jakby na ten sygnał spomiędzy cienistych drzew za świątynią wyłoniła się jakaś postać. Szła powoli przez skoszony nie-

dawno trawnik. Kiedy się zbliżyła, na jej ustach pojawił się promienny uśmiech.

- Cześć - odpowiedziała Ellen na jej milczące pozdrowienie, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

Nieznajoma miała ciemne włosy i zaskakująco błękitne oczy, mimo to jakimś cudem bardzo przypominała Ziggy - ta sama ciężka głowa, zbyt duże stopy, bulwiaste kolana, te same wychudzone ręce z żyłami wyraźnie widocznymi pod skórą.

Ellen odwróciła się, przymrużyła oczy i spojrzała w niebo.

- To Skye - oznajmiła Ziggy. Wzięła głęboki oddech i szybko ciągnęła dalej: - Powiedziałam jej, że może jechać z nami do Indii.

Ciszę przerwało ćwierkanie małego ptaszka, który pluskał się w stawku przy świątyni. Ellen drgnęła.

- Co takiego...?

- Powiedziałam jej, że może jechać z nami. Z ust Ellen wyrwał się krótki śmiech.

Ziggy nie przestawała mówić. Przedstawiała wciąż sobie obydwie koleżanki, jakby spotkały się na jakimś oficjalnym przyjęciu.

- Skye pochodzi z Los Angeles, z Hollywood. Jej ojciec to Richard Fountain. No wiesz, sławny potentat prasowy. Była żoną Ala Macy'ego, ale jego pewnie nie znasz. Ma mnóstwo... No cóż... Oczywiście, może opłacić swoją podróż.

Ellen patrzyła bez wyrazu. Ziggy zaczęła się zacinać.

- Jesteśmy tu... razem. Razem chodzimy na zajęcia terapeutyczne. W jakiś sposób... odkryła, że wyjeżdżam, a skoro już wie, nie mogę jej zostawić. Ellen, ona jest tu od lat. Musiałam się zgodzić.

- Może i musiałaś - powiedziała Ellen. - Ale to po prostu niemożliwe! Wyjeżdżamy za niecały tydzień. Pozałatwiałam wszystko dla nas obu. Ona nie zdąży ze szczepieniami, paszportem, biletami.

Ziggy lekceważąco machnęła kościstą dłonią.

- Nie martw się, trzymamy rękę na pulsie. Skye ma wciąż ważny paszport, a ja zrobiłam dodatkową rezerwację. -Spojrzała na Ellen i w jej oczach na moment pojawił się stary wojowniczy duch. Potem jednak wbiła wzrok w stopy.

- Do diabła, Ziggy! - wybuchnęła Ellen ze złością. - To czyste szaleństwo! Chyba zwariowałaś. Obie macie niezłego świra. - Odwróciła się do Skye. - Myślisz, że chcę cię zabrać? Nie chcę.

Ziggy i Skye bez słowa patrzyły na nią. Widząc ich rozpacz, nagle poczuła się bogata i uprzywilejowana. Poczuła też, że coś łączy jej silne ciało z ich ziemistą, zbyt luźną skórą i sterczącymi kośćmi.

- Doskonale was rozumiem - powiedziała. - Ale nie mogę wam pomóc. Na pewno znajdziecie kogoś, kto...

Spoglądały na nią jak wygłodzone kocięta ze zbyt dużymi oczami w zapadniętych pyszczkach.

- Proszę, nie zostawiajcie mnie. - Skye mówiła miękko, bez pośpiechu, z ładnym akcentem. - Jestem zmęczona tą kliniką. Jestem tu chyba od zawsze. - Kościstymi palcami przysłoniła usta.

Ellen skupiła wzrok na nich, unikając oczu kobiety.

- Musimy ją zabrać! - Ziggy błagalnie podniosła głos. -Powiedziałam jej, że...

Skye stała w milczeniu, pochylając głowę jak stokrotka, która czeka na poranne słońce. Kościstą twarz cechowała dziwna godność, niepokojące piękno uchodźcy, przed którym nie ma żadnej perspektywy.

Przygarbiła się i zaczęła szlochać z twarzą ukrytą za zasłoną długich, ciemnych włosów.

- Jeśli tu zostanę, na pewno umrę.

Ellen stała nieruchomo, spoglądając na odległe drzewa za murami kliniki. Skrzyżowała ręce na piersiach, wsunęła dłonie pod pachy i starała się za wszelką cenę nie patrzeć na ręce rozpaczliwie wyciągnięte w jej stronę z błaganiem o ratunek, jak ramiona człowieka, który wpadł w lotne piaski.

Wyobraziła sobie palce, które z rozpaczą usiłują chwytać się powietrza, a potem znikają powoli z pola widzenia. Znikają... przez nią.

- Prawdopodobnie i tak umrzesz - powiedziała bez ogródek.

Na twarzy Ziggy pojawił się uśmiech.

- Wiedziałaś, że pomożesz.

Skye zaklaskała w dłonie, jej oczy błysnęły.

- Dziękuję. Najmocniej dziękuję.

- Zaczekajcie...

- Nie pożałujesz.

- Na litość boską, Ziggy. To szaleństwo!

- Wcale nie. Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

Steward pochylił się, zaniepokojony, nad pustym siedzeniem obok Ellen. Spyta! cicho:

- Psze pani, pani towarzyszki chyba nie były zadowolone z posiłku. Zastanawiam się, dlaczego im nie smakowało. Nikt wcześniej nie zamawiał specjalnych dań.

-Tak...?

Ellen miała ochotę wstać i zerknąć na fotele za swoimi plecami.

- Dlaczego uważa pan, że nie były... zadowolone?

- No cóż, nie miały ochoty na nic, co im proponowałem. Próbowałem...

- Niech się pan nimi nie przejmuje - przerwała Ellen. - One nie jedzą. Są chore.

Poczuła, że steward się odsuwa.

- Proszę się nie martwić, nie zarazi się pan. - Rozmasowała kark, czując nagłe zmęczenie. - Za ile lądujemy?

- Za cztery godziny, psze pani. Wkrótce podamy lekki posiłek.

- Może mi pan przynieść drinka...? Krwawą Mary?

- Oczywiście.

- Podwójna wódka.

Ellen wstała, zdając sobie sprawę, że śledzą ją wścibskie spojrzenia kilku przebudzonych pasażerów pierwszej klasy. Uderzyło ją, że po raz pierwszy ludzie patrzą na nią nie dlatego, że rozpoznają w niej znaną postać, ale z powodu osób, którym towarzyszy... pary wychudzonych kobiet, które wyglądają jak nędzarki, ale mają torby od Louisa Vuittona i stroje od sławnych projektantów mody na wyniszczonych, kościstych ciałach.

Ellen odwróciła się i zerknęła za siebie. Długie kończyny Ziggy i Skye wsparte były na podnózkach i podłokietnikach, a ciała wciśnięte w poduszki. Obie wyglądały jak szmaciane lalki, z których ktoś wyskubał wypełnienie. Na kolanach Skye leżało otwarte czasopismo. Szponiaste palce spoczywały na twarzy fotografii kobiety o brzoskwiniowej skórze. Na widok swojej opiekunki Skye zmusiła się do uśmiechu. Ellen poczuła się jak szkolny osiłek, który strachem wymusza przyjaźń i szacunek.

- Za cztery godziny lądowanie - zapowiedziała. - O drugiej w nocy miejscowego czasu. Może się okazać, że do rana nie będziemy miały szansy na żaden posiłek, więc gdy przyniosą wam jakieś danie, proszę, zjedzcie je. A przed wyjściem z samolotu... idźcie do toalety. Proszę.

Uśmiechnęła się, nagle zażenowana, że traktuje swoje podopieczne jak dzieci. Chociaż, z drugiej strony, Ziggy i Skye były jak dzieci: słabe, bezbronne, niezdolne do stawienia czoła światu i sobie. Ellen potrząsnęła głową, zastanawiając się, jak sobie poradzą. Nie odczuwałyby takich obaw, gdyby jechały do jakiegoś czystego i dobrze zorganizowanego kraju, na przykład do Szwajcarii. Niestety, z powodów, które obecnie nie bardzo mogła zrozumieć, postanowiły wybrać się do Indii.

Miejscowość wypoczynkowa w Indiach, u podnóża Himalajów początkowo pojawiła się w połowie krótkiej listy Ellen i Ziggy, a potem powoli pięła się w górę, pokonując Zurych, Johannesburg, Lizbonę, Bali i wyspę Man.

Agent z biura podróży proponował Simlę. Była to niegdyś baza letniskowa Brytyjczyków, miejsce, w które żony i dzieci urzędników uciekały z Delhi przed dokuczliwymi upałami. Angielki grywały tam w tenisa, urządzały przyjęcia na świeżym powietrzu i udawały, że łamią wszelkie konwenanse. Czasami przyłączali się do nich mężowie. Podczas chłodnych wieczorów niewielkie grupy popijały bombajski dżin i tonik z chininą, prowadząc długie dysputy o ojczyźnie...

Dzięki Simli pozostawali przy zdrowych zmysłach. Chwała Ci, Boże, za drogą, starą Simlę - oryginalną, szacowną, prawą i ładną. Anglię w miniaturze.

Przeglądając mapy i przewodniki, Ziggy znalazła Musoorie. Kurort ten mógł się poszczycić tym samym czystym, rześkim himalajskim powietrzem, widokiem na góry, angielskimi rezydencjami i domkami letniskowymi w stylu alpejskim. To tam, jak wyczytała Ziggy, hinduska księżniczka założyła dom dla rozbitków z Zachodu; okryte hańbą żony dożywały swoich dni w chatkach usadowionych na skraju przepaści; playboye przemierzali Mail. Opowiadano o ludziach, którzy zginęli, wpadając w żleby, i o kochankach ukrywających się w ruinach. Krążyły plotki o morderstwach i nielegalnych haremach.

Wszystko wskazywało na to, że nikt nie zadaje tam zbędnych pytań. Musoorie szczyliło się sławą miejsca, gdzie można zapomnieć, kim było się poprzednio albo kim powinno się być. Miejsca, gdzie można ukryć się przed światem.

- To idealna miejscowość - oświadczyła Ziggy. - Mają tam nawet hotel Savoy.
- Żartujesz! - powiedziała Ellen.
- Nie, naprawdę. Podobno jakaś angielska księżniczka urządziła kiedyś przyjęcie w jego ogrodach.
- Prawdę mówiąc, wolałabym Indonezję - rzekła Ellen. Pokazała zdjęcia palm kokosowych i białych plaż. - Wyspy Korzenne...

Ziggy wpatrzyła się w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem.

- Mój ojciec mieszkał w Missouri, na wyżynie Ozark. Był prawdziwym człowiekiem gór, dzikim i zabawnym, o ciepłym, kochającym sercu. - Uśmiechnęła się, a rysy jej twarzy złagodniały. - Kochałam swojego starego papcia z Missouri. Myślę, że ta nazwa to dobry znak.

Ellen wybuchnęła śmiechem.

- To czyste szaleństwo!

Tak oto stanęło na Musoorie.

Kiedy samolot wylądował, steward pomógł trzem kobietom pozbierać bagaże, kapelusze, płaszcze i czasopisma.

Stojąc w drzwiach, Ellen nagle poczuła nieprzepartą chęć, by wrócić na swoje miejsce. Samolot był czysty, wygodny i klimatyzowany. Dobrze znane jedzenie podawali uśmiechnięci amerykańscy stewardzi, którzy mieli w kieszeniach dolary, a ich opalone twarze pachniały znanym płynem po goleniu. Niestety, Ziggy i Skye już szły w jej stronę, popychane przez pasażerów klasy ekonomicznej. Wszyscy przyglądali się Ellen, która wyglądała jak kapłan wyprowadzający dwie wymizerowane podopieczne, zwłaszcza gdy każdej z nich na chwilę położyła rękę na ramieniu, kiedy przechodziły obok.

Przedstawiciel urzędu imigracyjnego długo przyglądał się dokumentom Ziggy, potem przeniósł wzrok ze zdjęcia w paszporcie na twarz turystki. Ellen stanęła obok niej.

- Proszę zaczekać w kolejce, proszę pani - powiedział urzędnik, dając ręką znak, żeby Ellen się odsunęła.

Wróciła więc do kolejki i poprosiła Skye o jej paszport. Gdy spojrzała na zdjęcie, zdała sobie sprawę, że robi to samo, co hinduski urzędnik - próbuje odnaleźć podobieństwo między wymizerowaną twarzą stojącej obok kobiety a pięknym obliczem sprzed kilku lat. Zniknęły nie tylko okrągłe

policzki i smukła szyja. Trudno było też znaleźć podobieństwo do uchwyconego przez fotografa kształtu uniesionej głowy i czystego spojrzenia.

Kiedy Ellen podniosła wzrok, zauważyła, że pojawił się starszy oficer. Odrzuciła włosy do tyłu, spojrzała i ruszyła w jego stronę. Nachyliła się, odcinając drogę drugiemu urzędnikowi, i uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że nam pan pomoże - powiedziała, zniżając głos. - Te panie przyjechały na leczenie. Jak pan widzi, są ciężko chore.

- Chore? - powtórzył oficer ostro. - W takim razie dlaczego przyjechały? Powinny wrócić do domu, do Ameryki.

- W Ameryce nie ma dla nich lekarstwa - wyjaśniła Ellen ze smutkiem.

Wyjęła wypis z kliniki Marshy Kendall. Oficer zerknął na kartkę, jego wzrok zatrzymał się na chwilę na połączonym profilu w górnym rogu. Jako diagnozę w przypadku obu kobiet podano zaburzenia łaknienia na tle nerwowym, zaznaczono jednak, że jeśli nie liczyć problemów z przyjmowaniem pokarmów, obie są zdrowe.

- Zaburzenia łaknienia? Czyli problemy z jedzeniem, tak? Z jedzeniem - powtórzył oficer, jakby próbował zrozumieć informację podaną w dokumencie z kliniki.

Sprawdził nazwiska z wypisu z paszportami Ziggy i Skye, potem kiwnął głową do podwładnego, żeby zaczął przybijać pieczętki.

- Problemy z jedzeniem? - zapytał ponownie. - To znaczy, jedzą, ale są wciąż chude?

- Nie, nie mogą jeść. Oficer potrząsnął głową.

- To dziwne.

- Tak - zgodziła się Ellen. - Bardzo. - Uśmiechnęła się. -Dziękuję najmocniej za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani. Oficer zasalutował i odszedł.

Kiedy dotarły do miejsca, gdzie odbiera się bagaże, znalazły tylko dwie ze swoich sześciu walizek. Ellen zerknęła na swoje towarzyszki. Wyglądały jak zwiędnięte rośliny. Powędrowała sama na poszukiwanie biura PanAmu. O drugiej w nocy lotnisko było opustoszałe, ciche i słabo oświetlone. Ellen minęła ciemną wnękę z pustymi krzesłami, zatrzymała się na moment przy mężczyźnie w wojskowym mundurze, rozciągniętym na podłodze. Jego twarz okrywał kapelusz, a ręce spoczywały na szerokiej klatce piersiowej; równie dobrze mógłby drzemać na brzegu swojego basenu.

Obok sprzątaczkę w białym fartuchu zmywała podłogę.

- Przepraszam... biuro PanAmu? - Głos Ellen zadudnił w pustym pomieszczeniu.

Kobieta odwróciła się. Miała brązowe oczy i gładką skórę w kolorze miodu. Uśmiechnęła się, odsłaniając idealnie równe zęby.

- Biuro PanAmu. Bagaże? - powtórzyła Ellen.

Na sekundę wcieliła się w rolę Cartera i próbowała ocenić piękne oczy, równe zęby i zaskakujący uśmiech kobiety.

Ta potrząsnęła głową i wyciągnęła rękę. Ellen spojrzała na zgrubiałą dłoń z szorstką skórą, po czym wyjęła z kieszeni banknot i podała go sprzątaczkę. Obie drgnęły, gdy pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

Odwracając się, Ellen dostrzegła kątem oka, że kobieta bacznie przygląda się banknotowi, a potem, zaskoczona, prostuje plecy. Nominał musiał być duży.

Kiedy Ellen wróciła, okazało się, że Ziggy jej szuka.

- Ellen! Znalazłyśmy je! - zawołała. - Ta pani nam pomogła.

Kiwnięciem głowy wskazała na otyłą Hinduskę, która stała obok Skye i dyrygowała mężem i synami, którzy układali walizki na trzech wózkach. Mężczyźni wyglądali przy niej na karłów, jakby ona urosła do swoich rozmiarów, wchłaniając ich siłę i pożywienie. Skye bezwstydnie jej się przyglądała; wykrzywiła z pogardą usta na widok trzech grubych fałdów

nagiego ciała, które wylewało się między krótką bluzeczką a czerwoną spódnicą i złotym sari. Hinduska trzymała głowę wysoko nad fałdami podbródka i królewskimi gestami ręki ozdobionej złotymi bransoletkami pokazywała, jak ulokować bagaże.

- Jest wszystko? - spytała Ellen, przeliczając bagaże. Uśmiechem podziękowała rodzinie Hindusów. Próbowała

się skoncentrować, myśleć z pewnym wyprzedzeniem. W przeszłości zawsze poruszała się po lotniskach jak we śnie, wiedząc, że ktoś wszystkiego pilnuje. Samochody już na nią czekały, pojawiała się ochrona, zamówiony był pierwszorzędny hotel i chłodne napoje. Jej jedyne zadanie polegało na tym, żeby jakoś zabić czas i przetrwać lot z pozbawioną wyrazu twarzą, ukrytą za ciemnymi okularami. Obserwowała więc normalnych pasażerów w wymiętych ubraniach i pasażerki z rozmazanym makijażem, starając się nie zwracać uwagi na to, że jej się przyglądają. Tym razem było inaczej - to ona musiała wszystko zaplanować i podejmować decyzje. Co więcej, dzięki Ziggy musiała zająć się również drugą chorą kobietą.

Przed sobą zobaczyła strzałkę, która wskazywała w lewo, do odprawy paszportowej.

- Chodźmy! - zawołała do Ziggy i Skye. Poprowadziła je długim korytarzem, od czasu do czasu zerkając za siebie, by sprawdzić, czy dotrzymują jej kroku.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej towarzyszki naprawdę wyglądają podejrzanie. Są wychudzone jak narkomanki i bogate jak dealerzy narkotyków; nic więc dziwnego, że zaczęto przeszukiwać ich bagaże. Walizki wszystkich trzech Amerykanek ustawiono w równym rzędku i pootwierano. Ubrania wypadły na brudną ladę. Jedwabna bielizna prześlizgnęła się między palcami; ktoś próbował ustawić na dłoni buty na wysokich obcasach. Porozrzucano książki, obmacano ubrania, opróżniono kosmetyczki.

Ellen starała się nie patrzeć na rzeczy Skye, nie chcąc poznawać jej gustu ani zainteresowań, nie chcąc wiedzieć ni-

czego na jej temat. Wołała, by nadal była ona tylko ciałem i imieniem. Uśmiechnęła się do siebie. Na tym właśnie polegał najstarszy trik stosowany przez autostopowiczów. Jedna osoba stawała na poboczu, wyciągała kciuk, prezentowała długie nogi i uśmiech; druga ukrywała się w krzakach aż do czasu, kiedy auto zatrzymało się i pierwsza osoba zaczynała wsiadać. Wtedy drugi chętny podchodził powoli, jakby przez cały czas stał na poboczu. W taki oto sposób jedna osoba zamieniała się w tłum.

Przez chwilę Ellen patrzyła w oczy zmęczonego młodego celnika, który przeszukiwał jej bagaże. Zerknął szybko na jej piersi, po czym wrzucił do walizki czarny koronkowy stanik.

- Co to jest? - usłyszała obok.

Odwróciwszy się, zobaczyła, że inny celnik macha przed oczami Skye małą brązową buteleczką z zawartością. Przyjaciółka Ziggy od razu poczuła wyrzuty sumienia i, zamiast odpowiedzieć, odwróciła się do swojej opiekunki.

- A to?

Z wąskiego czubka buta wyłoniły się dwie następne buteleczki, potem jeszcze jedna i następna, wszystkie wcześniej starannie ukryte. Pojawili się dwaj kolejni celnicy, jeden ze złotymi naszywkami na ramieniu. Przeczytał napis na etykietkach i spojrzał pytająco.

- Siarczan... magnezu...?

- Gorzka sól - szepnęła Skye, wbijając wzrok w podłogę.

- Na co to jest? - spytał celnik.

Otworzył jedną z buteleczek, powąchał jej zawartość, potem wziął na koniuszek małego palca i spróbował.

Skye wyraźnie nie miała ochoty odpowiadać. Celnicy i pasażerowie zamilkli, nasłuchując z natężoną uwagą.

W końcu Ziggy musiała się włączyć.

- Na przeczyszczenie - wyjaśniła. Mężczyźni nie rozumieli.

- Ten, kto to zażyje, musi iść do toalety – sprecyzowała Ziggy.

Rozległ się śmiech.

- Jeśli o to chodzi, można całkowicie polegać na tutejszej kuchni - powiedział starszy oficer z żartobliwą powagą. Mężczyzna zebrał wszystkie buteleczki - było ich siedem -i przyjrzał się Skye, jakby próbował wyczytać coś z jej oczu.

- Proszę mi powiedzieć: dlaczego zabrała pani ze sobą aż tyle tego specyfiku? - spytał.

- To z powodu naszej choroby - poinformowała Ziggy, pokazując wypis z kliniki.

Oficer kiwnął głową.

- Ma pani receptę? - spytał Skye.

- Po co? - odpowiedziała pytaniem Ziggy. - Na gorzką sól nie potrzeba recepty. Po prostu kupuje się ją w aptece.

Był zdziwiony.

- W aptece...?

- Tak, w aptece - powtórzyła Ziggy.

Celnik przez chwilę przyglądał się buteleczkom. Zerknął na Ellen.

- Pani jest odpowiedzialna za te damy? - spytał.

- Tak... Nie całkiem - zaczęła Ellen, potem wzruszyła ramionami i poddała się. - Chyba tak.

Po przejrzeniu jej ubrań musiał zauważyć, że ona ma nieco normalniejsze rzeczy. Może uznał ją za płatną damę do towarzystwa?

- Przykro mi, proszę pani - powiedział w końcu, odwracając się do Skye i groźnie marszcząc czoło, jak sędzia odczytujący wyrok. - Muszę skonfiskować te prochy. Są podejrzone.

- Ależ to nie są żadne prochy! - zaprotestowała Skye, z rozpaczą wpatrując się w brązowe buteleczki, które kolejno zaczęły znikać w papierowej torbie. - Posiadanie ich nie jest sprzeczne z prawem. On nie może mi ich zabrać - powiedziała, z błaganiem w oczach zwracając się od Ellen.
-Powiedz mu, że nie może!

- Ależ może - zapewniła Ellen, po czym spojrzała na celnika. - Ona wcale ich nie potrzebuje. Proszę je zabrać.

Nagle zdała sobie sprawę ze swojej władzy. Nawet nie spojrzała na Skye, kiedy celnicy pomagali pakować ich rzeczy z powrotem do walizek, a potem gestem dali znać, że mogą je zabrać. Najstarszy rangą stał z boku, z kciukiem wetkniętym za pętelkę spodni w kolorze khaki. Kołysał się lekko na piętach i obserwował całą scenę spod w półprzymkniętych powiek.

Kiedy pokonały wózkami długi korytarz, miejsce klimatyzowanego powietrza zajęła mieszanina zapachów typowych dla międzynarodowego portu lotniczego. Na ścianach widać było ślady wyplutego betelu. Gigantyczny karaluch przebiegł im drogę, a w hallu czekali bagażowi w zniszczonych uniformach. Na ich widok poderwali się ochoczo. Przez dokładną kontrolę podczas odprawy celnej Amerykanki zostały daleko w tyle za resztą pasażerów i teraz sprawiały na bagażowych wrażenie istnego daru niebios: były zmęczone i bezradne, pchały wózki wyładowane walizkami i pękatymi torbami, co oznaczało sute napiwki w porządnych, amerykańskich dolarach - papierowym złocie... - Zaczekajcie tutaj - poleciła swym towarzyszkom Ellen. Podeszła do bagażowych i wybrała stojącego najbliżej, wyraźnie najstarszego spośród nich.

- Potrzebuję kilku bagażowych - powiedziała. - I taksówki. Przez cały czas zachowywała kamienną twarz. Czowała, że łamie reguły, ale nie przejmowała się tym; po prostu chciała dotrzeć do hotelu.

Starszy mężczyzna zawołał trzech bagażowych, a sam zajął się eskortowaniem całej grupy. Pachniał lekko potem, smażonym jedzeniem i dymem z węgla drzewnego.

- Wy mieć rezerwacja w jakiś hotel? - spytał.

- W Oberoi. Oberoi Maidans.

- Och... - Potrząsnął z powątpiewaniem głową. - To być bardzo daleko. Stare miasto. Hilton być lepsza. Ja załatwić zamiana.

Jego twarz rozpromieniła się na myśl o prowizji od trzech pokojów... może nawet trzech apartamentów.

- Już wszystko załatwione - oświadczyła Ellen zdecydowanie. - Proszę tylko wezwać taksówkę. Hindus wielkodusznie machnął ręką.

- Żadna problem. Auto czekać. Iść za mną, memsahib. Otworzył jedno skrzydło przydymionych szklanych drzwi.

Ellen wyszła na zewnątrz. Gorące powietrze otoczyło ją ze wszystkich stron, poruszyło wszystkie zmysły. Miała wrażenie, że lada chwila się rozpułnie, zniknie w oparach i zapachach indyjskiej letniej nocy.

Jechały w milczeniu, Ellen obok kierowcy, jej towarzyszki z tyłu. Wszystkie patrzyły oszołomione na płomienie w rozpalonych na ulicach piecykach; grube pnie drzew pod rozgałęzionymi koronami, krowy i ciemne zarysy ciężarówek, samochodów osobowych, wozów i rowerów. Jakieś kształty wyłaniały się z ciemności jak fragmenty snu; pojawiały się na chwilę, a potem znikwały. Nagle Ellen wyprostowała się. Boże! Wszędzie leżeli ludzie: na chodnikach, na wozach i pod riksami, na gołych stelażach łóżek przed chatami i sklepami, w rynsztokach, na skraju drogi. Ogromne rzesze ludzi. Próbowwała pokonać współczucie i strach. Czyżby było tu aż tylu bezdomnych, którzy nie mają się gdzie podziać?

- Ci wszyscy ludzie śpią na ulicy? - spytała kierowcę łamiącym się głosem.

- Tak, memsahib - odpowiedział uprzejmie. - Jeszcze nie być ranek.

Ellen leżała na środku szerokiego, dwuosobowego łóża i napinała stopy, kierując palce w przeciwną stronę. Powoli odwróciła się, a bawełniane prześcieradła delikatnie przesunęły się po jej skórze. Jasne światło przesączało się przez zasłony. Sięgnęła po zegarek; było prawie południe. Zignorowała lekki niepokój, wmawiając sobie, że Ziggy i Skye z pewnością potrafią zająć się czymś przez kilka godzin, zwłaszcza w czterogwiazdkowym hotelu. Wyobraziła je sobie w foyer na parterze, przytulone do siebie pod mongolskimi łukami, wpatrujące się z niepokojem w obce niebo. Na pewno będą się obejmowały, rozmawiały szeptem, przypominały sobie, że uciekły. Zostawiły daleko za sobą klinikę, psychoterapeutów, gości, karteczki i kwiaty, dosłownie wszystko. Teraz są razem, mają siebie

nawzajem. Ellen skrzywiła się, kiedy poczuła dokuczliwą samotność, śmiertelny, czarny ciężar. Nie miała nikogo, niczego.

Wyobraziła sobie, jak Zelda i James wynoszą ogromne, nierówne kanapki przed dom i usadawiają się w promieniach południowego słońca. Siedzą obok siebie, opierają się plecami o ciepłe ściany chaty i jedzą w milczeniu. Spoglądają na bezkresne, błękitne morze, które biegnie od zatoki aż po ocean - aż do Ameryki, gdzie pojechała ona.

Ellen ugryzła się w rękę. Pamiętajcie o mnie. Proszę.

Wyobraziła sobie głosik Zeldy. Tatusiu, kiedy mamusia wróci?

Nie wróci, aniołku. Musimy radzić sobie bez niej.

Ellen leżała w bezruchu, nie mając odwagi oddychać. Po suficie powoli wędrowała jaszczurka. Może kiedyś... Nieśmiała myśl napłynęła jak światło przesączające się przez szparki w zasłonach. Może gdy Zelda będzie starsza, gdy będzie bardziej... samodzielna. Przestanie być dzieckiem potrzebującym opieki matki, a stanie się jeszcze jedną osobą w domu. Może przyjdzie taki czas...

Nie. Ellen zamknęła oczy, czując ból na wspomnienie słów Jamesa.

„Nie wrócisz, Ellen. Wiesz o tym, prawda?”

Przymrużył wtedy oczy ze złości, nienawiści i strachu.

„Poradzimy sobie bez ciebie, Ellen. Ty odejdziesz. Znikniesz. Nigdy więcej nie wrócisz”.

Odwróciła się, wzięła do ręki jadłospis i podniosła słuchawkę.

- Obsługa hotelowa, słucham.

- Proszę przynieść mi kawę. Mocną.

- Tak jest, proszę pani.
- Z czego jest sałatka owocowa?
- Z mango.
- A co jest owocem dnia?
- Mango.
- Ach. W porządku, w takim razie poproszę o mango.
- Które?
- Owoc.
- Tak jest, proszę pani. Przyniesiemy za dziesięć minut. Przeciągnęła się jak kot i wygięła plecy.

Potem zamknęła

oczy i próbowała się rozluźnić. Powinna zjeść śniadanie, a później popływać w basenie. Wkrótce znów będzie musiała przejąć dowodzenie. Skrzywiła się. Ona i dowodzenie! Kiepski kawał! Na szczęście, do tej pory jakoś dawała sobie radę. Gdy nie bardzo wiedziała, co zrobić, próbowała sobie przypomnieć, w jaki sposób Carter, James i dawna, silna Ziggy układali plany, a następnie starali się je realizować. Ona tylko ich naśladowała. To takie proste. Co więcej, im bardziej udawała, że jest do nich podobna, tym silniejsza i bardziej zdecydowana się czuła.

Odtworzyła w myślach swoje plany na najbliższe dni. Jutro musi dopilnować, żeby wszystkie trzy na czas znalazły się na dworcu. Potem czeka je osiem długich godzin w pociągu, kiedy w upale i kurzu będą przecinały równinę Gangesu. W Dehra Dun przesiądą się z pociągu do taksówki. Musi pamiętać, by zignorować zbyt gorliwych kierowców i sprawdzić opony samochodów. Kiedy wszystkie trzy wraz z bagażami znajdą się w aucie, ruszą prosto w góry, a każdy ostry zakręt będzie je zbliżał do celu podróży.

18

Ellen szła za starym człowiekiem, patrząc, jak jego bose stopy bezdźwięcznie poruszają się po gruncie pokrytym liśćmi. Zbocze opadało stromo tuż za skrajem wąskiej ścieżki i znikało w szarawej mgiełce, która spowijała leżącą poniżej dolinę. Kobieta czuła się trochę tak, jakby chodziła we śnie.

Przewodnik obejrzał się przez ramię z zachęcającym uśmiechem na ustach.

- To tam! Jesteśmy już bardzo blisko. - Pokazał prosto w górę.

Dotarli do uchylonej bramy z kutego żelaza, zawieszonej na dwóch szarych słupach z resztkami rzeźbionych cokołów. Wejście bardziej przypominało barierkę na ścieżce, od słupów nie biegł bowiem żaden płot, rosły jedynie wysokie drzewa i krzaki cętkowane przez słońce. Ellen zatrzymała się, żeby odpocząć. Mężczyzna wrócił i czekał obok niej, oddychając spokojnie i wpatrując się w dal. - Jak ma pan na imię? - spytała, czując, że obojgu zaczyna ciążyć przedłużające się milczenie.

- Djoti, memsahib - odparł. - Ale teraz proszę nie mówić, tylko odpoczywać. To bardzo strome podejście, a pani nie jest przyzwyczajona do chodzenia po górach.

Ellen zerknęła na niego. Miał na sobie zniszczone ubranie robocze, jego dłonie wyglądały na szorstkie, a twarz pokryta była zmarszczkami.

- Bardzo dobrze mówi pan po angielsku - powiedziała.

- Oczywiście - odparł, uśmiechając się od ucha do ucha. Miał zęby z brązowymi plamami, ale uśmiech rozświetlał

jego twarz, dodając jej dziwnej urody i łagodności.

- Umieję też czytać i pisać. Byłem posłańcem. Memsahib dawały mi liściki do doręczenia. Często czytały mi je, żebym mógł wyjaśnić, o co chodzi. Po drodze przyglądałem się liścikowi i zapamiętywałem słowa. Wkrótce znałem angielski!

Roześmiał się, jakby udała mu się jakaś szczególnie trudna sztuczka.

Ruszyli w dalszą drogę. - Będę również pani posłańcem - powiedział Djoti przez ramię. - Będzie mnie pani potrzebować do wielu rzeczy. Jak

pani widzi, nie ma tu telefonów ani taksówek. Wszystko załatwia się na piechotę.

Mówił prawdę. Główna droga biegła przez całe uzdrowisko, ciągnące się od jednego wzniesienia do drugiego. Niektóre hotele, szkoły z internatem i rezydencje miały drogi dojazdowe, a kilka traktów prowadziło nawet w góry, ale większość ścieżek miała szerokość dostosowaną tylko do potrzeb koni, rikszy czy pieszych. Na krańcu Musoorie zwanym Landour pojazdy docierały jedynie do małego szpitala. Dalej trzeba było już iść na piechotę, ślizgając się na zwiędłych liściach, wśród kwitnących drzew i śpiewających ptaków.

Cały teren posiadłości mienił się różnymi odcieniami czerwieni i fioletu. Były tu kwitnące lilaróżowe jacarandy, różowawe bugenwille, ciemnoróżowe rododendrony i ciemnofioletowe irysy na wysokich łądkach. Gdzieś tam ogrodnicy zgrabili liście na małe kupki i podpalili je, przez co w powietrzu unosił się pachnący dym. Ellen, idąc, rozglądała się dookoła. Pomimo trudnej wspinaczki czuła się lekka i zrelaksowana. Miała wrażenie, że spaceruje po zadbanym ogrodzie w bezpiecznym, przyjaznym i wyjątkowo pięknym świecie.

Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że to czyste szaleństwo. Dom był idealny, ale nie mogła sobie wyobrazić, by Ziggy albo Skye zdołały wspiąć się do niego czy zejść w dół po stromej ścieżce. Chociaż, z drugiej strony, właściwie nie miała wyboru. Wszystkie oglądane dotychczas domy były nieodpowiednie - zbyt małe, zbyt zniszczone, zbyt skromne albo znajdowały się zbyt blisko bazaru. One zaś mogły bez końca mieszkać w hotelu, śmiać się z zakurzonych muszli klozetowych i trofeów myśliwskich niszczących nad okazałymi drzwiami. Ellen wzruszyła ramionami. Po prostu trzeba będzie Ziggy i Skye nosić. Ich wychudzone ciała z pewnością nie sprawią kłopotu kulisom, którzy całymi dniami uginają się pod ciężarem ogromnych ładunków drewna i metalu.

Kiedy zbliżali się do domu, okazało się, że kwiaty ogrodowe wdzierają się w las: bławatki i żółte róże przebijały się spomiędzy dzikich pnączy i zielonych krzewów. Najpierw pojawiły się szczyty, ciemnozielone trójkąty między czubkami drzew. Potem Ellen ujrzała długą ścianę, obrośniętą splątaną, kwitnącą na biało wisterią, wśród której tu i ówdzie widać było zamknięte okiennice. Ścieżka doprowadziła ich na skraj zniszczonego trawnika, na środku którego stała biała marmurowa fontanna, zatkana zeschniętymi liśćmi. Dom ocieniała długa, głęboka weranda z podartymi zielonymi markizami.

Weszli na patio, wyłożone popękkanymi płytkami, i stanęli wśród resztek rattanowych krzeseł.

- Jest bardzo stary, memsahib - mówił Djoti. - Wczoraj porządnie go wysprzątało, ale nie wygląda już tak jak niegdyś.

Z fałdów ubrania wyjął pęk dużych, starych kluczy, otworzy! przeszklone drzwi i odciągnął zasłony. Ellen weszła do środka. Powitało ją zatechłe powietrze, w którym unosił się zapach pasty do podłogi i preparatu na muchy. Rozejrzawszy się po pokoju, zauważyła ciężkie draperie, orientalne flakony, ciemne drewno na wysoki połysk, perskie dywany, oprawione w skórę książki, portrety w ramach i pastelowe kolory wyblakłych kwiatów wysokogórskich. Obróciła się powoli wokół własnej osi, czując rosnący ból. Nie było tu porozstawianych kieliszków po winie ani śladów kocich pazurów na meblach. W powietrzu nie unosiły się kłaczki futerka. Nie było też kotów, które miauczałyby i kręciły się pod nogami, niemniej wewnątrz domu kojarzyło się jej z porozstawianymi wszędzie filiżankami po herbacie, kocimi obrożami, dotykiem miękkiego futerka na nogach i błyszczącymi, życzliwymi oczami prawdziwego przyjaciela.

Ellen czuła, że spojrzenie Djotiego wzywa ją jak latarnia morska z oddali, ale jeszcze przez chwilę wspominała opuszczony salon Eildona.

Kochanego Eildona, który przed laty obiecał, że zaspokoi wszystkie jej potrzeby. Dosłownie wszystkie - powiedział, stojąc w smudze słonecznego światła, w którym poruszały się drobinki kurzu, i trzymając Perdita na rękach. Zapewnię ci wszystko, o co mnie poprosisz. Wysyłała mu więc swoje rachunki, spięte w schludne pakieciki. Początkowo tylko za buty, wstążeczki, stroje i rajstopy; potem za dodatkowe lekcje, podróże, ubrania, lekarzy. Staruszek odsyłał je z napisem *Zapłacono w całości*. Czasami dodawał krótkie liściki, na przykład: *srebrny świecznik mamy Sheffield, kredens chippendale* albo: *Pamiętasz sztychy Audubona?* Wyobrażała sobie, jak Eildon przechadza się po pokojach i z radością wybiera następną ofiarę, a potem dzwoni do Carrolla, swojego antykwariusza. Być może starszy pan wyjaśnił przyjacielowi z tajemniczym uśmiechem na ustach, że utrzymuje kobietę. Wiem, wiem, dużo mnie kosztuje... Ale co tam, do diabła, jest tego warta.

Potem pewnego dnia odszedł. Przestał opłacać rachunki. Nie odbierał telefonu. W końcu przyszedł liścik, w którym Carroll wyjaśniał, że Eildon zmarł, a wszystko, co posiadał, zostawił, na litość boską, kilkudziesięciu kotom. Ellen płakała w poduszkę przez całą noc, ale nigdy nie pomyślała o nim jako o zmarłym. Często czuła, że stary przyjaciel jest przy niej, wszędzie i nigdzie, starzeje się, ale nigdy nie jest stary, jak Bóg. Teraz znalazła go tutaj, na drugiej półkuli.

Uśmiechnęła się do Djoiego. Dom sprawiał wrażenie ciepłego i solidnego.

- Podoba mi się - powiedziała.

Hindus podszedł do okna i pociągnął jedwabny sznurek, by unieść roletę. Sznurek został mu w ręce, więc przez chwilę patrzył na niego ze smutno zmarszczonym czołem.

- Niegdyś co roku pojawiała się tu rodzina z Delhi. Anglicy. Potem przestali przyjeżdżać. Nie było ich od dziesięciu lat.

- W takim razie kto jest właścicielem tego domu?

Djoti potrząsnął ponuro głową.

- Tutaj nie ma właścicieli, są tylko posłańcy, memsahib.

Ellen wróciła następnego ranka, zabierając ze sobą Ziggy i Skye. Obie były w doskonałych nastrojach, świergotały między sobą i śmiały się perliście, niesione pod górę. Kulisi mocno zaciskali ręce na chudych łydkach obu kobiet i wychylali się do przodu, żeby uprzejmie trzymać głowy na pewien dystans od swoich pasażerek. Mając nadzieję na częste wezwania, lekkie ładunki i sute napiwki, bardzo starali się wywrzeć dobre wrażenie równym krokiem i poważnymi, skromnie opuszczonymi oczami. Za nimi podążali długim sznurkiem ludzie z bagażami, walizkami, jedzeniem z miejscowego bazaru, butlą z gazem i lodówką. Ta ostatnia wywołała długą dysputę. Ellen zapłaciła kulisowi podwójnie, zakładając, że będzie niósł lodówkę do spółki z kolegą, ale ten uparł się, że weźmie ją sam. Przez całą drogę ugiął się pod ogromnym ciężarem jak mały chrząszcz, który lada chwila zniknie w kurzu.

Ellen szła obok Djotiego, za rządkiem kulisów. Krępowało ją, że ma puste ręce. Słońce mocno świeciło, a cykady wypełniały okolicę leniwym brzęczeniem.

- Tam mieszkają wasi sąsiedzi.

Djoti wskazał błękitny dach, który wystawał wśród drzew. Sterczał jak żagiel samotnego jachtu na bezkresnym morzu zieleni.

- Pułkownik Stratheden i jego żona. Mieszkali tu przed laty. Teraz, na starość, wrócili. A tam... - Wskazał cienką srebrną iglicę w oddali. - ...znajduje się dom Ravięgo Na-ira. To sławny indyjski aktor. Bardzo przystojny. Bardzo bogaty. I jeszcze nie ma żony. - Zerknął na Ellen. - Podobno, budując ten dom, wydał mniej więcej trzy miliony rupii. W jego sypialni robotnicy całe ściany i sufit pokryli lustrami.

Ellen jęknęła.

- Nie musisz mówić nic więcej. Czuję się, jakbym go dobrze знаła.

Djoti uśmiechnął się.

- Na pewno polubi pani starych Anglików.

Bez trudu wybrały dla siebie pokoje. Ziggy stwierdziła, że lubi mieć kogoś za ścianą. Skye była podobnego zdania, więc zdecydowały się na sąsiadujące sypialnie na piętrze. Ellen zaś wprowadziła się do dawnego gabinetu pana domu. Była zadowolona ze swej prywatności, chociaż zdawała sobie sprawę, że z tego powodu jeszcze bardziej sprawia wrażenie pani domu, przywódczyni czy wręcz matki. Przypomniła sobie dawne szkolne czasy, kiedy zastanawiały się, która z nich ma nalewać herbatę. Czy to ja mam dzisiaj zabawić się w matkę? - pytały z bladym uśmiechem. Ellen też powtarzała te słowa, zmuszając się do beztroskiego tonu, chociaż czuła ucisk żołądka.

Kiedy Ziggy i Skye rozpakowały się i na dobre rozlokowały w swoich pokojach, Ellen stała w ciszy w przeciwnym krańcu domu i wyglądała przez okno. Na zewnątrz metalowa poręcz biegła wzdłuż stromego zbocza. Kobieta czuła się tak, jakby była w pokoju umieszczonym na krańcu świata, gdzie wszystko, co rzeczywiste, może w każdej chwili zapaść się i zniknąć w otchłani.

Otworzyła stary kufer i zaczęła opróżniać pokój. Trofea myśliwskie, strzelby, kije do krykieta, książki o ptakach i polityce - wszystko wrzucała jedno na drugie, póki nie zostały gole ściany. Potem rozległo się ciche pukanie, a raczej lekkie muśnięcie kostkami palców w otwarte drzwi. Skye wsunęła głowę w szparę. Błękitna jak niebo satyna spowijała jej ramiona i opadała na podłogę.

- Wpadliśmy na pewien pomysł - zaczęła nieśmiało. -Więc kupiliśmy też dla ciebie. Satynowe prześcieradła. - Ręką wskazała na ogród. - Uznałyśmy, że łatwo będą schły... no wiesz, rozciągnięte na trawie.

Ellen patrzyła na prześcieradła, wyobrażając sobie, że wkrótce w świat popłynie wieść podobna do tej o lustrzanej sypialni Raviego Naira.

- Dziękuję. Świetnie - odparła. Skye zatrzymała się i oblizała wargi.

- Tu jest... naprawdę pięknie. Tyle kwiatów. Otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale

wyraźnie się rozmyśliła.

Po chwili zniknęła jak widmo w długim korytarzu.

Kucharką została żona Djotiego, Prianka. Znała tylko podstawy angielskiego, ale pracowała już wcześniej u obcokrajowców i umiała przyrządzić kilka prostych potraw. Synowie tej pary nosili drewno na opał i zamiatali dziedziniec, siostrzenice dbały o zaopatrzenie i pranie. Małe dzieci pomagały w ogrodzie.

- Dzięki temu wszyscy jesteśmy razem - mawiał Djoti, rozkładając spracowane ręce, a Ellen uśmiechała się z wdzięcznością.

Z biegiem czasu coraz bardziej ceniła pomoc starszego pana. Zawsze zgłaszał swoje sugestie, nim jeszcze pojawił się problem albo trzeba było o czymś pomyśleć, ale stwarza! pozory, że to Ellen o wszystkim myśli. Często patrzyli sobie w oczy, świadomi prowadzonej gry.

- Brakuje nam wody, memsahib. Amerykanki lubią dużo prac.

-Tak?

- Kazałem kulisom przynieść wodę, żeby uzupełnić drugi zbiornik.

- Dobrze. Dziękuję, Djoti.

- Tak, memsahib. Ma pani rację. Dobrze być przygotowanym na wszystko.

Poruszał się po domu i terenie posiadłości jak dowódca, który prowadzi mediacje między swoimi żołnierzami; zawsze

wysyłał jakieś dziecko, żeby towarzyszyło Skye, gdy zbierała kwiaty w lesie; pokazywał chłopcu, którądy ma wejść na ciepły, cienki dach, żeby rozłożyć ręczniki do wysuszenia; radził Ellen, żeby stanęła w wannie, rozebrała się i potrząsnęła ubraniem nad taflą wody, bo tylko w ten sposób uda jej się znaleźć pchłę.

Podczas posiłków na chwilę pojawiał się przy stole i zazwyczaj wygłaszał jakiś krótki wykład:

- Proszę, memsahib, nie zostawiajcie na noc pootwieranych okien, żeby do środka nie wpadały ćmy.
- Uważajcie na węże, zwłaszcza w pobliżu zbiorników z wodą.
- Wytrząśnijcie porządnie buty, nim założycie je na nogi.
- Nie zostawiajcie jedzenia na stole, bo ściągniecie małpy.
- Zawsze trzymajcie przy łóżku świece na wypadek, gdyby zabrakło prądu.
- Obchodźcie szerokim łukiem wszelkie psy. Mogą być chore na wściekliznę i jeśli was ugryzą, nic już was nie uratuje.

Ziggy i Skye słuchały go z ustami uchylonymi z zaciekawienia. Ellen przypuszczała, że jej towarzyszki z prawdziwą radością witają każde nowe niebezpieczeństwo czy niedogodność, traktując je jak następny krok, który oddala je od bezpiecznego, czystego i przewidywalnego świata Marshy Kendall; dowód, że przełamując wszelkie bariery, uciekły do odważnego, nowego świata, którym rządzą inne reguły. Mogły spotkać tygrysa w lesie. Mogły wpaść w osuwisko. Albo potknąć się na krętej ścieżce i zniknąć w przepaści. Wszystko było tu możliwe.

Mogły znów odzyskać siły i zdrowie. Mogły być szczęśliwe.

Nie rozmawiały na temat jedzenia. Nie sporządzały wykresów wagi. W całym domu było tylko jedno pełnowymiarowe lustro, które stało za drzwiami pokoju Ellen, odwrócone do ściany. Posiłki podawano i zabierano ze stołu bez komentowania, czy zostały zjedzone, czy nie. Ellen nigdy nie

wchodziła do pokojów Ziggy ani Skye i nigdy nie nasłuchiwała pod drzwiami ich łazienki. Wiedziała, że po wielu latach liczenia kalorii, podglądania w ubikacji i sprawdzania pokojów w poszukiwaniu tabletek obie potrzebowały czegoś nowego. To była ich ostatnia szansa. Zwycięzą lub przegrają, albo będą lawirowały między jednym i drugim, ale do wszystkiego będą podchodzić na własnych warunkach.

Pewnego ranka siostrzenice Prianki przyniosły z bazaru pendżabskie stroje składające się z bluz i spodni oraz kaszmirskie szale. Rozłożyły je na werandzie i proponowały na sprzedaż. Djoti wyjaśnił, że tradycyjne stroje bawełniane są lepiej dostosowane do miejscowych metod prania. Trzy Amerykanki przebierały się więc, wymieniały między sobą bluzy i spodnie, śmiały się i przekomarzały jak dzieci. Ellen wybrała komplet gładki, jasnoniebieski. Ziggy, jak przystało na gwiazdę paryskich wybiegów, zdecydowała się na żółte spodnie i bluzę haftowaną w szalone wzroki. Skye przechadzała się po trawniku w brązowym komplecie, spowita w wełniany szal w kolorach ziemi.

Prianka bacznie obserwowała ją z drzwi kuchennych, białymi od mąki rękami poklepując kulę ciasta.

- Bardzo dobra! - zawołała, kiwając głową z aprobatą. - Śliczna. Hinduska.

- Wygląda jak zakonnica - skomentowała Ellen.

- Albo święty mąż - dodała Ziggy. - Jeszcze trochę, a zacnie sypiać na łożu nabitym gwoździemi. - Jej głos był niewinny, oczy niczego nie zdradzały. - Lub przez długie miesiące będzie obywać się bez jedzenia.

Ellen zerknęła na przyjaciółkę. Ziggy odchyliła głowę i wybuchnęła gromkim śmiechem. Zawtórował jej Djoti.

- Tak! Jest chuda jak święty mąż. Mamy tu dwie amerykańskie *sadhu*... - Zamilkł, zakaszał. - Musicie pojechać do Rishikeshu. Miasta świętych. - Pokonał szaloną radość i wydusił ostatnie słowa: - Szybko... zdobędziecie tam sławę.

Ziggy przez dobrą chwilę zwijała się ze śmiechu. Potem odchyliła się, oparła o słupek werandy i omiotła wzrokiem ogród. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

- Mam zamiar założyć ogród - oznajmiła. - Tam, za fontanną.

Drzwi i okna były pootwierane, świeże, nagrzane przez słońce powietrze wpadało do pokoi i poruszało perkalo-wymi zasłonkami. Kwiaty Skye stały we flakonach, słoikach i kubkach, zajmowały każdą wolną powierzchnię... Były to mocne, kolorowe kwiaty pościnane z leśnych drzew. Długo zachowywały świeżość i pięknie pachniały.

Na frontowym trawniku Ziggy oparła się o łopatę i obserwowała, jak trzech nastoletni chłopcy przekopują jej nowe poletko. Dwaj inni zbierali kamienie. Na migi wydawała instrukcje, ale też dużo mówiła, chociaż Djoti wyjaśnił, że młodzieńcy nie rozumieją angielskiego. Chłopcy powodowali spore zamieszanie, bo z napięciem słuchali wszelkich poleceń, mówili: „Tak jest, memsahib!", a potem odwracali się i robili swoje.

Ellen obserwowała ich z okna na piętrze, ciesząc się, że przyjaciółka odżyła. Chociaż Ziggy wciąż była chuda i słaba, nie siedziała już godzinami w bezruchu i nie obserwowała świata spod cynicznie półprzymkniętych powiek. Często się uśmiechała. Dotykała różnych przedmiotów, smukłymi palcami poznając kształt i fakturę, jakby przedtem długo była zdętwiała albo niewidoma. Co więcej, chociaż wciąż rezygnowała na ogół z proponowanych potraw, chętnie jadała *chapati* Prianki, bo, jak powiedziała, smakują jak ziemia, nie jak jedzenie.

Idąc za jej przykładem, Skye też czasami coś brała do ust. Wciąż była bardzo cicha, ale wyglądało na to, że prawdziwą radość sprawiają jej spacerunki po lesie i zbieranie kwiatów.

Obserwując zmiany, które następowały u obu przyjaciółek, Ellen sama czuła się silniejsza, bezpieczniejsza, jakby rozpoczęty proces zdrowienia w jakiś sposób objął i ją. Spoglądając z wysoka na przesyconą spokojem scenę w ogrodzie, uśmiechnęła się. Wszystkie trzy znalazły spokojną przystań, o której marzyły.

Ziggy zrobiła kilka kroków, stanęła na środku poletka, rozejrzała się wokół siebie i zaczęła planować, co gdzie posadzi. Nagle chłopcy przestali kopać, bo na końcu ścieżki pojawił się Djoti, zerkając zza ogromnej paczki, którą niósł ostrożnie na wyciągniętych ramionach. Poranne słońce odbijało się od jej błyszczącej powierzchni.

Ellen przybliżyła się do okna i zacisnęła palce na parapecie. Przełknęła ślinę i poczuła przyspieszone bicie serca, gdy rozpoznała fałdy celofanu z kwiaciarni.

Zbiegła schodami na dół, wyobrażając sobie małą, białą karteczkę przyczepioną do celofanu, z dobrze znaną pieczęcią „Interfloral”. Radosna, szalona wizja rozrosła się błyskawicznie jak pustynne kwiaty po deszczu. Widziała w myślach Jamesa, który poważnym i bezbarwnym głosem przekazywał swoją wiadomość przez telefon.

„Kochana Ellen”...

Może pan przeliterować, sir? Jedno „1” czy dwa? „Nie możemy bez ciebie żyć”. To wszystko, sir?

„Proszę, wróć do domu. Na pewno uda nam się pokonać wszystkie problemy. Wiem, że to możliwe. Kochamy cię, James i Zelda”.

W porządku. Zapisalem. Czytam...

Djoti z nabożnym skinieniem głowy wyciągnął bukiet w stronę Ziggy. Dziewczyna w bezruchu patrzyła na kwiaty spowite w celofan. Potem zerknęła na kartkę ze starannym napisem: *Panna Ziggy Somers, Musoorie. Za pośrednictwem hotelu Savoy.*

Ellen stanęła obok niej, czując, że szczypią ją oczy pod wpływem i ulgi, i zawodu. Djoti spojrział na nią, czekając na instrukcje.

- Sprawdźmy, od kogo te kwiaty - powiedziała Ellen, starając się zachować spokój, jak szkolna pielęgniarka, która za chwilę sprawi ból.

Odpięła karteczkę i odwróciła ją.

- *Kochana Ziggy - czytała. - Proszę, skontaktuj się z nami. Twój ojciec tak bardzo martwi się o Ciebie, że nie może jeść. Bardzo tęsknimy za naszą córeczką. Ziggy, kochanie, spójrz na kwiaty i pomyśl o mnie. Najdroższa, kocham Cię. Twoja najukochańsza mamusia, Lucy.*

Czytając te słowa, Ellen wyczula, że za ciepłymi słowami czai się ponura ciemność, coś rozpaczliwego, przytłaczającego, krepującego.

Ziggy czekała spokojnie, aż słowa ucichną. Potem wzięła bukiet i zdjęła z niego celofan.

- Orchidee - powiedziała bez wyrazu.

- Nie wybierała ich osobiście - wtrąciła szybko Ellen, pragnąc złagodzić napięcie. - Myślę, że zostały przesłane samolotem z Singapuru do Delhi.

Obie patrzyły na piękne, jędrne kwiaty. Jakimś cudem przetrwały; ułożone w pudełku, obłożone lodem, pomimo upału przebyły nietknięte długą drogę do Musoorie.

- Skąd Lucy wie, że tu jesteśmy? - spytała Ellen.

- Ode mnie - odparła Ziggy. W jej głosie słychać było napięcie i złość. - Nie chciałam jej tego mówić. Nie miałam takiego zamiaru.

Wyciągnęła rękę i dotknęła chłodnych orchidei. Zacisnęła powoli palce, miażdżąc kwiaty i łamiąc łodyżki. Potem rzuciła bukiet na środek swojego niedokończonego ogrodu i uciekła, przygarbiona, z głową nisko pochyloną.

- Nie lubi kwiatów - stwierdził Djoti, nie kryjąc zaniepokojenia i konsternacji.

Ellen przez chwilę milczała, potem odezwała się:

- Nie, nie lubi swojej matki.

Bezradnie spojrzała w stronę domu, w którym zniknęła Ziggy. Po chwili zasłony w jej pokoju zostały zaciągnięte.

Skye wyszła na werandę, zwabiona odgłosem stukotu krzeseł rattanowych, które poprzewracały się, gdy Ziggy wbiegała do domu. Stała w milczeniu, spoglądając na strzępy orchidei i zmięty celofan. Na jej twarzy widać było tęsknotę i strach.

Ellen spojrzała na liścik, który leżał na trawniku. Zawołała Djotiego.

- Nie chcę, żeby coś takiego zdarzyło się ponownie -oznajmiła. - Od dzisiaj przynoś wszystkie listy i przesyłki prosto do mnie, tak żeby nikt nie widział.

- Tak jest, memsahib - powiedział Djoti poważnie, pochylając głowę.

- I proszę, pozbieraj to. - Wskazała resztki bukietu. Wszystkie kwiaty były zniszczone, co wyglądało jak miejsce wypadku na poboczu drogi.

19

Ellen nie chciała wzywać lekarza ze szpitala misyjnego, mając nadzieję, że skutki listu i kwiatów Lucy nie będą trwały długo. Tymczasem dni przechodziły w tygodnie, a Ziggy bez słowa leżała na łóżku i patrzyła w sufit. Skye kręciła się przy niej, przyciągana przez ponury nastrój przyjaciółki. Zebrane przez nią kwiaty osiągały stan pełnego rozkwitu i wędły, jej miejsce w jadalni przy oknie czekało, rozgrzane przez poranne słońce, ale ona przez cały dzień nie ruszała się poza pokój swój i pokój Ziggy. Prianka nadal stawiała na stole trzy nakrycia, ale wkrótce zaczęła gotować dla jednej osoby.

W końcu Djoti zaproponował, żeby sprowadzić lekarza, a Ellen zgodziła się z jego sugestią. Czekala na ich przybycie przy fontannie, obok opuszczonego ogrodu Ziggy. Kiedy się

zblizali, słycać było ciche glosy. Potem pojawili się u wylotu ścieżki i weszli na trawnik. Nie zatrzymując się, by choć troszkę odpocząć, lekarz podszedł prosto do Ellen. Wyglądał jak nędzarz, który tułał się po świecie przez całą noc - miał przekrwione oczy, bladą twarz i rozczochrane włosy. Jego ubranie było eleganckie, ale zmięte i przepocone. Kobieta widziała, że lekarz bacznie się jej przygląda. Wiedziała, że z braku snu ona również ma zaczerwienione oczy.

- Mam na imię Ellen - przedstawiła się spokojnie.

Wstrzymała oddech i przygotowała się na to, co wydawało się nieuchronne, czyli na słowa zaniepokojenia, a potem złości. Jak inaczej lekarz mógł zareagować na wezwanie przez kobietę, która ma w swoim domu dwie umierające osoby? Co ona sobie, do diabła, wyobraża?! Przywozi do Indii chore osoby, zabrane z ekskluzywnej kliniki, w której można im było zapewnić wszelkie luksusy, spokój, wygodę, a może nawet zdrowie. Musi być szalona albo okrutna.

- Doktor Cunningham. Paul - powiedział mężczyzna, kierując swoje słowa do pleców Ellen, która prowadziła go w stronę domu. - Przepraszam, ale nie mogłem przyjść wczoraj. Mam za sobą jeden z tych...

Ellen obejrzała się przez ramię.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Byłem na nogach przez całą noc - wyznał, przecierając rękami twarz. - Paskudny przypadek. Sporo już w życiu widziałem, ale chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Co się stało? - spytała Ellen uprzejmie.

- Przyszła do mnie kobieta z jakiejś odległej wioski. Jej dziecko utknęło podczas porodu w połowie drogi. - Z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Zaczynało się już rozkładać. Powiedziała mi, że cztery godziny szła piechotą do szosy, potem ciężarówka dowiozła ją na skrzyżowanie, jakieś osiem kilometrów stąd. Resztę drogi znów pokonała na piechotę. - Mówił, nie przerywając, jakby musiał dzielić się tym przeżyciem. - Nie mogłem usunąć płodu przez ma-

cicę, musiałem przeprowadzić cesarskie cięcie. Zacząłem od normalnego nacięcia, ale okazało się, że małeństwo utknęło główką i pośladkami w górnej części macicy. - Nagle urwał. - Przepraszam. Na pewno nie chcesz tego słuchać.

- Czy matka będzie żyła? - spytała Ellen szorstko. Wyobraziła sobie otwarte ciało, skropione środkami anty-

septycznymi, zakrwawione ręce sięgające po igły i nici, głowę lekarza pochylonego nad tym ciałem, lekarza - boga o dwóch obliczach: oprawcy i zbawiciela.

Paul wzruszył ramionami, próbując zdobyć się na obojętność.

- Podałem jej kroplówkę z antybiotykami. Na szczęście, urodziła już czwórkę dzieci. Wszystkie mają po kilka lat, więc daję im spore szanse na przeżycie - dokończy! ze smutnym uśmiechem.

Ellen wprowadziła go do wnętrza domu. Zatrzymał się w progu i spojrzał na drogie meble.

- To nie nasze rzeczy - wyjaśniła Ellen. - Mieszkamy tu od niedawna. Mniej więcej od dwóch miesięcy.

Stanął pod strzelbą, która wisiała na ścianie.

- Oczywiście, słyszałem jakieś opowieści na wasz temat - powiedział ostrożnie. - Wiem, że dwie z was są chore.

- Miałam przywieźć tu tylko swoją przyjaciółkę - wyjaśniała szybko Ellen, odwracając się do niego.

- Potem jednak przyłączyła się do nas jeszcze pewna kobieta. Byłam temu przeciwna...

Zagryzła wargę. Powinna raczej zachować spokój i obojętność, pozwolić, by lekarz zajął się tym, co do niego należy. Chciała, żeby zapisał po prostu jakieś środki uspokajające.

Paul oparł się o ścianę i spojrzał na własne stopy.

- Chciałbym oddzielić plotki od prawdy. Mogę? - spytał. - Twoje towarzyski cierpią na anoreksję, prawda? Od jak dawna? I czy jest to stan chroniczny?

- Ziggy od trzech lat z przerwami przebywała w szpitalu. Dwukrotnie omal nie umarła. Skye jest chora jeszcze dłużej.

- W takim razie na pewno powiedzieli ci w szpitalu, że szanse na powrót do zdrowia są bliskie... - zaczął Paul.

-Kiedy przyjechałyśmy tutaj... - przerwała Ellen -...wszystko szło dobrze. Obie wyraźnie odżyły. Jadły, co prawda niedużo, ale powoli nabierały sił. Potem nagle dała o sobie znać matka Ziggy, co jakimś cudem załamało je obie. Moje słowa przestały wywierać na nie jakikolwiek wpływ. Obie po prostu położyły się do łóżka, a wszystko z powodu bukietu kwiatów od matki. - Roześmiała się niespokojnie.

- Nie jestem w tej dziedzinie ekspertem - wyjaśnił Paul. -Muszę przyznać, że ilekroć natykam się w czasopiśmie na ten problem, uznaję, że jest to jedna z niewielu rzeczy, które mogę zignorować. Mam jednak znakomitą pamięć, a to czasami się przydaje. Wspomniałaś na przykład o kwiatkach z domu, od jednej z matek. Z tego, co pamiętam, anoreksję zazwyczaj kojarzy się z problemami w rodzinie, często związanymi z matką.

Paul trochę się rozluźnił. Słownictwo medyczne brzmiało w ciszy jak coś zupełnie naturalnego.

- Chore często mają ambiwalentny stosunek do swojej seksualności. Próbuje zagłodzić ciało, aby wrócić do dzieciństwa. Pod wpływem niedożywienia często przestają miesiączkować, co, oczywiście, jest dla nich swego rodzaju nagrodą.

- Ale takie postępowanie niekoniecznie musi mieć związek z matką - powiedziała Ellen.

- No cóż, niektóre prace naukowe sugerują, że strach przed byciem kobietą w rzeczywistości oznacza strach przed upodobnieniem się do własnej matki.

- To znaczy... - Ellen przerwała i przełknęła ślinę. - To znaczy... że boją się zostać matkami?

- Może nie tyle boją się mieć dzieci, ile stać się takie same jak ich matki. Tyle teoria. Wiedza o tej chorobie jest zniko-

ma, ale niezależnie od tego, co jest powodem choroby, trudno z nią walczyć. Anorektyczki wolą umrzeć, niż się poddać. Dosłownie. - Spojrzał prosto w oczy Ellen. - Niektóre z nich rzeczywiście umierają. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, oczywiście - przyznała Ellen. - Powiedziano mi to w klinice.

Paul bacznie przyjrzał się jej spokojnej, obojętnej twarzy.

- Co dziwne - ciągnął, nie kryjąc zaskoczenia - pod pewnymi względami te kobiety są bardzo silne. Nie jest łatwo zagłodzić się na śmierć! Z drugiej jednak strony są nadzwyczaj słabe. Gdzieś w głębi duszy chcą przeżyć, ale nie mają sił, by zmienić obrany kurs. Dlatego tak trudno...

-Zaciekawiło mnie coś, co powiedziałeś wcześniej... -przerwała Ellen, stając w drzwiach i blokując mu drogę. - Ze pewne kobiety nie potrafią być matkami. Wiedzą, z czym się to wiąże, ale nie są w stanie sprostać tej roli. - Jej głos był szorstki i zbyt głośny. - Dałyby wszystko, żeby być dobrymi matkami, ale coś jest nie w porządku i po prostu... - Ściszyła głos do szeptu. - Po prostu nie mogą.

Paul zmarszczył czoło.

- Każdy tego typu problem jest bardzo złożony - powiedział ostrożnie. - Niestety, psychologia to nie moja specjalność. Jestem chirurgiem. - Spojrzał na schody. - Oczywiście, zrobię wszystko, co będę mógł, żeby pomóc.

Najpierw wszedł do pokoju Ziggy.

- Do jasnej cholery, nie wzywałam lekarza!

Słowa te dobiegły z łóżka Ziggy, gdy tylko zabłysło światło.

- Przyszedł ze szpitala misyjnego - powiedziała Ellen ostrzegawczym tonem.

- Niech się odpieprzy.

Paul stanął w nogach łóżka, głuchy na słowa Ziggy, i przyjrzał się bacznie wychudzonym rękoma leżącym na kołdrze, zapadniętym policzkom chorej, jej błyszczącym, rozgorączkowanym oczom.

Bez słowa wyszedł z pokoju.

Za sąsiednimi drzwiami Skye kuciała na łóżku. Kiedy Paul do niej podszedł, spojrzała na niego ze strachem i tęsknotą na twarzy.

- Zostaw mnie w świętym spokoju - poprosiła głosem małej dziewczynki przypartej do muru w rogu boiska szkolnego.

- Wyraźnie widać - powiedział Paul, gdy oboje z Ellen znów znaleźli się na parterze - że żadna z nich nie może tu zostać.

Jego głos stwardniał, na przekór wyrazowi łagodnych brązowych oczu.

- W szpitalu brakuje nam łóżek, poza tym nasze zadanie polega na opiece nad biednymi, którzy nie mają się gdzie podziać. Dlatego z całego serca radzę, żebyście jak najszybciej wyjechały, póki twoje przyjaciółki nie są zbyt chore na podróż.

- Radzisz, żebyśmy wróciły? - spytała Ellen pustym głosem.

Wrócić. To słowo było pozbawione znaczenia. Paul przytaknął.

- Do Ameryki. Albo przynajmniej do Delhi.

Jego głos złagodniał, kiedy lekko dotknął ramienia Ellen gładkimi, często szorowanymi rękami.

- Posłuchaj, na pewno warto było spróbować. Przynajmniej wiesz, że jako przyjaciółka zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Tymczasem powinny pomóc środki uspokajające. Kupisz je na bazarze.

Wyjął z kieszeni notes i zapisał kilka słów.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, co będą mieć pod ręką. Idź do człowieka tuż obok wózek, naprzeciwko ciastkarni.

- Ciastkarni? - zdziwiła się Ellen.

- To nieco mylne określenie. Chyba sprzedają tam pizzę. Ellen wybuchnęła śmiechem.

- Całe Indie...

Pojawiła się Prianka z herbatą. Uśmiechnęła się do doktora i zaczęła mówić coś w hindi. Bez problemów podjął z nią roz-

mowę w tym języku. Żona Djotiego spoglądała na Paula z dumą, jakby był jej synem. Postawiła ostrożnie tacę na niskim stoliku, potem ukloniła się Paulowi i zostawiła ich samych.

- Niesamowite. - Paul uniósł ciężki porcelanowy dzbanek na herbatę i powoli obrócił go w rękach. -
Mieliśmy w domu... taki sam

Przytrzymał go, jakby nie miał ochoty odstawić.

- Może nalejesz? - zaproponowała Ellen, podsuwając filiżanki.

Paul przytaknął i stłumił ziewnięcie.

Siedzieli cicho obok siebie na antycznej kanapie, popijając czarną, aromatyzowaną herbatę z filiżanek z połączanymi brzegami. Nad nimi wisiał wyblakły portret królowej Elżbiety. Ubrana w gronostaje, przepasana błękitną wstęgą, spoglądała pogodnie na pokój.

Przez piękny zapach herbaty ze sporym dodatkiem goździków i kardamonu Ellen wyczuła woń szkolnej toalety i królującego tam mydła karbolowego, a pod nim zaschniętego potu. Zerknęła na Paula. Zmięty, rozpięty kołnierzyk i nieogolona twarz stwarzały wrażenie niechlujności, która kontrastowała z jego szczupłą twarzą o ładnych rysach. Na przekór sobie, Ellen zastanowiła się, jak ona wygląda z włosami, które od dawna nie widziały fryzjera, z niewyskubany-mi brwiami, bez makijażu. Prawdopodobnie jak ekscentryczna dama z dwiema neurotycznymi przyjaciółkami.

- Od dawna tu jesteś? - spytała.

Nagle ogarnęła ją ciekawość, czy mógł o niej słyszeć, widzieć jej taniec, oglądać zdjęcia. Ale przecież był misjonarzem. To słowo kojarzyło się jej z czarnymi książkami, klęczącymi postaciami, prostym jedzeniem i uśmiechniętymi kanibalami z kośćmi we włosach.

- W Indiach? Czy w Musoorie?

- I tu, i tu.

- Urodziłem się w Kalkucie. Tutaj przyjechałem mniej więcej dziesięć lat temu.

- To znaczy, że od urodzenia mieszkasz w Indiach? Ellen spojrzała na niego, nie kryjąc zaskoczenia. Paul uśmiechnął się.

- Prawie. Moi rodzice byli misjonarzami w Kalkucie. Nie uznawali szkół z internatem, więc mieszkałem z nimi aż do wyjazdu na studia medyczne do Londynu. Nienawidziłem Anglii. Jest zimna i wszystko trzeba tam robić w odpowiednim czasie. No cóż, wszyscy tak postępują, stary! - zażartował z oksfordzkim akcentem.

Ellen roześmiała się, odczuwając nagle dziwną lekkość i swobodę, jakby coś w jej wnętrzu obudziło się do życia i mrowiło jak zmarznięta ręka wyciągnięta do ognia. W tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo dom, w którym przebywają dwie chore, przytłacza ją swoim ponurym nastrojem, chociaż jednocześnie ciężar wspomnień powoli traci na sile. Bardzo chciałaby uwolnić się od tego wszystkiego. Patrzyła, jak Paul, pokonując zmęczenie, cieszy się byciem tu i teraz, piciem z nią herbaty. Chciała, żeby został. Chciała, żeby zabrał ją ze sobą. Pragnęła go.

- Czy twoi rodzice wciąż są w Kalkucie? - spytała beztrąsko, dolewając herbaty.

Paul zawahał się, odpowiedział dopiero po chwili:

- Nie. Przeprowadzili się do Bangaldeszu. Kilka lat temu utonęli podczas powodzi.

Jego głos był spokojny i bezbarwny, ale wyczuwało się w nim rozpaczliwy ból.

Ellen zamknęła oczy, wyobrażając sobie dwie drobne postacie rzucane jak lalki przez szalone masy wody. Ciemny, straszny przyływ...

- Przykro mi - powiedziała szybko. - Nie pytałabym...

- Bardzo mi ich brakuje - wyznał szczerze. Szwajcarski zegarek tyka! głośno w zapadłej nagle ciszy.

- Masz żonę? - spytała Ellen, pragnąc przerwać milczenie. Na pewno ma - pomyślała. Słodką, poważną istotę o męznym sercu i delikatnych dłoniach.

Paul uniósł głowę. Ellen poruszyła się niespokojnie, dochodząc do wniosku, że robi z siebie idiotkę.

- Nie - powiedział, ironicznie marszcząc czoło. - Kto chciałby tak żyć?

Spojrzał na swoje ręce, w których trzymał opróżnioną do połowy filiżankę. Miał ładne dłonie o gładkiej skórze, silne i spokojne. Ellen wyobraziła je sobie w rękawiczkach chirurgicznych. Ujrzała, jak jasnobrązowe oczy doktora niczym morskie gąbki chłoną obrazy bólu i przerażenia. Dobry Boże, dziecko gnijące w łonie matki!

W oczach Margaret też było widać udrękę z powodu biednych, smutnych dzieci. Tyle że ona sprawiała wrażenie silniejszej, jakby żywiła się ich agonią. Nagłe wypadki budziły ją do życia. Stukając energicznie obcasami, zabierała swój biały kitel i torbę, podczas gdy Ellen siedziała samotnie na twardej kanapie i patrzyła, jak matka wychodzi - bohater wojenny ruszający w bój.

Paul sprawiał wrażenie tylko smutnego i zmęczonego, jakby został wciągnięty w grę, której nie lubi. Nie mógł jej przerwać, ale chciał, żeby się już skończyła.

- A ty? - spytał.

- Słucham...?

- Jesteś mężatką? Spojrzała na niego.

- Tak. Prawdę mówiąc, niezupełnie. To znaczy... jesteśmy w separacji. Na stałe. - Nagle chciała mu o wszystkim powiedzieć. - Mam małą córeczkę, Zeldę - pochwaliła się. - Została... z nim.

Paul przez chwilę się jej przyglądał, a coś bliskiego niechęci zasnuło mu oczy i kazało zacisnąć usta.

- Musisz bardzo za nią tęsknić - powiedział z odrobiną sarkazmu w głosie.

Ellen spojrzała na własne dłonie, na których nigdy nie było krwi, chociaż były to ręce winowajczynie. Przypuszczalnie Paul pomyślał o kochankach, marzeniach, planach i nieza-

dowoleniu. To nie to - chciała powiedzieć. Nie rozumiesz. Nikt nie rozumie. Ani James. Ani Ziggy. Zelda też nie rozumie. Niezależnie od tego, co powie jej James, jakie poda powody, będzie mnie winiła, nienawidziła, będzie mną pogardzała...

- Przepraszam - powiedział Paul, dopijając herbatę i wstając. - Odrywam cię od codziennych zajęć. Znow był lekarzem, spokojnym i obojętnym.

- Uważam, że powinniście wyjechać jak najszybciej.

- Tak, dziękuję - powiedziała Ellen mechanicznie, wędrując za nim w stronę drzwi. - Dzięki, że przyszedłeś.

- Nie ma za co - mruknął Paul. - Djoti może wstąpić do mnie po rachunek.

Ellen polizała grudkę soli trzymanej w ręce i pociągnęła spory łyk tequila, a potem wbiła zęby w kawałek limonki. Przymrużyła oczy, gdy trzy smaki, zderzywszy się, wymierzyły jej potężny cios. Kiedy pierwszy szok minął, odchyliła głowę i oparła ją o ścianę domu. W pobliżu ogromne ćmy fruwały wokół oświetlonego okna i uderzały o szybę. Blask pojedynczej lampy sączył się na ocienioną werandę, posrebrzał ciemne włosy Ellen i błyszczał na butelce, którą trzymała w rękach.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Była wyczerpana. Poniosła porażkę. Będą musiały się poddać. Wrócić. Chociaż z drugiej strony, czego się właściwie spodziewała?

Przypomniała jej się Margaret, matka, ze swoim życzliwym, a jednocześnie pełnym litości uśmiechem.

„Czego innego się spodziewałaś, Ellen?”

Słupki werandy lekko się zakołysały, a wraz z nim cały ogród. Margaret unosiła się jak zjawą, wyczarowana przez biały dym.

„Niezgrabna, nieprzydatna do niczego, nieostrożna, brudna dziewczyna. Biedactwo”.

Jej głos dochodził z oddali, zakłócał ciszę.

„Nic dziwnego, że twój ojciec odszedł”.

- Nie! - powiedziała Ellen, potrząsając przecząco głową w odpowiedzi na szydercze słowa ducha, który unosił się nad cichym ogrodem.

„Biedne dziecko. Po prostu nie mógł znieść twojej obecności. Robiło mu się niedobrze na twój widok. Więc odszedł”.

Wiatr westchnął między czubkami drzew. Biedna Margaret. Jej życie zostało zniszczone, pozbawiono ją szczęścia.

Nie! Ellen zacisnęła palce na kolanach, stanowiących jasną plamę w ciemności. W jej głowie płonął gwałtowny ogień, który niszczył stare przekonania, sądy, wyroki. To nie była prawda. Z całą pewnością. Ojciec musiał mieć jakieś inne powody. Coś, co wiązało się z Margaret. Albo z nim samym. Albo z kimś innym. Nikt nie zostawia wszystkiego, co ma i kocha, z powodu małego dziecka. Zaledwie dwumiesięcznego.

Chyba że był taki jak ja - pomyślała Ellen. Utknął między miłością a terrorem. Następna ofiara choroby, która powtarzała się w rodzinie. Może wyrwał się, chociaż wewnętrznie umierał, a Margaret nie potrafiła go zrozumieć.

Ellen przypomniała sobie twarz ojca ze zdjęcia ślubnego. Błady mężczyzna o jasnych włosach, stojący potulnie obok swojej młodej żony. Trudno było wyobrazić sobie, żeby coś zmusiło go, tak jak Ellen, do ucieczki. Ze względu na dziecko, które kochał.

Spojrzała na daleki księżyc, który lśnił jak klejnot na aksamitnym niebie. Nigdy nie dowie się prawdy o swoim ojcu. Nie ma kogo spytać. Mniej więcej w czasie, kiedy kończyła akademię, Margaret sprzedała dom i przeprowadziła się na stałe do Anglii, nie zostawiając adresu. Ellen przypomniała sobie poczucie straty, paniki i szalonej ulgi, kiedy zdała sobie sprawę, że wszystko skończone. Margaret odeszła na dobre.

Niestety, zabrała ze sobą wszystkie tajemnice i Ellen do końca życia będą dręczyły pytania bez odpowiedzi - ciemna dziura, której nigdy nie będzie mogła się pozbyć. Nieznośny ból, nie do zniesienia. Straszliwa, głęboka rana.

Wstała i spojrzała na ogród niewidzącym wzrokiem. Poczwała nagle pewność, że nie zrobi tego swojej córeczce. Zelda będzie wiedziała, kim była jej matka, a pewnego dnia dowie się też, czemu musiała odejść. Niezależnie od tego, jak to przyjmie, lepsze to niż nic, lepsze niż milczenie. Rodzice nie mogą zniknąć. Nie mogą, bo pozostawiona przez to rana nigdy się nie goi.

Ellen została na werandzie, pół śpiąc, pół czuwając, aż do chwili, kiedy pierwsze promienie świtu zabarwiły niebo. Potem powędrowała do swojego pokoju i usiadła przy biurku.

Drogi Jamesie - napisała zdecydowaną, choć drżącą ręką. - Bardzo chcę do niej pisać. Musisz mi na to pozwolić. Zelda wciąż jest moją córką. Kocham ją.

Spojrzała na złociste światło. Chłodny papier pod ręką działał jak uspokajający balsam. Poczwała, że przybywa jej sił.

Wyobraziła sobie, że będzie pisać długie listy, w których spróbuje przekazywać córeczce nowiny, opowiadać o swoim życiu, o sobie, starannie dobierając słowa, by mieć pewność, że spod jej ręki nie wyjdzie nic złego. Po cichutku zaczęła nawet liczyć, że pewnego dnia Zelda jej odpisze. Że pewnego dnia znów będą razem.

Wokół niej rozległy się odgłosy poranka: z kuchni doszło brzęczenie garnków Prianki, gdzieś na zewnątrz ktoś rąbał drewno. Jednak na piętrze panowała cisza. Ellen pomyślała o Ziggy i Skye, pogrążonych w niespokojnym śnie wśród poplątanych prześcieradeł. Przypomniałszy sobie radę lekarza na temat wyjazdu, rozejrzała się po pokoju, niechętnie myśląc o pakowaniu wszystkiego i wyprowadzce... Potem wpadł jej do głowy pewien pomysł, zdecydowany i wyraźny: jeśli uda jej się pomóc Ziggy i Skye, jeśli zdoła je uratować przed koniecznością poddania się i powrotu, będzie to znak,

że się zmienia. Że staje się kimś, na kim można polegać. Kimś takim jak Lizzie. Prawdziwą matką. Małeńkie ziarenko puściło korzonek i szybko rosło, karmione ciepłem nadziei. Był to prosty i sprawiedliwy układ z przeznaczeniem: jeśli uda jej się uratować Ziggy i Skye, może nie straci Zeldy.

Następnego ranka weszła do pokoju Ziggy i rozsunęła zasłony.

- Wstawaj - rzuciła przez ramię. - Idziemy na bazar, na zakupy. Przed domem czeka kulis. Chyba że chcesz, by przyszedł na piętro.

Ziggy leżała w całkowitym bezruchu, jak ktoś, kto słucha i ciężko myśli. Nie odpowiedziała.

- Świetnie - oznajmiła Ellen.

Otworzyła okno i machnęła ręką komuś, kto stał na trawniku.

- Już idzie.

Ziggy powoli usiadła i podrapała się po rozczochranej głowie. Miała na sobie tylko jedwabną koszulkę, która wisiała luźno na jej wychudłym ciele.

Ellen wyjęła z komody czyste ubranie i rzuciła je na łóżko.

- Włóż to.

Skrzywiła się i przełknęła ślinę, by pokonać nudności. Wsparła się ręką o ścianę, żeby się nie przewrócić.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Ziggy. - Nic.

- Naprawdę? Widziałam butelkę na trawniku. - Przez usta Ziggy przemknął szyderczy uśmiezek. - Kokaina biedaków.

- Co takiego?

- Tequila. Gdzie ty ją, do diabła, znalazłaś?

- Djoti przyniósł z Savoyu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Kiedy Ellen ruszyła, żeby otworzyć, Ziggy poderwała głowę.

- Nie pozwalaj mu wchodzić! - powiedziała. - Nie jestem ubrana!

- W takim razie pospiesz się. - Głos Ellen był twardy i zimny.

Ziggy zerknęła spod rzęs i zaczęła się ubierać, wykonując niezgrabne ruchy ptaka morskiego postawionego na ziemi.

- Dlaczego nie zabierzesz na bazar Djotiego i Prianki? - spytała w końcu. - Nienawidzę chodzenia do miasta. Tam jest brudno. Wszędzie kręcą się żebracy. Nie znoszę tych starców, którzy szturchają mnie puszkami.

Ellen otworzyła drzwi i machnęła przyzywająco dłonią. Hindus podszedł do Ziggy z opuszczonym wzrokiem.

- Memsahib...?

- Wynoś się! Wynoście się oboje! - Twarz Ziggy była blada ze złości.

- Nic z tego - oznajmiła Ellen spokojnie. - Nawet gdybym musiała wezwać następnych sześciu kulisów, związać ci ręce i nogi, zrobię to. Nie pozwolę, żebyś spędziła następny dzień, leżąc w łóżku. Idziesz ze mną.

Ziggy patrzyła na nią z wyraźnym zdumieniem.

- Po co mamy ruszać się z domu?

- Żeby kupić kilka rzeczy. Odwiedzić świątynię. Przejść się po bazarze. Przejechać się kolejką. Zrobić to, co robią ludzie, gdy przyjeżdżają do Musoorie albo w ogóle do Indii. Dotychczas nigdzie nie bywałaś poza domem, jeśli nie liczyć pobytu w hotelach. Równie dobrze mogłabyś być w Ameryce. Więc... - Przerwała, żeby nabrać tchu i dokończyła: - Myślę, że czas ruszyć tyłek i...

- Chwileczkę - zaprotestowała Ziggy, wyciągając rękę, jakby chciała powstrzymać potok słów przyjaciółki. - Wiem, w co się bawisz. Myślisz, że zniechęciłam się do wszystkiego z powodu Lucy. Sądzisz, że zdołasz skierować moje myśli w inną stronę, zabierając mnie na cholerny bazar! Wybij to sobie z głowy. Nic z tego nie będzie. - Głos jej zadrżał, sprawiała wrażenie osoby zagubionej. - Przerabiałam to już nieraz. Nie pomaga.

Łzy zebrały się w jej dużych zielonych oczach. Kulis nie odrywał wzroku od swoich dłoni.

- W takim razie to i tak nie ma znaczenia, prawda? - spytała Ellen chłodno. - Możesz się po prostu tam wybrać, choć nic się nie zmieni.

- Cholera! Ty wcale nie żartujesz!

Nastąpiła krótka pauza w rozmowie. Ziggy patrzyła na przyjaciółkę z wyraźnym zaskoczeniem, jakby z trudem rozpoznawała osobę, która przemawia do niej tak pewnie. Potem skierowała się w stronę kulisa.

- Ty! - krzyknęła. - Idź sobie! Ani drgnął.

- Uprzedziłam go, że będziesz protestować - wyjaśniła Ellen. - Mówiłam, że jesteś niezdecydowana, szalona, więc ma po prostu nie zwracać na ciebie uwagi. Zapłaciłam mu dodatkowo za wszelkie niedogodności.

- Rozumiem, dodatek za niebezpieczną pracę.

Ziggy zaczęła się śmiać, a jej szalony chichot pasował do rozgorączkowanego oczu.

- Podoba mi się to, Ellen. Bardzo, zwłaszcza w twoim wykonaniu ...

Ellen odwróciła się i wyszła z pokoju. Ziggy patrzyła za nią, a potem podniosła pięść. Po chwili jednak skinęła na kulisa i stanęła na rozstawionych nogach, gotowa do wyprawy.

Schodzili w milczeniu przez las, aż do drogi, która kończyła się obok szpitala. Ellen zapłaciła kulisowi i posłała chłopca po taksówkarza, który spał w swoim samochodzie.

- Tak jest, memsahib - powiedział kierowca, mrużąc oczy w promieniach słońca. - Jak wygląda program wyprawy?

- Chcemy się wybrać na bazar.

- Oczywiście. Nie ma sprawy.

Ziggy wsiadła do taksówki i rzuciła się na oparcie. Ellen zajęła miejsce obok, zostawiając pośrodku wolną przestrzeń.

Kierowca obserwował je w lusterku wstecznym, kiedy ostrożnie zjeżdżał ze zbocza krętą drogą.

Siedziały w pełnym napięcia milczeniu. Która odezwie się pierwsza? Za dawnych czasów zawsze robiła to Ellen... Przerывała bezsensowne bazgranie i unosiła głowę znad zeszytu. Wbiła wzrok w Ziggy i patrzyła, jak przyjaciółka zszywa różową wstążeczkę.

„Przepraszam, Ziggy”.

Cisza.

„Proszę, Ziggy. Naprawdę nie chciałam”. Wolne uniesienie głowy. „Jesteś pewna?”. „Tak. Bardzo, bardzo przepraszam”. Delikatne kiwnięcie głową i blady uśmiech. „W takim razie w porządku”.

„Nadal jesteśmy przyjaciółkami?”. „Jasne”.

Samochód posuwał się powoli wśród tłumu ludzi. Ellen patrzyła na twarze przysuwające się tuż do szyby i małe budki, które stały na skraju wąskiej drogi. Czowała się, jakby podróżowała wzdłuż równej linii otwartych kredensów. W każdym z nich był inny towar: kolorowe sari, kołdry, woreczki z przyprawami, słoiki ze słodyczami, sznurki bransoletek i skrzynki srebrnej biżuterii. Był też spory wybór napojów chłodzących, które stały w ciepłych, pokrytych kurzem butelkach. Limca. Thums up. I coś, co wyglądało na kokę. Zza skórzanych sandałów wyglądał znak „Kodaka”. Był też wyblakły plakat z typowymi zachodnimi džinsami, które miała na sobie ubrana w zachodnim stylu Hinduska z odsłoniętym brzuchem. Obok znajdowała się kuźnia, ciemna, zadymiona pieczara z rozmazanymi konturami i niewyraźnym błyskiem kutego metalu.

Krowa stanęła na drodze i nie chciała się ruszyć. W nieruchomym powietrzu auto sprawiało wrażenie gorącej, zamkniętej puszki. Ellen opuściła szybę i do środka wtargnęły odgłosy

i zapachy tłumu. Ziggy zakryła usta i nos rękawem, zamknęła oczy. Stały obok sklepiku z kijami do chodzenia po górach. Pokrywały ściany, zwisały z długich poręczy. Niektóre były jasne i wyglądały na nowe, inne na używane, z kolekcją metalowych znaczków i ozdobnie rzeźbionymi rączkami. Między nimi wisiało zdjęcie, które przedstawiało ośnieżone szczyty gór.

- Himalaje - powiedział taksówkarz, widząc, na co spogląda Ellen. - To widok, który można zobaczyć... z Musoorie, ale nie teraz. Jest... jakby kurz.

- Mgła - podpowiedziała Ellen.

- Mgła. Tak. Mgła.

- Brud - uzupełniła Ziggy.

Krowa odsunęła się z drogi i taksówka powoli ruszyła.

- Proszę nas zawieźć do starej świątyni.

- Tak jest, memsahib. To bardzo blisko. Prawdę mówiąc, tutaj.

Wskazał prosty, wąski chodnik. Ellen spojrzała z powątpiewaniem.

- To ta znana?

- Bardzo znana, memsahib. Świątynia Nandy Devi.

- Wejść i zobaczę - powiedziała Ellen do Ziggy. Zauważyła, że taksówkarz z natężeniem przygląda się im

w lusterku wstecznym.

- Proszę poczekać. Zaraz wrócę.

Powędrowała chodnikiem aż do opustoszałej uliczki i uchylonych drzwi wykonanych z grubych stalowych prętów. Zajrzała do ciemnego wnętrza, które pachniało kadzidełkami. Spowita w pomarańczowy materiał postać poruszyła się w mroku. Potem zapłonęły światła i wnętrze oświetlił rząd nagich żarówek o ostrym i jasnym świetle. Stary kapłan siedział w zagłębieniu obok włączników elektrycznych. Pochylił głowę i gestem ręki zachęcił Ellen, by weszła.

- Proszę zdjąć buty - polecił śpiewnie, wstając i podchodząc do niej.

Rozwiązując sznurowadła, bacznie mu się przyglądała. Miał na sobie kilka warstw materiału - suknia, koszula, szarfa, szal, turban, torba na plecy - wszystko w różnych odcieniach koloru pomarańczowego, zarzucone w zdumiewająco swobodnym stylu, którego mógłby mu pozazdrościć każdy krawiec.

Ellen przez skarpetki czuła twardą, zimną posadzkę marmurową, kiedy szła za kapłanem w stronę mrocznego wewnętrznego sanktuarium. Tutaj sięgnął do następnego włącznika i oświetlił kapliczkę.

Ellen spojrzała na spowitą w złociste szaty boginię o woskowej twarzy. Miała skośne ciemne oczy i lekko uśmiechnięte usta. Z jej smukłej szyi zwisała girlanda nagietków, tworząc grubą, złocistą wianek. Królewska głowa była odrobinę wychylona do przodu, dzięki czemu postać sprawiała wrażenie życzliwej, co dziwnie kłóciło się z trzymanym przez nią nożem o długim ostrzu. Stopione, czerwone *ghee* spływało jak krew po malowanych srebrną farbą stopach i kapało na białą ścianę za posążkiem. Wokół leżały płatki różowych, czerwonych i żółtych kwiatów.

- Nanda Devi to „ta, która daje wieczną szczęśliwość” - zaintonował kapłan. - Piękna matka, która usuwa cierpienia i obdarza błogosławieństwami. Kocha wszystkich, ale... - Odwrócił się i spojrzał na Ellen. - Najbardziej lubi piękne damy.

- Dlaczego trzyma w ręce nóż? - spytała Ellen. Jej głos zabrzmiał w ciszy głośno i niegrzecznie. Hindus niewyraźnie kiwnął głową.

- Oczywiście, posiada znaczną moc - powiedział i wzruszył ramionami. - Musi być silna.

Ellen znów spojrzała na boginię. Dostrzegła, że pod maską jej pogodnej twarzy kryje się groźna siła i z trudem powstrzymywana przemoc. W posążku nie było nic realnego, mimo to w jakiś sposób mówił o życiu i związanej z nim rzeczywistości, o nadziei i gorzkim zawodzie. O delikatności i odwadze, radości i strachu. Dobru i ztu.

- Piękna matka - szepnęła Ellen w zamyśleniu, przyglądając się nieruchomej twarzy bogini.

Pod wpływem wypowiedzianych słów pojawiły się przed nią obrazy, migawki z przeszłości. Była tam ona sama, matka rozdarta między miłością i strachem, a także Zelda, która z czegoś się śmiała.

Nagle w oczach malej pojawił się strach i smutek, a jej głos zaczął się łamać. Wybuchnęła płaczem. Tęnęła, coraz głębiej zanurzała się w wodzie. Wtedy pojawiła się dobra, silna matka i opanowała sytuację. Wzięła swe dziecko w opiekuńcze ramiona.

- Piękna matka - powtórzyła Ellen.

Stwórczym i niszczycielka. Ta, która daje życie i odbiera je...

- *Prasad, prasad* - powiedział kapłan.

Ellen spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Wyciągnął rękę.

- Ach, przepraszam. - Kiwnęła głową i sięgnęła po pieniądze.

Mężczyzna uśmiechnął się i skłonił głowę. Wyłączył światło i bogini z powrotem pograżyła się w ciemności.

Ellen włożyła buty, potem szybko wyszła na zewnątrz. Ze wszystkich stron otoczyło ją światło, ciepłe promienie słońca i uliczny gwar.

Przecisnęła się przez tłum do taksówki, ale zobaczyła, że Ziggy tam nie ma, kierowcy również. Samochód sprawiał wrażenie porzuconego. Po drugiej stronie ulicy zauważyła czubek jasnej głowy Ziggy, górujący nad tłumem. Zbliżywszy się nieco, usłyszała jej głos, który przebijał się przez paplaninę i śmiech.

- Nie mam pieniędzy. Zaraz przyjdzie moja przyjaciółka... Ona zapłaci.

Ellen ukryła się w tłumie. Zobaczyła, że Ziggy stoi przy budce, której właściciel sprzedaje lepkie, żółte placki. Leżały w stosach na talerzach ustawionych na ladzie, a następne smażyły się na małym piecyku za nią. Obok Ziggy stał malec w krótkich potarganych błękitnych spodenkach. Ellen wy-

chyliła się nieco, żeby lepiej go zobaczyć. Nad patykowatymi nóżkami stercza! duży brzusek. Ogromne, ciemne oczy spoglądały na Ziggy, a po zakurzonej buźce płynęły łzy.

- Na litość boską, to dziecko jest głodne. Co się z panem dzieje? - Ziggy machała rękami i krzyczała. Właściciel budki rozejrzał się dookoła z niewyraźnym uśmiechem.

- Jedna rupia - powiedział, wyciągając jeden palec. Potem obok nich pojawił się taksówkarz.

- Memsahib...?

- Daj mu trochę pieniędzy - zażądała. - Druga memsahib ci zapłaci.

Kierowca wyjął z kieszeni monetę i położył ją na ladzie. Właściciel budki z uśmiechem poda! dwa żółte, polane syropem placki. Malec śledził wzrokiem smakołyki, które powędrowały do rąk białej kobiety. Wzięła je ostrożnie i bacznie im się przyjrzała. Mijały sekundy, w końcu dziecko zaczęło rozpaczliwie szlochać.

- Nie, nie płacz - powiedziała Ziggy, szybko pochylając się i wkładając po jednym placku do każdej z wychudzonych rączek. - To dla ciebie. Już wszystko w porządku... Masz.

Chłopczyk wpychał jedzenie do ust, przeżuwał je i połykał, przez cały czas marszcząc czoło. Trzymał mocno placki, co chwila rozglądając się wokół siebie, jakby obawiał się, że zaraz ktoś odbierze mu zdobycz. Obserwując go, Ellen zdała sobie sprawę, że jest starszy, niż wygląda; z braku pożywienia wolniej rósł. Potem jej wzrok przykuła Ziggy. Pochylała się nad dzieckiem z rozchyłonymi ustami, jakby nie mogła się nadziwić, że jedzenie znika w jego ustach. Wokół rozległ się śmiech, gdy malec wyciągnął rączki po więcej. Obok Ziggy pojawił się starszy chłopiec.

- Daj mi dolara - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. - Ameryka. Richard Nixon. Bardzo dobrze.

Ziggy zignorowała go. Dawła znać właścicielowi budki, żeby podał teraz większy placek. Taksówkarz obejrzał się

przez ramię i zaczął szukać w kieszeni pieniędzy. Wtedy dostrzegł Ellen i pomachał do niej ręką. Ziggy znów podała placek dziecku. Przez sekundę wahało się, jakby spodziewało się jakiejś nieprzyjemności, a potem schwyciło zdobycz obiema rączkami, przycisnęło do siebie i zniknęło w tłumie. Ziggy stąpała w bezruchu i patrzyła za malcem.

Jeden z gapiów zawołał coś do sprzedawcy placków, w tłumie rozległ się śmiech. Taksówkarz spojrział z wahaniem na

Ziggy.

- Co on powiedział? - spytała, odwracając się.

- To... - Wzruszył ramionami. - Mówią, że dała pani swój placek dziecku żebraka, i zastanawiają się, kto nakarmi panią. - Uśmiechnął się i rozłożył ręce. - To prości ludzie. Nie wiedzą, jak to jest w Ameryce.

20

Wyjrząwszy przez okno kuchenne, Ellen zobaczyła, że Skye siedzi na werandzie i tępo przypatruje się kulisom, którzy wędrują rządkiem przez trawnik, uginając się pod ciężarem worków z ryżem. Przyciskała do nosa apaszkę i odwracała głowę od przechodzących obok mężczyzn. Ostatnio zaczęły jej przeszkadzać wszystkie zapachy: smażonego jedzenia, gnijących owoców, dymu z palonych liści. Denerwowała ją nawet mocna, słodka woń dochodząca z ogrodu. Ellen zacisnęła usta i odwróciła się do Prianki.

- Ile potrzeba ryżu dla mniej więcej sześćdziesięciu ludzi? - spytała starą kobietę, wyraźnie wymawiając poszczególne słowa.

- Sześćdziesięciu? - powtórzyła Prianka. Pokazała dziesięć palców, a potem sześć.

Ellen potrząsnęła przecząco głową i pokazała jej sześć razy dziesięć palców.

Oczy Prianki zrobiły się okrągłe.

- Bardzo duża kolacja! - powiedziała.

Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że kobieta ma mnóstwo pytań, ale machnęła tylko ręką w stronę jadalni i zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Za dużo. Żle - orzekła.

- Ile potrzeba ryżu? - powtórzyła Ellen zdecydowanie.

Prianka przymrużyła oczy i długo obliczała w myślach. Potem sięgnęła na najwyższe półki w spiżarni i zdjęła pięć ogromnych garnków. Były pokryte grubą warstwą kurzu, wyraźnie nikt ich nie używał od czasu organizowanych w tym domu typowo angielskich przyjęć i uroczystości. Zerknęła podejrzliwie na worki ziemniaków, które przyniesiono tego ranka.

- Aloo masala... sześćdziesiąt? - spytała.

Ellen uśmiechnęła się zachęcająco. Prianka zmarszczyła czoło, na jej twarzy pogłębiły się zmarszczki, które pojawiały się przy każdym uśmiechu.

- Djoti. Musi przyjść. Ja nie rozumiem - stwierdziła. Spojrzała przez ramię na Ellen i wyszła do ogrodu.

Pierwsi goście zaczęli się pojawiać około wpół do szóstej. Snuli się w milczeniu na skraju ogrodu i czekali, aż Djoti przywoła ich machnięciem ręki. O szóstej trawnik na tyłach domu był pełen ludzi. Stali parami albo zbierali się w niewielkie grupy. Gdzieś tam ktoś trzymał się samotnie. W pobliżu werandy zaczęła się tworzyć kolejka.

Ellen wyjrzała z okna na piętrze, próbując oszacować liczbę przybyszów. Pomarańczowe szaty i turbany świętych mężów rzucały się w oczy na tle łąchmanów biednych i bezdomnych, którzy stanowili większość obecnych. Było też kilka świętych kobiet w dyskretnych białych sari ze zgrzebnej tkaniny. Ludzie kręcili się tu i tam, jak zwykle goście podczas przyjęcia. Skośne promienie chylącego się ku zachodowi

słońca nadawały całej scenie dziwnego kolorytu. Słysząc było przyciszone rozmowy i monotonne modlitwy. Starzy ludzie o wychudzonych, pozbawionych płci ciałach i w anonimowych strojach wspierali się na kijach albo siadali na świeżo ściętej trawie, by dać odpocząć przygiętym kręgosłupom i chromym nogom, poowijanym w zaplamione bandaże. Młodzi mężczyźni i kobiety o niemal niewidocznych mięśniach i zapadniętych policzkach ze znużeniem spoglądali w stronę kuchni. Matki przyciskały niemowlęta do wychudzonych piersi, a starsze dzieci kurczowo trzymały się nóg dorosłych i z ogromnym zaciekawieniem spoglądały na dom.

Ellen odsunęła się nieco od okna i nadal przyglądała się tłumowi. Jej wzrok zatrzymał się na przypominającym dzikusa mężczyźnie z długimi dreadlockami i skorupą zaschniętej czerwonej glinki na twarzy. Przez środek jego czoła w kierunku nasady nosa biegły namalowane żółte linie. Był nagi do pasa, pod luźną, natartą szarym popiołem skórą widać było wszystkie żebra. Stał na jednej nodze, spokojnie wpatrując się w dal i nie zwracając uwagi na wieczorny chłód. Ellen rozpoznała w nim wędrowca, kogoś, kto złożył śluby świętego męża, ale nie związał się z żadnym aśramem. Djoti wyjaśnił jej, że tacy ludzie nieustannie wędrują od jednego świętego miejsca do drugiego.

Ellen spoglądała na wędrowca. W życiu, które porzucił, mógł być odnoszącym sukcesy bogatym biznesmenem, kimś, kto zawierał ważne umowy, latał samolotami i zatrzymywał się w najlepszych hotelach. Gdzieś na terenie Indii miał prawdopodobnie rodzinę i dom, wnuki, zwierzęta domowe, telewizor i miękkie łóżko. Mimo to był tutaj, a wszystko, co posiadał, mieściło się w małym tobołku przywiązany do kija. Wolny od wymagań rodziny, przyjaciół, pracy, wyzwolony od posiadanych przedmiotów, mógł poświęcić się wyłącznie poszukiwaniom duchowym - wędrować, gdzie chce, odwiedzać aśramy i świątynie, w których go karmiono, spać obok świętych strumieni i medytować w świętych jaskiniach, póki

nie dotrze do kresu swoich dni, kiedy to opuści ciało, zostawiając je jak łuskę w ostatniej samotnej kryjówce.

Dla Ellen było to coś przerażającego, a jednocześnie fascynującego, bezwzględnego i czystego. Jakby wyrażając szacunek dla drogi obranej przez wędrowców, oficjalnie uznano ich chęć ucieczki, zniknięcia - pragnienie, które tak bardzo dręczyło Ziggy i wiele innych osób. Jakby zostało one dostrzeżone i skierowane w odpowiednią stronę...

Ellen przysunęła się znów do okna i zaczęła szukać wzrokiem młodego kapłana, który spotkał się z nią i Djotim poprzedniego dnia w drzwiach świątyni. Stali na stopniach, a Djoti mówił cicho, zdając sobie sprawę, że obserwują go żebracy, którzy z talerzami i miskami w dłoniach zebrali się przy wejściu. Ellen z niepokojem zauważyła, że Djoti podniósł głos, jakby chciał coś podkreślić. Kapłan bez przerwy potrząsał przecząco głową.

- O co chodzi? - przerwała im Ellen. - Czy uważa, że to szaleństwo?

- Nie - odparł Djoti. - To normalne, że pobożni ludzie zapewniają jedzenie biednym, ale robi się to tutaj, w aśramie.

Wskazał na zniszczony dwupiętrowy budynek za świątynią. Na werandach, które na wszystkich kondygnacjach biegły wokół domu, wisiały wyblakłe pomarańczowe płótna, na słońcu schło około stu podobnych do siebie przepasek biodrowych.

- Tam jest dziedziniec. Mówi, że mnisi ustawią tablicę z twoim imieniem, żeby wszyscy, którzy przyjdą się posilić, mogli cię błogosławić. Jeśli chcesz, możesz zorganizować posiłek w czyjejs intencji. Wtedy goście będą błogosławić i ciebie, i tego kogoś. Twierdzi, że tak to się robi.

Gdy Djoti skończył wyjaśnienia, kapłan przytaknął.

- Nie - zaprotestowała Ellen. - Muszą przyjść do domu. Djoti przekazał jej warunek. Mnich spojrział na nią, ale się nie odezwał.

- Przyjdą? - spytała Ellen.

Djoti wzruszył ramionami.

- Zostaną zaproszeni.

Ellen chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale kapłan już odwrócił się i odszedł.

Duży ptak przefrunął nad ogrodem i usiadł na pozbawionej wody marmurowej fontannie. Młody mnich stał w pobliżu wraz z niewielką grupą osób i trzymał rękę na ramieniu jakiegoś dziecka. Nagle, jakby wyczuł, że Ellen na niego patrzy, podniósł głowę i napotkał jej wzrok. Uśmiechnęła się i pomachała ręką.

Był to niewielki ruch, ale jego skutki rozeszły się wśród tłumu jak fala po powierzchni stawu. Rozległ się pomruk, wszyscy unieśli głowy i spojrzeli na Ellen. W pobliżu werandy jakaś kobieta padła na kolana i wyciągnęła do góry ręce. Inni poszli za jej przykładem, uklękli i zaczęli uderzać czołami o ziemię. Wkrótce wszyscy oprócz młodego mnicha klęczeli albo pochylali nisko głowy.

Ellen znieruchomiała w oknie z wpółuniesioną ręką. Potem odskoczyła w bok i przywarła do ściany.

- Cholera! - mruknęła.

Poczuła się, jakby udawała królową, prezydenta albo papieża. Nawet Liberty na pewno lepiej pasowałaby do tego grona. Po kilku sekundach zerknęła ostrożnie zza firanki i ku swojej uldze zobaczyła, że wszystko wróciło do normy. Ludzie znów prowadzili rozmowy i zbliżali się w stronę werandy z wyciągniętymi miskami w rękach.

Odsunęła się w głąb pokoju i odtworzyła w myślach poprzednią sytuację, dokładnie ją analizując. Przypomniała sobie chwile, kiedy stała na środku sceny, a publiczność biła brawo, wyciągała do niej ręce, obdarzała ją podziwem i miłością. Niestety, gdzieś w głębi duszy Ellen zawsze płynął wówczas lodowaty prąd powątpiewania. Czuła się jak oszustka, bo wcale przecież nie tańczyła dla widowni. Ci ludzie stanowili jedynie tło, byli częścią maszyny. Nie zasługiwała na ich pochwały ani pieniądze.

Ponownie spojrzała na tłum zebrany na trawniku. Tym razem było inaczej. Ci ludzie po prostu podziękowali jej za jedzenie, a potem spokojnie wrócili do oczekiwania. Postąpili zwyczajnie i szczerze, jak dziecko, które odmawia modlitwę przed posiłkiem.

Ellen postanowiła zejść na parter. Na podeście schodów spotkała Skye, która sprawiała takie wrażenie, jakby właśnie na siłę zwlokła się z łóżka. Stała w wymiętym pendzabskim spodniumie, jej proste włosy opadały na mizerną twarz i przykrywały kościste ramiona. Córka miliardera wyglądała, jakby należała do grona żebraków zebranych na trawniku.

- Co się dzieje? - spytała z niepokojem w oczach. - Skąd wzięli się wszyscy ci ludzie...

- Przyszli na kolację - powiedziała Ellen bez ogródek. - Wydajemy ją na parterze. A tak przy okazji, widziałas może

ziggy?

Skye potrząsnęła przecząco głową i zerknęła nad poręczą w dół.

Ellen zajrzała do obu sypialni, po czym zrezygnowała z poszukiwań i zeszła do kuchni. Wmawiała sobie, że Ziggy na pewno jest gdzieś w pobliżu. Może nie zechce pomóc, ale koniecznie będzie chciała zobaczyć, co się dzieje.

Prianka uśmiechnęła się do wchodzącej. Djoti wyjaśnił jej, że pani domu zorganizowała kolację dla ubogich, wyręczając w tym aśram. Hinduska przez cały dzień ciężko pracowała wraz ze wszystkimi swoimi córkami, a Ellen im pomagała. Potem pojawił się jeden z pomocników swamiego i bez zapowiedzi wszedł do kuchni. Zapalił kadzidełka i pobłogosławił jedzenie, następnie kucharkę, a w końcu całe domostwo. Prianka starała się z całych sił powstrzymać łzy dumy. Ellen stała cicho w kącie.

Teraz Prianka ruchem rąk dawała znać, że góry ryżu są już gotowe, garnki ziemniaków z curry również. Zawołała chłopców Djotiego przed werandę i każdemu z nich dała niewielkie, czyste wiaderko, do którego nałożyła przygoto-

wane jedzenie. Ellen patrzyła, nie bardzo wiedząc, czy powinna trzymać się na uboczu, poza zasięgiem wzroku przybyszów, czy raczej pomóc w ich obsłudze. W końcu wzięła od Prianki wiadro z ziemniakami z curry i wyszła na werandę.

Nie odrywając wzroku od swoich stóp, uważnie obserwowała, jak przesuwały się po wyszczerbionych płytkach. Stawiaj nogi tylko na całych płytkach, nigdy na ich załamaniach - powtarzała sobie - bo inaczej zabiorą cię niedźwiedzie. To dziwne, że stare lęki okazały się tak żywe. W przeszłości wielokrotnie nie zgadzała się na taniec na trotuarach, głucha na błagania fotografów...

Jako pierwsi jedzenie mieli dostać święci mężowie. Kiedy zebrali się przy werandzie, ich monotony śpiew zagłuszył odgłosy tłumu. Większość miała głębokie menażki z drucianymi rączkami, podobne do kociołków. Ustawili je równo na skraju werandy, a chłopcy Djotiego szli wzdłuż misek i wkładali do nich ryż albo wlewali curry. Kiedy święci mężowie otrzymali posiłek, przestali śpiewać i powędrowali na trawnik. Tam, jakby zgodnie z obowiązującym rytuałem, wszyscy usiedli po turecku i rozmawiając, wkładali palcami prawych rąk jedzenie do ust. Pod werandę podeszły teraz święte niewiasty, cicho wznosząc modlitwy.

Ellen zajęła miejsce jednego z chłopców, który poszedł napełnić ponownie wiaderko. Rozejrzawszy się dookoła, zauważyła, że Skye się nie pojawiła, nigdzie nie było też ani śladu Ziggy. Wyobraziła sobie, że obie przyjaciółki ukrywają się za kotarami, skąd zerkają na zewnątrz.

Wędrując wzdłuż szeregu kobiet i nakładając porcje żółtych ziemniaków z czerwoną chilli, Ellen żałowała, że nie wybrała rozdawania ryżu. Wtedy każdy dostawałby chochlę potrawy, czyli równą i sprawiedliwą porcję; w przypadku curry trudno było ocenić ilość nakładanego pożywienia, co bardzo ją krępowało ze względu na liczne obserwujące ją oczy. Starła się nakładać jak najwięcej, ale i tak odczuwała

ogromne skrepowanie. Prianka zapewniała ją, że jedzenia wystarczy dla wszystkich, pod warunkiem, że odpowiednio się je podzieli.

Aromatyczna para unosząca się znad potraw mieszała się z zapachem potu i czegoś jeszcze. Po chwili Ellen skojarzyła, co to takiego. Była to mocna piżmowa woń, która należała do przeszłości i kojarzyła się jej z zapachem marihuany i zadymionych pokojów pełnych głośnej muzyki Boba Dylana, Vana Morrisona, „The Eagles”. Cofnęła się myślą do tamtych czasów, zdając sobie sprawę, że nawet gdy ludzie i wydarzenia zacierają się w pamięci, zapachy wciąż żyją, niosąc ze sobą radość i ból sprzed lat. Przesunęła się bliżej skraju werandy. Tu zapach był zdecydowanie mocniejszy. Taak... to paczula. Woń dolatywała z małej buteleczki z naklejką *Olejek duchowy*. Kropelkę olejku nakładało się na nadgarstek, ale wkrótce przenikał wszystko: czarny strój baletnicy, a nawet białe szkolne ręczniki.

Skropiwszy się olejkiem paczulowym, wymykała się z przyjaciółką po zmierzchu z akademii, realizując szalone i niebezpieczne plany Ziggy, dzięki którym obie pojawiały się na przyjęciach, tańcach, w klubach i na prywatkach. Były piękne, na każdym spotkaniu otaczało je grono mężczyzn. Popisywały się, poszerzały krąg wielbicieli, ale tylko po to, żeby zaimponować sobie nawzajem. Świat był dla nich ostrzygą, którą otwierały, zabawką.

Znów będziemy silne jak niegdyś - pomyślała Ellen. Chodź, Ziggy. Do jasnej cholery, obudź się. Chcę, żebyś wróciła. Mam zamiar przywrócić cię do życia.

Ellen próbowała unikać wzroku gości; zależało jej na tym, żeby nie zwracać na siebie ich uwagi, ale też nie chciała sprawiać wrażenia osoby nabożnie skromnej, wpatrującej się w ziemię. Dlatego przyglądała się dzieciom, które stały z tyłu i czekały, aż dorośli najedzą się do syta.

Jej wzrok zatrzymał się na małej dziewczynce, która miała patykowate nogi, zabrudzone śladami biegunki. Jakiś

chłopiec zaczął kaszleć. Konwulsje długo miały jego kruchym ciałkiem. Po chwili zgiął się wpół i wypluł na trawnik krwawą flegmę.

Ellen zamarła z wiadrem w dłoni. Znów zajrzała w głąb własnej duszy i dotknęła starej rany, sprawdzając, czy jeszcze boli. Zdała sobie sprawę, że serdecznie współczuje dzieciom i jest oburzona ich stanem, ale nie budzą się w niej macierzyńskie uczucia, które zazwyczaj wywołuje widok pulchnego, uśmiechniętego niemowlęcia w schludnej kołysce. Nie odczuwała też dziwnego impulsu, który czaił się gdzieś w cieniu: chęci zmiżdżenia, zranienia, zniszczenia, sprawienia zawodu. Najwyraźniej uznała, że dzieci żebraków poznały twarde, pełen bólu, bezlitosny świat, dzięki czemu przeszły okrutny, ale nieuchronny rytuał inicjacyjny. Miały to już za sobą i teraz były bezpieczne... albo stracone. Ellen zdała sobie sprawę, że w niczym nie przypominały Zeldy ani też zagubionego dziecka, które dręczyło ją w snach, płaczącego w samotności w zimnym, pustym pokoju. Obserwując małych, biednych Hindusów, poczuła ogromną ulgę, która spłynęła na nią jak cudowny, ciepły deszcz. Mogła bez trudu uśmiechać się do nich i dotykać ich bez żadnych obaw.

Gdy zerknęła do wiadra, okazało się, że zostały w nim dwie niepełne porcje. Zawahała się, zastanawiając się, czy nałożyć je do dwóch misek, czy też do jednej. Następny w kolejce stał młody mężczyzna z chudymi ramionami pokrytymi czerwonym pyłem ceglanym. Ma pracę - pomyślała. Czy to znaczy, że pracował przez cały dzień i mimo to nie stać go na posiłek? A może nie powinno go tu być i tylko udaje żebraka? Tak czy inaczej, wyglądał na zbyt chudego, by dźwigać cegły. Ellen opróżniła szybko wiadro i ruszyła w stronę kuchni.

Na progu spotkała Ziggy, która wychodziła z wiadrem pełnym curry. Przez sekundę żadna z nich nie odezwała się ani nie poruszyła, po prostu patrzyły na siebie. Ellen wypuściła powoli powietrze z płuc i uśmiechnęła się z ulgą.

Ziggy przyłączyła się do akcji, postanowiła pomóc. Plan więc się udał.

Ellen wskazała za siebie, na miejsce, które właśnie opuściła.

- Idź tam - powiedziała. - Mnie się właśnie skończyło jedzenie.

Ziggy przytaknęła i z trudem podeszła do kolejki. Ledwo dźwigała wiadro, ale jakoś dawała sobie radę. Na jej widok tłum zamilkł. Pojawiła się jak bogini, a zarazem żebraczka -w innym wcieleniu, ze złocistymi włosami i w stroju z żółtego jedwabiu. Jeden z chłopców Djotiego podbiegł, żeby jej pomóc, ale odprawiła go gestem ręki. Kiedy powoli posuwała się do przodu, jej ruchy śledziła setka płonących oczu ludzi, w których mniemaniu jakimś cudem symbolizowała wszystkie ich słabości i upartą nadzieję, wciąż trzymającą ich przy życiu. Uśmiechali się do niej, kiedy pochylała się, żeby napełnić miski. Ona odpowiadała uśmiechem, nie zważając, że jej jasne włosy opadają na twarz i jedzenie.

Następnego ranka Ziggy przysiadła się w jadalni do Ellen. Miała wyszczotkowane włosy i czyste ubranie. Kiedy pojawiła się Prianka z talerzem świeżych *chapati*, Ziggy wzięła jeden placek i położyła go na swoim talerzu. Po chwili zaczęła go rozrywać na małe kawałki i powoli jeść. Ellen starała się nie patrzeć, dlatego zajęła się rozlewaniem herbaty.

Żadna nie wróciła ani słowem do poprzedniego wieczoru, mimo to wspomnienie uśmiechów, pełnych wdzięczności słów i wylizanych do czysta misek dzieci unosiło się w powietrzu i stwarzało miłą, przyjacielską atmosferę.

Kiedy wszystkie talerze zostały opróżnione, do jadalni weszła Skye, powłócząc nogami i otulając się ciasno wymiętym szlafrokiem. Usiadła na przeciwnym końcu stołu i spojrzała na przyjaciółki pytającym wzrokiem.

- Znów to zrobimy - zaczęła Ellen, przerywając ciszę. -W następny piątek.

Czekała na odpowiedź Ziggy. Uśmiechnęła się, ujrawszy pełne aprobaty kiwnięcie głową.

Skye przyglądała się im z niedowierzaniem.

- Oni są tacy brudni. Śmierdzą... - Urwała. - To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, żeby pomagać ludziom. Mój ojciec zawsze powtarzał, że jedną dziesiątą należy podzielić się z innymi, ale przecież nie musimy zapraszać ich tutaj.

- Musimy - oświadczyła Ellen. - Wtedy i my na tym skorzystamy. Pomagając innym, pomagamy sobie.

Urwała. Boże! - pomyślała, prawie kazania jak nauczycielka ze szkółki niedzielnej.

Skye roześmiała się z powątpiewaniem.

- No cóż, nie liczcie na mnie - oznajmiła.

Uniosła buntowniczo głowę, ale jej gest wydawał się nie na miejscu, jakby tylko odgrywała jakąś rolę.

Ellen wbiła wzrok w swe ręce i zaczęła się zastanawiać. Jak postąpiłby Carter? Albo James? Jak oni to robili, że udawało im się przekonywać innych ludzi do swoich pomysłów? Następne słowa powiedziała spokojnie, z pewnością, która zaskoczyła nawet ją samą.

- Będziesz musiała nam pomóc. Zostaniemy bez służby, która mogłaby wszystko zrobić, bo dałam im wolne. - Zerknęła na Ziggy, potem dokończyła: - Kulisi przyniosą wszystkie składniki. My, we trzy, będziemy musiały przygotować posiłek. A o szóstej, niezależnie od tego, czy zdążymy, czy nie, na trawniku pojawią się głodni ludzie.

Skye patrzyła, oniemiała. Ellen widziała, jak zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszała. Myśl, że pojawi się pięćdziesiąt wygłodniałych strachów na wróble i nie dostaną nic do jedzenia, była nie do przyjęcia, ale równie trudno było zgodzić się na udział w przygotowaniach, gotowaniu i podawaniu jedzenia.

- Ziggy, powiedz coś! - zawołała ostro i piskliwie Skye. Ziggy uniosła brwi, ale nie odezwała się ani słowem.

- No cóż, w takim razie na pewno mnie tu nie będzie. -Skye chwyciła się oparcia krzesła, jakby chciała przejąć siłę od tej mocnej konstrukcji. - Wezwę kulisów i... sama nie wiem...

Głos jej się załamał. Od przyjazdu do Indii wszystkim zarządzała Ellen. Skye nie miała nawet własnej gotówki. Prawdę mówiąc, mogła jedynie pozostać na piętrze, w swoim pokoju, albo ukryć się w lesie. Chociaż Ellen była zdolna nawet do tego, żeby wysłać za nią kulisów, którzy ściągnęliby ją do domu.

Ze złością spojrzała na Ellen.

- Jesteś szalona - powiedziała szorstko. - Chyba ci odbiło. Jesteś...

- Zamknij się, Skye - szepnęła Ziggy.

Trzymała w ręce okrągły szklany przycisk do papieru i toczyła nim tam i z powrotem po stole; drobne kwiatuszki zatopione w szkle wirowały w smudze światła. Spojrzała na Ellen.

- Myślę, że to dobry plan. Skye zaczęła płakać.

- Na pewno się rozchoruję - zagroziła. Ziggy zatrzymała szklaną kulę i uniosła głowę.

- Czy to coś nowego?

Ellen uśmiechnęła się, zadowolona ze wsparcia ze strony Ziggy. Nagle wyobraziła sobie, jak ona i Ziggy stają ramię w ramię. Żadna z nich nie jest ani silniejsza, ani słabsza; żadna nie dowodzi. Są sobie równe. Zaczyna się nowy etap życia...

Kiedy nadszedł „dzień karmienia”, Ellen i Ziggy wstały znacznie wcześniej niż zwykle. Skye też. Krążyła w pobliżu, nie chcąc brać udziału w przygotowaniach, ale też nie mając ochoty na samotność.

W końcu Ellen przydzieliła jej obieranie warzyw. Usiadła więc na werandzie, z miską na kolanach, i trzymała ziemniaki w wodzie, żeby nie czuć zapachu skrobi. Krzywiła się, czując pod palcami surowy miąższ. Kilkakrotnie korciło ją, żeby

wstać i odejść, ale rozciągający się przed nią pusty trawnik przypominał, co ją czeka.

Tymczasem Ellen i Ziggy pracowały w kuchni.

- Jak sądzisz, nie będzie im przeszkadzało, że znów dostaną to samo? - spytała Ziggy, stojąc nad piecem i prażąc przyprawę.

- Chyba żartujesz - powiedziała Ellen, wybuchając śmiechem. - Uważasz, że powinno się im dać jadłospis?

Ziggy uśmiechnęła się promiennie.

- Jadłaś coś dzisiaj? - spytała Ellen ostrożnie. Przyjaciółka nie odpowiedziała.

- A powinnaś.

- Zjadłabym, gdyby Prianka przygotowała swoje *chapati*.

- Zajrzyj do lodówki - zaproponowała Ellen, uśmiechając się dyskretnie. - Przyniosła je rano.

O szóstej pojawił się oczekiwany tłum i Amerykanki zaczęły wydawać jedzenie. Problem w tym, że z lasu wylaniało się w milczeniu coraz więcej osób, coraz więcej głodnych czekało na trawniku. Ellen z rozpaczą zauważyła, że pierwotna liczba stołowników zaczyna się podwajać. Nie wystarczy jedzenia dla wszystkich. W głębi duszy robiło jej się niedobrze, jakby celowo postanowiła zdradzić biednych, pełnych nadziei ludzi. Jak się okazało, liczba gości zmusiła Skye do działania - poruszała się miarowo wzdłuż kolejki, z pozbawioną wyrazu twarzą wykonując swoje zadanie, jak dziecko, które musi zażyć gorzkie lekarstwo i chce jak najszybciej mieć to już za sobą.

Zebracy jawnie przyglądali się Ziggy i Skye - bogatym cudzoziemkom o ciałach wyniszczonych przez głód. Pochylali przed nimi głowy, oddając szacunek osobom, które postanowiły umartwiać swoje ciała, chociaż okazały dom w niczym nie przypominał pustej, zimnej jaskini.

Ellen próbowała trzymać się z dala od ludzkich oczu i przebywała w kuchni. Ugotowała cały ryż, który był w domu, przygotowała *dhal*, warzywa i wszystko, co znalazła, byle tyl-

ko móc podać następną partię prowizorycznego curry. Niestety, nadal było tego za mało, a przyniesienie półproduktów z bazaru zajęłoby kulisom kilka godzin. Do tego czasu spokojne zgromadzenie zamieni się w rozczarowany tłum...

Zdała sobie sprawę, że trzeba coś zrobić. Na przykład zapłacić aśramowi, żeby nakarmiono tam resztę ludzi, wysłać ich do jakiejś niewielkiej restauracji albo poszukać chętnego do pomocy sprzedawcy ryżu. Prawdopodobnie dobre było każde rozwiązanie. Wyobraziła sobie, że Ziggy znów traci zapal i razem ze Skye oczekuje, aż ktoś inny przejmie dowodzenie. Nie - pomyślała. Nadszedł czas, żeby Ziggy i Skye ocknęły się z długiego snu i podjęły samodzielne działania. Udowodniły, że zostały uratowane.

Tylnymi drzwiami wykradła się z kuchni i powędrowała do swojego pokoju. Próbowwała nie myśleć o dzieciach, które cicho czekały na swoją kolej i nie wiedziały, że gdy podejda do werandy i z nieśmiałymi uśmiechami na ustach wyciągną swoje miseczki, jedzenia już nie będzie.

Usiadła na łóżku i wbiła wzrok w ścianę ozdobioną rządkiem róż o idealnie równych płatkach. Ktoś wszedł do pokoju, na dywanie zadudniły szybkie kroki. W powietrzu uniósł się zapach francuskich perfum Skye.

- Zabraknie nam jedzenia - oświadczyła.

- Wiem - odparła Ellen.

- Musisz coś zrobić - zażądała Skye. - Ci ludzie są... głodni.

Słowo „głodni” brzmiało nieco dziwnie w jej ustach, jakby wybrała je przypadkowo ze słownika obcego języka.

- A dzieci jedzą dopiero na końcu. - W jej piskliwym głosie pobrzmiwała panika.

- Nie mogę nic zrobić - stwierdziła Ellen. - Nic nam już nie zostało.

-Ale...

Skye patrzyła na nią bez słowa, wyobrażając sobie świat z pustymi półkami i pustymi lodówkami, świat bez super

marketów. Magiczny świat - czysty i pozbawiony pożywienia - w którym nikt nie może jeść. Nagle przypomniała sobie o dzieciach, które czekały z wyszczerbionymi puszkami i miskami w dłoniach, nie tracąc nadziei.

- Musi się znaleźć jakiś sposób! - błagała.

- Na pewno - powiedziała bezbarwnie Ellen. - Zastanów się, co można zrobić.

-Ale... - W oczach Skye pojawiło się przerażenie. -... W końcu to ty wszystko zorganizowałaś, więc to ty powinnaś uporać się z problemem.

- Co robi Ziggy? - spytała Ellen.

- Wydaje resztki jedzenia. Ostatnie wiadro. Co zrobimy?

- Wszystko zależy od was. Od ciebie i Ziggy.

Ellen czubkiem buta obrysowywała wzór na podłodze. Nie odrywała od niego wzroku, gdy zataczał koło za kołem. Nie uniosła nawet głowy. Koniec końców Skye wyszła. Gdy Ellen znów została sama, włożyła płytę do wiekowego gramofonu. Stary walc zagłuszył przytłumione dźwięki dochodzące z zewnątrz. Potem położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Kilka minut później wróciła Skye.

- Chcemy wiedzieć tylko jedno - powiedziała prosto z mostu. - Czy mamy jakieś pieniądze? Gotówkę.

- Tak, nawet sporo - odparła Ellen.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła portfel i nie patrząc, wręczyła go Skye.

- Rupie i dolary.

Skye zabrała pieniądze i wyszła.

Nagranie dobiegło końca; talerz gramofonu nadal się obracał, a igła cicho skrobała płytę. Mijał czas, w domu i w ogrodzie zapanowała cisza i spokój. Ellen wstała i powoli wyszła na zewnątrz.

Trawnik był pusty. Osiemdziesięciu gości tak bardzo sobie cenilo każdy strzęp materiału, a nawet każdą nitkę, że nie pozostawiło po sobie niczego oprócz śladów stóp na trawie.

Kuchnia też była pusta, piec błyszczał w ciemności. Potem Ellen dostrzegła dwie postacie na drugim krańcu werandy. Siedziały w milczeniu, plecami do niej i spoglądały w stronę ścieżki, gdzie przed chwilą musiał zniknąć ostatni ze stołowników.

Podeszła do nich. Nie odezwały się.

- Wymyśliłyście coś? - spytała, siląc się na bez troskę.

- Tak - odparła Ziggy, wyraźnie lekko zaskoczona. - Wymyśliłyśmy. Stanełyśmy na werandzie i spytałyśmy, czy ktoś mówi po angielsku. Podeszedł do nas dziwny, brudny i obszarpany staruszek. Ubrany na pomarańczowo, no wiesz, jak tutejsi mnisi. I powiedział... - Z całą powagą spojrzała na czubek swojego nosa i próbowała naśladować afektowaną angielszczyznę. - „W czym mogę paniom pomóc?”.

Uśmiechnęła się do Ellen, zaskoczona tym, co się wydarzyło.

- Wyobraź sobie tę scenę. Był prawie nagi i miał skórę pokrytą czymś...

- Popiołem - wyjaśniła Skye. - Miał całą skórę pokrytą warstwą popiołu. Jak jaskiniowiec.

- Tak czy inaczej - przejęła opowieść Ziggy - poprosiłam go, żeby przetłumaczył nasze słowa. Za jego pośrednictwem udało nam się dogadać z człowiekiem z aśramu. Powiedział, że dzieci i te osoby, które nie dostały posiłku, mogą zejść do miasta, bo kuchnie świątyni będą otwarte dla pielgrzymów wracających autobusem z... Skąd? Co on powiedział?

- Gangotri - podpowiedziała cicho Skye. - To święte miejsce, z którego wypływa spod ziemi matka Ganges.

- Tak, tak, Gangotri. Wtedy sobie poszli. Zapłaciliśmy aśramowi. Wszyscy byli szczęśliwi.

- To dobrze - pochwaliła je Ellen.

Czuła się niezręcznie, nie wiedząc, co sądzą o niej przyjaciółki. Usiadła obok Ziggy, pochyliła głowę i osłoniła włosami twarz. Wciąż pachniały porannym gotowaniem - smażoną cebulą i mocnymi przyprawami. Nagle poczuła głód.

Wyobraziła sobie hamburgery z różnymi dodatkami, nowojorskie steki, *nacho*. Przełknęła ślinkę na myśl o mięsie świeżo złowionej langusty, otoczonym w specjalnie przyprawionej przez Jamesa mące i upieczonym na patelni na otwartym ogniu. Jedzonym na brzegu morza, z którego langusta została wyłowiona. Pokarm bogów.

Kilka minut później między drzewami pojawiło się kołyszące światelko, potem błysnęło na końcu ścieżki. To Djoti szedł w ich stronę z latarnią sztormową zawieszoną na nadgarstku. Jeszcze zanim ujrzały jego twarz, dostrzegły promienny uśmiech.

- Memsahib - powiedział, wyciągając przed siebie garnek. - Słyszałem, że zabrakło wam jedzenia.

- Nie sędzę, by to pomogło - powiedziała Ziggy, zerkając na niewielki garnek.

W jej słowach nie było sarkazmu, uśmiechała się ciepło i szczerze.

Djoti zbył jej słowa machnięciem ręki.

- Oni są już w aśramie. Problem został rozwiązany, ale wy jesteście tutaj, a też musicie coś zjeść.

Usiadł po turecku na werandzie i gestem zaprosił Amerykanki, żeby się do niego przyłączyły.

- Moja siostra przyrządziła dla was posiłek.

Uniósł przykrywkę garnka i pochylił się nad nim, by powąchać pachnącą parę, która kłębiła się w chłodnym powietrzu.

-*Dhal*. Soczewica. Ostrzegłem siostrę, żeby nie doprawiała zbyt mocno i nie dodawała chili.

Potem rozwinął kawałek płótna, ukazując jeszcze ciepłe *chapati*.

Ellen usiadła obok niego, Ziggy też, w końcu przyłączyła się również Skye. We czwórkę utworzyli niewielki krąg wokół parującego garnka. Żółte światelko latarni przeobrażało ich twarze w wyraziste reliefy.

Ellen wzięła *chapati* i podała Ziggy. Skye odczekała kilka chwil z rękoma na kolanach, potem sięgnęła po jeden z plac-

ków. Naśladując Djotiego, oderwała kawałek i nabrała nim trochę *dhalu*. Bez słowa, uroczyście włożyła jedzenie do ust, jak dziewczyna przyjmująca pierwszą komunię.

Ellen nie odrywała wzroku od swoich rąk, bojąc się, że czar pryśnie. Słyszała, że Skye żuje pokarm i przełyka, a potem sięga po więcej. Spojrzała na Djotiego, zastanawiając się, czy stary Hindus zdaje sobie sprawę, co zrobił, przynosząc jedzenie właśnie w tym momencie i proponując je Ziggy i Skye w czasie, kiedy wciąż miały przed oczami wygłodzonych ludzi.

Djoti popatrzył jej w oczy i lekko się uśmiechnął. Sięgnął do kieszeni i wyjął garść małych czerwonych papryczek. Włożył jedną z nich do ust, a następną podał Ellen.

- Chilli - wyjaśnił. - Jest do tego potrzebna. Wszyscy czworo jedli powoli i spokojnie.

Ellen odwróciła się, chcąc ujrzeć twarz Ziggy, ta jednak pochyliła głowę, jakby pograżyła się w myślach. W końcu przerwała milczenie.

- Wiesz, Ellen, dlaczego przyszło tak wielu ludzi? Zdaniem człowieka z aśramu po okolicy rozeszła się wieść, że przyjechała tu z Zachodu kobieta swami, czyli nauczycielka. Powiadają, że jej uczennice próbują nie ulegać potrzebom ciała. Ucieszyli się, że obsłużyłyśmy ich dzisiaj za ciebie, ale chcieli spotkać się z tobą. - Spojrzała na Ellen. - Nie bujam. Mówię poważnie.

Ellen wybuchnęła śmiechem. Oczy zaszyły jej łzami, gdy poczuła kawałek chilli na języku.

- Żartujesz!

Twarz Ziggy jaśniała.

- Nie. To prawda.

- Co powiedział na to mnich?

- Że zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Djoti dostojnie skinął głową.

- Musoorie znajduje się blisko domu bogów, wiecznych śniegów i ich dzieci, świętych rzek.

Rzeczywiście, zdarzają się tu dziwne rzeczy. Wszyscy się z tym zgodzą.

Ellen zerknęła na niego, ale jego twarz przypominała maskę. Zadrżała, czując, jak zimne palce pogłębiającej się ciemności przenikają przez jej ubranie.

21

Od tego dnia co wieczór siadały po turecku na werandzie, tworząc niewielki krąg wokół prostego posiłku, który składał się z *chapati* i *dhalu*. Czasami przyłączał się do nich Djoti, ale częściej siedziały same, w ciszy i spokoju.

Ziggy i Skye jadły to, co im podano, a niekiedy nawet prosiły o przyniesienie dodatkowych porcji z kuchni. Ellen obserwowała je z boku. Czasami korciło ją, by uznać, że jej się udało - że Ziggy i Skye zdrowieją - ale bała się, że drugi „miesiąc miodowy” może się skończyć tak samo nagle jak pierwszy. Na wszelki wypadek przypomniawszy Djotiemu, żeby nadal przynosił do niej całą pocztę, a gdyby nadesłano kwiaty albo paczkę, miał dopilnować, żeby nikt go z przesyłkami nie zobaczył.

W rezultacie często, będąc sama, przyłapywała się na tym, że czeka na przybycie Djotiego. Siedząc w swoim pokoju i czytając albo słuchając starych nagrań, zerkała w okno albo przez otwarte drzwi. Kiedy w końcu pojawiał się na korytarzu albo podchodził do niej w jakimś odległym kącie ogrodu, sztywniała pod wpływem nagiej nadziei, ale i paniki. W tym czasie przyszło kilka listów do Ziggy i Skye, nie brakowało też telegramów i kartek pocztowych. Lucy przysłała następne kwiaty. Tylko James się nie odzywał, tak że Ellen z każdym dniem odczuwała coraz większą pustkę.

Na listach i kartkach pocztowych pisała: *Zwrot do nadawcy*, a chłodne, smukłe lilie zrzuciła w przepaść. Nieco inaczej podchodziła do telegramów. Próbowwała z grubsza zapoznawać się z ich treścią, tyle tylko, żeby zorientować się, o co chodzi. Przeważnie pochodziły od Lucy, chociaż jeden przy-

słał ojciec Skye. Nie zawierały żadnych pilnych ani ważnych wiadomości, a jedynie słowa pełne miłości i obaw, więc Ellen karmiła nimi wiecznie płonący piec kuchenny Prianki. Miała wyrzuty sumienia, patrząc na znikające w płomieniach słowa, ale wiedziała, że musi to robić.

Tymczasem dom zaczął tętnić życiem. Okna na piętrze były niemal przez cały czas otwarte, dzięki czemu często wlatywały przez nie i wylatywały motyle, które tańczyły wśród batystowych zasłonek. Ziggy wróciła do prac ogrodowych i w miarę przypływu sit starała się samodzielnie przekopywać ziemię. Skye znów chętnie spacerowała po lesie, zazwyczaj w otoczeniu gromadki dzieci, za którymi niósł się śmiech. Kiedy indziej chodziła po domu, zaglądała do książek i grywała proste kawałki jazzowe na rozstrojonym fortepianie.

Pewnego dnia Djoti przyprowadził srebrnowłosego portiera z hotelu Savoy. Staruszek wiele godzin spędził zgarbiony nad fortepianem, próbując go nastroić. Nie przyjął herbaty Prianki i pracował bez przerwy, póki nie skończył.

- Dziękuję, madam - powiedział poważnie, gdy Skye wcisnęła mu do ręki więcej, niż zarabiał w ciągu roku. - Cała przyjemność po mojej stronie. Niegdyś dbałem o dobry stan wielu fortepianów, ale teraz nie ma w okolicy miłośników muzyki.

Z bladym uśmiechem na twarzy przeszedł przez trawnik, kierując się w stronę ścieżki i słuchając dobiegającej z domu melodii.

Co tydzień Amerykanki wydawały wieczorny posiłek dla biednych. Gotowały na sześćdziesiąt osób i załatwiały, by resztę chętnych nakarmiono w aśramie. Wszyscy byli zadowoleni z takiej umowy. Zebracy, święci mężowie i niewiasty, rodzice i ich dzieci - wszyscy stali na trawniku i obserwowali cudzoziemki, wybierając między sobą tych, którzy powinni znaleźć się w obsłużonej przez nie sześćdziesiątce. Wydawanie posiłku przebiegało sprawnie, tylko Skye upierała się, żeby dzieci jadły pierwsze.

Większość plotek z okolicy jakimś cudem docierała do Prianki i to ona opowiadała Ellen, jak zmieniają się opowieści na jej temat. Teraz ludzie mówili, że cudzoziemki były tak bardzo chude z powodu ciężkiej choroby. Swami memsahib wyleczyła je dzięki swojej mądrości i dobroci, co widać gołym okiem, bo z tygodnia na tydzień stawały się coraz zdrowsze i silniejsze. Nanda Devi, Piękna Matka, wysłuchiwała ich modlitw.

- To prawda - powiedziała Ziggy.

- Nie mów tak - zaprotestowała szybko Ellen.

- Uratowałeś nam życie - dodała Skye. - Nikt temu nie zaprzeczy. Utknęliśmy przecież na dobre w klinice. - Na to wspomnienie w jej błękitnych oczach pojawił się ból. -I wciąż byśmy tam tkwiły. Albo leżały już na cmentarzu i wachały kwiatki od dołu.

- No cóż, powinnaś podziękować Ziggy. To nie był mój pomysł - przypomniała skromnie Ellen.

Niemniej pomimo zaprzeczeń w jej duszy rozbrzmiewała cicha piosenka ciepła i nadziei.

Naprawdę im pomogłaś. Uratowałaś je. Ludzie uważają, że jesteś dobra.

Skye chciała porozmawiać z Ellen. Chodziła za nią, czekała na odpowiednią chwilę, oblizywała wargi i szybko wciągała powietrze w płuca, jakby powstrzymywała wypowiedzenie słów, które miała na końcu języka. Ciężko wzdychała i... zaczynała czekać na następną okazję. Wreszcie Ellen spytała, o co chodzi.

- O nic - zapewniła cicho Skye.

- Nieprawda. Inaczej nie próbowałabyś tyle razy zaczynać. Po prostu powiedz, co cię gnębi.

- Mogę? - szepnęła Skye jak przestraszone dziecko, pytające o zgodę, nim odważy się sięgnąć po cukierka.

- Jasne. Możesz powiedzieć mi wszystko.

-No cóż, gdy byliśmy u Marshy Kendall... - zaczęła Skye. - ...Nasz psychoterapeuta, Dieter, powiedział, że jestem chora, bo... wiesz, co zazwyczaj mówią przy takich okazjach. Moi rodzice byli bardzo surowi. W naszym domu nie wolno było płakać ani mówić, że coś się chce. Dzieci zawsze musiały być schludne, grzeczne i spokojne. Mamusia chciała, żeby tatuś mógł być dumny ze mnie i brata. Ciężko pracował, zdobył ogromne bogactwo i sławę... Uważała więc, że zasłużył na grzeczne dzieci.

Skye przerwała na moment.

- Tak czy inaczej, Dieter powiedział, że jakoś bym sobie z tym poradziła, gdyby nie to, że wyszłam za mąż za kogoś podobnego do mojego taty. Al odniósł ogromny sukces jako pośrednik handlu nieruchomościami w Hollywood. Bardzo dużo wymagał od siebie i ode mnie. Codziennie rano przepływał kilka mil i zawsze był w świetnej formie. Próbowałam mu dorównać. Chyba chciałam, żebyśmy pasowali do siebie. Chodziłam do salonu piękności i do klubu fitness. Miałam osobistego trenera do tenisa. - Roześmiała się smutno. -Czytałaś ten artykuł z „Reader's Digest”: *Nadaj swoim słowom mod* Robiłam dla Ala dosłownie wszystko. A potem... - Z trudem przełknęła ślinę. - Potem zostawił mnie dla innej kobiety. Zobaczyłam ich. Robiłam zakupy w Centre, wiesz, tam, gdzie jest sklep zoologiczny. Przyglądali się kociętom. Ona była smukła, młoda i piękna. Miała uroczy uśmiech, taki, na który patrzy się z przyjemnością i który chce się znów zobaczyć. Al przeniósł się z nią do nowego domu, zostawiając mnie. Oczywiście, dał mi dużo pieniędzy. Wciąż daje, tydzień po tygodniu. - Roześmiała się gorzko. -Zupełnie jakby był mi coś winien. Nienawidzę go, a jednocześnie kocham.

Zamilkła na chwilę. Potem ciche sapnięcie zasygnalizowało, że jest gotowa kontynuować opowieść.

- Czasem, gdy czytam, że mąż jakiejś kobiety zginął w wypadku, szczerze jej zazdroszczę. Przynajmniej nigdy nie bę-

dzie musiała patrzeć, jak jej ukochany odchodzi z inną. W takiej chwili człowiek czuje się jak wielkie zero. Nie byłam w stanie zrobić nic. W końcu nie umiałam odpowiedzieć, gdy mnie pytano: białe wino czy szampan? Nie wiedziałam, czego chcę!

Urwała, jakby zabrakło jej słów.

- Dlaczego postanowiłaś mi to powiedzieć? - spytała łagodnie Ellen.

- Dzięki sesjom z Dieterem wiem, że mama wychowała mnie na istotę, która przez cały czas stara się zadowalać innych. Rozumiem to. Teraz chciałabym po prostu zapomnieć o wszystkim, co przeżyłam. Chcę wymazać to z pamięci i zacząć żyć od nowa. - W ogromnych oczach Skye pojawiło się rozmarzenie. - Chcę, żebyś mi pokazała, jak zapomnieć.

Ellen wbiła wzrok w swoje stopy. Spodziewała się, że lada chwila Skye zacznie płakać, ale gdy uniosła głowę, ujrzała na twarzy rozmówczyni blask nadziei. Dzięki temu domyśliła się, że Skye musiała być piękna, gdy była szczęśliwa. Miała wyraziste, błękitne oczy, gładką, jasną cerę, otoczoną ciemnobrązowymi włosami. Do diabła! - pomyślała. Ona czeka na odpowiedź. Naprawdę myśli, że tak na poczekaniu coś jej zaproponuję.

- Skye... - zaczęła, próbując coś wymyślić. - Nie jestem psychoterapeutą. Naprawdę nie...

Potem nasunęło się jej pewne pytanie, które mogło na chwilę odsunąć konieczność udzielenia odpowiedzi.

- Powiedz mi, co się stało z twoim bratem.

- Nick podczas studiów przyjechał na któreś Boże Narodzenie i oświadczył, że jest homoseksualistą. Tak po prostu, podczas obiadu, w obecności wszystkich członków rodziny. Tata mało się nie udławił. Mama zaczęła płakać. Potem, oczywiście, wyrzucili go z domu, wyrzekli się go. Nie widziałam go przez kilka lat. W końcu, wkrótce po swoim ślubie, ujrzałam go na jakimś balu charytatywnym. Wypatrzyłam go z daleka. Zawsze się wyróżniał z otoczenia, bo był wysoki

i trzymał się prosto. Przedstawił mnie swojej żonie i pokazał zdjęcia dzieci.

- To znaczy, że wcale nie był gejem?

- Oczywiście, ale jego oświadczenie poskutkowało. Uciekł od nas i nawet się nie oglądał - powiedziała z żalem w głosie. - Co więcej, był naprawdę szczęśliwy.

Kilka godzin później Ellen przysiadła się do Ziggy na werandzie i razem wdychały wieczorne zapachy ogrodu, wymieszane z wonią pieczonego kminku i kolendry, dobiegającą z kuchni.

- Rozmawiałam dzisiaj ze Skye o jej rodzinie - powiedziała Ellen.

- To toksyczni ludzie - prychnęła Ziggy. - Przynajmniej rodzice. Nigdy nie spotkałam jej byłego męża ani kochanego Nicky'ego, ale jej starzy, Patty i Richard, czyli pan i pani Amerykańskie Marzenie, ze wstydu przyjeżdżali do kliniki wynajętą limuzyną i w okularach przeciwsłonecznych. Kompletnie okaleczyli Skye psychicznie.

- Kto płacił za jej pobyt u Marshy Kendall? - spytała Ellen. Ziggy wzruszyła ramionami.

- Chyba ona sama. Na pewno nie chciała korzystać z forsy swoich starych. Dostała ogromne pieniądze za zgodę na rozwód. Al jest dziany, sprzedaje gwiazdom domy marzeń, a potem, gdy się rozwiodą, odsprzedaje je innym gwiazdom. Dobry interes.

Siedziały obok siebie, spoglądając na drzewa, podobnie jak patrzyły na nie ze swojej sypialni w poklasztornym by-dynku i z ogrodzonego siatką balkonu w klinice daleko stąd.

- Wygląda na to, że rodzina potrafi ciężko zranić - podsumowała Ellen. - Wystarczy tylko popatrzeć na ciebie i Lucy. Czujecie się o wiele lepiej z dala od bliskich.

Ziggy przez chwilę milczała.

- Gdy byliśmy w akademii, wyznałaś mi pewnego razu, że matka cię nienawidziła - powiedziała w końcu.

Ellen zeszywniała i odwróciła się, zaskoczona.

- Co takiego?!

- Naprawdę - zapewniła Ziggy. - Według ciebie obwiniała cię o to, że twój ojciec odszedł, gdy byłaś maleńka. Opowiadając to, płakałaś. Chwilę później jednak zapewniałaś, że to nieprawda.

Ellen roześmiała się sztucznie i przywołała na usta zbyt promienny uśmiech.

- Bo to nieprawda! To znaczy, nie kłamałam, mówiąc, że ojciec odszedł, bo nie mógł znieść widoku niemowlęcia, płaczącego i brudzącego pieluszki. Niektórzy mężczyźni po prostu tego nie znoszą, ale Margaret... - Ellen rozejrzała się wokół siebie. - Kochała mnie. Zawsze dawała mi prezenty, zabierała na wycieczki. Była bardzo opiekuńcza, zawsze chciała wiedzieć, gdzie jestem. Ludzie nawet mówili, że jesteśmy tak bardzo ze sobą związane, bo zostałyśmy tylko we dwie. - Ellen urwała, a na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech. - Przypominam sobie, jak wysłała mnie na lekcje tańca... Wiesz, to był jej pomysł. Kupiła mi wtedy cały nowy strój. Spódniczkę, baletki, ocieplacze, dopasowane kolorystycznie wstążeczki, wszystko. Inne dziewczęta serdecznie mi zazdrościły. Oczywiście, potem dużo podróżowała z wykładami, aż w końcu wyjechała za granicę. Nie widywałam jej często.

- W ogóle jej nie widywałaś. Nigdy cię nie odwiedzała w akademii. Nie przyjechała ani razu w ciągu sześciu lat! - Ziggy zerknęła na Ellen. - A ten staruszek z kotami? Przecież to on płacił twoje rachunki. Było w tym coś dziwnego. Wszyscy tak mówili. Oczywiście, zawsze cię broniłam, ciebie i Margaret, ale...

- No cóż, Eildon po prostu chciał za mnie płacić. Był sam na świecie. Można powiedzieć, że w pewnym sensie mnie zaadoptował.

- To prawda - stwierdziła Ziggy bez ogródek. - Bo w pewnym sensie byłaś sierotą.

Zmarszczyła czoło i zagryzła wargę, potem powiedziała to, co miała powiedzieć.

- Posłuchaj, Ellen... Zastanawiałam się nad tym w klinice, gdy zaczęłaś mówić o Zeldzie. Może to ma coś wspólnego z Margaret? Nie powiedziałam wtedy nic, bo byłaś bardzo zdenerwowana, ale wiesz, w tym może coś być...

- Jesteś tak samo beznadziejna jak Skye - przerwała Ellen, parskając wymuszonym śmiechem. - Zbyt dużo czasu spędzałyście z Dieterem.

Wstała, przeciągnęła się i ruszyła przed siebie.

- Ty też. Powiedziałaś mi! - zawołała za nią Ziggy. Mówiła z pewnym ociąganiem, robiąc przerwy między

zdaniami. Ellen zatrzymała się, ale nie odwróciła głowy.

- Powiedziałaś, że któregoś dnia Margaret bardzo się na ciebie zdenerwowała. Z powodu jakiegoś twojego przewinienia. I zrobiła ci zastrzyk. Na siłę, a ty byłaś przerażona. Myślałaś, że matka chce cię zabić.

Ellen oddaliła się, potrząsając głową, jakby nie chciała tego wszystkiego słyszeć.

- Potem miesiącami dręczyły cię koszmary senne! - biegł za nią głos Ziggy.

Ellen dotarła na skraj trawnika i ruszyła ścieżką w dół. Zbliżała się zima i pod koniec dnia w lesie panował już chłód. Po chwili zatrzymała się i usiadła na powalonym pniu. Patrzyła na swoje buty wciśnięte w ciemną ziemię. Czerwony krocionóg wdrapał się powoli po gumowej podeszwie buta i wszedł na skórzaną cholewkę. Dziesiątki jego odnóży posuwały się w idealnie zgodnym rytmie. Czy jest ich setka? Ellen pochyliła się i zaczęła liczyć. Dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć. Dwanaście... Mimo zajęcia myśli liczeniem ujrzała scenę sprzed lat. Nie zdołała przed nią uciec... Widziała otwartą torbę lekarską na stole w salonie; ostry zapach rozchodził się z niej na cały pokój. Margaret, pochyłona nad torbą, czegoś szukała, pobrzękując małymi buteleczkami i przedmiotami w szeleszczących pakietkach.

- Podwiń rękaw - powiedziała stłumionym, smutnym głosem.

Stuk, puk. Palec uderzył małą szklaną fiolkę, strzepując płyn.

- Nie. Proszę!

- To jedyny sposób, żeby cię uspokoić.

Trzask. Górna część fiolki została odłamana. Potem ostra igła wsunęła się do środka, gotowa wciągnąć zawartość.

Matka uniosła głowę, ale nie miała twarzy... Jej oblicze rozpląnęło się jak we mgle. Za to ręka, duża i wyraźna, ustawiła strzykawkę igłą w górę i tak długo naciskała tłoczek, aż na czubku igły pojawiła się kropelka płynu.

Teraz była gotowa. Odwróciła się, pochyliła strzykawkę.

- Nie. Nie! Co jest w środku? Uśmiechnęła się. To trucizna.

- Chcesz mnie zabić...

- Nie bądź głupia.

Margaret postępowała rozważnie. Wzięła wacik i przemyła skórę córki. Infekcja była jej wrogiem. Nienawidziła brudu. Nienawidziła nieporadności. Z taką samą nienawiścią wbiła igłę w drobną, chudą rączkę i opróżniła strzykawkę.

Potem zostały tylko czerwone ślady po jej mocno zaciśniętych palcach.

Jest mi niedobrze.

Pokój ciemnieje, znika.

Dobry Jezu, nie chcę umierać.

Nie chcę spać.

Nie chcę się obudzić.

Djoti czeka! na końcu ścieżki. Zmartwił się, gdy ujrzał oczy Ellen czerwone od lez.

- Mam coś - powiedział, sięgając do kieszeni. - Telegram. Do pani.

Podając kartkę, spojrzał Ellen w oczy.

- Mam nadzieję, że to coś dobrego - wyznał szczerze. Kręcił się blisko, nie chcąc zostawić jej samej.
Była prawie

w tym samym wieku co jego najstarsza, zamężna córka, która mieszkała w odległej wiosce. Nie chciał nawet myśleć, że mogłaby mieć jakieś kłopoty tak daleko od domu.

- Memsahib, gdyby pani czegoś potrzebowała, znajdzie mnie pani w pobliżu - oznajmił, machnięciem ręki pokazując dom.

Ellen zaczęła, aż się oddali.

Blankiet był cienki i sztywny. Drżącymi palcami rozerwała go i rozłożyła. Miała kompletną pustkę w głowie.

Nie pisz stop obiecałaś stop Zelda nie dostanie żadnego listu stop musisz o niej zapomnieć stop James Madison.

Musisz o niej zapomnieć.

Drzazgi wbijały się w palce Ellen, czuła pieczenie świeżych pęcherzy. Przykucnęła przy stosie drewna na opał i zaczęła układać na ręce porąbane polana. Nakładała je i nakładała, coraz bardziej odchylając się do tyłu. Szorstkie drewno naciskało przez cienką bluzkę ciało na piersiach. Ostatnią szczapę przycisnęła brodą. Wbiła pięty w ziemię, podniosła ładunek i zaniósła go do szopy.

Pracowała przez całe popołudnie, ociekając potem w chłodnym powietrzu i skupiając się tylko na mechanicznych ruchach - do przodu i do tyłu, w górę, w dół. Miała wrażenie, że jeśli przestanie pracować, zatrzyma się na zawsze. Wyobraziła sobie, że leży w łóżku tak samo jak wcześniej Ziggy i Skye i odmawia przyjmowania pokarmów; próbuje się zagłodzić, popaść w odrętwienie. W ten sposób stara się uciec od bólu, wspomnień i kompletnej pustki po stracie Zeldy.

Pogrąża się w nicości. Znika.

Na tę myśl ogarnęło ją przerażenie, nieokiełznany strach spowodował dziki łomot serca. Zatrzymała się w drzwiach szopy i przetarła ręką twarz, jakby chciała dowieść sobie samej, że wciąż jest, żyje, wdycha zapach potu i kurzu.

Muszę iść przed siebie - powtarzała sobie, wracając do ciężkiej, miarowej pracy. Ziggy i Skye wciąż jej potrzebują, wciąż nie poradziłyby sobie bez niej. Jest dobrotliwą memsahib z wielkiego domu, kobietą, która karmi biednych. Ludzie ją kochają. Nie może się załamać i znów stać się nikim. Musi znaleźć sposób, żeby ukryć swój ból i iść dalej.

22

Śnieg w tym roku spadł wcześniej, cienką warstwą spowijając wille i rezydencje w Musoorie, ukrywając brud slumsów na tyłach bazaru. W szpitalu misjonarze zaczęli wydawać worki z ryżem i szorstkie, szare koce wojskowe, które zostały po darach z pomocy humanitarnej dla ofiar niedawnego trzęsienia ziemi. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy i już wkrótce wokół szpitala zaczęły się gromadzić tłumy obszarpanych żebraków, rodzin bezdomnych, a nawet kilku świętych mężów i pielgrzymów.

Na trawniku przed domem swami memsahib Djoti ustawił kilka stusiedemdziesięciolitrowych beczek po paliwie. Beczki u podstawy miały dziury, przez które powietrze wpadało do środka. Gdy nadchodził dzień wydawania darmowego posiłku, chłopcy rozpalali w tych prowizorycznych piecykach, żeby stołownicy mogli się trochę ogrzać. Nawet jeśli padał śnieg albo lodowaty deszcz ze śniegiem zacinał o ściany domu, biedacy nie przestawali przychodzić - wynurzali się z lasu, pochyleni pod kocami, kurczowo trzymając w rękach puszki i miski. Potem odchodzili z jedzeniem, żeby zaspokoić głód w swoich prowizorycznych szałasach i skromnych kryjówkach.

Kiedy świeciło słońce, mieszkanki domu zakładały warstwy kaszmirskiej wełny i wędrowały w góry, by spojrzeć na Himalaje. Las był zimny i ponury, więc otoczone kłębamii pary wydostającej się z ust, szły szybko między obrośniętymi pnączem drzewami, które tworzyły jakby bramy i kolumny. Gdy docierały na otwarty płaskowyż, otaczało je słońce, które powoli rozgrzewało zaczerwienione policzki i nosy kobiet, nadając bladym twarzom złocistobrazowy odcień.

Dzięki niskiej temperaturze zniknęła wieczna mgła, przepaść zmieniała się w piękną, zieloną dolinę i pojawił się odległy horyzont. W czystym powietrzu wyraźnie widać było poszarpane pasma gór, nagie, brązowe skały z ciemnymi plamami lasów. Za nimi rozciągała się wspaniała panorama Himalajów. Wyglądały jak zjawa - krystalicznobiałe szczyty i granie, z fioletowymi cieniami pod lazurowym niebem. Ellen, Ziggy i Skye stawały na platformie widokowej, skąd po kolei oglądały krajobraz przez stary jak świat teleskop. W maleńkiej chatce obok mieszkał staruszek, który w ciągu dnia pobierał opłaty od turystów, a w nocy pilnował teleskopu. Za każdym razem uroczyście witał Amerykanki i stał obok nich, gdy patrzyły w dal.

- Tam mieszka Bóg - mawiał, pokazując góry. - To dom Boga.

Chłodne powietrze w płucach działało na kobiety jak szampan, pobudzając je do śmiechu i szalonych zabaw - lepienia bałwanów albo wrzucania sobie śniegu za kołnierz. Długo i głośno piszczwały, gdy śnieg topniał na ich jasnej skórze i spływał między ciepłe piersi.

Godziny spędzone na płaskowyżu zaostrzały im apetyt, więc gdy zimowe słońce zaczynało wędrować w stronę horyzontu, biegły, ślizgając się i upadając, ścieżką w dół, do domu, wpadały do kuchni Prianki i jadły ciepłe *chapati* oraz gorący ryżowy pudding, który według Djotiego był odwiecznym ulubionym deserem wszystkich prawdziwych Anglików.

Wkrótce przeczytały wszystkie książki, które znajdowały się w domu, ale Ellen odkryła na Mail, w pobliżu Savoyu, bibliotekę. Musiały stanąć w kolejce, oficjalnie okazać paszporty, złożyć podpisy i wpłacić odpowiednią kwotę, nim Hinduska o zaciśniętych wargach wypisała im karty biblioteczne. Ostrzegła je, że przy oddawaniu przez nie książek będzie sprawdzać, czy ich nie zniszczyły.

Ani na chwilę nie spuszczała Ellen, Ziggy i Skye z oczu, kiedy chodziły cicho między przeszklonymi szafkami ze starymi, oprawionymi w skórę książkami, starając się nie zakłócać spokoju duchom zakurzonych krzesel o wysokich oparciach w czytelni czy rzędków żółknących angielskich czasopism, poukładanych na stołach na wysoki połysk.

Wieczorami siadywały w saloniku pod portretem uśmiechniętej królowej, żartując z tytułów takich jak *Brytyjczyk w każdym calu* albo *Kochany kraj czy Droga Anglia*. Byli tam też *Ludzie i duchy* oraz potężne tomisko *Pochodzenie idei Boga*. Rozmawiały i czytały, Skye grała głupawe wiązanki jazzowe, a w wysokim kominku płonął ogień. Czuły się dobrze i beztrosko, odcięte od problemów świata zewnętrznego. Czekał je następny posiłek, kilka następnych obowiązków, następna wyprawa na bazar, następny spacer w góry. Potem powinna nadejść wiosna, po niej lato; czas łagodnie rozciągał się i sięgał w przyszłość.

Wczesnym rankiem panował inny nastrój. Wszystkie trzy zbierały się w najjaśniejszym pokoju, siadały po turecku, tworząc krąg, jakby przygotowywały się do jedzenia, ale milczały i oczami duszy oglądały kolorowy świt.

Ellen prowadziła. Pozostałe dwie kobiety czekały, aż zacznie zadawać pytania, które pozwolą im cofnąć się w czasie.

Zaczęły odprawiać codzienny rytuał z powodu Skye. W ten sposób Ellen próbowała pomóc jej zapomnieć o przeszłości i uciec od wspomnień. Ziggy też chciała brać udział w tych sesjach i wkrótce zaangażowały się wszystkie trzy.

- Kogo widzisz? - pytała Ellen.

- Nicky'ego. - W głosie Skye słychać było zaskoczenie. -Kłócimy się. Chodzi o coś, co on sam zrobił, ale zrzuca winę na mnie.

- Gdzie jesteście?

- W ogrodzie naszego domku letniskowego, w górach. Jest wiosna. Wszędzie rosną kwiaty, kwitną drzewa, na trawniku leżą porozrzucone plastikowe kubki. Czerwone i żółte...

Potem pojawił się ojciec Skye. Siedział na kanapie i oglądał w telewizji wygłaszane przez siebie oświadczenie. Następnie przysła kolej na przyjaciółkę z akademika, Caroline, która rozbierała się obok wąskiego, twardego łóżka.

Ziggy zobaczyła Lucy wracającą z zakupów z nęczeniem toreb. Ellen przypomniała sobie Cartera, który wyjadał ze słoika kielki soi i jednocześnie rozmawiał przez dwa telefony.

Kiedy wszystkie powiedziały, co miały do powiedzenia, siedziały w milczeniu, a wiatr za oknem kołysał czubkami drzew. Potem w wyobraźni ostrożnie rozdzielały widziane przed chwilą obrazy i wyrzucały z nich wszystkich ludzi. Zostawały ogrody, włączone telewizory, jedzenie, zakupy, samochody, plaże, lotniska, ale wokół panowała pustka. Wszyscy krewni i znajomi znikali, wyrwani, wymazani, usunięci.

Zycie spokojnie posuwało się do przodu. Wiatr kołysał trawę, na której ci ludzie niegdyś stali. Na pustych sofach zgniecione poduszki powoli odzyskiwały pierwotny kształt. Pudła z butami i torby nowych ubrań pokrywały się kurzem w rogach pokojów. Powietrze było czyste, nie słychać w nim było żadnych głosów.

Kolejny fragment przeszłości zniknął... albo przynajmniej został ukryty nieco głębiej.

Pod koniec każdego spotkania podawano w jadalni śniadanie. Zasiadały do niego przepełnione wewnętrznym spokojem, czując, że stają się silniejsze i bezpieczniejsze. Ustawiły następny worek z piaskiem na tamie, która miała je chronić przed przeszłością.

Nie było to łatwe. Ukochani, rodzice, bracia, siostry... Zelda... wciąż wracali. Czasami w ogóle nie można się było ich pozbyć, ale trzy kobiety podczas wspólnych sesji, choć z trudem, posuwały się jednak do przodu. Strach, ból, smutek, nadzieję, miłość, siłę - wszystkie miotające nimi emocje - zamieniały w strumień czystej, mocnej woli.

Pod koniec zimy spotkania zaczęły stawać się coraz krótsze. Przyjaciółki zbliżały się do celu.

- Kogo widzisz?

- Nikogo. Naprawdę nikogo.

- Gdzie jesteś?

- Nigdzie. Odeszłam stamtąd. Nie ma mnie.

Teraz nic nie mogło ich dotknąć. Zanurzyły się w gładkim balsamie zapomnienia. Szły przed siebie bez trudu, lekko, a wiatr dziejów szalał za ich plecami.

W pewien ciepły poranek siedziały na werandzie i piły herbatę z glinianych kubków. Pojawiły się już pierwsze oznaki wiosny: nabrziałe pączki na drzewach i maleńkie zielone źdźbła przebijające czarną ziemię.

U wylotu ścieżki pojawiła się czerwona plama.

- Ktoś idzie - powiedziała Skye, zerkając na Ellen.

Pochylona pod ciężarem ogromnego plecaka postać w turbanie weszła na trawnik. Ładne, regularne rysy twarzy zdradzały, że to kobieta i - pomimo turbanu - cudzoziemka. Ellen, Ziggy i Skye spoglądały w milczeniu znad swoich kubków.

- Cześć - powiedziała nieznajoma, gdy dotarła do fontanny.

Pozdrowienie było wesołe i przyjacielskie, ale najwyraźniej pochłonęło resztki energii przybyłej. Z opuszczoną głową, ciężko wdrapała się po schodach i zdjęła plecak. Usiadła na podłodze, oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

Ellen zerknęła pytająco na przyjaciółki, ale obie tylko wzruszyły ramionami. Żadna z nich jej nie знаła.

- Przepraszam, szuka pani kogoś? - spytała Ellen, podchodząc do nieznajomej.

Kobieta przez chwilę milczała.

- Przyszłam z Riszikeszu. Byłam w aśramie, ale mnie wyrzucono. Powiedziano mi, że tu jest miejsce.

Mówiła bezbarwnym głosem, jak ktoś, kto po raz pierwszy czyta kwestię z przygotowywanej sztuki.

- Mam na imię Kate - dodała.

Ellen zmarszczyła czoło, nie wiedząc, co zrobić. Zerknęła na Skye.

- Poproś o jeszcze trochę herbaty. Posłuchaj, Kate. Nie wiem, co ci powiedziano, ale to dom prywatny...

Kate uniosła głowę. Miała zaczerwienione i opuchnięte oczy. Jedna tęczęwka była błękitnozielona, druga brązowa - jak u kota z bajki.

- Chcę rozmawiać ze swami, tą, która tu rządzi - mruknęła kobieta.

Skye zachichotała.

- Nie ma tu żadnej swami - zapewniła Ellen. - To nie żaden aśram, schronisko młodzieżowe ani nic w tym stylu.

- Muszę zostać - upierała się Kate.

- W Musoorie są tanie hotele - powiedziała Ellen. - Na pewno mają wolne pokoje.

- Nie mam pieniędzy - szepnęła Kate. Ellen uśmiechnęła się z ulgą.

- Nie ma sprawy. Damy ci. Zostań na herbatę, a potem wezwę chłopca, żeby sprowadził cię do miasta.

Kate powoli osunęła się na bok, na drewnianą podłogę, i zwinęła w kłębek.

- Nie odsyłajcie mnie. Błagam.

Wyciągnęła dłoń w błagalnym geście. Na przedramieniu widoczne były ślady po ukłuciu igłą.

Ellen poczuła, że robi jej się niedobrze. Wstała i powędrowała na koniec werandy.

Ziggy i Skye poszły za nią. Stały razem i spoglądały na przybyłą, leżącą na podłodze, zwiniętą w kłębek.

- To narkomanka - szepnęła Ziggy. - Widać to na sto kilometrów.

- Co ona sobie wyobraża?! - syknęła Skye. - Ze prowadzimy schronisko Czerwonego Krzyża czy dom noclegowy?

Ellen zerknęła na nią, zaskoczona gwałtownością wybuchu tak niedawno jeszcze słabej i bezradnej Skye.

- Wygląda na chorą - powiedziała Ziggy.

- Możemy odesłać ją do szpitala - zasugerowała Ellen. - Może doktor Paul Cunningham coś poradzi.

- Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się blado. - Chociaż, z drugiej strony, nie sędzę, by był zachwycony naszym postępowaniem.

Ziggy uniosła głowę.

- Uważam, że powinna zostać - oznajmiła zdecydowanie. - Mamy pokój. Mamy czas. - Zwróciła się do Ellen: -Może zdołasz jej pomóc. Tak jak nam.

Skye prychnęła.

- Narkomanom nie można pomóc. Będzie ćpała w łazience. I kradła, co popadnie.

- Kiepsko wygląda - stwierdziła Ellen. - A poza tym nie wiemy, kim ona naprawdę jest.

- Kto by się tym przejmował? - rzuciła Ziggy. - Zatrudnimy kogoś, kto będzie za nią chodził, jak u Marshy Kendall.

- Żartujesz! - zawołała Ellen.

- Nie - odparła Ziggy, nie zrażając się. - Może spróbujemy czegoś innego, czegoś całkiem nowego.

- Nic z tego. Zapomnij! - powiedziała Ellen, przyglądając się twarzy przyjaciółki. - Powiem Djotiemu, żeby załatwił, co trzeba. Nie zgadzam się, żeby ona tu została. Wystarczy, że musiałam znieść waszą chorobę. Nie mam zamiaru przechodzić przez to znowu.

- Rozumiem cię, ale spójrz na nas! - krzyknęła Ziggy. -Widzisz, jak dobrze wszystko się skończyło?

Spoglądały na siebie, w nagłym poczuciu dziwnej bliskości. Były szczęśliwe. Dowiedziały się wszystkiego o sobie nawzajem, a potem o tym zapomniały. Teraz stanowiły coś w rodzaju nowej rodziny. Samotne i wolne, a mimo to bliskie sobie i szczęśliwe.

Kobieta skulona na podłodze zakaszłała, przerywając ich ciche rozważania.

- Zawołam Djotiego - powiedziała Ellen. - On sobie z nią poradzi.

Djoti był zaszokowany.

- To Amerykanka! - zawołał.

- Wcale nie. Mówi jak Angielka albo Irlandka czy coś w tym stylu.

- Tak czy inaczej jest cudzoziemką. - Djoti nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Jeśli każecie mi ją stąd zabrać, będę musiał zgłosić policji, że się tu pojawiła.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowała Ellen.

- W takim razie co możemy zrobić? - Djoti wzruszył ramionami.

Koniec końców postanowiły, że Skye przeprowadzi się do pokoju Ziggy, by zrobić Kate miejsce. Ponieważ w domu zamieszkała obca osoba, Ziggy uznała, że należy spakować wszystkie ozdoby, pamiątki i inne skarby, które dotychczas były porzucane po wszystkich pokojach. Gdy Kate spała, a Ellen i Skye wyszły na spacer, przez całe popołudnie pakowała różne przedmioty do skrzynek po herbacie i kufrów, a potem dopilnowała, by chłopcy Djotiego zanieśli je na strych.

Kiedy Ellen i Skye wróciły, były zdumione zmianami. Skye zażądała, by przynieść z powrotem flakony, i oświadczyła, że teraz dom nie wygląda już jak dom. Kiedy jednak zaczęły chodzić po pokojach, z których usunięte zostały zbędne przedmioty, stwierdziły, że panuje w nich miły spokój. Odczuły to tak, jakby wyczuwalna dotychczas obecność poprzednio zamieszkującej dom rodziny z Delhi, wraz z jej nieuniknionymi smutkami i radościami, zmuszała je do od-

grywania ról gości czy lokatorek. Teraz nabrały przekonania, że dom należy do nich.

Na zmianę pielęgnowały Kate podczas długich dni i nocy głodu narkotycznego, ocierając jej pot, wlewając wodę między zaciśnięte zęby i trzymając ją mocno, gdy wiała się z bólu i balansowała na skraju straszliwego, wszechogarniającego przerażenia.

Kiedy najgorsze minęło, Ellen zasiadała co rano z Kate, która, idąc za głosem gospodyni i odpowiadając na jej pytania, krok po kroku odsłaniała swoją przeszłość. Mówiła o ludziach, miejscach, wydarzeniach. Potem uwalniała się od nich i starannie zamykała za sobą drzwi.

Powoli nabierała sił, a w jej oczach pojawił się blask.

- Widzisz? - powiedziała Ziggy. - Miałam rację. Wiedziałam, że zdołasz jej pomóc.

Stała z Ellen na werandzie i patrzyła, jak Kate piele ogródek.

- Wszystko, co robisz i mówisz... naprawdę działa - ciągnęła. - Uratowałam już trzy zbłąkane duszyczki. - Przymrużyła oczy i zamyśliła się.

Ellen milczała. W głębi duszy ucieszyła się z pochwały Ziggy, ale czuła, że kryje się za nią coś więcej. Jakiś plan. Uważała, że niezależnie od tego, co to ma być, wkrótce nabierze realnych kształtów, a następnie powoli, ale zdecydowanie przekształci się w jedyną słuszną drogę... drogę Ziggy. Ellen zmarszczyła brwi i odsunęła od siebie tę myśl. Tak bywało w dawnych czasach - przekonywała samą siebie. - Teraz jest inaczej. Odwróciła się do Ziggy i uśmiechnęła z wdzięcznością.

Kilka tygodni później, w pewien chłodny, mglisty wieczór, Ellen ujrzała Kate siedzącą pod drzewem na skraju ogrodu. Otaczała ją jakaś łatwo uchwytna aura spokoju, której nie zakłócały wolne, łagodne ruchy ramion Kate oraz unoszenie

się i opadanie jej klatki piersiowej podczas głębokich oddechów. Twarz przypominała nieruchomą maskę. Ellen obserwowała ją z daleka. Mijały minuty, po godzinie nie zmieniło się nic, jakby czas stał w miejscu.

- To joga - wyjaśniła później Kate, kiedy Ellen spytała, co robiła. - Chodziłam na zajęcia, gdy byłam w aśramie. Trzeba trochę poćwiczyć, by nabrać wprawy, ale po jakimś czasie udaje się w ten sposób uspokoić umysł. - Uśmiechnęła się cierpko. - Inaczej po prostu myśli kotłują mi się w głowie! Bez przerwy... chyba że jestem naćpana.

- Możesz mi to pokazać? Nam wszystkim? - spytała Ellen. Kate zmarszczyła czoło z powątpiewaniem. - Hmm... Raczej nie. Dopiero zaczynam. Niewiele umiem. I wcale nie jestem w tym dobra. No wiesz, w stawaniu przed ludźmi.

- To nie ma znaczenia. Możesz nam po prostu pokazać to, co umiesz - obstawała przy swoim Ellen. Mówiąc to, patrzyła Kate w oczy. Czy to Carter powiedział, że jeśli chce się kogoś do czegoś nakłonić, trzeba naśladować modulację jego głosu? Oczywiście, również uśmiechać się, żeby przekonać tego kogoś do siebie.

- Jeśli tak... - powiedziała w końcu Kate nieśmiało. - Może łatwiej by mi było zrobić to w domu...?

Ziggy pomogła im opróżnić salon z ostatnich mebli. Zostawiły tylko kilka poduszek, rozrzuconych na perskim dywanie, i podwiązały ciężkie kotary, żeby odsłonić widok na góry.

Następnego wieczoru Kate usiadła pod oknem, twarzą do pozostałych kobiet, które usadowiły się w pokoju. Skye zajęła miejsce w najdalszym kącie i nadszana spoglądała przed siebie, przypominając w ten sposób przyjaciółkom, że nie chciała brać udziału w nowych zajęciach.

Kate była dość spięta. Podawała nieprecyzyjne instrukcje i wykonywała sztywne ruchy, mimo to wyczuwało się w nich harmonię. Odnosiło się wrażenie, że można odnaleźć spokój poprzez ruch. I wzmocnić go potęgą milczenia.

Ellen chwyciła każdy strzęp informacji i rozkoszowała się nowością. Wysiłek bez żadnego napięcia i bez kary. Sukces bez oceny publiczności. Chciała wiedzieć więcej, ale Kate przypominała turystę, który opanował tylko połowę rozmówek w obcym języku. Prawdziwy język, jego istota i dusza, leżały gdzieś poza jej zasięgiem.

Podczas następnego rozdawania posiłku Ellen poprosiła Djojiego, żeby przyprowadził do niej młodego mnicha z aśramu.

- Chciałabym uczyć się jogi - przekazała przez Djojiego.

- Oczywiście - odparł mnich. - Może pani opanować tę sztukę pod kierunkiem własnego jogina, który jednocześnie jest mędrcom. - Rozłożył ręce. - Może pani uczyć się z nim dzień i noc, bo jest pani wzorem dla ludzi. Już jest pani nauczycielką. Dobrze by było, gdyby weszła pani na ścieżkę oświecenia.

Mówiąc to, spojrział na Kate, która wędrowała wzdłuż kolejki oczekujących z wiadrem ryżu, zerkając na Skye i czekając na jej wskazówki. Nowa lokatorka wciąż była chuda z powodu wielomiesięcznego niedojadania i zapalenia wątroby, ale miała błyszczące oczy, a jej zaróżowione policzki wróżyły powrót do zdrowia.

Wracając z jednej z wizyt w aśramie, Ellen mechanicznie torowała sobie drogę wśród tłumu, gdy nagle stanęła twarzą w twarz z doktorem.

- O, cześć - powiedział Paul.

Oboje cofnęli się, by zachować odpowiedni dystans.

- Jak się miewasz? - spytała Ellen.

Wyglądał dobrze, nie był zmęczony, a na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech.

- Świetnie. A ty?

- Również.

- Nie widzieliśmy się od dawna.

-Tak.

Oboje kiwnęli głowami, potem rozejrzeli się dookoła, jakby szukali tematu do dalszej rozmowy. Pierwszy odezwał się Paul:

- Kilka dni temu natknąłem się przy banku na twoją sąsiadkę, panią Stratheden. Spytałem, jak sobie radzisz, a ona powiedziała, że przeobraziłaś swój dom w komunę hipisów. - Roześmiał się i potrząsnął głową. - Słowo daję, wcale nie była szczęśliwa.

- To nie komuna! - zaprotestowała Ellen. - Wprowadziła się do nas jedna osoba. I tyle.

- Nie masz się czym przejmować - uspokajał Paul. Gestem dłoni zaproponował, by ruszyli przed siebie. - Edith czułaby się zadowolona tylko wtedy, gdybyście byli starymi Brytyjkami i na podwieczorek podawały kanapki z ogórkiem. - Zerknął na Ellen, przyjrzał się jej profilowi. - A może robicie to?

Ellen uśmiechnęła się promiennie.

- Nie, to nie w stylu Prianki.

- Tak czy inaczej, niezależnie od tego, co robicie, wygląda na to, że zmierzacie w dobrą stronę - ciągnął Paul. - Widziałem na bazarze twoje przyjaciółki. Trudno je poznać.

- To prawda - przyznała Ellen. - Wszystko poszło dobrze. Szli ramię w ramię, stawiając niespiesznie równe kroki

i bez trudu znajdując wspólny rytm. Mijający ich wózek, ciągnięty przez osiołka, zajmował niemal całą wąską drogę, musieli więc przysunąć się do siebie. Przez kurz i woń gnoju Ellen poczuła ostrą woń środków dezynfekujących. Przypominała ciche ostrzeżenie.

- Co dalej? - spytał Paul. - Jakie masz plany? Ellen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - wyznała, myśląc o Ziggy. - Sądzę, że po prostu zobaczymy, co przyniesie los.

- No cóż, w takim razie może któregoś dnia nasze ścieżki znów się przetną - powiedział Paul.

Zatrzymał się, wsunął palec pod kołnierzyk i spojrzał na bezchmurne niebo.

- Od czasu do czasu biorę sobie dzień wolny. Może moglibyśmy... - Urwał i uśmiechnął się, wyraźnie zażenowany. - No cóż, moglibyśmy na przykład wybrać się gdzieś na lunch. Jest tu kilka okropnych restauracji.

- Jasne. Byłoby miło.

Ellen uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, jak obie z Ziggy składały najdziwniejsze obietnice chłopcom, z którymi spotykały się podczas wieczornych ucieczek z akademii. Bez wyrzutów sumienia umawiały się na tańce, prywatki, kolacje, wyprawy, mając świadomość, że zajęcia, próby i ogromne zmęczenie nie pozwolą im na zrealizowanie tych szalonych pomysłów.

Teraz było inaczej. Mogła robić wszystko, co chciała. Z drugiej jednak strony wiedziała, że w życiu, które prowadzi wspólnie z przyjaciółkami, nie ma miejsca na odwiedzanie znajomych ani na jedzenie lunchu z doktorem spotkanym przypadkiem na bazarze. Wraz z nowymi przyjaciółmi pojawiają się bowiem nowe wrażenia; budzą się nowe nadzieje, które mogą spowodować ból, a przecież bardzo starały się zerwać dotychczasowe więzy z życiem; przecięły je, żeby móc zacząć wszystko od początku.

Kiedy dotarli do ścieżki, która prowadziła do szpitala, Paul odwrócił się i spojrzał na swą towarzyszkę. Starła się, by jej twarz nie wyrażała niczego. Czowała, że Paul próbuje czytać w jej oczach, zaskoczony jej nagłym chłodem. Może ją uraził? Spoglądał niepewnie.

- No cóż, w takim razie do zobaczenia - powiedział w końcu i odwrócił się.

Ellen powędrowała dalej sama. Przypuszczała, że Paul nie przyjdzie na górę, by się z nią zobaczyć, ani też nie prześle wiadomości przez Djotiego. Da jej spokój. Pomimo poczucia straty odetchnęła z ulgą, wiedząc, że z czystym umysłem i pustym sercem może spokojnie wrócić do domu, do Ziggy i pozostałych kobiet.

Zimą w domu mieszkało już pięć osób. Ruth pojawiła się w pewne chłodne popołudnie, podążając za pogłoską o nowym guru - kobiecie z Zachodu. Twierdziła, że jest zainteresowana rozwojem duchowym, chociaż sprawiała raczej wrażenie zwykłej turystki. Była pełna życia i radości. Ziggy i Skye namówiły Ellen, żeby pozwoliła jej zostać na jakiś czas.

Urozmaicała długie wieczory przy kominku, opowiadając historie ze swojego życia, pędzonego na owczej farmie gdzieś na australijskim odludziu. Szkołę zrobiła korespondencyjnie, w wolnych chwilach między pilnowaniem stada a stryżeniem owiec, i wiedziała o świecie jeszcze mniej niż Ellen i Ziggy, które poświęciwszy się nauce tańca, miały bardzo mało czasu na nauki ścisłe, geografię, historię i bieżące wydarzenia. Ruth jednak po prostu śmiała się z własnej ignorancji, ze swoich błędów, co budziło sympatię jej współmieszkanek.

Ellen słuchała w milczeniu tych opowieści, zachwycona miękkim australijskim akcentem i swobodnym sposobem bycia, który ożywiał jej wspomnienia o Lizzie, doktorze Benie i innych mieszkańcach wyspy. Wiedziała, że wcześniej czy później zacznie wracać myślami do Zeldy. Od jej ucieczki minęły dwa lata, mała musi być już wyższa, silniejsza, mieć bogatszy słownik, nowe pomysły i zainteresowania... Przy radosnym głosie paplającej bez przerwy Ruth odpędzanie wspomnień było trudne i bolesne. Ellen zmuszała się, żeby nie wychodzić z pokoju ani nie puszczać opowieści Australijki mimo uszu. Czasami czuła się trochę tak, jakby trzymała rękę w ogniu. Wiedziała, że koniec końców będzie czuła tylko odrętwienie.

Po podjęciu decyzji, że Ruth może zamieszkać z nimi, Ziggy zasugerowała, by ona i Ellen wzięły najnowszą lokatorkę na bok i zapoznały ją z regułami obowiązującymi w domu: żadnych listów, zdjęć, zachodnich strojów. Żadnych rozmów o domu rodzinnym ani o niczym, co wiąże się

z przeszłością. Można o tym mówić jedynie podczas sesji specjalnych z Ellen. Oczywiście, miały też mówić o obowiązkach: o domowych zajęciach, wydawaniu posiłków i uczęszczaniu na kurs jogi.

Ruth słuchała zaintrygowana, z błyszczącymi oczami.

- Wiedziałam, że ten dom różni się od innych - powiedziała.

- W każdym domu obowiązują pewne zasady - stwierdziła Ellen. - U nas jest tak samo.

Ziggy nie dodała niczego.

Ruth bacznie przyjrzała się Ellen i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Wiem, będziesz się śmiać, ale dopiero wczoraj uprzytomniłam sobie, kogo mi przypominasz.

Moja młodsza siostra miała wszystkie laleczki dla nastolatek: Sindy, Barbie, nawet Twiggy. Mama zazwyczaj zamawiała je w Melbourne, a potem ciotka przysyłała je ze Stanów. Była wśród nich laleczka baleriny, która miała różne ubranka. Nie pamiętam jej imienia, ale... - Ruth wybuchnęła śmiechem, kpiąc sama z siebie. - Ale przypominasz mi tę lalkę. Naprawdę jesteś do niej podobna.

Ziggy uśmiechnęła się chłodno.

- Pamiętaj - zastrzegła. - Żadnych rozmów o tym, co zostawiłyśmy za sobą. O siostrach, lalkach... Kogo to zresztą obchodzi?

23

Ziggy przyszła do pokoju Ellen i przyniosła dwa kubki herbaty na tacy z laki. Pod pachą trzymała rulon papieru o poszarpanych, pożółkłych brzegach. Kiedy usiadły obok siebie na łóżku, rozwinęła starą mapę Musoorie.

- Musimy znaleźć nowy dom - oświadczyła, sącząc herbatę i zerkając na Ellen znad brzegu kubka. - Mamy po dwie

osoby w każdej sypialni i w pokojach. Kate wyprowadziła się do szopy. - Spojrzała na mapę. - Potrzebny nam duży dom i mnóstwo służących. Służba mogłaby tylko dochodzić, wtedy miałybyśmy więcej miejsca dla przybywających ludzi. Może udałoby się nam na przykład znaleźć jakąś starą szkołę z internatem? Wygląda na to, że w okolicy jest ich sporo.

Uniosła głowę i czekała na odpowiedź.

Ellen bez słowa sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej kopertę.

- Dostałam to dzisiaj.

Ziggy szybko przejrzała znajdujący się w środku list. Był pisany ręcznie na dużej kartce grubego papieru ze znakiem wodnym. Zmarszczyła czoło.

- Jeny McGee. Gdzieś słyszałam to nazwisko. Kto to taki?

- Za długo siedzisz w dżungli! - zażartowała Ellen. - Był głównym gitarzystą w „The Shout”.

- Chce przysłać swojego syna, Jessego? - dziwiła się Ziggy. - Ciekawe, ile on ma lat.

- Jerry McGee musi być dobrze po czterdziestce - odparła Ellen. - Jesse będzie miał pewnie ze dwadzieścia. Jak sądzisz, skąd mógł się o nas dowiedzieć?

- Kto wie? Może od Cartera? Z pewnością utrzymuje stały kontakt z Lucy i ma nas na oku. Jeszcze trochę, a zaczną żądać prowizji za przysyłanie nam klientów!

Ellen uśmiechnęła się, potem wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Nie wiem, Zig - powiedziała w końcu, wskazując mapę rozłożoną na łóżku. - To wszystko wiąże nam ręce, wszyscy ci ludzie. Co by było, gdybyśmy chciały gdzieś się przeprowadzić, zrobić coś innego?

Ziggy spojrzała na nią zdziwiona.

- Co innego mogłybyśmy robić? Wrócić do Stanów i spędzać czas na pływaniu i grze w brydża? Na chodzeniu na pokazy mody i premiery? Jesteśmy za stare, żeby pracować. Byłybyśmy po prostu... nikim. - Wychyliła się do przodu; pod

wpływem podniecenia błyszczały jej oczy. - Tutaj robimy coś konkretnego. - Urwała i przyjrzała się twarzy Ellen. -Zwłaszcza ty. Ratujesz ludzi. Ratujesz im życie. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

- Ma - zapewniła Ellen. - Problem w tym, że nie chcę brać na siebie za dużej odpowiedzialności. Ludzie przybywają tu z daleka i liczą na to, że im pomogę. Czasami czuję się jak w pułapce. To mnie przeraża.

Mówiła prawdę. Kiedy myślała o coraz liczniejszych domownikach i o sobie w roli głowy „rodziny”, nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Była rozdarta między miłą świadomością, że jest potrzebna i podziwiana, a czającym się w głębi duszy strachem, że wcześniej czy później zostanie zdemaskowana jako oszustka, wielkie zero, które tylko udaje, że jest kimś ważnym.

- Ludzie zawsze na tobie polegali - ciągnęła Ziggy. - Carter, nauczyciele w akademii. Karl. Ale wtedy jakoś nigdy cię to nie martwiło.

- Bo oni po prostu chcieli, żebym tańczyła, prezentowała stroje albo coś w tym stylu, czyli żebym coś robiła. Ci ludzie chcą natomiast, żebym była kimś. Kimś mądrym. To nie to samo. Nie chcę ich zawieść...

- Posłuchaj - przerwała jej Ziggy zdecydowanie. - Ludzie pojawiają się tutaj, bo o tobie słyszeli, a zostają, bo widzą, że mówiono im prawdę.

Ellen wybuchnęła śmiechem.

- Mówisz o mnie tak, jakbym była dziwolągiem, którego pokazuje się w cyrku czy na bazarze.

Ziggy wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Nic na to nie poradzę! I nie zgadzam się z tobą. Twoje obecne zajęcie nie różni się bardzo od tego, co robiłaś wcześniej. Prawdę mówiąc, uważam, że wszystko sprowadza się do tego samego, no wiesz, tego, co Carter określał jako specjalny przymiot. A krytycy... jak oni to nazywali? - Przybrała fałszywy, teatralny ton. - „Głębia duszy... Nieuchwytna, niepo-

jęta, niezwykle sugestywna, dziwna i urzekająca moc". Pamiętasz?

- To wszystko gówno - burknęła Ellen.

- Nieprawda. Wcale nie. Tak wygląda rzeczywistość. Spytaj Kate. Ruth, każdą z nich. Uwierz im, jeśli nie możesz uwierzyć sobie.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Dobiegały do pokoju tylko dźwięki ragtime'u, granego na fortepianie przez Skye. Ziggy postawiła kubek na tacy.

- Tak czy inaczej, musimy wybrać się do Musoorie i otworzyć w banku nowe konto.

Ellen uniosła głowę.

- Po co? Przecież na moim jest mnóstwo pieniędzy.

- Tak, ale ludzie chcą wpłacać datki, oni albo ich rodziny. Jeśli zaczniemy pobierać opłaty, będziemy mogli wykorzystać zebrane w ten sposób pieniądze na wprowadzenie pewnych udogodnień, zamiast wszystko pokrywać z własnej kieszeni. To dobry sposób. - Zaczekała, aż Ellen kiwnie głową, i ciągnęła: - Podobno kuracja działa o wiele skuteczniej, jeśli pacjenci muszą za nią zapłacić.

Ziggy wstała, powoli obróciła się wokół własnej osi, wyciągając smukłe ramiona w stronę sufitu. Ellen przyjrzała się jej. Znow widziała „reprezentacyjną dziewczynę” Cartera, jasnowłosa, zielonooki okaz zdrowia i urody. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno Ziggy głodziła się na śmierć. Podczas patrzenia na przyjaciółkę Ellen ogarniało dziwne wrażenie, że Ziggy odzyskiwała siły, w jakiś sposób wykorzystując zasoby energii swojej wybawczyni, która stawała się przez to coraz słabsza, bezsilna, niezdolna do podejmowania decyzji.

- Zostawię ci mapę! - zawołała Ziggy przez ramię, przechodząc przez próg. - Przyjrzyj się jej. Uważam, że powinniśmy znaleźć dom, do którego można dojechać samochodem. Poszukasz?

- Jasne - powiedziała Ellen.

- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc.
- Miłych snów.
- Nawzajem.

Ziggy odwróciła się. Nagle obydwie przypomniały sobie pokój klasztorny z dużym, nieszczelnym oknem i swoje śmiechy w ciemności, kiedy opowiadały sobie różne historie, dzieliły się obawami, póki Ziggy nie zdecydowała, że pora spać.

„Dobra. Śpię”.

„Dobranoc, Ziggy”.

„Dobranoc”.

Pokój ogarniała cisza. Jedynym odgłosem były płytkie oddechy dziewcząt. „Nie śpisz, El?”. „Nie”.

„Zgadnij, co widziałam dziś rano...”

Ellen stała przy oknie, patrząc na padający śnieg. Białe płatki leciały bez końca, widoczne na ciemnym, ponurym niebie. W domu panował spokój, ostatnie głosy zamilkły, ostatnie śmiechy ucichły. Nie zdejmując grubych wełnianych skarpetek, Ellen weszła do łóżka, ułożyła się wygodnie i podciągnęła koce aż po uszy. Zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie, ignorując chłód, który jak bezkrwiste ręce otaczał jej głowę.

Silny wiatr miotał śnieg na szybę i wył w załomach murów. Ellen podciągnęła nakrycie wyżej, zasłaniając uszy, żeby nie słyszeć hałasu nasilającego się i cichnącego wraz z podmuchami wiatru, który chwilami zawodził i jęczał, a potem zmieniał się w leciutki powiew. Nagle odrzuciła nakrycie i zamarła w bezruchu, natężając słuch. Przez długi czas niczego nie usłyszała. Potem w ciszy nocy znów dobiegł ją jakiś dźwięk. Ciche popiskiwanie psa, zaskoczonego przez burzę śnieżną. Ellen leżała sztywno, próbując pokonać nagłą falę paniki i chęć ucieczki. Nienawidzę psów - wmawiała sobie. To wszystko. Nie lubiłam psa Jamesa...

Jakaś magiczna siła przyciągnęła ją jednak do okna. Stała przy nim pomimo chłodu, który sącył się przez szybę, i zaczęła przeszukiwać wzrokiem ciemność. Wówczas coś drgnęło w zakamarkach jej pamięci, początkowo odległe i słabe, jak pierwszy pomruk nadjeżdżającego pociągu. Wciąż patrzyła w okno. To coś powoli się zbliżało. Stawało się coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Przyciągał je biały puch, który leżał na parapecie, padający śnieg i pies piszczący w mroźną noc. Jego cicha skarga z trudem przebijała się przez wycie wiatru.

Ellen poczuła, że po twarzy spływają jej kropelki potu. Serce waliło jej w piersiach jak miot. Pomimo trudności w oddychaniu starała się zaciągnąć zasłonę zapomnienia... Uciec...

- Zaczekaj - rozległ się cichy głos na tle zamieci. - Posłuchaj.

Nie! Uciekaj!

Ellen wahała się, jakby znalazła się na rozstaju dróg: szerokiej, dobrze ubitej trasy ucieczki i wąskiej, wyboistej ścieżki prowadzącej w nieznane.

- Teraz jesteś silna. Samotna. Wolna. Gotowa.

Ellen opuściła głowę, oparła czoło o lodowatą szybę i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że znajduje się w cichej świątyni. Prowadziły ją padające w ciszy monotonne słowa jogina...

Wszystko jest jednym. Ot i cała wiedza. Skoncentruj się na jednym punkcie, na *bindu*. Zaczynaj podróż w głąb siebie, porzuć wszelkie myśli, które wiążą się ze światem zewnętrznym.

Powoli cofała się pamięcią, odsuwając na bok poplątane warstwy wspomnień.

Porzuć wszelkie myśli, uczucia i wrażenia.

Pokonaj ograniczenia, jakie stawia umysł i zmysły. Znajdź źródło absolutnego spokoju. Wsłuchaj się w przedmiot koncentracji albo wpatruj się weń. Słowo, kolor, dźwięk...

Popiskiwanie w ciemności...

Słońce padało z ukosa na ośnieżony ogród, rzucając złociste światło na oszronione krzaki. Ellen jeszcze raz rzuciła piłeczkę, a Sammy pobiegł za nią, zostawiając na śniegu małe, płytkie ślady.

- Przynieś! - zawołała dziewczynka.

Psiak tylko się obejrzał, pomachał ogonkiem i pobiegł w stronę lasu z piłeczką w pysku.

- Nie, Sammy! Wracaj! - krzyknęła, biegnąc za swoim pupilem. - Chodź do mnie! Dobry piesek!

Czworonóg prześlizgnął się pod płotem i wpadł między sosny. Ellen zerknęła niespokojnie na swój szkolny mundurek, potem poszła w ślady psiaka, przeciskając się przez obsypane śniegiem krzaki.

- Sammy! Wracaj! - wołała, ale jej głos brzmiał cicho wśród tłumiącego odgłosy śniegu.

Nagle stanęła, zdając sobie sprawę, że jej pupilowi podoba się zabawa w uciekanie i gonitwę. Obejrzała się za siebie, na dom, i zagryzła nerwowo wargę. Potem zmusiła się, by stać spokojnie i raz za razem gwizdać na psa.

Koniec końców Sammy wrócił z opuszczonym ogonem i zwieszoną nisko głową. Spojrzał na swoją panią z wyrzutem i upuścił piłeczkę u jej stóp. Chwyciła go za obrożę i podniosła.

- Głupi piesek - powiedziała łamiącym się głosem. - Kiedyś wpakujesz nas w tarapaty.

Przyciskając go mocno do piersi, pobiegła w stronę domu. Sammy uniósł zimny nos i szturchnął ją w brodę.

- Brzydki piesek - powiedziała Ellen.

Uśmiechnęła się, gdy ciepły, wilgotny język musnął ją po policzku. Nagle zadrżała ze strachu. Na podjeździe dostrzegła czerwony samochód Margaret. Przez sekundę stała w bezruchu, potem przebiegła przez trawnik i skierowała się do drzwi wejściowych.

- Boże! - modliła się. - Spraw, żeby się nie zorientowała. Niestety, Margaret spoglądała na córkę z okna na piętrze.

Była tak samo przestraszona jak Ellen, ale też wyraźnie zła.

Miała bladą twarz, zaciśnięte zęby i wyraz wrogości w oczach. Dziewczynka patrzyła na matkę, przyciskając do piersi Sammy'ego, który wiercił się i piszczał w objęciach. Margaret zniknęła. Ellen zerknęła na drogę; miała ochotę pobiec nią wraz z Sammym, ale była tylko dzieckiem. Na pewno przyprowadziliby ją z powrotem, a to pogorszyłoby jeszcze sprawę.

Stała przed drzwiami, mocno przyciskając psa, ale nie zapomniała o konieczności schludnego i porządnego wyglądu. Odrzuciła do tyłu warkocze. Wygładziła ubranie. Starannie ustawiła nogi jedna obok drugiej. Kiedy gałka się obróciła, uniosła głowę i patrzyła, jak drzwi się uchylają. Margaret miała kamienną twarz. Dziewczynka skurczyła się w sobie, chociaż z pozoru ani drgnęła.

- Gdzie byłaś? - spytała spokojnie matka. - Szukałam cię w domu i w ogrodzie.

- Sammy pobiegł do lasu - powiedziała Ellen, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i uprzejmie.
- Musiałam iść za nim.

- Mówiłam ci - przypomniała Margaret - że nie chcę, żebyś wychodziła z domu, gdy mnie nie ma, pamiętasz?

-Tak.

Ellen spojrzała na stopy matki, na krwistoczerwone buty na wysokich, cieniuchnych obcasach. Zadrzała.

- Mogłaś wpaść w jakąś rozpadlinę, a ja nie wiedziałabym, gdzie cię szukać. Ellen, masz osiem lat.
- Głos Margaret był smutny, wyraźnie słychać w nim było zawód. - Musisz otrzymać nauczkę. Wejź do domu.

Ellen zrobiła krok w stronę drzwi.

- Postaw psa. Dziecko uniosło głowę.

- Zostaw go - powtórzyła Margaret.

- Ale... - Głos uwiązał Ellen w gardle. - On zawsze jest w domu. Zaniosę go do pralni.

Matka stanęła nad dziewczynką i zablokowała drzwi.

- Ty wchodzisz. Pies zostaje na zewnątrz.

- Przecież pada śnieg.

Kobieta chwyciła psiaka za skórę na szyi i wyciągnęła z ramion dziewczynki. Sammy szczekał i próbował się bronić, w końcu jednak został rzucony w śnieg. Wylądował na plecach i przebierał bezradnie krótkimi łapkami. Potem odwrócił się i przysiadł na zadzie. Machał ogonkiem, ale spoglądał z zaskoczeniem.

Margaret chwyciła córkę za ramię, wciągnęła ją do środka i zatrzasnęła drzwi.

- Kiedy nauczysz się robić, co ci każe? - spytała, podnosząc głos i nie kryjąc złości.

Ellen patrzyła na zamknięte drzwi, zza których dochodziło ciche skomlenie i drapanie pazurkami.

- Idź do swojego pokoju - poleciała oschle Margaret.

- Proszę! Zrobię wszystko. Zrezygnuję z kieszonkowego na cały rok. Wszystko posprzątam. Nigdy więcej nie będę niegrzeczna. Proszę...

Łzy spływały po policzkach Ellen. Chwyciła kurczowo za żakiet matki, która odwróciła się, chcąc odejść.

- On tam zamarznie!

- Musisz się nauczyć posłuchu, Ellen.

- Nie! Nie!

Krzyk narastał w niej i zaczął ją dławić, aż wyrwał się z ust dziewczynki, napęlniając sobą cichy dotąd dom. Margaret uniosła rękę i mocno uderzyła córeczkę w twarz.

- Przestań.

Dziewczynka przycisnęła dłoń do piekącego policzka i próbowała się uspokoić. Może gdy będzie cicha i grzeczna, Margaret zmieni zdanie i wpuści psa do domu. Na razie chce ją tylko przestraszyć.

- Najmocniej przepraszam, Margaret - powiedziała potulnie.

Powędrowała powoli schodami na piętro, do swojego pokoju, i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi.

Podeszła do okna, skąd widziała Sammy'ego na schodach. Wciąż siedział i patrzył na zamknięte drzwi. Uniosła rękę, żeby zastukać w szybę i zawołać go. Potem zdała sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli psiak zrezygnuje z czekania, aż go wpuszczą, i poszuka sobie jakiegoś ciepłego miejsca, w którym mógłby się ukryć. Później, kiedy Margaret pozwoli, wystarczy wyjść na zewnątrz i gwizdnąć na niego.

Usiadła na łóżku i zaczęła przyglądać się miękkiej, różowej wykładzinie w pluszowe misie i koniki na biegunach. Zaczęła liczyć, ile ich jest w każdym szeregu biegnącym w stronę drzwi i okna. Próbowwała zgadnąć, ile rzędków pluszowych misiów jest w całym pokoju. Ile koni na biegunach z tępych, uśmiechniętymi pyskami...

Mijał czas, słońce zaszło, do pokoju wkradł się mrok. Za oknem Sammy zaczął szczeleć. Było to ostre, pełne złości ujadanie, które po jakimś czasie zamieniło się w długie, żalosne wycie. Dziewczynka zamknęła oczy i przycisnęła ręce do uszu, ale wciąż słyszała psa.

Wróciła do okna. Padał śnieg, mocno zacinał w coraz większym mroku. Drzewa w ogrodzie rysowały się czarnym cieniem na tle śniegu. Sammy wyglądał przy nich jak mała plamka.

- Idź! - błagała Ellen.

Uciekaj do innego domu. Idź do szopy na drewno albo przebieralni. On jednak czekał, aż jego pani zejdzie z góry, wpuści go do domu, strzepnie z jego pleców śnieg i włoży go do ciepłego, miękkiego koszyka.

W końcu postanowiła zejść na parter. Margaret siedziała w salonie przy lampce i czytała czasopismo medyczne. Krag ciepłego światła padał na jej twarz. Gdy Ellen weszła, matka uniosła głowę i spojrzała na córkę pytająco, jakby nic się nie stało.

- Pada śnieg - szepnęła Ellen.

- I co z tego?

- Sammy siedzi pod drzwiami. Proszę, pozwól mi go wpuścić.

- Nie, Ellen. Pies zostanie na zewnątrz. Może dzięki temu w końcu czegoś się nauczysz.

Dziewczynka spojrzała na matkę z goryczą i złością w oczach.

- Przecież to ty mi go dałaś. Kupiłaś mi go na urodziny.

- Kupiłam go z okazji twoich urodzin - poprawiła Margaret. - Żeby dotrzymywał ci towarzystwa, gdy mnie nie ma w domu. Żebyś nie prosiła, że chcesz się bawić w ogrodzie albo po szkole odwiedzać koleżanki. Żebyś wiedziała, gdzie jesteś, i zawsze mogła do ciebie zadzwonić. Żebyś ty mogła zadzwonić do mnie. Gdyby stało się coś złego. - Urwała, czekając, aż jej słowa dotrą do córeczki. - Tymczasem ty biegasz do lasu. - Zajrzała do gazety. - Widocznie pies nie był dobrym pomysłem.

- Pozwolisz mu zamarznąć - szepnęła Ellen, nie kryjąc przerażenia. - Chcesz, żeby umarł.

- Opanuj się, Ellen.

Margaret odwróciła kartkę i znów zaczęła czytać.

- Nie! - krzyknęła Ellen. - Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Chcę, żebyś umarła!

W ciszy znów rozległo się wycie Sammy'ego. Margaret powoli uniosła głowę.

- Co powiedziałaś?

Ellen patrzyła na nią sparaliżowana strachem, szukając słów, które mogłyby cofnąć ją znad skraju przepaści...

Przepraszam. Przepraszam. Nigdy więcej tego nie zrobię, Margaret. Mamo. Przepraszam. Kocham cię. Te słowa krążyły po głowie dziewczynki, ale tym razem za nic w świecie nie chciały wyjść z ust.

- W porządku.

Margaret westchnęła i z wyrazem rezygnacji na twarzy wyszła z pokoju. Wróciła z otwartą torbą lekarską.

- Podwiń rękaw - poleciła, grzebiąc w jej wnętrzu. Wyjęła małą szklaną fiolkę, a wraz z nią strzykawkę i igłę.

- Co to jest? - Dziewczynka poczuła narastający strach.

- To jedyny sposób, żeby cię uspokoić.

Margaret pstryknęła palcem w górną część fiolki, napełniła strzykawkę i odwróciła się w stronę córeczki.

- Nie. Proszę.

Ellen stała w bezruchu i patrzyła, jak matka do niej podchodzi.

- Chcesz zabić i mnie - powiedziała przerażona.

- Nie bądź głupia.

Chwyciła drobną rączkę i potarła wacikiem. Dziewczynka patrzyła, jak igła przebija skórę i wsuwając się pod kątem, lekko unosi ciało.

Wysłuchiwała się w odgłosy nocy i smutne popiskiwanie psa, który wciąż czekał na śniegu. Tymczasem ze wszystkich stron otoczyły ją czarne chmury.

„Do widzenia, Sammy. Do widzenia, pieseczku. Mój jedyny przyjacielu”.

Nadszedł ranek, słońce zalało sypialnię małej Ellen. Okno wyglądało jak prostokąt jasnego błękitu. Ubrała się starannie w szkolny mundurek, stanęła przy szybie i spojrzała z piętra na ogród.

Zeszła na parter, zjadła śniadanie, miarowo żując i przełykając jedzenie, próbując nie patrzeć na pustą miseczkę Sammy'ego, stojącą przy tylnych drzwiach. Margaret była już gotowa do pracy. Miała na sobie czerwony kostium z dopasowaną kolorystycznie kamizelką. Była spokojna i chłodna, ukryła się za ciemnymi szklami okularów. Usta pomalowała na szkarłatny kolor.

Kiedy szły do samochodu, Ellen zatrzymała się na chwilę i rozejrzała wokół siebie. Na białym trawniku były tylko ślady ptaków. Samochód przez całą noc stał pod gołym niebem; na jego dachu i masce leżała gruba warstwa śniegu. Margaret szybko odczyściła przednią szybę. Ellen stała drętwo, czekając, aż otworzą się drzwi po stronie pasażera. Potem

wsiadła i patrzyła prosto przed siebie, gdy matka zaczęła powoli cofać samochód na podjeździe. W miejscu, gdzie stał wcześniej, widać było kawałek gołej ziemi. Leżał tam skulony mały, czarny piesek, który ułożył się tam, gdzie znalazł wątle ciepło promieniujące od silnika.

Ellen wyskoczyła z samochodu, upadła, poderwała się na równe nogi. Kątem oka dostrzegła rozchylone w zaskoczeniu usta Margaret. Stała nad Sammym i spoglądała na czarne futerko pokryte warstewką szronu. Drżącymi palcami dotknęła łebka. Był zimny.

- Sammy - szepnęła.

Próbowała wyprostować małe łapki, ale były sztywne, zamrożone. Piesek nie żył.

Odwróciła się, ostrożnie strzepnęła śnieg z butów i poprawiła skarpetki. Potem wsiadła do samochodu.

- Odbiorę cię ze szkoły - powiedziała Margaret. - Czekaj na mnie przed sekretariatem.

- Dobrze.

- Nie spóźnij się.

- Nie spóźnię się.

Ellen wbiła wzrok w ciemność. Wiatr się nieco uspokoił; zabłąkany pies poszedł gdzie indziej albo znalazł schronienie. Burza śnieżna ucichła, na czarnym niebie pojawił się blady księżyc, ale Ellen wciąż miała przed oczami twarz Margaret, twarz, której nie widziała od lat... Bacznie przyglądała się lekko skośnym, zielonym oczom i jasnym brwiom. Widziała, jak szminka zbiera się w kącikach ust, a nad górną wargą sterczą małe jasne włoski. W ciemnoróżowym wnętrzu nosa widać było drobniutkie żyłki. Każdy uśmiech ukazywał drobne, ostre zęby i odsłaniał dziąsła.

Twarz matki zniknęła, a jej miejsce zajął inny obraz. Margaret opalała się obok basenu, a za nią widać było otwarte drzwi przebieralni, świeżo pomalowane jasnozieloną farbą,

której kolor idealnie pasował do okiennic z powycinanymi serduszkami. W środku wisiały na haczykach suche ręczniki. Na podłodze leżały kolorowe kostiumy kąpielowe.

Margaret wyciągnęła długie, starannie ogolone nogi i poruszyła palcami. Błyszcząca powierzchnia wody odbijała promienie, które tańczyły na opalonej skórze kobiety.

- Dam ci następną lekcję pływania - zaproponowała, unosząc głowę spowitą w turban.

Dziewczynka spojrzała na nią, stojąc w drzwiach przebieralni i niespokojnie tupiąc jedną nogą o wyłożoną kafelkami posadzkę. Uśmiechnęła się nieśmiało. Chciała znaleźć się w gładkich ramionach matki i słyszeć z bliska jej głos. Wiedziała jednak, że ona będzie się odchyłać z obrzydzeniem i wpadnie w złość, jeśli córeczka się czegoś przestraszy albo napije wody, zacznie kaszleć czy machać rękami i nogami.

- Chodź.

Margaret ześlizgnęła się do basenu i wyciągnęła ręce. Ellen wskoczyła do zimnej wody i wpadła w objęcia matki. Poczowała zapach olejku do opalania, chloru i lakieru do włosów.

Margaret podtrzymała ją i kazała przebierać rękami i nogami jak pies, tak jak ją uczyła.

- Trzymaj głowę do góry. Tak. Dobrze. - Odsunęła Ellen od siebie. - A teraz machaj nogami.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Bardzo się starała, dlatego poczuła ogromną radość, gdy zaczęła powoli posuwać się do przodu.

- Płynę! - zawołała.

Matka cofnęła ręce. Mała odwróciła się przerażona; starała się machać rękami i nogami, ale mimo to zaczęła tonąć.

Margaret wybuchnęła śmiechem.

- Dobrze. Kop! Machaj rękami! Płyn! Kop!

Potem jej głos ucichł, zagłuszony przez bulgotanie wody. Ellen nadeła policzki, usiłując wstrzymać oddech, czekając,

aż sięgną po nią ręce matki. Ratunek jednak nie nadchodził. Dziewczynka walczyła jak szalona, młóćąc rękami i nogami, potem dotknęła nogą dna i odbiła się od niego. Czuła, że ból rozrywa jej płuca, które rozpaczliwie pragną powietrza, ale coś z góry naciska na jej głowę, przytrzymując ją pod powierzchnią. Sięgnęła do góry i zaczęła drapać długie, mocne palce, usiłując je zepchnąć ze swojej głowy. Niestety, one wciąż pchały. W dół. W dół.

Pomimo rozpaczliwej walki i przerażenia nagle uświadomiła sobie prawdę.

To Margaret.

To ona.

Potem ręce puściły głowę dziewczynki. Ellen odwróciła się, spojrzała w stronę powierzchni, która połyskiwała złociście, rozmywając tarczę słoneczną. Czuła się, jakby była w niebie albo przed obliczem Boga.

Potyając się, powędrowała przez ciemny dom do sypialni Ziggy. Stała w drzwiach i zaczęła cicho szlochać.

- Ziggy! - szepnęła. - Ziggy, obudź się... Przyjaciółka poruszyła się i przeciągnęła jak kotka. -Hmm? Otworzyła oczy, usiadła i próbowała zapalić lampkę.

- O co chodzi?

Ellen potrząsnęła głową i rzuciła się na łóżko.

- Pomóż mi - szepnęła, wpadając w ramiona Ziggy. Drżąc jak osika, rozplakała się w głos.

- Co się stało? - spytała Ziggy niecierpliwie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, po prostu przez kilka minut przytulała do siebie przyjaciółkę, kołyszając ją jak dziecko.

- Już wszystko w porządku, aniołku. Wyrzuć to z siebie. Odsunęła się na brzeg łóżka i ułożyła Ellen obok siebie.

Potem naciągnęła koce, przytuliła płaczącą i głaskała ją po włosach.

W końcu Ellen trochę się uspokoiła. Leżały obok siebie na plecach, a ich jasne i ciemne włosy przeplatały się jak smugi słońca i księżyca. Ziggy ponownie próbowała zapalić lampkę, ale okazało się, że nie ma prądu. Sięgnęła po zapalki i świeczkę; w ciemności zabrzmiały dobrze znane, ciche odgłosy. Błysnęło światło.

- Przypomniałam sobie wszystko - powiedziała Ellen. -Margaret... i to, co mi zrobiła.

Chciała wszystko opowiedzieć, ale znów zaczęła cichutko popłakiwać.

Ziggy nie odezwała się ani słowem, tylko ujęła ją za rękę. W pokoju panowała cisza, czas zatrzymał się w miejscu. Świeca migotała, po suficie poruszały się cienie.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytała w końcu Ziggy. Ellen potrząsnęła głową. Otarła ręką twarz i wzięła głęboki wdech.

- Nie chodzi wcale o krzywdę, którą mi wtedy wyrządziła. W końcu to działo się dawno temu. Było, minęło, ale dopiero teraz... zrozumiałam wszystkie swoje problemy z Zeldą. To była ona... Margaret. Odsunęła się od przyjaciółki.

- Zelda była małą dziewczynką, a ja matką, Margaret. Wszystko, co robiłam, pochodziło od niej.

Ziggy przytaknęła w ciemności. Długo milczała.

- Ale to też już przeszłość - powiedziała w końcu spokojnie. - Musisz odsunąć te sprawy, przestać o nich myśleć.

- Nie! - zaproponowała Ellen, unosząc się na łokciu i spoglądając na twarz Ziggy. - Nie mogę. Ze względu na Zeldę. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Mogłabym inaczej się zachowywać, na pewno, a przede wszystkim nigdy bym nie odeszła.

- Ale odeszłaś - przypomniawszy Ziggy zdecydowanie. -Zostawiłaś ją. Koniec, kropka. Nie masz po co oglądać się wstecz. - Usiadła i odwróciła się twarzą do Ellen. - Może dobrze, że sobie wszystko przypomniawszy. Na pewno dobrze.

Teraz możesz zostawić przeszłość raz na zawsze. Zamknąć stary rozdział. Zapomnieć o swych przeżyciach.

Chwyliła Ellen za ramiona, wbiła mocno palce w jej ciało, jakby chciała, aby ból pomógł Ellen zapamiętać słyszane słowa.

- To podstawowa zasada. Sprawdziła się w wypadku nas wszystkich. Dotychczas sprawdzała się też w twoim wypadku. Do diabła, Ellen, sama ją wprowadziłaś!

- W moim wypadku chodzi o coś innego... - zaczęła Ellen.

- Nie, Ellen! - przerwała przyjaciółka. - W każdym wypadku chodzi o to samo. Twoim też. Teraz masz szansę, by stać się silna.

- Nie - mruknęła. - Nie jestem silna. Nigdy nie będę.

- Jesteś. Musisz być - powiedziała Ziggy już nieco łagodniejszym głosem. - Pomożemy ci.

Położyła się i przyciągnęła głowę przyjaciółki do swej klatki piersiowej. Jej głos rozbrzmiewał w ciszy, łagodny i gładki jak aksamit.

- Pomożemy ci, Ellen. Teraz to my stanowimy twoją rodzinę. W bladych promieniach świtu Ellen przekradła się do

swojego pokoju, przysunęła ciężki fotel do zamkniętych drzwi, owinęła się kocami i zasiadła do pisania.

Opisała wszystko. Historię Margaret i Ellen. Historię Ellen i Zeldy.

Potem dodała krótki list.

Kochany Jamesie, napisałam Ci szczerą prawdę. Uwierz mi. Teraz wszystko wygląda inaczej. Muszę wrócić.

Po śniadaniu oznajmiła, że wybiera się do aśramu. Było to jedyne miejsce, gdzie zawsze chodziła sama. Ziggy badawczo przyjrzała się jej twarzy, potem kiwnęła głową i pocałowała na pożegnanie. Wyczuwając ból czy kłopoty, pozostałe kobiety obserwowały całą scenę w milczeniu, nie wiedząc, jak zareagować.

Ellen, zgodnie z zapowiedzią, poszła do aśramu, ale w drodze powrotnej zboczyła ze ścieżki, która prowadziła do domów na wzgórzu, i wstąpiła do szpitala.

Przy głównym wejściu Hindusi rozsunęli się, żeby ją przepuścić. Mijając ich, wyczuła woń środków antyseptycznych zmieszana z zapachem potu, czosnku i smażonego oleju.

- Słucham, memsahib. - Jakaś Hinduska wychyliła się z okienka w prowizorycznej ścianie, która oddzielała dyżurkę od korytarza. - W czym mogę pani pomóc?

Mówiąc to, zmagala się z kłódką, która zabezpieczała drewnianą skrzyneczkę nad tarczą czarnego telefonu.

- Chciałabym się zobaczyć z doktorem Cunninghamem - powiedziała Ellen. - Nie przyszłam na wizytę. To sprawa prywatna. Nie zajmę mu dużo czasu.

- Proszę zaczekać w poczekalni. - Gestem dłoni wskazała pomieszczenie po drugiej stronie korytarza.

Pomimo tłumy, który czekał przed drzwiami wejściowymi, w poczekalni były tylko dwie osoby. Siedziały w przeciwległych rogach, oddzielone rzędami krzesel i ław. Ellen skinęła uprzejmie głową elegancko ubranej Azjatce, która prawdopodobnie odwiedzała dziecko w szkole z internatem. Na miejscu po przekątnej siedział stary Tybetańczyk z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w gazetę, którą trzymał do góry nogami. Ellen usiadła na środku pomieszczenia i rozejrzała się. Na ścianach wisiały teksty biblijne i hasła propagujące zdrowie. Jej wzrok zatrzymał się na zdjęciu gór z cytatem umieszczonym na tle nieba:

On daje śnieg niby wełnę... Ciska swój grad jak okruchy chleba; od Jego mrozu ścinają się wody. Posyła słowo swoje i każe im tajać!

Słowa z pozoru nie miały sensu, mimo to dziwnie dodawały otuchy. Każe im tajać. Tajać. Przez płótno torebki dotknęła grubej koperty i poczuła ciepły przypływ nadziei.

- Memsahib...? - Recepcjonistka wsunęła głowę do poczekalni. - Proszę za mną.

Poprowadziła Ellen długim korytarzem, między pacjentami w zielonych piżamach. Niektórzy chodzili bez celu, obserwując mijających ich ludzi; inni z trudem poruszali się o kulach albo trzymali się ścian i z ogromnym wysiłkiem posuwali się do przodu. Amerykanka odwracała wzrok od otwartych drzwi, wyobrażając sobie wszelkie możliwe okropności: ludzi ze słoniowatością, cysty rozmiaru głowy albo nawet noworodka, zdeformowane ciała, nieskorygowane za pomocą operacji plastycznych, trędotwórcy o szponiastych rękach...

Dotarły do drzwi z wywieszką *Laboratorium*.

- Proszę tutaj zaczekać. Doktor Paul wkrótce przyjdzie - powiedziała Hinduska, wskazując ręką obrotowe krzesło obok przeszklonej szafki.

- Napije się pani herbaty? - spytał młody Hindus.

Miał na sobie biały niegdyś kitel. Zerkał znad tacy z próbkami ciemnej krwi, moczu i kału. Na biurku obok niego stał kubek herbaty z mlekiem.

- Nie, dziękuję - powiedziała Ellen, zmuszając się do uśmiechu.

- Proszę czuć się jak u siebie w domu - zaproponował laborant i wrócił do pracy.

Ellen odwróciła się w stronę szafki, w której rządkiem stały słoiczki, a w nich guzy, cysty i długie, zwinięte robaki pływały w aldehydzie mrówkowym. Na następnej półce dostrzegła zakonserwowane płody, zaledwie w połowie uformowane, maleńkie w porównaniu z resztkami pozwijanej pepowiny. Pochyliła się, by lepiej przyjrzeć się idealnym miniaturowym rączkom, błogo zamkniętym powiekom, szyjkom i pięknym główkom. Zobaczyła sieć żył i tętnic, deli-

katną pajęczynę, która prześwitywała przez jasną, półprzezroczystą skórę. Jedno z maleństw było silnie zdeformowane, miało zniekształcone, niewyraźne rysy twarzy, mimo to nadal było wzruszającym małym człowieczkiem.

Paul wszedł zamaszystym krokiem. Na widok gościa stanął jak wryty.

- Ellen! - zawołał.

Spojrząwszy na nią, dostrzegł zaczerwienione oczy i skórę poszarzałą ze zmęczenia.

- Co tu robisz? Jesteś chora?

Ożyły wspomnienia ich ostatniego spotkania.

- Przepraszam. - Ellen wstała. - Kazano mi tu zaczekać. Chciałam... chciałam się z tobą zobaczyć.

Paul przecesał palcami włosy.

- Oczywiście. Rozumiem. Długo czekasz? Nic mi nie powiedziano.

- Kilka minut - odparła Ellen. - Chciałam cię o coś poprosić. Myślałam, że będziesz wiedział... To potrwa minutę. Mówiła szybko, wyraźnie zażenowana.

Paul odpiął biały kołnierzyk i zerknął na zegarek.

- Posłuchaj, zbliża się pora lunchu - powiedział. - Zazwyczaj przynoszą mi coś do mieszkania. Co prawda to zwykle szpitalne jedzenie, ale wcale nie jest złe. Chyba że po prostu do niego przywykłem. Zjesz ze mną? To znaczy...?

Ellen przyglądała mu się niepewnie.

- Nie chciałabym zabierać ci czasu.

- To będzie dla mnie przyjemność - zapewnił, rozkładając ręce w geście, którym obejmował pokój, pracę, szpital. - Jakaś odmiana... Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

Poczuła miłe ciepło wewnętrzne. Odprężyła się, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Skoro już tu jest, może na chwilę zostać. Zapragnęła nagle pobyć z dala od domu, dać się porwać strumieniowi wydarzeń.

- Dziękuję. Chętnie.

Ich oczy spotkały się; żadne nie odwróciło głowy.

- Salim! - zawołał Paul do laboranta. - Idę zjeść lunch. Poproś Mandi, żeby przysłała dwie porcje.

Mężczyzna przytaknął.

- Jasne. Załatwione.

Ellen powędrowała za Paulem następnym korytarzem. Hinduska pielęgniarka zatrzymała go, podbiegając z notatnikiem. Szybko przejrzał tekst i napisał coś na dole kartki. Tutaj, w swoim królestwie, sprawiał wrażenie całkiem rozluźnionego, a stetoskop zwisał mu z szyi jak medal.

- Dziękuję, panie doktorze - powiedziała pielęgniarka. Odchodząc, zmierzyła wzrokiem Ellen.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Paul. Wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi w końcu korytarza. Odsunął się, by przepuścić Ellen przodem. - Nie ma jak w domu - dodał.

Wszedł za gościem do środka i skierował się prosto do umywalki, gdzie starannie umył ręce mydłem i wodą. Ellen rozejrzała się po dużym, jasnym pokoju. Był skromnie umeblowany: biurko, szafa, stół i krzesła. Dostrzegła też starannie zasłane wąskie łóżko. Na podłodze obok niego leżała opaska, czarna Biblia, zniszczona od częstego używania. Na jednej ze ścian wisiało kilka oprawionych zdjęć, na drugiej książki porozstawiane starannie na regale z cegieł i desek. Podłogę pokrywały kolorowe indyjskie dywaniki, łagodzące surowość pomieszczenia. Mimo to nadal przypominało Ellen biuro, salę konferencyjną albo ich własny dom na wzgórzu.

- Mieszkasz tu przez cały czas? - spytała.

- Kiedyś miałem inne mieszkanie - odparł Paul.

Nalał świeżej wody do miednicy i gestem zaprosił Ellen do umycia rąk.

- Ale teraz jestem jedynym lekarzem i muszę mieszkać na terenie szpitala - wyjaśniał.

-Widziałam tylko Hindusów. Czy jest jeszcze jakiś... inny...?

- Biały człowiek? - zazartował Paul. - Nie. Od czasu do czasu pojawia się ktoś do pomocy, ale w tej chwili jestem jedynym obcokrajowcem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Weszła kobieta z głową pochyloną nad pełną tacą. Oboje patrzyli, jak ustawia na stole miski z jedzeniem, karafkę z wodą i dwa mosiężne kubki. Zmierzyła ich wzrokiem; było to niemile spojrzenie, jakby byli niegrzecznymi dziećmi.

Kiedy wyszła, usiedli. Nagle poczuli się niezręcznie.

- Odmówmy modlitwę - zaproponował Paul.

- Tak. Oczywiście.

Ellen złożyła ręce na kolanach i spojrzała na swój talerz. Zapadło milczenie. Odczekała chwilę, a potem ostrożnie uniosła głowę. Paul rozrywał już *chapati*.

- Musieli chyba przeprowadzić w kuchni małą rewolucję - powiedział, podając Ellen talerz. - Przysłali sztucce. Więc możesz z nich skorzystać.

On jadł jak tubylcy, palcami, zanurzając *chapati* w misce z curry.

- W poniedziałki jest zawsze *channa*, łuskany groch. Nie takie złe.

- To ciekawe - powiedziała Ellen uprzejmie.

Jedli w milczeniu, przeżuwając ze skrępowaniem i uśmiechając się nieśmiało, ilekroć napotkali swój wzrok.

- Jak wam leci? - spytał Paul. - Słyszałem, że znów jest was więcej.

Przytaknęła.

- Prawdę mówiąc, myślimy o przeniesieniu się do większego domu. Potrzebujemy takiego, w którym byłoby więcej pokoi.

Paul kiwnął głową, ale nie skomentował jej słów. Dalej jadł. Ellen zlizwała sos, który spływał jej po ręce.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał, wracając do swej roli lekarza.

- To naprawdę nic wielkiego - odparła. - Po prostu chciałabym wysłać do Australii list. Jest za długi na teleks, ale bardzo pilny i ważny. Może wiesz, co trzeba zrobić, żeby tam dotarł, i to szybko?

- Zwykle niewiele mogę zrobić - wyznał Paul. - Ale w piątek wybieram się do Delhi. Jeśli chcesz, mogę zabrać list. Prawdopodobnie w taki lub inny sposób uda mi się wysłać go samolotem lecącym bezpośrednio do Australii.

- Och, to byłoby cudownie! - sapnęła Ellen. - Dziękuję. Spojrzawszy na swoje palce, zorientowała się, że zdrapuje

ze stołu łuszczącą się farbę.

-Dobrze się czujesz? - spytał Paul. - Wyglądasz... na zmęczoną.

Uniosła głowę. Sprawiał wrażenie delikatnego, życzliwego i mądrego. Miała ochotę o wszystkim mu powiedzieć...

- Tak, tak, dobrze.

Wyjęła list i wraz ze zwitkiem banknotów położyła na stole.

- Zależy mi bardzo, by doszedł. Mam nadzieję, że to wystarczy. Jestem ci naprawdę wdzięczna.

- Nie ma za co.

- Ten list jest dla mnie bardzo ważny.

- Będę go strzegł jak źrenicy oka - zapewnił, unosząc rękę w żartobliwej przysiędze.

Uśmiechnęła się, zaskoczona ciągle trwającym wrażeniem wewnętrznego ciepła. Być może wspomnienia, które odżyły ostatniej nocy, otworzyły w jej wnętrzu jakąś zamkniętą na głucho od lat studnię.

- Prawdę mówiąc, wyjeżdżam - powiedział Paul. - Opuszczam Musoorie.

Nie przestawała się uśmiechać.

- Na dobre? Jutro?

- Nie. Jadę do Delhi, żeby pozłatwiać różne sprawy, natomiast pracę tutaj kończę za miesiąc. Potem przenoszę się do Bangladeszu, by przejąć szpital, który założył mój ojciec.

- Bangladesz - powtórzyła. - Gdzie to jest? Daleko stąd? Myśl, że Paul wyjeżdża, obudziła w niej nadzieję. Jeśli on może opuścić Musoorie, to ona też. Może wrócić i poszukać Zeldy... Zobaczyć córeczkę, spotkać się z nią.

- Niegdyś był to Pakistan Wschodni.

- Och, wyjeżdżasz za granicę - stwierdziła Ellen bez zastanowienia, potem zarumieniła się zawstydzona.

- Moje miejsce tutaj zajmie doktor Laska. Na pewno okaże się pomocny.

- W takim razie do widzenia.

- Nie martw się o list. Dopilnuję wysłania go. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - A gdybyś kiedyś wybierała się na wschód, zajrzyj do mnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął białą wizytówkę. Wręczył ją Ellen, dodając:

- Tam będę.

Karteluszek był zapisany najzwyczajniejszym krojem czcionki.

Doktor Michael Cunningham, lekarz medycyny, chirurg

Szpital Miejski

Bagherat

Pakistan Wschodni

- Michael Cunningham, twój ojciec... - szepnęła Ellen. Paul przytaknął.

- Zawsze chciał, żebym przejął po nim praktykę. Zapadła chwila ciszy. Paul uśmiechnął się ze znużeniem.

- Czasami zastanawiam się, czy miałem wybór.

- Nie chciałeś zostać lekarzem? - spytała.

- To nie takie proste. Raczej nigdy tak naprawdę nie zastanawiałem się, czy mógłbym robić coś innego. A teraz, kiedy ojciec nie żyje, objęcie po nim schedy wydaje mi się jeszcze ważniejsze.

Przytaknęła.

- Musiałeś go podziwiać.

- Owszem - przyznał Paul, z zamyślenia marszcząc czoło. - Podziwiałem go. To całkiem normalne u dzieci, prawda? Chłopcy chcą być tacy jak ojcowie, a dziewczynki, jak przypuszczam, naśladowują matki...

Chociaż Ellen patrzyła na niego, przed jej oczami przesuwały się inne obrazy. Margaret, matka. Zelda, córka. Ona, między nimi - jednocześnie córka i matka. Łączące je nici: złość i radość, miłość i strach... Ból ścisnął jej gardło. Zmusiła się do uśmiechu, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Opowiedz mi o miejscu, do którego się wybierasz. Czy jest tam ładnie?

- To nisko położony i często zalewany teren. Zawsze tak było, ale gdy powycinano lasy w górnym biegu rzeki, w Nepalu, równowaga wodna została zachwiana. Teraz deszcze po prostu spływają z gór, rzeki błyskawicznie przybierają, a gdy dotrą do delty, występują z brzegów. Nie podobało się władzom Kalkuty, że miasto bez przerwy jest podtapiane, więc wybudowali wielką groblę, która jeszcze pogorszyła sytuację w Bangladeszu. Rzeki zalewają tam ogromne tereny, zmywają żyzną glebę i pokrywają warstwą piasku pola uprawne. Całe wioski spływają do morza. Chaty, zwierzęta, zboże. Ludzie. Nagle urwał. Zapanowało krótkie milczenie, przerywane tylko przez dobiegający z oddali płacz dziecka.

Ellen nie odrywała wzroku od twarzy lekarza. Przypomniała sobie, co powiedział, gdy był w ich domu.

- Twój rodzice... - szepnęła. Paul przytaknął.

- Bagherat leży nieco wyżej, ale oboje właśnie odwiedzali nadmorską wioskę. Leczyli, próbowali szerzyć oświatę zdrowotną i pewnie wygłaszali kazania. - Uśmiechnął się smutno. - Wiesz, mieszkańcy tamtych terenów czczą rzeki. Zwłaszcza Ganges. To dla nich święta matka, dawczyni życia. Teraz uważają, że odwróciła się od nich. Żyją w ustawicznym strachu przed nią.

Ellen wbiła wzrok w podłogę.

- To musi być dla nich zdumiewające - domyśliła się. - Pewnie próbują zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

Święta matka. Dawczyni życia. Anioł śmierci.

- Tak to już jest - odparł Paul. - To dziwne miejsce. Wstał i zaczął zbierać talerze. Ellen podała mu swój.

- Masz zamiar im pomagać? - spytała. Paul wzruszył ramionami.

- Trudno w takim miejscu o postęp medyczny. Człowiek po prostu jeździ po okolicy, robi wzmacniające zastrzyki wygłodniałym malcom, przeszczepia rogówkę ludziom, którzy oślepli, bo nie mieli lekarstw, by wyleczyć najzwyczajszą infekcję oka. Tego typu rzeczy. Myślę, że to trochę im pomaga.

Znów zapadło milczenie. Ellen wzięła do ręki garnuszek na wodę i przyjrzała się bacznie wzorkowi wurytemu w mosiądzu. Zmarszczyła czoło i uniosła głowę.

- Czy to cię nie męczy? - spytała. - Pomaganie innym? Naprawianie rzeczy, na które nie masz żadnego wpływu? - Jasne! Przez cały czas! - Paul uśmiechnął się promiennie. - Ale kiedy zaczynam myśleć o ucieczce, zawsze zdarza się jakiś cud, jak na przykład to...

Wyjął z kieszeni małą płócienną torebkę, ściaganą sznurkami. Podał ją Ellen.

- Pociągnij za krótsze sznurki.

Gdy to zrobiła,, torebka otworzyła się. W środku była karteczka. Wyjęta ją i odwróciła. Wyglądała jak kartka wyrwana z zeszytu. Na nadrukowanych błękitnych liniach ujrzała dwa słowa napisane niewprawną ręką. - Dziś rano pojawiła się u mnie pewna kobieta - wyjaśniał Paul. - Pamiętam, że operowałem ją dwa albo trzy lata temu. Miała na imię Paminda. Długo leżała w szpitalu, a podczas całego pobytu fascynowały ją książki, gazety, formularze, wszystko, co zawierało napisane słowa. Kiedy wychodziła ze szpitala, powiedziała mi, że ma zamiar nauczyć się czytać i pisać. Droga do jej wioski zajmuje co najmniej dwa dni, ale

wróciła dzisiaj, aby mi pokazać, że dotrzymała słowa. - Ruchem głowy wskazał kartkę. - To jej imię i nazwisko. Napisane jej własną ręką.

- Czy przed leczeniem w szpitalu nigdy nie pomyślała, żeby iść do szkoły? - spytała Ellen.

- Zanim przyszła do szpitala, była ślepa - odparł Paul. Wyciągnął rękę i wziął torebkę.

Ellen poczuła miękkość lekkiego, tkanego ręcznie materiału, który leżał na jej dłoni.

- Więc sama widzisz...

Niczego więcej już nie dodał, jakby było jasne, że w złożonym karteluszkach i ładnie zszytym kawałku materiału ukrywa się ziarenko nadziei, sposób, by znaleźć odwagę i robić dalej to, co dotychczas.

Gdzieś w szpitalu zadzwonił dzwonek. Paul zerknął na zegarek.

- Muszę iść - powiedziała Ellen, wstając. Spojrzała na list, który wciąż leżał na stole. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparł Paul. - Zawsze do usług. Spojrzeli na siebie z pewnym żalem. Czas dobiegł końca,

a oni przeoczyli chwilę, w której ich ścieżki mogły się zetknąć.

- No cóż... - Ellen szukała słów na pożegnanie. - Życzę ci szczęścia, we wszystkim.

- Dzięki. Ja tobie też. Odprowadził ją do drzwi.

Idąc spokojnie mrocznym korytarzem, czuła na sobie wzrok Paula.

24

Ziggy i Ellen siedziały obok siebie na tylnym siedzeniu taksówki i wyglądały przez okno. Resztki śniegu stopniały i wzgórza pokryły się zielenią. Na przedmieściach Musoorie starcy siedzieli przed domami, rozkoszując się wiosennym słońcem.

Taksówkarz wychylił się przez okno, żeby sprawdzić drogę.

- Ulica być zła - powiedział.

- Jedź - uparła się Ziggy. - To tuż za zakrętem.

- Zła droga - powtórzył.

- W porządku. - Ellen machnęła ręką. - Dalej pójdziemy pieszo.

Wysiadły i powędrowały wąskim traktem. Wysokie drzewa stykały się nad ich głowami, a gęste poszycie wdzierało się na drogę.

- Trzeba będzie wyremontować tę drogę - zauważyła Ziggy. - I zrobić jeszcze kilka innych rzeczy.

Odwróciła się do Ellen. Oczy błyszczały jej z podekscytowania.

- Ale zaczekaj chwileczkę. Sam dom jest cudowny!

Za zakrętem ujrzały pierwsze, pozbawione dachów zabudowania o częściowo zawałonych ścianach. Na klepisku widać było osmalone pozostałości pieców kuchennych.

- Nie martw się, reszta nie wygląda tak źle - zapewniła ziggy.

Przeszła szybko niewielki odcinek, a potem zatrzymała się i wskazała przed siebie.

- Spójrz tam.

Stały na skraju naturalnego amfiteatru. Przed nimi roztaczało się szerokie, płytkie zagłębienie, zarośnięte niską trawą i typowymi dla tych okolic krzakami. Po przeciwnej stronie teren wznosił się aż do fasady okazałego domu z greckimi kolumnami i łukowymi oknami. Stał na skraju urwiska, za nim było tylko niebo.

- Agent powiedział mi, że to klasyczna budowla w stylu regencji - wyjaśniła Ziggy. - Chociaż nie bardzo wiem, co to oznacza... A łuki są typowo mongolskie.

Odwróciła się do Ellen.

- Prawda, że cudowny?

- O, tak - sapnęła Ellen. - Trochę jak... ze snu.

Zeszły w dół po niskiej trawie i powędrowały w stronę domu. Wznosił się nad nimi, mocno posadowiony na skałach i pełen tajemnic przeszłości. Niestety, otwarte okna nie miały szyb, drzwi leżały wyłamane. Zniszczone, łuszczące się ściany pokrywało graffiti.

- To prawie ruina - zauważyła Ellen z powątpiewaniem.

- Wystarczy remont kosmetyczny - odparła Ziggy pewnym głosem. - Ściany są mocne. Tak samo większa część dachu. Dwa lata temu, gdy tę okolicę nawiedziło trzęsienie ziemi, Czerwony Krzyż miał tu siedzibę. Wymienili wtedy instalację wodno-kanalizacyjną, doprowadzili prąd i pokryli dachem kwatery dla służby. - Wskazała dwa długie budynki z identycznymi rządami niewielkich okien.

- Musiało tu mieszkać wielu służących - skomentowała Ellen. - O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że była to siedziba jakiegoś urzędu kolonialnego.

Ziggy uśmiechnęła się promiennie.

- Tak. Królewskiego Instytutu Badań Trygonometrycznych, z zastrzeżeniem, że człowiek, który nim kierował, był, powiedzmy, nieco ekscentryczny. Wieść gminna niesie, że miał tu harem.

- Żartujesz! - zaprotestowała Ellen.

- Nie. Tak powiedział agent! Oczywiście, w tym domu straszy. - Przyjrzała się bacznie twarzy przyjaciółki. - Podoba ci się, prawda?

- Jest śliczny - odparła Ellen. - Kolumny pięknie wznoszą się ku niebu...

- Weźmiemy go? Może udałoby się nam wprowadzić do niego przed następną zimą. Nawet nazwę ma idealną. Everest House. Zamówimy papeterię z wytłoczonym...

- Stop! - przerwała jej Ellen. - Na razie powiedziałam tylko, że przyjadę i zobaczę dom. To wszystko. Nie jestem gotowa do podejmowania żadnych decyzji.

- Taak, oczywiście. - Ziggy uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Nie zapominaj jednak, że naprawdę musimy za-

cząć działać. Przyjeżdża coraz więcej ludzi. Nawet jeśli powiesz „nie”, nadal będą się pojawiać.

Ellen przeczesła palcami włosy, odgarniając je od twarzy. Ze zmarszczonym czołem spoglądała w dal. Zapadło długie milczenie, pełne niewypowiedzianych słów. Czowała, że ugrzęzła w planach Ziggy jak w pułapce. Jednocześnie wciąż kurczowo trzymała się nikłej i trudnej do zrozumienia nadziei, że koniec końców przyjdzie list od Jamesa, a wraz z nim propozycja, by wróciła do dawnego, normalnego życia. I do roli matki.

- No cóż - powiedziała w końcu. - Sądzę, że jeśli będę musiała odejść, poradzicie sobie beze mnie.

- Nie zaczynaj wszystkiego od nowa! - Ziggy machnięciem ręki odsunęła na bok obiekcje Ellen. - Chodź tutaj... - zachęcała ją.

Weszły do chłodnego, cienistego hallu i kluczyły między kawałkami oderwanego tynku, stertami ptasich odchodów i poczerńiałego drewna opałowego.

- W okolicy nie brakuje dobrych fachowców - rzuciła Ziggy przez ramię. - Podobno Ravi Nair przeprowadził w swoim domu gruntowny remont. - Otworzyła drzwi. Ujrzały snop światła słonecznego, w którym wirowały kłęby pyłu. - Możemy go poprosić o radę.

Ellen znalazła się wraz z przyjaciółką w dużej, jasnej komnacie, której okna wychodziły wprost na bezkresne niebo. W pobliżu drzwi widać było czarną dziurę po kominku i ślad po gzymsie na tle odpadającego tynku.

- Widzisz to? - Ziggy wskazała wąski, geometryczny fryz, który biegł wokół komnaty pod sufitem.

- Przypomina grecką świątynię!

Ellen podeszła do jednego z okien. Wydawało się, że na zewnątrz nie ma nawet tyle miejsca, żeby stanąć; grunt opadał stromo aż do leżącej o trzysta metrów niżej doliny.

Ziggy stanęła za przyjaciółką.

- Pomyśl, jak dobrze byłoby tu zamieszkać. Wystarczająco daleko od Musoorie, żeby zapewnić sobie prywatność,

a jednocześnie tak blisko, że nasi goście mogliby łatwo dojechać. Trochę jak prywatne królestwo. Będziemy miały odpowiednią kuchnię i prawdziwego kucharza. Każemy zagospodarować ogród. Wstawimy fontannę, rzeźby. - Jej słowa zdawały się spływać na świat, który znajdował się u ich stóp. - Weźmiemy ten dom w wieloletnią dzierżawę. To będzie nasz własny raj.

Położyła delikatnie dłoń na ramieniu Ellen. Stały tak przez chwilę, nie odzywając się. Potem Ellen zerknęła na zegarek.

- Pora wracać - stwierdziła.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale Ziggy złapała ją za łokieć.

- Zaczekaj. Mam coś dla ciebie. - W jej głosie słychać było napięcie. - Zostało dostarczone przez specjalnego posłańca, więc kierownik poczty przyniósł to osobiście. Pokwitowałam odbiór. Djoti koniecznie chciał ci to sam dostarczyć, ale powiedziałam, że lepiej będzie, jeśli ja to zrobię.

Wyjęła kopertę.

- Od Jamesa. - Spojrzała badawczo w oczy Ellen. - Podejrzewam, że znów do niego napisałaś.

Ellen patrzyła na kopertę jak zahipnotyzowana.

- Otwórz - powiedziała przez zaciśnięte gardło.

- Mam przeczytać? - spytała Ziggy cicho.

Gdy dostrzegła lekkie skinienie głowy przyjaciółki, rozerwała kopertę, wyjęła kilka złożonych kartek i rozprostowała je. Wzięła głęboki wdech, a potem przeczytała, nie robiąc żadnej przerwy:

- Kochana Ellen! Gdy wyjechałaś, Zelda bez przerwy pytała, kiedy wracasz. Początkowo udzielałem jej wymijających odpowiedzi. Była mała, więc myślałem, że wkrótce o Tobie zapomni. Nie zapomniała. Nie wiedziałem, jak jej wytłumaczyć to, co się wydarzyło, więc w końcu powiedziałem, że zginęłaś w wypadku samochodowym. Wydawało mi się, że to najlepsze roz

wiązanie. Dzięki temu nigdy się nie dowie, że jej matka odeszła. Jestem pewien, że rozumiesz, jakie to ważne.

To, co piszesz, wiele wyjaśnia, ale dla nas jest już za późno, Ellen, dla Zeldy też. Nie możesz wrócić. Nigdy Ci na to nie pozwolę. Nie chcę Ci grozić, ale muszę postawić sprawę jasno. Załączam kopię listu, który napisałaś, gdy od nas odchodziłaś. Na podstawie Twojego wyznania sąd zakazał Ci kontaktów z dzieckiem. Dołączam również kopię wyroku.

Przykro mi, ale zrobiłem to, co uważałem za słuszne. Dla dobra Zeldy. Jest tylko dzieckiem. Przykro mi.

James

Ptaki ćwierkały w ciszy, a echo naśladowało ich piskliwe krzyki.

- Są tutaj... wszystkie dokumenty - dodała Ziggy, przeglądając szybko pozostałe kartki. - I to.

Wyciągnęła rękę ze zdjęciem.

Mała dziewczynka pochylała się nad lukrowanym tortem, w którym tkwiły płonące świece. Jej oczy błyszczały z podniecenia, miała nadęte policzki - lada chwila zdmuchnie świece.

Ellen przysunęła się do przyjaciółki, ale nie wzięła fotografii do ręki.

- Boże, jaka ona jest podobna do ciebie! - szepnęła Ziggy. Za dziewczynką stał mężczyzna z dumą marszczący czoło.

Jego dłoń spoczywała na czerwonym podkoszulku Zeldy, palce dotykały gołej skóry jej szyi.

Ellen sapnęła. Baczenie przyglądała się zdjęciu, odnotowując każdy szczegół i co chwila wracając do ciemnych oczu dziecka.

- Dobrze wygląda, prawda? - spytała w końcu. - Sprawia wrażenie szczęśliwej.

- Na pewno - potwierdziła Ziggy. - Wygląda wspaniale. Objęła mocniej Ellen i odciągnęła ją od okna.

- Chodźmy do domu - zaproponowała.

- Nie. - Ellen strząsnęła jej rękę. - Nie chcę. - Jej głos był zachrypnięty od bólu. - Nie zniosę tego...
- Zniesiesz, zniesiesz - zapewniła Ziggy spokojnie. - Po prostu musisz iść przed siebie, nie przystając. To jedyny sposób.

- Nie! - jęknęła Ellen. - Nie mogę.

Przyjaciółka chwyciła ją za ramiona i odwróciła twarzą do siebie.

- Spójrz na mnie - nakazała. - Będę z tobą. Pomogę ci. - Oddychała głęboko, spokojnie. - Nic się nie zmieniło. - Jej głos brzmiał uspokajająco, jak głos matki. - Po prostu będziemy szły naprzód, tak jak dotychczas.

Ellen patrzyła w jej oczy. Były jasne i przejrzyste jak paciorki z zielonego szkła. Dostrzegła w nich miłość, współczucie i ciepło, ale czaiło się w nich jeszcze coś, coś mocnego i zdecydowanego. Ellen zmarszczyła czoło i jeszcze głębiej spojrzała w zielone oczy. Niezależnie od tego, co to takiego, już się kiedyś z tym spotkała...

Nagle doznała olśnienia. Przypomniała sobie twarz Lucy, jej pełne blasku, rozmarzone oczy, kiedy wytyczała ścieżkę, którą powinno biec życie córki. Ziggy była tylko marionetką w jej rękach, dostała do ręki gotowy scenariusz i została wypchnięta na scenę, a gdy odnosiła sukcesy, matka pławiła się w ich blasku... Kiedy okazało się, że kukielka ma pewną usterkę, marzenie przeobraziło się w koszmar senny. Ellen zdała sobie sprawę, że teraz to ona ma funkcjonować według scenariusza przygotowanego przez Ziggy, która ostrożnie, krok po kroku pomogła przyjaciółce przejąć rolę swami, nauczycielki, liderki, kobiety, której imię przyciąga obcych do domu, tak jak niegdyś Liberty przyciągała tłumy do teatrów i na stadiony.

Ellen odwróciła się do okna i spojrzała w groźną przepaść. Próbowała myśleć logicznie, przebić się przez otaczającą ją chmurę bólu i niepokoju. Czy przyjaciółka ją zdradziła? Wykorzystała? Czy po prostu wie, co jest najlepsze...

dla nich obu? Tak czy inaczej, bardzo jej zależało, żeby Ellen była nadal tym, kim jest. Czuła się bezpieczna i szczęśliwa, stojąc za plecami stworzonej przez siebie postaci. Oczywiście, można było odmówić albo się od niej uwolnić. Tylko po co? Co Ellen by wtedy zrobiła? Zerkając na ścisną w ręce fotografię, poczuła ostry ból. Nie miała żadnego innego wyjścia.

Poczuła ogromne znużenie. Spojrzała na kamienne rumowisko za oknem. Kusiło ją, żeby odbyć ostatnią podróż, poszybować w przepaść. Nagle przyjaciółka mocno objęła ją ramieniem i odciągnęła do tyłu.

- Wszystko w porządku - mruknęła tuż przy uchu Ellen, kołysząc ją jak dziecko.

Ellen oparła głowę na jej ramieniu i zaczęła płakać. Czuła, że powoli ogarnia ją spokój.

W milczeniu wracały do Musoorie. Ellen trzymała w ręce list i zdjęcie, ale patrzyła prosto przed siebie, gdy samochód podskakiwał na wybojach drogi. Ziggy siedziała blisko, co chwila zerkając na przyjaciółkę. Wkrótce dotarły do miasta i zaczęły przejazd przez zatłoczony bazar. W samochodzie panowała niezręczna cisza. Kierowca z zaciekawieniem obserwował swe pasażerki w lusterku wstecznym.

Twarz Ellen była chłodna i nieprzenikniona. W końcu kobieta rzekła:

- Możemy się tam przeprowadzić.

Ziggy powoli wypuściła powietrze z płuc, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

- A tak przy okazji... - powiedziała po chwili. - Gdy zobaczysz Djotiego, powiedz mu, że przekazałam ci ten list, dobrze? Wiesz, jaki on jest... i jak cholernie poważnie traktuje swoje obowiązki...

Gdy droga się skończyła, wysiadły z samochodu i powędrowały ścieżką w stronę domu.

W lesie było chłodno i spokojnie. Ellen szła powoli, korzystając z siły, którą czerpała z grubej warstwy gęstego

mchu i ciężkich konarów starych drzew, tak starych, że ich wiek można by było policzyć tylko dzięki słojom w pniach. Ziggy szła za przyjaciółką. Ich stłumione przez mech kroki złączyły się we wspólny rytm, potem rozerwały się na dwa niezależne odgłosy. Obydwie dyszały, z trudem wspinając się pod górę, aż w końcu dotarły na skraj trawnika.

Ujrzały wówczas, że obok fontanny stoi smukły młodzieniec czy też młody mężczyzna, przy którego nogach leży wypchany plecak. Wyglądał jak zagubiony okręt wśród zielonego bezkresnego oceanu.

- Toć to jeszcze dziecko! - sapnęła Ziggy.

Młodzieniec spojrział na nią, a potem skupił wzrok na Ellen. Dość długo stał bez ruchu, jakby bał się każdego gestu. W końcu jednak podszedł do niej bez słowa.

- Cześć - powiedziała Ellen, kiedy się zbliżył.

W jego oczach błyszczały powstrzymywane łzy i tęsknota. Uśmiechnęła się, chociaż czuła, że jej samej zbiera się na płacz.

- Jestem Ellen - oznajmiła.

- Wiem.

- A ty kim jesteś? - spytała łagodnie.

- Synem Jerry'ego McGee - odparł.

- I masz na imię Jesse - uściśliła Ziggy.

Przytaknął, spojrział na swoje wysokie botki i ślady pozostawione na trawniku.

- Nie chciałem tu przyjeżdżać. Marzyłem o tym, żeby wrócić do domu.

Ellen bez słowa objęła go ramieniem i poprowadziła powoli przez trawnik.

Ziggy zarzuciła sobie na plecy jego plecak i powędrowała za nimi.

Ludzie mówią, że jesteś dobra, mądra i silna. Niczego nie potrzebujesz, ale oni potrzebują ciebie.

Ellen otoczyła się tymi słowami, wszystkim tym, co o niej mówiono. Stworzyła z nich tarczę, za którą próbowała ukryć swój ból; zbroję, która umożliwiała przetrwanie.

Zatrzymała się pod osłoną drzew na skraju głębokiego, dzikiego lasu. Po drugiej stronie trawnika stał dom. Na parterze wszystkie okna były zamknięte i ciemne, gotowe na powitanie nocy, ale na piętrze nie pozamykano jeszcze okiennic, dlatego też z okien padało światło, a ćmy uderzały o siatki, które zamontował Djoti. Do Ellen dotarły ciche głosy kobiece, uspokajające, zapewniające bezpieczeństwo, łagodzące ból. Wciąż tu jesteśmy - mówiły. Potrzebujemy ciebie, a ty potrzebujesz nas. To wszystko.

Do oczu Ellen napłynęły łzy. Opuściła schronienie, jakie zapewniał jej las, wyszła na trawnik i minęła zadbane ogród Ziggy. Gdy zbliżyła się do werandy, po obu stronach drzwi zobaczyła nierówne linie ustawionym tam butów: skórzane sandały Kate, kilka par haftowanych, indyjskich pantofli, klapki z rzemykami, należące do Ruth, wysokie botki Skye, a na samym końcu amerykańskie adidas Jessego McGee.

To prawda - pomyślała. To jej nowa rodzina. Tu jest jej miejsce. Musi robić to, co dotychczas. Będzie to robić, podnoszona na duchu przez nadzieję przyjaciół, bezpieczna dzięki ich marzeniom.

CZESC IV

25

New Delhi, Indie, 1993

Zelda budziła się powoli. Wynurzała się ze snu z poczuciem zagubienia i samotności. Rozejrzała się po skromnym pokoju z pastelowymi zasłonami, białą porcelaną i czarnym ekranem telewizora. Nic z wystroju wnętrza nie zdradzało, w jakim zakątku świata ów pokój się znajduje.

Obok drzwi stał plecak, który przypominał pozbawiony kończyn tułów, oparty o ścianę. Zatrzymała wzrok na zniszczonym materiale, pokrytym plamami z węgla drzewnego z obozowiska i smaru silnika z jeepa. Na klapie widać było zarys amerykańskiej flagi, która jednak bardziej przypominała teraz przetartą łąkę z kolorowymi nitkami. Niegdyś był to plecak Jamesa. Zabrał go, gdy opuszczał rodziców i wyjeżdżał na studia, a potem nie rozstawał się z nim niezależnie od tego, dokąd się wybierał. Swego czasu - jak mawiał -plecak stanowił nieodłączną część jego samego. Dał go Zel-dzie, gdy jechała z klasą na swój pierwszy obóz, założył go na jej wąskie ramiona i dopasował paski. Plecak był duży i miękki, a znajdowała się w nim szczoteczka do zębów, piżama, śpiwór i latarka. Wyglądasz jak żółw - zażartował i pocałował córkę w policzek.

Stary, mocny, choć zniszczony plecak stał teraz w hotelowym pokoju, stanowiąc jedyną pozostałość po wszystkim, co stracone. Zelda odwróciła się i ukryła twarz w poduszce. James nie żyje. Odszedł. Mama żyje. Jest tutaj. Te słowa brzmiały jak mantra, a co więcej, łączyły w jedno pasmo ból i nadzieję; przypominały drut kolczasty ozdobiony aksamitnymi kokardkami. Drut, który obracał się w jej wnętrzu, rozdzierając serce i dławiąc gardło strachem... albo radością. Leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit i śledząc wąskie szczeliny na gzymsie.

Umysł rządzi materią - powtarzała sobie. Bądź odważna. Pamiętaj, jak wychował cię ojciec. Nie okazuj emocji.

Ból powoli minął. Wiedziała, że wróci, gdy pojawi się po temu okazja, przeniknie przez sformułowane zaledwie częściowo słowa; pozbawi ją tchu, przyspieszy bicie serca. Nakaże jej się pospieszyć. Przez długie godziny w samolocie słuchała warkotu silników, które pracowały i pracowały, połykając kilometry. Niosły ją coraz dalej od wyspy. Zbliżały, coraz bardziej zbliżały do celu...

Teraz obie są w tym samym kraju. Ellen, mama, mamusia. I ona, Zelda. W Indiach.

- Indie? - Przypomniała sobie szorstki, pełen z trudem maskowanego bólu głos Drew w słuchawce telefonu. - Co ty, do diabła, wiesz o Indiach?!

Znała indyjską przyprawę curry (szczyptę ostrego proszku w zapiekance), słyszała o indyjskich drużynach krykieta, indyjskim atramencie; ponadto Indie kojarzyły jej się z autostopowiczami ze stałego lądu, ludźmi w indyjskich koszulkach i skórzanych rzemykach - James nazywał ich hipisami albo cholernymi cudakami. Następne skojarzenie to „znaczkki dla Indii”, przechowywane przez Lizzie w słoiku. Poszarpane kawałki brązowych kopert z wciąż przyklejonymi znaczkami. Misjonarze sprzedawali je kolekcjonerom, a pieniądze wysyłali siostrzyczkom, które działały na terenie Indii. Zelda miała też przed oczami indyjskie zakonnice, które snują się

jak anioły po slumsach Kalkuty, zbierają niechciane dzieci, a potem myją je, karmią i układają w rządach identycznych łóżeczek.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie swoje pierwsze chwile w Delhi. Doskonale pamiętała gorącą, parną noc i ludzi śpiących na ulicach, masowo, jak po jakiejś katastrofie. Ciemnoskórzy policjanci stali w cieniu, w ciemnych ubraniach, z ciemnymi pistoletami, i tylko łypali białkami oczu.

Przypomniała sobie też, jak światła taksówki oświetliły budkę wartownika z namalowanym na boku napisem „Policja Delhi”. Ich motto brzmiało: „Z tobą, dla ciebie, zawsze”.

Z tobą, dla ciebie, zawsze. Te słowa przypominały epitafium czy zdanie z listu samobójcy, przekaz nagryzmołony na lustrze w pokoju, w którym popełnione zostało przestępstwo.

Zelda szybko wzięła prysznic i włożyła czyste ubranie. Potem wypila szklanek wody lekko zabarwionej jodyną. Jej smak przywodził na myśl wodę z basenu i lekarzy, dlatego dziewczyna wróciła myślami do Rye'a. Dwa dni przed wyjazdem z wyspy dostała paczkę, w której znalazła płócienną torbę z buteleczką jodyny, tubką środka przeciw owadom, siatką przeciw moskitom, lekarstwami, paskiem na pieniądze, mapami, spisem hoteli, nazwiskami i telefonami ludzi, do których może zadzwonić, gdyby potrzebowała pomocy. Była tam też i książka pt. *Indie - szkoła przetrwania*. Autor pisał o wszystkim - od sposobu szukania w łóżku pluskiew po wybór bezpiecznego jedzenia. Gdy Zelda chciała znaleźć informacje na temat Delhi i Riszikeszu, znalazła zapiski na marginesach. Pełne rozmachu, pochylone pismo ręczne było takie samo jak w załączonym liście, trzech stronach rad i ostrzeżeń Rye'a.

Lepiej byłoby, gdyby zaczekała i wcześniej spróbowała się czegoś dowiedzieć.

Ludzie w Indiach rzadko przebywają w jednym miejscu, często się przeprowadzają.

Co zrobisz, jeśli dotrzesz do Riszikeszu, a matki już tam nie będzie?

Zelda czytała list z coraz większą złością. Za kogo on się uważa?! Dlaczego traktuje ją jak dziecko? Albo głupiego majtka, który nie wie nawet, jaki jest dzień? Zdawała sobie sprawę z podjętego ryzyka, ale wiedziała również, że musi wyjechać, i to szybko, zanim rozsądek weźmie górę. Najchętniej podarłaby kartki i wrzuciła je do pieca, ale nie zrobiła tego, bo zawierały mnóstwo pożytecznych informacji, a pod koniec listu Rye wspomniał o kolorze jej oczu.

Uważaj na siebie, Zeldo - napisał. - Mam nadzieję, że ją znajdziesz. Twój Rye.

Wyszła na duszny korytarz. Była to stara część hotelu, a przejście przypominało długie patio z otwartymi na zewnątrz lukami. W ciszę półmroku wdarł się odległy śmiech, a wraz z nim żar. Na końcu korytarza znajdował się mały, otwarty salonik z wyściełanymi skórą krzesłami, szklaną szafką pełną starych ksiąg oraz z popielniczkami. Gdy Zelda przechodziła tamtędy, zerknęła na oprawione zdjęcia, które wisiały na ścianie. Ukazywały brytyjski raj: zawody krykieta, polo, pikniki i polowania. Na jednym z nich biały mężczyzna w hełmie tropikalnym stał w zwycięskiej pozie przed grupą czterdziestu hinduskich naganiaczy, tropicieli i myśliwych pomocniczych. Zdobycz zaś ograniczała się do jednego zabitego zwierzęcia - tygrysa poplamionego ciemną krwią.

W końcu Zelda dotarła do szerokich schodów, wyłożonych dywanem. Schodziła powoli do chłodnego, jak przystało na pięciogwiazdkowy hotel, foyer. W nieruchomym powietrzu rozbrzmiewała cicha muzyka, palmy w donicach chyliły ku ziemi jasne liście. Tu i ówdzie siedzieli w niewielkich grupkach ludzie, zajmujący skórzane kanapy, ustawione parami przodem do siebie. Przechodząc obok, Zelda czuła na sobie spojrzenia, ale ani na chwilę nie odrywała wzroku od recepcji. Żałowała, że nie ma na sobie normalnego swego stroju - dzinsów, koszuli i botków - ale Rye w swoim li-

ście zalecał lekki, jasny ubiór z długimi rękawami i nogawkami. Dana wyciągnęła z szafy kremowy lniany kostium, a Cassie uznała, że jest idealny. Jak się okazało, zbyt idealny. Zelda wyglądała w nim jak relikw z czasów kolonialnych albo bohaterka z powieści Mills & Boon.

W recepcji mężczyzna siedzący za biurkiem uniósł głowę. Miał przyczepioną do kłapy marynarki plakietkę z napisem: „Kierownik dnia”.

- Dzień dobry pani. Dobrze pani spała? - spytał z uprzejmym uśmiechem na ustach.

- Tak, dziękuję - odparła Zelda.

Zawsze dobrze spała. Jej koleżanki ścinały paprocie i suchą trawę na obozowe posłania, podczas gdy ona mogła spać na gołej ziemi, wystarczało jej niewielkie zagłębienie na biodro.

- Chciałabym wymienić pieniądze - powiedziała, zerkając na zegar ścienny.

Było prawie południe. W przewodniku wyczytała, że pieniądze należy wymieniać po jedenastej, bo inaczej zostaną przeliczone po kursie z poprzedniego dnia i urzędnik pobierze dodatkową opłatę od przeprowadzonej transakcji, co będzie oznaczało, że nie jesteś poważnym turystą.

- Mam czeki w amerykańskich dolarach - dodała Zelda. Wyjęła kilka z portfela i podała Hindusowi.

- Chce pani zamienić je wszystkie na gotówkę? - spytał.

- Hmm... - mruknęła Zelda, niezbyt pewna. - Tak. Mężczyzna zaczął powoli i starannie wypełniać formularz.

Zelda w tym czasie zajrzała do gazety rozłożonej na ladzie. Zauważywszy angielskie słowa, pochyliła się, by uważniej przejrzeć tekst. Cała strona była pokryta ogłoszeniami drobnymi.

W czerwcu w Delhi nikt nie spodziewa się śniegu - zaczynało się jedno z nich. Bardzo by nam odpowiadał odnoszący sukcesy starszy przemysłowiec z Pendżabu. Najlepiej, gdyby mieszkał w Delhi. Dama ma dwadzieścia osiem lat, 157 centy-

metrów wzrostu, jest wrażliwa i bogata. Proszę pisać: box 91564, Times of India, New Delhi 2.

Zelda wyrywkowo czytała zdanie tu, zdanie tam.

Szukamy odpowiedniej partii dla pięknej Sindhi. Ma 32 lata, pracuje w Air India i nie ma żadnych uprzedzeń kastowych. Prosimy o odpowiedź z horoskopem odnoszącym się do miejsca i czasu urodzenia.

Jasna cera, przystojny, lekko utyka.

Rozwiedziona (bez orzekania o winie), inteligentna, po studiach, lat 30.

Bardzo atrakcyjna braminka, inteligentna, domatorka, religijna, 34 lata, z zieloną kartą. Chętnie nawiąże znajomość z dobrze urządzonym chłopcem z Ameryki lub Indii.

Recepcjonista uniósł głowę i dostrzegł zainteresowanie klientki.

- Szukam żony - powiedział poważnie. - Dla swojego młodszego syna. Jest lekarzem.

Zelda uśmiechnęła się uprzejmie. Wysoka, smukła dziewczyna, 21 lat, silna, zdrowa. Dobrze pływa. Utalentowany majtek, mistrzyni w uprawianiu przegrzebków. Tańczy.

Recepcjonista zaczął przeliczać banknoty, z wprawą przesuując je między palcami.

- Proszę podpisać tutaj. I tutaj, i tutaj.

- Dzięki - powiedziała.

Zwinęła banknoty i włożyła je do kieszeni.

- Może mi pan powiedzieć, jak mogę się dostać do Riszi-keszu? Bardzo zależy mi na czasie.

- Do Riszikeszu? - powtórzy! mężczyzna, w namyśle marszcząc czoło. - Podróżuje pani sama?

- Tak - odparła Zelda. - Przyjechałam w odwiedziny do matki, która tam właśnie mieszka.

Uśmiechnęła się promiennie, pragnąc ukryć niepokój i podniecenie. Odwiedziny u matki, która tam mieszka. To zdanie brzmiało tak zwyczajnie, tak realnie.

Proszę, bądź tam...

- Rozumiem. W takim razie nie będzie pani miała żadnych problemów. - Potrząsnął smutno głową.
- Niektóre młode dziewczęta przyjeżdżają do Indii i podróżują samotnie. Jak pani wie, Riszikesz jest znanym indyjskim miastem, gdzie znajduje się sporo świątyń, *dharmshali* i aśramów, ale są też i złe miejsca, a ludzie wykorzystują cudzoziemców. - Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. - Dlaczego pani matka nie załatwiła wszystkiego?

- Nie mogła - odparła szybko Zelda. - Moja wizyta jest niespodzianką.

- Ach, rozumiem... - powiedział z powątpiewaniem.

- Mam tam też i przyjaciół - zapewniła Zelda. - Przyjaciół rodziny.

- To dobrze, to bardzo dobrze. - Sprawiał wrażenie uspokojonego. - Przepraszam, na jakim standardzie podróży pani zależy?

- Nie rozumiem.

- Pociąg, który jedzie w ciągu dnia, jest tańszy, ale nie ma klimatyzacji. Nie można też zarezerwować w nim miejsca, więc bywa bardzo zatłoczony. Podróż trwa około ośmiu godzin. Będzie pani musiała wysiąść w Hardwarze i do Riszikeszu dojechać taksówką. To nie...

- O której wyjeżdża? - przerwała mu Zelda, lekko potupując ze zdenerwowania.

- Dzisiaj już odjechał, jutro nie kursuje, więc będzie pani musiała poczekać do pojutrze.

- To za długo - odparła Zelda stanowczo.

- W takim razie ma pani tylko jedną możliwość. O tej porze roku bilety na nocne pociągi są wykupywane z dużym wyprzedzeniem. W związku z tym zostaje pani tylko podróż taksówką. Trasa z Delhi do Riszikeszu będzie panią kosztowała około pięćdziesięciu dolarów.

Przerwał, czekając na jej reakcję. Kiwnęła głową.

- Podróż zajmie mniej więcej osiem godzin - dodał recepcjonista. Poważnie jej się przyjrzał. -
Zdecydowanie odra-

dzam jazdę nocą. Tak więc dzisiaj może pani odpocząć, a rano wyruszyć w drogę.

Zelda w milczeniu zmarszczyła czoło. Mężczyzna oparł dłonie o ladę.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Posłucham pana rady.

Recepcjonista poważnie kiwnął głową.

- Osobiście wybiorę dla pani taksówkę i kierowcę. Proponuję, żeby wyjechała pani jak najwcześniej, póki nie jest bardzo gorąco. Proszę dziś wieczorem uregulować rachunek, a ja obudzę panią o szóstej rano.

- Bardzo dziękuję.

Zelda bacznie przyglądała się jego twarzy, kiedy coś notował. Wyglądał na zmęczonego, ale wokół jego oczu widać było liczne zmarszczki, które zazwyczaj pojawiają się przy śmiechu.

- Mam nadzieję, że uda się panu znaleźć dobrą żonę dla syna - powiedziała.

Uniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony.

- Nie brakuje dobrych żon - odparł. - Problem w tym, że mój syn sam chce dokonać wyboru.

Bezradnie wzruszył ramionami, a Zelda, wbrew własnej woli, kiwnęła głową, jakby go rozumiała. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Może naprawdę wie, co dla niego najlepsze...

- Tak właśnie mówi! - Mężczyzna był lekko zaskoczony. Wzruszył ramionami i machnął ręką, jakby chciał odsunąć ten problem. - Co jeszcze mogę dla pani zrobić?

- Czy mógłby mi pan polecić jakąś restaurację?

- Tak, proszę pani. - Wrócił do swojej roli pracownika hotelu. - Może pani zjeść lunch w tamtym barze albo zamówić coś do pokoju.

Zelda skinęła głową.

- Będzie pan pamiętał o zamówieniu taksówki? - spytała na odchodnym. - Bardzo zależy mi na jutrzejszym wyjeździe.

- Na pewno nie zapomnę.

Bar był udekorowany papierowym żółtozielonym pnączem, które zdawało się wędrować po markizach w paski i pomalowanej na biało kratownicy, stanowiło również ozdobę eleganckiego szyldu w jednym z rogów: *Cukiernia tarasowa*. Stoliki ustawiono wzdłuż przeszklonej ściany z drzwiami wychodzącymi na taras ocieniony żywą, kwitnącą winoroślą, ale że na zewnątrz panował silny upał, wszyscy goście schronili się w lokalu.

Kelner zaprowadził Zeldę do małego stolika, na którym ułożono już ciężkie srebrne sztuce i jasnozielone serwetki.

- Czy będzie pani na kogoś czekać? - spytał. -Nie.

Zostawił menu i odszedł. Zelda bez zainteresowania spojrzała na listę dań. Była głodna, ale nie bardzo wiedziała, na co ma ochotę. Kiedy uniosła głowę, ujrzała, że obok stolika stoi małe hinduskie dziecko i bacznie się jej przygląda dużymi, poważnymi oczami. Dziewczynka miała na sobie jasne ubranie, najwyraźniej całkiem nowe, z widocznymi śladami fabrycznych zagieć, przynajmniej o numer za duże. Sukie-neczka zsunęła się lekko na jedną stronę, odkrywając chude brązowe ramię.

- Cześć - powiedziała Zelda, uśmiechając się do małej, a potem rozejrzała się po lokalu, szukając jej rodziców. Jedyne gośćmi oprócz niej była tęga kobieta i łysy mężczyzna z rudą brodą, zajęci studiowaniem jadłospisu, nad którym głośno debatowali.

- Dzieci lubią naleśniki, więc wybierzmy dla niej właśnie naleśniki - zaproponował mężczyzna.

- No nie wiem - odparła kobieta, marszcząc czoło i przysuwając kartę do oczu. - Sądzę, że zdrowsze byłoby jajko i tost. - Nagle uniosła głowę i zawołała - Sally...? Sally...?

Przeszukała wzrokiem lokal, zatrzymując spojrzenie na małej hinduskiej dziewczynce.

- Jesteś! Chodź tu, kochanie. Chodź do nas.

Dziewczynka nie ruszała się z miejsca, sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Idź - powiedziała Zelda, obracając małą w stronę siedzącej przy stoliku pary. - Tam.

Dziecko przeniosło wzrok z Zeldy na jasnowłosa kobietę i z powrotem. Kelner odezwał się po cichu w zrozumiałym dla małej języku. Podbiegła do niego i objęła rączkami jego nogi.

- Proszę mi wybaczyć, proszę pani - powiedział do Zeldy i schylił się, by odsunąć dziecko.

Wtedy pojawiła się jasnowłosa kobieta i wzięła dziewczynkę na ręce.

- Tu jesteśmy, kochanie - powiedziała. - Tatuś zamówił dla ciebie naleśniki i lody.

Uśmiechnęła się do Zeldy.

- Prawda, że jest cudowna?

- Tak - przyznała Zelda.

- To nasza nowa córeczka - wyjaśniła kobieta, pochylając jasną głowę nad ciemnymi, rozwichrzonymi loczkami.

- Mam na imię Amanpree - wyrecytowało śpiewnie dziecko. - Mam cztery lata. Lubię grać piłką. Lubię pomagać nosić woda.

- Mądra dziewczynka - zaszczebiotała kobieta.

Cofnęła lekko głowę, przyciskając podbródek do pofałdowanej szyi, i przyjrzała się małej twarzą. Po chwili odwróciła się do Zeldy.

- Mam na imię Maree - powiedziała. - A to mój mąż, Steve. Mieszkamy w Sydney, w Australii. A ty skąd pochodzisz?

- Również z Australii. Mieszkam na wyspie Flinders. Maree wyglądała na zdezorientowaną.

- Chyba o niej nie słyszałam.

- Leży między Wiktoria a Tasmanią.

- Ach, tak. Teraz sobie przypominam, pokazują ją w telewizyjnej prognozie pogody.

Maree postawiła dziewczynkę na podłodze i lekko pchnęła ją w stronę Steve'a, który wzięwszy w dłoń kawałek chleba, kusił nim dziewczynkę, jak kusi się królika marchewką.

- Przyjechaliśmy po naszą adoptowaną córeczkę. - Maree roześmiała się, chcąc ukryć zdenerwowanie. - Zwykle nie rozmawiam z nieznanymi, ale jestem taka szczęśliwa! Czekaliśmy na to od lat. Nie mogę uwierzyć, że już ją mamy. - W jej oczach zalśniły łzy.

- Skąd... ją wzięliście? - spytała Zelda, czując się trochę niezręcznie.

- Z sierocińca Świętego Serca - odparła Maree. - Oczywiście, wszystko zostało załatwione wcześniej. Początkowo chcieliśmy wziąć noworodka, ale wiele z nich choruje. Niektóre nawet umierają, kiedy zabierze się je do domu, tymczasem starsze dzieci zostają, bo nikt ich nie chce. Muszą się czuć okropnie, gdy widzą, że wybierane są najmłodsze z nich. Koniec końców przysłano nam zdjęcie Sally, czyli Amanpree. Jej matka nie żyje, a ojciec siedzi w więzieniu. Mała nie ma nikogo, a my pokochaliśmy ją z całego serca. - Maree nachyliła się i zniżyła głos. - Steve nie posiada się ze szczęścia. Dobudował do domu nowy pokój, zrobił dla niej konika na biegunach, zabawki, wszystko.

Uśmiechnęła się, nie kryjąc radości.

- Zawsze chcieliśmy mieć dziecko... - Powstrzymała dalsze słowa. - Przepraszam, że przez cały czas gadam tylko o sobie. Jak masz na imię?

- Zelda.

- Wybrałaś się na wakacje?

- Nie. Przyjechałam na spotkanie z matką.

Urwała. Przez chwilę miała ochotę wyjaśnić, że nie zna swojej matki, że była dziewczynką w wieku młodej Sally - Amanpree, kiedy matka odeszła. Nie umarła. Po prostu ją zostawiła. Opuściła, jakby córeczka nie miała dla niej znaczenia...

- Mieszka w Indiach? - spytała Maree. W jej niebieskich oczach pojawił się przyjazny błysk zainteresowania.

-Przenosi się... z miejsca na miejsce - odpowiedziała Zelda wymijająco. - Oczywiście, muszę zajmować się sobą, pracą i wszystkim innym, ale staramy się spotykać, kiedy tylko możemy.

- Wcale się nie dziwię! - odrzekła Maree. - Założę się, że nie możesz się doczekać spotkania. A ona musi umierać z tęsknoty za tobą.

- O tak! - zapewniła Zelda z promiennym uśmiechem na ustach. - Oczywiście, pisujemy do siebie, ale to nie to samo.

- Jasne! - zgodziła się Maree. - Cóż, w takim razie życzę wam obu wszystkiego najlepszego. Mam nadzieję, że spędzicie razem wspaniałe wakacje.

Uniosła wzrok, słysząc brzęk sztućców spadających na podłogę. Dziewczynka stała na krześle, podnosiła noże i łyżeczki ze stołu i po kolei je upuszczała. Steve przeglądał kartę dań. Maree uniosła ręce w geście zachwytu i bezradności zarazem.

- Ach, te dzieci! - wykrzyknęła.

Kiedy odeszła, Zelda zajrzała do menu, ale łzy przesłoniły jej oczy, rozmazując litery.

- Co podać? - spytał kelner, stając nad jej ramieniem.

- Poproszę o naleśniki i lody - powiedziała Zelda.

- Przykro mi, ale jest już popołudnie, więc nie podajemy potraw przewidzianych na śniadanie. Jeśli ma pani ochotę na naleśniki, proponuję *masala dhosa*, indyjskie naleśniki.

- W porządku. Poproszę.

Kiedy odszedł, siedziała w bezruchu, nie odrywając wzroku od talerza z zielonym brzegiem.

- Panna Zelda Madison? Podskoczyła, słysząc swoje nazwisko. -Tak...?

Boy hotelowy wręczył jej kartkę.

- Przyszedł do pani faks - oznajmił.

Zelda wpatrywała się tępo w odebraną od chłopca kartkę. Była na niej wiadomość, zapisana okrągłym, zamaszystym pismem, które zajmowało dużo miejsca:

Cały czas myślę o Tobie, kochanie, i o rozpoczętej przez Ciebie długiej wędrówce. Bądź dzielna. Bądź silna. Ani na chwilę nie przestawaj być sobą.

Twoja stara przyjaciółka, Cassie

Zelda złożyła kartkę i zacisnęła ją w dłoni, czerpiąc siłę ze słów starszej pani, która wiedziała o wszystkim i doskonale wszystko rozumiała. Podczas dni spędzonych przez Zeldę w domu Dany Cassie bez cienia skrepowania przysłuchiwała się rozmowom telefonicznym dziewczyny - niepewnym wyjaśnieniom, długim chwilom milczenia, bezgłośnym szlochom.

- Kto to był? - pytała, gdy Zelda odkładała słuchawkę. Dziewczyna wbijała wzrok w sufit i odpowiadała przez łyżę: „Drew. Jest moim chłopcem i najlepszym przyjacielem.

Kocham go. James też go kochał”.

„Lizzie. Matka Drew. Ona również mnie kocha”. „Chcę, żebym została, żebym zaczekała”.

- Nie czekaj - powtarzała Cassie zdecydowanym głosem. - To odpowiednia chwila. Jedź. Znajdziesz to, co znajdziesz. Nie możesz postąpić inaczej.

Wygładziła kartkę i położyła obok talerza. To będzie jej amulet, talizman, który zabierze ze sobą w podróż. *Bądź dzielna. Bądź silna. Ani na chwilę nie przestawaj być sobą.*

Z tobą, dla ciebie, zawsze...

Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu taksówki, obok położyła plecak. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, które chroniły ją przed światem zewnętrznym. Dobrze ukryta, przyglą-

dała się trzypasmowym ulicom. Tu i tam ktoś jeszcze spał, owinięty kawałkiem materiału, osłaniającym również twarz. Zebracy czekali cierpliwie jak żywe posągi. Święci mężowie mamrotali ciche modlitwy. W miarę jak taksówka oddalała się od hotelu, ulice zwężały się, a spokój i ład ustępowały miejsca rozgardiaszowi i hałasowi. Właściciele straganów palili w małych piecykach. Studenci w białych koszulach skupiali się w niewielkie grupy i popijali herbatę z glinianych kubków, a obdarte dzieci kręciły się wśród nich.

Jeszcze przed siódmą ulice zapełniły się naładowanymi wozami zaprzężonymi w woły, rowerami, motocyklami, ciężarówkami i starymi autobusami z pozamykanymi oknami. Skutery z całymi rodzinami kluczyły niebezpiecznie w ruchu ulicznym, ojcowie kierowali pojazdami, mając przed sobą jedno dziecko lub nawet dwójkę ich, matki siedziały z tyłu, a ich jaskrawe sari powiewały na wietrze.

Zelda wyjęła butelkę wody z dodatkiem jodiny i upiła spory łyk. Zauważyła, że kierowca przygląda jej się w lusterku wstecznym. Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- To dobry kierowca - zapewniał recepcjonista. - Specjalnie wybrałem właśnie jego. Prawdę mówiąc, to mój krewny. Mówi dobrze po angielsku. Suma, którą pani zapłaciła, to pełna stawka, ale jeśli pani zechce, może mu pani dać napiwek, byle nie więcej niż dwadzieścia, trzydzieści rupii. -Przerwał i spojrzał surowo na kierowcę. - Zawiezie panią do hotelu Holy Ganges w Rishikeszu. Może pani być spokojna. Życzę miłej podróży.

Po godzinie Zelda zauważyła, że droga staje się szersza. Wkrótce wyjechali z miasta i zaczęli przemierzać tereny rolnicze, przejeżdżając przez niewielkie osady, w których rosło sporo cienistych drzew liściastych. W gorącym powietrzu unosił się pył przesycony dziwnym, słodkim zapachem. Wyprzedzili kolumnę samochodów ciężarowych załadowanych zieloną trzcina.

- Tamta cukier! - zawołał kierowca przez ramię. - Słodki.

Mijali pola słoneczników; ciężkie brązowe główki otoczone były żółtymi płatkami, a wszystkie kwiaty były zwrócone w stronę wschodzącego słońca. Potem pojawiły się pola brązowej, zaoranej ziemi, z plamkami ostrego rózu, turkusy, czerwieni i bursztynu - jaskrawymi spódnicami i szalami pracujących kobiet. Pochylały się one nad ziemią, wyglądając niczym stadka egzotycznych ptaków.

Koło dziesiątej kierowca zatrzymał się przy małej przydrożnej kawiarence.

- Do środek? - Wskazał lokalik. - Herbata. Zimna picie. Toaleta.

Zelda przytaknęła. Stoczywszy walkę z klamką przy drzwiach, wysiadła z samochodu. Miała zeszywniałe członki, a jej ubranie było pokryte kurzem i przyklejone do spoconej skóry. Wokół pojawiły się milczące, wychudzone postacie o szczupłych twarzach i ogromnych oczach. Zatrzymała się i zerknęła na swój plecak na tylnym siedzeniu.

- W porządku, żadna problem - zapewnił kierowca. Wskazał małego chłopca, który wspiał się na zderzak. - On przypilnować.

- Dzięki - powiedziała Zelda.

Powędrowała w stronę kawiarni, zdając sobie sprawę, że każdy jej krok śledzi wiele uporczywych spojrzeń.

Wnętrze lokalu było ciemne, ale niewiele chłodniejsze od otoczenia. Pod sufitem leniwie obracał się wentylator, zmuszając muchy do ciągłego ruchu. Za ladą stał starszy mężczyzna w zawiązanym luźno wyblakłym różowym turbanie, który niepewnie trzymał się na siwej głowie. Ruchem ręki wskazał rząd zakurzonych butelek.

- Limca? Thums up? Soda?

Zelda wskazała jakiś żółty napój i wyjęła kilka monet.

- Skąd ty pochodzić? - usłyszała zza pleców. Odwróciła się do młodego ciemnoskórego mężczyzny, który nie odrywał od niej niemal czarnych oczu.

- Z wyspy Fli... - Przerwała. - Z Australii.

- Aha - rzekł. - Ameryka. George Bush.

Zelda uśmiechnęła się uprzejmie. Wytarła rękawem szyjkę butelki i zaczęła pić słodki, żółty napój gazowany, potem odwróciła się i ruszyła w kierunku samochodu.

- Memsahib! Memsahib! - wołał natarczywie starszy mężczyzna zza lady. - Nie. Nie.

Zelda zatrzymała się. Sprzedawca wskazywał na butelkę w jej dłoni i potrząsał głową. Zmarszczyła czoło i ze zdziwieniem sięgnęła do kieszeni.

- Butelka. Nie zabierać - podpowiedział młody Hindus. Ich oczy ponownie się spotkały. Tym razem mężczyzna

przeniósł powoli wzrok na piersi dziewczyny, a potem znów na jej twarz.

Zelda wypila szybko napój i odstawiła butelkę na ladę.

- Tak-mój-przyjacielu - powiedział mężczyzna, gdy wychodziła na zewnątrz.

Gdy była już za drzwiami, dobiegł do niej głośny śmiech.

Jakimś cudem ośmiogodzinna podróż przeciągnęła się do dziesięciu godzin, chociaż jechali bez większych przeszkód.

- Czy już blisko? - dopytywała się wciąż Zelda. - Ile nam jeszcze zostało?

Kierowca potrząsał głową.

- To być daleko. Delhi. Riszikesz. Daleko. Ale ja życzę miłej podróży. - Rozłożył ręce, puszcżając kierownicę. - Pani odpoczywać... Tak?

W końcu las się przerzedził, a wzdłuż drogi zaczęły się pojawiać pola uprawne i pojedyncze budynki.

- Riszikesz blisko - stwierdził kierowca.

Potem bez ostrzeżenia zjechał z drogi w trzypasmową szosę.

Hotel Holy Ganges przypominał biurowiec z ozdobnym wejściem. Ściany miały szarożółty kolor i były pokryte grubą warstwą kurzu, tak samo jak rzędy okien. Po obu stronach

szerokich schodów wiodących do podwójnych szklanych drzwi stały wypłowiałe doniczki z mizernymi kaktusami.

Kierowca przyjął od Zeldy pieniądze, kiwnął głową i odsunął ją od samochodu.

- Chłopiec to zabrać - powiedział, wskazując bagaż.

- Nie, poradzę sobie - zapewniła go Zelda. Wyciągnęła plecak za jeden z pasków i zarzuciła go na plecy.

- Najmocniej dziękuję. Do widzenia - powiedziała do kierowcy.

Czuła, że odprowadza ją wzrokiem. *Zawsze korzystaj z usług tragarzy* - przypomniała sobie słowa Rye'a. *Nie robiąc tego, zachowujesz się podle. Oni potrzebują pracy.* Z zakłopotaniem obejrzała się za siebie i dostrzegła chłopca, który biegł w stronę samochodu. Zatrzymał się, wymachując chudymi rękami, i spojrzał na nią z niedowierzaniem. Zelda odwróciła szybko wzrok i przyspieszyła kroku.

W foyer było pusto. Odstawiła plecak i czekała, aż chłodniejsze powietrze osuszy nieco jej lepką skórę. Potem podeszła do szerokiej lady, skąpanej w jaskrawoniebieskim świetle, rzucanym przez rząd lamp fluorescencyjnych. Na ladzie stał czarny aparat telefoniczny. Jakby na zawołanie zaczął dzwonić. Nikt się nie pojawił, a telefon dzwonił i dzwonił. Dokładnie w chwili, kiedy zamilkł, skądś wyłonił się jakiś mężczyzna. Spojrzał na Zeldę, a potem na aparat, jakby się dziwił, że nie podniosła słuchawki.

- Mam rezerwację - zaczęła Zelda. - Nazywam się Zelda Madison.

- Tak, memsahib. Spodziewaliśmy się pani. Wczoraj. Ale to żaden problem. - Położył na ladzie dużą księgę i otworzył ją. - Zorganizuję pani jakiś pokój. Najpierw musi się pani wpisać jako zagraniczny gość. Proszę o paszport. - Uniósł głowę i szybko przebiegł wzrokiem po jej twarzy. - Przyjechała pani z Delhi - stwierdził. - Jest pani zmęczona.

- Tak - potwierdziła.

Uderzył ręką w dzwonek i wyczekująco spojrzął w stronę drzwi. Po chwili pojawił się w nich chłopiec, który wciąż wymachiwał rękami. Mężczyzna wręczył mu klucz przyczepiony do mosiężnej kuli i przeniósł wzrok na Zeldę.

- Specjalny pokój, tylko dla pani. Z widokiem na rzekę.
- Dziękuję - powiedziała. - Czy jest w nim prysznic?
- Oczywiście. Mam nadzieję, że będzie nawet ciepła woda.

Zelda stała pod prysznicem, a woda spływała jej po twarzy. Pamiętając ostrzeżenia Rye'a, trzymała usta zamknięte, wyobrażając sobie, jak ameby pływają wokół niej niczym małe rybki, starające się wdrzeć do ust. Mydło hotelowe było małe, czerwone, twarde i pachniało jak szkolna toaleta. Porządnie się wymyła i zakręciła wodę. Znów otoczyło ją gorące powietrze. Zatrzymała się przy telefonie i wybrała numer obsługi hotelowej.

Słuchając sygnału, wyobraziła sobie, że przygląda się z boku całej scenie i widzi Zeldę w Indiach. Owiniętą w ręcznik niczym amerykańska aktorka.

- Tu pokój numer dwanaście - powiedziała chłodno. - Czy możecie przysłać kogoś z butelką limki? Dziękuję.

Nie odkładając słuchawki, sięgnęła do portfela i wyjęła białą wizytówkę z napisem: *Pan Ranjit Saha. 97 Veer Bhadra Road, Rishikesh 249201, tel. 516.* Szybko wybrała numer, pragnąc uniknąć przygotowywania przemowy. Przypomniała sobie informację Rye'a: *Ranjit to stary przyjaciel rodziny. Zna wszystkich. Zadzwoń do niego, gdy będziesz już na miejscu.*

Drgnęła, kiedy w słuchawce odezwał się głos.

- Halo? Halo? - przerwała potok obcojęzycznych słów. - Czy mogę rozmawiać z panem Ranjitem Sahą?

Cisza.

- Ranjit Saha? - powtórzyła Zelda.

- Przykro mi. Ranjita Sahy nie ma w domu, proszę pani. Proszę zadzwonić jutro. Do widzenia.

Zelda ścisnęła słuchawkę w spoconych palcach. Jutro. To słowo brzmiało w jej uszach jak: „za tydzień”. Skoro już tu była, nie mogła znieść myśli o czekaniu w bezczynności. Niestety, nie miała planów awaryjnych, żadnej innej możliwości, żadnego wyboru. Mogła tylko czekać.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół siebie. Również i w tym pokoju hotelowym nic nie wskazywało na to, że Zelda znalazła się w Indiach, może tylko wyblakły plakat z tygrysem bengalskim. Zwierzę spoglądało ponuro z plakatu na symbole zachodniego stylu życia: toaletkę z laminatowym blatem, brokatową narzutę na łóżko, abażur z frędzelkami. Niestety, dywan był poplamiony, ściany nad wezłowiem zabrudzone, a z obudowy lampy wystawały luźne kable.

No cóż, przynajmniej jestem na miejscu - pomyślała Zelda. W Riszikeszu.

Relacja z Riszikeszu, w Indiach. Zelda przypomniała sobie czarne literki wydrukowane na pożółkłym ze starości papierze gazetowym.

Liberty znalazła nowych zwolenników

Relacja z Riszikeszu w Indiach.

Dziesięć lat po tajemniczym zniknięciu amerykańskiej gwiazdy baletu rozeszły się pogłoski...

Znała na pamięć każde słowo, każdą literę. Widziała nierówny kształt skrawka gazety.

Podeszła do okna i spojrzała w dal, za niewielki ogród z jasnoróżowymi kwiatami. Kiedy się wychyliła mocniej, widziała nawet kawałek rzeki, rozmyty w białej mgiełce. Cienie wydłużały się, a miękkie światło dzienne powoli zanikało.

Uniosła wzrok, słysząc pukanie do drzwi. Uchyliła je, narzuciwszy na siebie ubranie. Za progiem stał uśmiechnięty młody mężczyzna w bordowym uniformie.

- Jestem kogoś.

- Słucham? - Zelda zmarszczyła czoło.
- Jestem kogoś przysłany z limca. Przeszedł obok niej, niosąc tacę z butelką.
- Dziękuję - powiedziała.

Podpisała rachunek i wręczyła napiwek. *Zawsze dawaj napiwki - radził Rye. - Rupię czy dwie. Jeśli tego nie zrobisz, wszystko przestanie funkcjonować.*

Mężczyzna kiwnął głową.

- Ja wrócić - zapowiedział wesoło. - Przynieść szklanka i otworzyć butelka.

Jadalnia przypominała opuszczony teatr, z szeregiem okien, które wychodziły na rozległą scenę o mitologicznym wystroju - łagodne pagórki, namalowane na tle pastelowego nieba o zachodzie, oraz rzeka - szeroki, spokojny pas czystego srebra tonącego we mgle. Święty Ganges.

Zelda minęła rzędy pustych stolików, dotarła do okna, oparła czoło o ciepłą, gładką szybę i usiłowała dojrzeć coś przez warstwę komarów, które na zewnątrz gromadziły się wokół światła.

Kiedy tak patrzyła, z cieniściego ogrodu wyłonił się wysoki, ubrany na pomarańczowo mężczyzna, który po chwili stanął na brzegu rzeki. W rękach trzymał światełko, mały, żółty płomyk, palący się spokojnie w nieruchomym powietrzu; zamigotał dopiero wówczas, gdy mężczyzna zaczął powoli nim kołysać z jednej strony na drugą. Kapłan uniósł twarz w stronę blednącej poświaty zachodzącego słońca i zaczął śpiewać. Jego głos przenikał przez szyby jak odległe echo. Zelda starała się wyłowić poszczególne słowa, ale bez skutku.

- *To pudża*, tutejszy rytuał. - Tuż za plecami Zeldy rozległ się miękki głos.

Kiedy się odwróciła, ujrzała młodą Hinduskę ubraną w sari z jasnego jedwabiu.

- Powtarza się codziennie o świcie i o zmierzchu - ciągnęła nieznajoma. Mówiła z wyczuwalnym amerykańskim akcentem. - A ten człowiek to hotelowy kapłan, święty mąż. Ofiarowuje *prasad*, w imieniu wszystkich, którzy tu mieszkają. Zelda podziękowała za wyjaśnienia.

- Rzeka jest wyjątkowo piękna - dodała.

Kobieta skłoniła głowę, jakby komplement dotyczył jej samej. Potem obie w milczeniu obserwowały, jak kapłan wrzuca do rzeki żółte kwiaty. Ich postrzępione główki wirowały, kiedy woda zabierała je ze sobą.

- Pozwolę pani spokojnie zjeść - powiedziała Hinduska, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Proszę poczekać - poprosiła Zelda. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła złożoną kopertę.

- Chciałabym o coś spytać.

Kobieta lekko zmarszczyła czoło i wzruszyła ramionami. Zelda ostrożnie rozłożyła wycinek z gazety i pokazała nieznajomej zdjęcie Ellen.

- Szukam tej osoby.

Kobieta przyglądała się przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Przecież to pani!

- Nie... - zaczęła Zelda.

- Ach! Czyli pani siostra. Jest tutaj? W Riszikeszu?

- Nie wiem - odparła Zelda. - Była dwanaście lat temu, gdy zrobiono to zdjęcie.

Hinduska zmarszczyła czoło.

- Obcokrajowcy przyjeżdżają tu do aśramów. Większość nie zostaje jednak na długo, po prostu przybywają, przyglądają się wszystkiemu i wyjeżdżają. Oczywiście, zdarzają się wyjątki. Niektórzy zatrzymują się na dłużej, czasem nawet zostają *sannjasinami*.

Kobieta nachyliła się nad fotografią, by lepiej się jej przyjrzeć.

- *Sannjasinami*... - powtórzyła Zelda.

Cofnęła się myślami do przeczytanych u Dana książek o Indiach i długich dyskusji, które wtedy prowadziły. Dana i Cassie snuły domysły na temat Ellen.

- Postąpiła tak jak wcześniej wielu hipisów - zapewniała Dana. - Spędziła tam trochę czasu, a potem ruszyła dalej. Założę się, że od lat z powrotem przebywa w Stanach.

Cassie nie zgadzała się z tą teorią

- Gdyby wróciła, z pewnością ktoś by ją odkrył. Wszyscy doskonale znali jej twarz. Sądzę, że Zelda ma rację: Indie to odpowiednie miejsce. Tylko co oni mieli na myśli, pisząc, że Liberty znalazła nowych zwolenników? Może chodzi o politykę albo religię? Być może o jakąś działalność filantropijną, na przykład niesienie pomocy biedakom...

Dyskusje zawsze kończyły się w taki sam sposób: Cassie wzruszała ramionami i rozkładała ręce.

- Niezależnie od tego, co się zdarzy, przeżyjesz wspaniałą przygodę. Pamiętaj o tym, Zeldo. W ostatecznym rozrachunku to bardzo się liczy.

Hinduska nachyliła zdjęcie, by lepiej je oświetlić, a potem uniosła głowę i zmarszczyła czoło.

- Dlaczego o pani siostrze napisano w gazecie? - spytała. - Czy zrobiła coś złego? Naruszyła prawo?

Zelda zagryzała wargę, ale nie odezwała się ani słowem. Z oddali docierały niewyraźne odgłosy bicia w bębny i śpiewu. Bliżej, za kuchennymi drzwiami, rozległo się metaliczne stuknięcie.

Hinduska podeszła z fotografią do lampy, a Zelda podążyła za nią i czekała w milczeniu.

- Jeśli ktoś naprawdę staje się *sannjasinem*, rezygnuje na zawsze z ziemskiego życia - powiedziała w końcu kobieta. - Podąża ścieżką rozwoju duchowego. Niektórym obcokrajowcom się to udało, ale jej chyba nie.

- Dlaczego? - spytała szybko Zelda.

Kobieta wskazała długim, szczupłym palcem róg fotografii.

- Chodzi o ten fragment jej stroju. Został wykonany z indyjskiego materiału, ale to bardzo droga tkanina. Przypomina jedwab z Benareszu. Święci ludzie noszą zaś proste, tkane ręcznie *khadi*.

- *Cóż*, przebywający w Indiach obcokrajowiec może robić wiele innych rzeczy - powiedziała Zelda drżącym głosem.

- Prawdopodobnie tak - brzmiała odpowiedź. - Ja nie mieszkam w Riszikeszu, przyjechałam odwiedzić swoją siostrę.

- A jeśli moja... ta osoba... rzeczywiście tutaj była, jak mam jej szukać?

- Proszę wczesnym rankiem pójść na *ghaty*. Wszyscy tam przychodzą na *pudzę*. Jeśli ta kobieta wciąż tu przebywa, ma pani szansę ją spotkać. Pod warunkiem, że jest osobą pobożną.

Odwróciła głowę, gdy pojawił się kelner z kartą dań. Ukłonił się obu kobietom, a potem omiół ponurym wzrokiem pustą jadalnię. Wskazał Zeldzie krzesło przy końcu długiego stołu.

- Smacznego! - powiedziała wesoło Hinduska, przerzuciła kawałek jaskrawego jedwabiu przez ramię i wyszła.

Zelda rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym stały długie stoły; widocznie ludzie przychodzili tutaj dużymi grupami, jak w klubie golfowym na Flinders Island, gdzie spotykali się wszyscy mieszkańcy wyspy, śmiali się i prowadzili długie pogawędki nad stekiem i grzybami z puszek w sosie maślanym. Drew, Lizzie i Sharn, czasami nawet James.

James. Tata. Dziewczynie stanęła przed oczami jego twarz, wyrazista, pociągła, opalona. Mokra od pyłu wodnego. Włosy rozwiane przez wiatr. Zamknęła oczy, by powstrzymać napływające lzy. Tak wyglądał dawny James, którego znała i bardzo kochała. Starła się kurczowo zatrzymać ten obraz pod powiekami, ale po chwili zaczęły jej się nasuwać pytania, które wywoływały w jej myślach zamęt i złość. Powiedział, że Ellen nie żyje. Dlaczego? Jak mógł to zrobić? Jakim prawem? Zelda otworzyła menu i wbiła wzrok w obco brzmiące słowa: *Puri bhaji. Kashmiri dum alu. Raita dahi.*

Pytania jednak wciąż napływały. Dlaczego?! Dlaczego kłamał przez tyle lat, chociaż Ellen żyła. Przecież to jej matka...

Przypomniała sobie zdjęcie Ellen z dzieckiem i próbowała cofnąć się pamięcią do tamtego okresu. Kiedy matka odeszła, Zelda miała prawie cztery latka, była więc już na tyle duża, że mogła zachować wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Niestety, niczego nie zdołała sobie przypomnieć. W ciągu minionych lat wielokrotnie próbowała przeszukiwać najgłębsze zakamarki pamięci, ale znajdowała jedynie dziwne, niepokojące uczucie, że jest coś, czego bardzo pragnie, a jednocześnie odsuwa od siebie. Przypuszczalnie była to myśl o śmierci, połączona z faktem, że osobą, która nie żyje, jest jej własna matka. Zawsze martwiło ją, że nie potrafi znaleźć niczego więcej. Kilka lat temu zapytała o to Lizzie, bo w końcu matka Drew pamiętała czasy, kiedy Ellen i Zelda były razem, pamiętała też zniknięcie Ellen.

- Bardzo za nią tęskniłaś - powiedziała Lizzie. - Przypuszczam, że po prostu odcięłaś się od wspomnień. Jamesowi również zależało na tym, żebyś o niej zapomniała. - Urwała i zmarszczyła brwi. - Oświadczył, że nikt nie ma prawa opowiadać ci o Ellen. Protestowałam, bo uważałam, że to niesprawiedliwe i niemądre, ale on również był pogrążony w rozpacz. - Na wargach Lizzie pojawił się niepewny uśmiech. - Ty będziesz jej matką - powiedział. - Tego pragnęłaby Ellen.

Zelda zamknęła oczy, walcząc z bólem, a zarazem z uczuciem ciepła. Lizzie zrobiła wszystko, co mogła. James również starał się zaspokoić wszelkie potrzeby i pragnienia córki, mimo to z biegiem lat dziewczynka odczuwała coraz większą pustkę. Wydawało się jej, że stoi nad ogromną dziurą, w której wieje zimny wiatr zwątpienia i niezadowolenia. Czasami czuła się tak, jakby była wyciętą z papieru sylwetką pozbawioną tła. No, może nie całkiem, bo udało jej się zdobyć kilka skąpych informacji, strzępków zebranych tu i tam, czczonych niczym relikwie...

Rozmyślenia Zeldy przerwał kelner, który stanął za jej plecami. Wybrała szybko coś z karty i odczekała, aż mężczyzna pójdzie do kuchni. Potem wróciła myślami do Ellen, by przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek usłyszała na temat matki.

Matka - pomyślała. Ellen. Ellen Madison.

Tancerka.

Amerykanka.

Zginęła w wypadku samochodowym na kontynencie. Pojechała rzekomo na zakupy, ale James nie wiedział, co miała zamiar kupić. Jesteś pewien? - dopytywała się Zeldy wiele lat później, próbując odgadnąć, o czym myślała matka w ostatnich godzinach życia. O pluszowej zabawce, puzzlach, a może o sukieneczce dla czterolatki?

- Umarła szybko - powiedział James. - Nie cierpiała.

Innym razem wspomniał, że jej ciało zostało na kontynencie poddane kremacji. Zależało mu na tym, żeby jak najszybciej wszystko załatwić. Nie chciał zastanawiać się nad pogrzebem ani nagrobkiem; pamięć o Ellen przetrwa w sercach tych, którzy ją kochali.

Jedyną prawdziwą pamiątką był skrawek papieru. Świadczenie zgonu, które pojawiło się jednak dopiero wtedy, gdy dziesięć lat temu zmarła babcia Drew.

- Gdzie jest świadectwo zgonu mamy? Drew mówi, że wydaje się je w związku ze śmiercią każdego zmarłego. Czy mogę je zobaczyć? - spytała wtedy Zeldy Jamesa.

Nastąpiła chwila ciszy, potem ojciec nabrał powietrza w płuca.

- Oczywiście. Pewnie, że możesz. Nie mam go tutaj, nie mogę ci pokazać, ale... zdobędę kopię. - Mówił szybko, chociaż dziwnie się zacinał. - Dostaniesz kopię, którą będziesz mogła zachować. Rozumiem cię, Zeldo. Powinnaś zobaczyć to na własne oczy.

Dotrzymał słowa. Kilka tygodni później dał jej kopię dokumentu.

Przyczyna śmierci: krwotok wewnętrzny, będący skutkiem pęknięcia śledziony i przebicia jelita podczas wypadku samochodowego.

Zelda wielokrotnie przeczytała te słowa, potem uniosła głowę. Była przerażona, czuła, że robi jej się niedobrze. Krwotok wewnętrzny. Te słowa przywodziły na myśl ponure i ostateczne dzieło szatana.

James bezradnie wzruszył ramionami.

- Mówiąc krótko, zmarła z powodu upływu krwi. Otworzył butelkę burbona, napełnił kieliszek i wyjrzał

przez okno, co oznaczało koniec rozmowy. Chciał zostać sam ze swoimi myślami. Sam ze swoimi kłamstwami.

Zelda spojrzała na swoje ręce, którymi bezwiednie przesuwawała leżące na białym obrusie sztuce z napisem „Holy Ganges Hotel”.

W ciągu minionych lat ojciec wymyślił mnóstwo kłamstw i konsekwentnie je powtarzał. Posłużył się nawet fałszywym świadectwem zgonu. Dlaczego? Dlaczego tak bardzo mu zależało, żeby Ellen zniknęła z powierzchni ziemi? A może jego postawa zrodziła się w chwili bólu i złości, a potem musiał się jej trzymać? Oszustwo na zawsze pogrzebało prawdę...

Co jeszcze było kłamstwem?

- Opowiedz mi coś o rodzinie Ellen - poprosiła Zelda podczas którychś świąt Bożego Narodzenia, zebrawszy się na odwagę, by przebić się przez mur milczenia Jamesa.

- O co ci chodzi? - spytał, ze zdziwieniem marszcząc czoło, jakby słowa córki nie miały sensu.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o swoich dziadkach ze strony mamy.

Zelda nie odrywała wzroku od Jamesa. W końcu poczuł, że musi się odezwać.

- Prawie nic nie wiem na ich temat.

- Niemożliwe. Musiałeś coś słyszeć. James westchnął.

- Hmm... Ellen była jedynaczką. Jej matka, Margaret, rozwiodła się wkrótce po jej urodzeniu. - Wbił wzrok w książkę, sugerując, że temat został wyczerpany.

- Jaka ona jest? - nalegała Zelda. - Chodzi mi o Margaret.

- Była. Nie żyje. Nigdy jej nie spotkałem.

- Nawet na ślubie?

- Nie. Mówiłem ci już, że na naszym ślubie było tylko kilku przyjaciół. Nikogo z rodziny, zwłaszcza jej.

- Dlaczego zwłaszcza jej?

James chrząknął, pochylił się i zaczął grzebać w kominku.

- Chcę wiedzieć - naciskała Zelda. - Nie jestem już dzieckiem. Mam prawie szesnaście lat.

James przymrużył oczy i długo się nad czymś zastanawiał.

- W porządku - powiedział w końcu ponuro. - Chcesz wiedzieć, więc ci powiem. Może wtedy zrozumiesz, że grzebanie w rodzinnych historiach nic nie daje i lepiej tego nie robić. Ellen nigdy nie potrafiła się z tym pogodzić, ale w rzeczywistości jej matka była podłą, zwyrodniałą starą suką. Bogatą, samolubną i wściekłą, że mąż zostawił ją z dzieckiem, które musiała samotnie wychować.

James zamilkł.

- Przypuszczam, że było jej bardzo ciężko - powiedziała Zelda z pełną rozwagą.

James prychnął.

- Oczywiście, ale jej mężowi też z pewnością nie było łatwo, gdy patrzył na dziecko, mając świadomość, że to nie jego córka. Naprawdę. Została poczęta pod jego nieobecność.

- To znaczy, że...

- Owszem - kontynuował James. - Margaret go zdradziła. Przespała się z jego najlepszym przyjacielem! - Potrząsnął głową. - Czuł się podwójnie zdradzony... Podobno nie mógł znieść widoku dziecka, bo był po uszy zakochany w żonie. Sytuacja przekraczała jego siły, więc wyjechał i nigdy nie

wrócił. Margaret zaś winą za wszystko obarczała swoje dziecko, Ellen.

Polana płonące w kominku syczały i trzeszczały.

- To smutne i obrzydliwe. Uprzedzałem cię.

- Biedna Ellen - westchnęła Zelda. - Dorastała, mając świadomość, że...

James nachylił się nad stołem i nalał sobie drinka. Szkło stuknęło o szkło.

- Nie zamartwiaj się tym, Zel. - Jego głos złagodniał. - Ona o tym nie wiedziała. Sam odkryłem prawdę zaledwie kilka lat temu. Margaret zmarła w jakimś domu spokojnej starości. Widocznie wydała dyspozycję, żeby po jej śmierci wszystkie papiery wysłano jej córce. Jakimś cudem urzędnicy zdołali nas znaleźć. Kiedyś można było zatrzeć po sobie wszelkie ślady, ale potem światem zaczęły rządzić komputery... Całkiem niepotrzebnie ci ludzie zadali sobie tyle trudu, bo to był po prostu stos starych listów.

Urwał, zmarszczył czoło, potem wstał i powędrował do swojej sypialni. Wrócił z kopertą.

- Znalazłem wśród nich to zdjęcie - powiedział, wręczając jej fotografię. - Możesz je zatrzymać, skoro tak bardzo interesuje cię rodzina.

Zelda otworzyła kopertę i wyjęła fotografię. Ujrzała inteligentne, ciemne oczy podobne do jej oczu. O nic nie musiała pytać.

- To on - powiedziała. - Prawdziwy ojciec Ellen, mój... dziadek.

Czuła się dziwnie, wymawiając te słowa.

- Harlan - dodał James z lekkim szyderstwem w głosie. - Jego imię jest napisane z tyłu.

- Jest bardzo do mnie... do nas podobny - zauważyła Zelda, nie odrywając oczu od twarzy mężczyzny.

James milczał.

- Cała Margaret - powiedział, zmieniając temat. - O to właśnie jej chodziło. Nie mogła umrzeć, nie demonstrując

po raz ostatni swojej złościwości, której nadała ton wylewnych przeprosin z nieustannym refrenem: „naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro”. - Rozłożył ręce i roześmiał się ponuro. - Jak można przeprosić za to, że przez całe życie było się wredną suką? Po co to zresztą zrobiła? Dlaczego dołożyła wszelkich starań, żeby zrzucić wszystkie swoje problemy na Ellen, skoro od wielu lat nie miała z nią kontaktu? Wbił wzrok w swe ręce, które ze złości zacisnął w pięści.

- Dlaczego? - spytała Zelda beztrąsko, mając nadzieję, że James nie zauważy, jak bardzo zależy jej na każdej informacji, i powie coś więcej.

- Ellen wyjechała do szkoły i przypuszczalnie oddaliły się od siebie. Takie jest życie tancerki. Nie ma w nim miejsca dla innych ludzi.

James omiół wzrokiem chatę, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na oknie wychodzącym na morze.

- Właśnie dlatego musieliśmy tu przyjechać. Nigdy w życiu nie postąpiłem mądrzej.

Potem nie odezwał się już ani słowem. Biedna Ellen. Obwiniana. Niechciana. Co gorsza, nawet nie wiedziała czemu.

Na stole pojawiło się parujące kolorowe jedzenie, podane na błyszczących stalowych talerzach. Zelda jednak prawie go nie zauważyła. Wpatrywała się w ciemniejącą rzekę. Cichą, spokojną. Świętą Matkę.

Zastanawiała się, jak musiała się czuć Ellen, uwikłana w tę smutną, ponurą historię. I jak by się poczuła, gdyby teraz, po latach, poznała prawdę, dowiedziała się, dlaczego jej życie wyglądało tak, a nie inaczej? Zelda przypomniała sobie zdjęcie Harlana - roześmianego mężczyzny, którego podobizna spoczywała bezpiecznie w jej torebce, obok czeków i paszportu. Kiedy ją znajdzie - pomyślała - powiem jej o wszystkim i pokażę tę fotografię.

Uśmiechnęła się, wyobraziwszy sobie, jak nagle pojawia się znikąd i wypełnia luki w przeszłości Ellen. Odśladania mroczne wydarzenia, które musiały wyrzeć piętno na jej życiu. Informuje o prawdziwym ojcu. I opowiada o matce, która przed śmiercią koniecznie chciała powiedzieć, jak jej przykro...

Zelda długo siedziała pogrążona w myślach, obserwując mgiełkę, która nadawała tajemniczości ciemnej wodzie głębokiej, pradawnej rzeki.

26

W bladym świetle nadchodzącego świtu wszystko przypominało ciemny, płaski relief. Jedyne kwiaty stanowiły kolorowy akcent na szarocznym tle: ciemnozłociste nagietki, ja-skraworóżowe róże i biały jaśmin tworzyły girlandy zdobiące stragany, które stały po obu stronach ścieżki prowadzącej od ulicy do *ghat*. Tu i ówdzie naga żarówka rzucała plamę żółtego światła na niewielkie kupki kadzidła, starannie poskładane ręczniki i kosze pełne pustych plastikowych butelek. Zelda szła powoli, wdychając chłodne powietrze, w którym unosiła się słodka woń kadzidełek i aromatycznych kwiatów, a także czegoś silniejszego, kojarzącego się z brudem i zwierzętami...

Wejścia do *ghat* strzegły dwie żelazne bramy, które stały otworem i wpuszczały nad rzekę nieprzerwany strumień ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci, świętych mężów, żebraków. Zelda powędrowała w tamtą stronę. Idąc, zerknęła spod opuszczonego hełmu tropikalnego i przyglądała się poszczególnym twarzom. Wszyscy mieli ciemne oczy i ciemne włosy, wszyscy byli Hindusami.

Od czasu do czasu przyglądała się nieco dłużej komuś, kto wyróżniał się w tłumie: starej kobiecie ze śnieżnobiałymi włosami, mężczyźnie, który miał ciemną skórę pokrytą ja-

snoróżowymi plamami. Nagle zamarła, nie mogąc oderwać wzroku od zmierzającego w jej kierunku mężczyzny, który miał na sobie jedynie pomarańczową przepaskę na biodra. Klatkę piersiową ze sterczącymi żebrami pomazał zabarwionym popiołem, a w żylastej ręce trzymał metalowy trójzęb. Zmierzwiona broda i długie włosy niemal całkowicie zakrywały jego twarz, ale przez tę zasłonę widać było przenikliwe oczy wpatrzone w dal. Przywodził na myśl wysłannika z jakiegoś nieznanego królestwa. Zelda obserwowała go, póki nie zniknął z jej pola widzenia. Z coraz większym zdumieniem odwróciła się w kierunku bram i dołączyła do napierającego tłumu.

Droga prowadziła między rzędami budek. W każdej z nich na małym podium siedział człowiek ze skrzyżowanymi nogami. Byli tam odziani na pomarańczowo mężczyźni z twarzami pomalowanymi w pasy i kobiety spowite w białe płótna. Pochylając się nad kamieniami, rozkruszali jakieś grudy i mieszali kolorowe proszki. Zelda zauważyła, że młody mężczyzna zatrzymał się przy jednej z budek. Kiedy pochylił się nieco, na środku jego czoła namalowano czerwoną kropkę. Mokre włosy młodzieńca przylegały do pochylonej głowy. Złożył ręce, ponownie się nachylił i wrzucił kilka monet do metalowej miski. Kiedy się prostował, zatrzymał na chwilę wzrok na twarzy Zeldy. Szybko odwróciła głowę i spojrzała na drzewa w oddali. Kątem oka dostrzegła, że młody człowiek zamarł w bezruchu i zaczął jej się intensywnie przyglądać.

Ruszyła przed siebie, miarowo lustrując wzrokiem tłum, z lewa na prawo, z prawa na lewo. Nagle zatrzymała się, zaskoczona widokiem okrągłej czerwonej twarzy otoczonej jasnymi włosami. Podeszła bliżej.

- Cześć! - zawołała z uśmiechem na ustach.

Stała tak blisko, że mogłaby dotknąć szerokich ramion mężczyzny i jego dobrze rozwiniętych bicepsów, które wypychały wyblakły materiał dżinsowej koszuli. Odwrócił się, spojrzał na nią, a potem kiwnął głową i ruszył przed siebie.

Zelda bez trudu go zrozumiała. Próbował jej powiedzieć: „Nie przypominaj mi, że jestem turystą”. Tak samo postępowali ludzie z kontynentu, którzy każdego lata przyjeżdżali na wyspę. „Odczep się i zostaw mnie w świętym spokoju. Staram się udawać, że jestem stąd”.

Ruszyła w stronę szerokiego, wybrukowanego tarasu, który ciągnął się aż do brzegu rzeki. Z dala od sunącego przed siebie tłumu usiadła na kamiennym stopniu i wsparła głowę na łokciach. Podeszła do niej duża, czarna wrona, dźgając dziobem powietrze. W pobliżu w kamiennym pawilonie stał święty mąż, który śpiewnie wznosił modły. Jego czysty i mocny głos roznosił się w nieruchomym powietrzu, przepływał nad śpiącymi żebrakami i docierał tam, gdzie kąpiący się wchodzili do szarej rzeki. Na pobliskich brzegach leżały w stosikach ubrania. Ludzie kucali między kamieniami, susząc się albo układając długie kawałki płótna w kształtne sari. Inni wracali już w stronę tarasu, z ręcznikami przerzuconymi przez ramiona, niosąc plastikowe butelki z wodą rzezną.

Z kamiennego wzniesienia ułożonego na środku tarasu spoglądała grupka bogów i bogiń z białego marmuru, odcinających się od tła szarego nieba. Posagi miały długie, zwiewne szaty i rozpuszczone włosy. Wyglądały dziwnie znajomo, niczym postacie z mitologii greckiej - miały piękne rysy, spokojne, gładkie twarze. Zelda odwróciła wzrok. Uśmiech zamarł jej na ustach, gdy ujrzała dziewczyneczkę o dużych, brązowych oczach, z zardzewiałymi gwoździemi sterczącymi z policzków. Zmierzwiłone włosy opadały w strąkach na chude ramionka pokryte bliznami, które krzyżowały się, jak ślady po uderzeniu noża albo bata.

- Daj rupię. Daj rupię - powtarzała mała Hinduska, podsuwając glinianą miseczkę.

Zelda patrzyła na nią z przerażeniem.

- Daj rupię - powtórzyła dziewczynka, potrząsając miseczką.

Uśmiech, który pojawił się na jej ustach, spowodował otwarcie się zasklepionej rany i odsłonił białe mleczne zęby. Zebraczka podeszła bliżej.

Zelda cofnęła się gwałtownie.

- Tak, tak. W porządku - szepnęła.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła banknot. Dziecko z małpią zręcznością porwało zdobycz i uciekło, przyciskając ręce do klatki piersiowej.

- O Boże! - Zelda zdusiła falę mdłości. - Jezu... Spojrzawszy na swoją rękę, przypomniała sobie przelotny

dotyk suchej, gorącej skóry. Otarła dłoń o dzinsy, jakby chciała usunąć bakterie, które mogły się już tam zagnieździć.

Nagle, nie wiadomo skąd, wokół niej zaczęli gromadzić się żebracy jak mewy, które krążą wokół jedzących turystów. Były to obdarte, pokryte bliznami dzieci o chudych ramionach i dużych, ciemnych oczach. Nie odrywały wzroku od jej kieszeni i czekały w milczeniu. Zelda wstała i cofnęła się, dzieci podążyły za nią. Wokół ich grupy unosił się zapach brudnych ciał i niepranej odzieży. Wokół ich ran i zaropiałych oczu krążyły muchy. Jedna z nich przysiadła na twarzy Zeldy.

Sięgając ręką do kieszeni, dziewczyna próbowała sobie przypomnieć, ile tam znajdzie. Niewiele, gdyż większość gotówki zawinęła w szmatkę i włożyła do buta. W zasięgu ręki miała tylko banknoty o dużych nominałach, a nie drobne monety, tymczasem otaczało ją mnóstwo wyciągniętych rąk. Rozejrzała się z przerażeniem. Nad główkami dzieci zauważyła, że w jej stronę odwracają się inni ludzie. Wokół zaczynał się zbierać tłum, ludzie przerywali modły i zawracali ze ścieżki, która prowadziła w stronę rzeki. Słysząc było cichy pomruk, który przyciągał kolejnych ciekawskich. Do czego?! Zelda odwróciła się, by sprawdzić, co znajduje się za nią, ale ujrzała tylko puste schody i czarne wrony. Uniosła wzrok nad głowami tłumu i spojrzała w dal. Zobaczyła las za rzeką...

Chodzi im o mnie! - pomyślała spokojnie, na przekór przyspieszonemu biciu serca. Oni patrzą na mnie! Co ja takiego zrobiłam?

Szmer przerodził się w głośny, choć nieco przytłumiony pomruk, który zagłuszył modlitwy mnicha. Tłum gęstniał, powiększał się o tych, którzy po wyjściu z wody również nadchodzili, nie całkiem wytarci i nieubrani.

Zelda przyjrzała się twarzom osób najbliższej stojących. Nie było na nich wrogości. Niektórzy ze zgromadzonych pokazywali ją palcami i kiwali głowami bądź potrząsali nimi. Przeważnie jednak napotykała po prostu pełne zaskoczenia czy zaciekawienia oczy, jakby zjawił się przybysz z kosmosu, ktoś kto przybył prosto z nieba. Tymczasem była po prostu jeszcze jedną turystką...

Wbiła wzrok w stopy otaczających ją ludzi, w zdarte, znoszone buty. Na czubku jednego z nich dostrzegła plamę pozostawioną przez kałamarnicę. Napierający ludzie utworzyli wokół niej zwarty mur, zamykając ją w środku. Czuła, że ów mur staje się coraz grubszy. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że musi się przez niego przebić, nim całkowicie odgrodzi ją od świata. Serce waliło jej w piersiach, nagłąc do ucieczki. Oddech stał się płytki, powietrze wydawało się zbyt rzadkie. Odwróciła się i potknęła na schodach, płosząc ptaki. Wszystko na nic, przed sobą miała kamienną ścianę i żadnej drogi ucieczki. Zwróciła się w inną stronę, pewna, że będzie musiała przepychać się przez tłum. Kiedy jednak zbliżyła się do ludzi, rozsunęli się, robiąc jej przejście. Z trudem powstrzymała się, by nie pokonać biegiem tak powstałej ścieżki.

Powtarzała sobie, że musi się zachowywać tak, jakby przechodziła obok złego psa. Udawać, że jej tam wcale nie ma i że on właściwie jej nie widzi...

Nagle czyjaś ręka chwyciła ją za bluzkę. Zelda zdusiła krzyk i odskoczyła. Nie odrywając wzroku od żelaznych bram, pobiegła w ich stronę. Ktoś pchnął jej pod nogi małe dziecko, zdołała je jednak ominąć i dalej zmierzała do celu.

W końcu zostawiła zgromadzonych daleko za plecami. Wciąż czując ich spojrzenia na plecach, podeszła do żelaznego ogrodzenia i wtedy zdała sobie sprawę, że bramy nie prowadzą do wejścia, lecz na następny taras. Z wahaniem rozejrzała się wokół siebie. Jej uwagę przykuła osoba o jasnej skórze, kremowej, pokrytej piegami twarzy. Młoda kobieta miała duże, pełne blasku szare oczy, a odziana była w białe sari. Spojrzała na Zeldę, a potem wbiła wzrok w ziemię. Australijka pospieszyła w jej stronę, ale kiedy się zbliżyła, spowita w biel postać odwróciła się i zaczęła się oddalać.

Podążając za nią w niewielkiej odległości, dziewczyna patrzyła, jak brzeg jej białego sari robi się szary od pyłu, słuchała, jak sandały nieznajomej stukają równomiernie o bruk.

Wyczuła moment, kiedy tłum przestał śledzić ją wzrokiem; ludzie zaczęli patrzeć gdzie indziej. Zawahała się, jakby nagle zabrakło jej siły, która dotychczas popychała ją do przodu. Teraz posuwała się przed siebie przyciągana jedynie przez miarowy stukot sandałów.

Po wyjściu *zghat* kobieta przecięła ruchliwą drogę, skręciła w wąską dróżkę i zatrzymała się. Zelda podeszła do niej.

- Przepraszam, że idę za panią, ale...

Kobieta nadal stała odwrócona plecami i patrzyła prosto przed siebie. Zelda westchnęła i spróbowała jeszcze raz:

- Chyba coś zrobiłam źle, ale nie wiem co. Przecież tylko... - Zmarszczyła czoło z powątpiewaniem.

- Tylko dałam pieniądze tej dziewczynce. Miała... blizny. I policzki przebite gwoźdźmi.

Sama nie mogła uwierzyć własnym słowom.

Nieznajoma wsunęła rękę w fałdy sari. Po chwili wyjęła zeszyt, ołówek i zaczęła pisać. Pokazała Zeldzie to, co napisała.

Złożyłam ślub milczenia - przeczytała Zelda. Dziewczynka jest dzieckiem świętego męża. Ascetką. Dzięki dobrowolnemu cierpieniu w następnym wcieleniu będzie świętą. Postąpiła pani słusznie, udzielając jej swego błogosławieństwa.

Zelda z niedowierzaniem wpatrywała się w tekst. Czuła się jak ktoś, kto usiłuje wyrwać się ze snu, chwytając się czegoś, co wygląda na rzeczywiste. Napotkała szare oczy kobiety i starała się podtrzymać jej spojrzenie.

- W takim razie dlaczego oni wszyscy zebrali się wokół mnie? - spytała. - Co o mnie mówili?

Oddała zeszyt. Błada dłoń ponownie zaczęła pisać. Zelda patrzyła na pojawiające się słowa.

Nie znam hindi, więc ich nie zrozumiałam. Może coś w pani dostrzegli - napisała nieznajoma.

- Nie rozumiem - powiedziała Zelda. Kobieta wzruszyła ramionami.

Wszyscy w naszym wnętrzu nosimy ziarenko boskości -napisała. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Zelda jeszcze raz spojrzała na nią, kiwnęła głową, zastanawiając się, co dalej. Może powinna przeprosić nieznajomą i odejść, wciąż jednak było za wcześnie, żeby zadzwonić do Ranjita, a oprócz tego na razie nic nie mogła zrobić.

- Mam na imię Zelda - powiedziała w końcu. - Dopiero przyjechałam do Riszikeszu w poszukiwaniu pewnej osoby. Może mogłaby mi pani pomóc?

Kobieta kiwnęła głową i znów zaczęła pisać. Mam na imię Anandi, czyli radość. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

Zaczekała, aż Zelda przeczyta tekst i uniesie wzrok. Potem uśmiechnęła się. Był to promienny uśmiech, który przeobraził jej twarz. Przez chwilę Zelda miała wrażenie, że kobieta w białym sari wybuchnie śmiechem i stwierdzi, że tylko żartowała, ona jednak bacznie przyjrzała się twarzy swej towarzyszki i napisała:

Czy już się kiedyś spotkałyśmy?

Zelda potrząsnęła przecząco głową.

- Przyjechałam dopiero wczoraj. Byłam w hotelu. Anandi skinęła głową i ruszyła w stronę bram, gestem ręki zapraszając Zeldę na wspólną przechadzkę.

Szły ulicami. Zelda nie próbowała nawet zapamiętać drogi, dochodząc do wniosku, że po prostu wróci nad rzekę i spróbuje określić swoje położenie. Starła się wymyślić pytania, na które Anandi mogłaby odpowiedzieć bez słów.

- Nie widziałam nad rzeką innych obcokrajowców - zagaiła. - Właściwie tylko jednego. Bywa ich więcej?

Anandi wskazała na słońce, które wciąż wisiało nad horyzontem, a następnie zamknęła oczy.

- Obcokrajowcy przychodzą później? - odgadywała Zelda. - Teraz śpią?

Anandi potaknęła ruchem głowy.

- Może w takim razie powinnam poczekać - powiedziała Zelda, zwalniając kroku.

Anandi potrząsnęła głową i wskazała koniec ulicy.

- Od dawna jesteś w Indiach? - spytała Zelda, wędrując dalej.

Jej rozmówczyni skinęła głową, nie odwracając się.

- Jesteś Amerykanką? - brzmiało następne pytanie.

Anandi spojrzała na nią i wzruszyła ramionami. Zelda zamilkła, nagle speszona szorstkim brzmieniem swojego głosu i tym, że może wydać się wścibska.

Dotarły do kompleksu niskich jasnożółtych budynków współczesnych, ale już nienowych, podobnie jak hotel Holy Ganges. Przeszły pod marmurowym łukiem, ozdobionym rzeźbionymi ornamentami, pokrytymi grubą warstwą kurzu. Łuk nie pasował do otoczenia, wyglądał, jakby został przeniesiony z jakiegoś innego miejsca. Anandi wskazała tabliczkę z napisem: *Aśram Shaktiananda*. Niżej wisiała druga, z napisem: *Proszę mówić cicho i odzywać się tylko w razie konieczności*.

Anandi poprowadziła Zeldę przez ogrodzony teren. Mijały milczące grupki mężczyzn odzianych w wyblakłe pomarańczowe stroje i kilka kobiet w zgrzebnych, białych sari, takich jak Anandi. Kilka osób pozdrowiło je kiwnięciem głowy, większość jednak sprawiała wrażenie zatopionych głęboko

w rozważaniach. Zelda starała się iść spokojnym, wolnym krokiem, jej niepokój zdradzały tylko oczy, które zatrzymywały się na twarzy każdej z mijanych osób. Koniecznie chciała coś zrobić: zadzwonić do Ranjita, iść na komisariat policji, byle tylko zacząć już poszukiwania. Skręcając za rogiem, niemal wpadła na starszego mężczyznę, który siedł przygarbiony, z tobołkiem przyciśniętym do klatki piersiowej.

- Przepraszam - powiedziała odruchowo.

Potem stanęła i odwróciła się. Znad pochylonych ramion mężczyzny spoglądało na nią maleńkie dziecko. Miało jasne loczki, różowe policzki i niebieskie oczka. Mała, brudna rączka wymachiwała w powietrzu, a druga ścisnęła brudną butelkę z niebieskawym mlekiem. Zelda stała w bezruchu, póki Anandi nie ujęła jej ramienia i nie pociągnęła za sobą.

- Moja matka tu była - powiedziała Zelda. - Nie wiem, kiedy przyjechała, ale była na pewno dwanaście lat temu. - Mówiła szybko, jakby widok dziecka skłonił ją do pośpiechu. - To właśnie jej szukam. Ma około czterdziestu lat i wygląda... tak jak ja. Przynajmniej tak wyglądała, gdy była w moim wieku. Jest Amerykanką, nazywa się Ellen Madison.

Anandi zatrzymała się i sięgnęła po zeszyt. Nie martw się - napisała. Znajdziesz osobę, której szukasz.

Zelda schwyciła ją za rękę.

- Jak to? Znasz ją?! - spytała.

Anandi uśmiechnęła się tajemniczo i powędrowała dalej.

Minęły budynek, nad którego drzwiami wisiała tabliczka z napisem: *Jadalnia*. Oba skrzydła stały otworem, a ze środka dochodził brzęk metalu i śpiew. Zelda zajrzała do wnętrza. Ludzie siedzieli rzędami na ziemi, a przed nimi stały metalowe talerze. W rogu pomieszczenia znajdowała się czarna tablica, na której ktoś napisał po angielsku i w hindi: *Dzisiejszy posiłek zawdzięczamy panu Nairowi z Bombaju, który ze szczerego serca złożył tę ofiarę ku pamięci swoich rodziców*. Wzdłuż rzędów przechodził mężczyzna, który nalewał

na talerze coś, co przypominało brązową owsiankę. W powietrzu rozszedł się zapach wilgotnej ziemi. Zelda nagle poczuła i głód, i mdłości.

Anandi prowadziła ją w kierunku głównego budynku ozdobionego gipsowym gzymsem pomalowanym pastelowymi farbami. Przed wejściem naciągnęła fałdy białego płótna na głowę i zdjęła skórzane sandały. Spojrzała na hełm tropikalny Zeldy i zaaprobowała go kiwnięciem głowy. Zmarszczyła jednak brwi na widok jej butów.

- Nic im się tutaj nie stanie? - spytała Zelda niepewnie, rozwiązując sznurowadła.

Zostawianie butów, tak samo jak wieszanie plecaka na krzaku sprawiało, że człowiek czuł się nagi i bezbronny. Anandi machnęła tylko ręką i czekała w pobliżu, podczas gdy Zelda wyjęła z buta zwitek pieniędzy i odstawiła obuwie.

Weszły do środka. Ich nagie stopy bezgłośnie stapały po kamiennych płytach. Kobiety były dwiema drobnymi postaciami w rozległym, pustym pomieszczeniu. W nieruchomym powietrzu unosiły się mocne zapachy. Wysokie białe ściany były ozdobione ręcznie malowanymi afiszami z fragmentami tekstów, czym przypominały oprawione w ramki wersy z Biblii na ścianie w szkółce niedzielnej.

Myśl jak geniusz. Pracuj jak siłacz. Żyj jak święty. Dążenie do przyjemności i władzy jest ogromną przeszkodą na drodze do wewnętrznego spokoju. Tylko ten może dowodzić, kto umie się podporządkować.

W przeciwległym krańcu pomieszczenia znajdowało się sanktuarium; kadzidło tliło się przed wysokim posągiem mężczyzny odzianego w czerwone szaty. Anandi wzięła Zeldę za rękę i poprowadziła ją w tamtym kierunku. W niewielkiej odległości od sanktuarium uklękła i dotknęła czołem podłogi. Potem pochyliła się nad zeszytem i zaczęła pisać. Jej sari zsunęło się nieco, odsłaniając rude loki. Zelda spoglądała na

sanktuarium, ale myślała o butach pozostawionych przed wejściem. Miała nadzieję, że wciąż tam są. Anandi uniosła głowę i podała jej zeszyt. Jej szare oczy było czyste i głębokie.

To nasz nauczyciel, nasz guru - przeczytała Zeldę.

Uniosła wzrok. Na ustach Anandi igrał lekki uśmiech.

Posiada zadziwiającą wiedzę. Nie musisz prowadzić dalszych poszukiwań. Tutaj znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba.

Zelda przyglądała się tekstowi. Słowa otoczyły ją ze wszystkich stron, płynęły ze ścian, z zeszytu, z jej umysłu.

Tutaj znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba. Bądź dzielna, bądź silna, bądź sobą. Z tobą, dla ciebie, zawsze.

Oddała zeszyt kobiecie i wyszła. Jeszcze przez chwilę biegł za nią odgłos ołówka posuwającego się po papierze. Słyszała go nawet wtedy, gdy była już na zewnątrz i mrużyła oczy w jasnych promieniach porannego słońca.

Dom Ranjita wyglądał na cichy i pusty, ale gdy Zeldę zapukała do drzwi, na progu pojawił się mężczyzna w białej liberii. Poprowadził ją ciemnym korytarzem do cieniściego salonu. Wyciągnął rękę po jej hełm tropikalny, ale dziewczyna położyła go sobie na kolanach.

- Pan Saha wkrótce przyjdzie - powiedział, po czym wyszedł.

Zeldę rozsiadła się wygodnie w wyściełanym wiklinowym fotelu, który głośno zaskrzypiał, zakłócając ciszę. Liście palmy doniczkowej niemal muskały ją po twarzy. Przyjrzała się przez nie ścianom, na których wisiały ciemne obrazy, i niewielkim oknom, zasłoniętym ciężkimi aksamitnymi kotarami. Stary zegar tykał na ozdobionym koronką gzymsie kominka.

Pojawił się służący, który stąpał cicho jak kot. Unikając wzroku Zeldy, postawił na stoliku obok niej szklanę z napojem i miseczkę czegoś drobnego do przegryzienia, po czym zniknął.

Zelda powoli sączyła napój, przypominając sobie ostrzeżenia Rye'a, że może pić tylko z butelek, które sama otworzy i które mają drukowane etykiety. Napój podsycił jej głód, wzięła więc garstkę czegoś, co wyglądało na groszek. Chilli zaszczypało ją w język, a kiedy szybko przełknęła kęs, zaczęła dławić się i kaszleć.

- Witam w Riszikeszu. - Spokojny głos przebił się przez jej kaszel.

Zelda obejrzała się i ujrzała za fotelem mężczyznę, ale w panującym półmroku ledwie widziała jego twarz. Poderwała się na równe nogi.

- Nie, proszę nie wstawać - powiedział gospodarz. Zajął fotel naprzeciwko niej, rozparł się w nim i złożył ręce na kolanach.

- Dostałem list od Rye'a - powiedział bez żadnych wstępów. - Wyjaśnił mi, że szuka pani matki, która była tutaj w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Zapewniam, że jej już tu nie ma, i to od dawna. - Uniósł dłoń, nie chcąc, by mu przerwała. - Zaraz wszystko wyjaśnię. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych do Riszikeszu przyjeżdżało mnóstwo ludzi. Nawet Beatlesi siadywali u stóp Maharishi. Przynajmniej przez jakiś czas. Pojawiały się również gwiazdy filmowe i ich rodzeństwo. O tak, byliśmy modni. - W jego beztroskim głosie dała się słyszeć nutka cynizmu. - Jeszcze ludniej było w Goa, proszę mi uwierzyć, przeżyliśmy istny potop. Amerykanie, Niemcy, Francuzi, przedstawiciele wszystkich narodowości, które tylko zechciałaby pani wymienić. Kręcili się po mieście, udawali pobożnych, chodzili bez ubrań, zażywali narkotyki i uprawiali seks z kim popadnie. Tymczasem to święte miasto. Nie mogło tak być. A ich dzieci! Żalodne! Powiem szczerze. Jeśli pa-

ni matka była w tym czasie w Riszikeszu, powinna pani dziękować Bogu, że zostawiła panią w innym zakątku świata. -Przerwał i z trudem nabrał powietrza w płuca. - Na szczęście, większość hipisów w końcu stąd wyjechała. Wrócili do luksusów materialistycznego świata, do którego należą. -Urwał, a jego głos złagodniał. - Jestem pewien, że pani matka zrobiła to samo. Mówi pani, że była tutaj w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku... No cóż, wtedy popularność Riszikeszu dobiegała już końca.

- Przecież nadal są tu obcokrajowcy - powiedziała Zelda, bliska łez. - Widziałam ich.

- Tak, tak - przyznał Ranjit. - Zawsze pojawia się coś nowego, co ich przyciąga, na przykład jakiś guru ze swymi nowymi pomysłami. Chociaż, prawdę mówiąc, teraz przyjeżdżają jedynie młodzi ludzie, którzy po ukończeniu szkoły średniej, przed pójściem na studia, wybierają się w podróż dookoła świata, próbując poznać życie. - Zmarszczył czoło. - Ile lat miałyby teraz pani matka?

- Czterdzieści cztery - szepnęła Zelda. Ranjit rozłożył ręce.

- W takim razie mogłaby wciąż tu być tylko pod jednym warunkiem, że całkowicie poświęciła się życiu duchowemu. Żyje tu kilka naprawdę uduchowionych osób, ale jeśli pani matka zalicza się do tego grona, proszę o niej zapomnieć. Złożyła śluby, zrezygnowała z ziemskiego życia, co oznacza, że również z pani.

Zegarek głośno tykał w ciszy. W oddali zapiał jakiś spóźniony kogut. Zelda uniosła do ust szklanke, starając się zachować spokój, choć drżała jej ręka.

- Nie sądzę, by złożyła śluby i została *sannjasinem* - powiedziała zdecydowanie.

- Jeśli tak, to prawdopodobnie jej tu nie ma - odparł Ranjit.

- Rozumiem - stwierdziła Zelda, zmuszając się do lekkiego tonu. - W takim razie muszę się dowiedzieć, gdzie była,

i sprawdzić, czy ktoś coś o niej wie. Potrzebuję wskazówki, od czego zacząć...

Ranjit wybuchnął śmiechem.

- To niemożliwe. Przykro mi, ale to prawda. Aśramy to nie wasze amerykańskie uczelnie. Ludzie pojawiają się w nich i znikają. Niektórzy sprzedawali własne paszporty, żeby kupić narkotyki. Przybierali nowe imiona. - Prychnął. - Imiona bogów... To im się podobało. Saraswati, Yuddhistra, Abhimanyu. Nie. Mogę tylko poradzić, żeby udała się pani do ambasady Stanów Zjednoczonych w Delhi.

Promień słońca oświetlił część jego twarzy.

Pan domu przyglądał się ocienionemu obliczu Zeldy, czekając na jej reakcję. Zdobyła się jedynie na niewesoły uśmiech.

Ranjit znów się odezwał.

- Jest tu tak ciemno z powodu mojej kolekcji. Mam sporo starych malowideł na płótnie i jedwabiu. Są bardzo wartościowe, niestety, szkodzi im światło dzienne. - Gestem ręki wskazał szklanę Zeldy. - Ma pani jeszcze ochotę na wodę sodową?

- Nie. Dziękuję.

- Czy jest pani przyjaciółką Rye'a? - spytał, ale nie czekał na odpowiedź. - Znałem jego ojca, był wspaniałym człowiekiem. Razem chodziliśmy po górach. - Przerwał na chwilę i pogrążył się we wspomnieniach. - Brałem udział w jego ostatniej wyprawie, podejściu na Nandę Devi. Teraz traktuję ten szczyt jak jego pomnik, kamień nagrobny. Mój przyjaciel został tam na zawsze. Zna pani matkę Rye'a?

- Nie - odparła Zeldy. - Prawdę mówiąc, Rye'a też nie znam dobrze. Spotkaliśmy się tylko raz.

Miała wrażenie, że od wieczoru u Dany minęły całe wieki i że wszystko to odbywało się w jakimś innym świecie.

- Hmm - mruknął Ranjit. - Czasami jedno spotkanie wystarcza, nieprawdaż? Jego matka często mi o nim pisze. Wszystkie dziewczęta zakochują się w nim od pierwszego

wejrzenia. Tymczasem jego interesuje tylko morze! - Ranjit zmarszczył czoło. - Jestem w stanie zrozumieć miłość do gór, ale morze to przecież tylko ogromny zbiornik wody! - Potrząsnął głową. - Tak czy inaczej, powinna pani zachować ostrożność. Na wypadek, gdyby Rye chciał złamać pani serce.

Zelda nie odrywała wzroku od swojego rozmówcy. Poszukiwania Ellen zepchnęły inne sprawy na dalszy plan, na przykład myśli o Rye'u czy o Drew. Jednak słowa Ranjita sprawiły jej ból. Wszystkie dziewczęta zakochują się w nim od pierwszego wejrzenia. Uwiedzione jego słowami o pięknych oczach...

- Nie sądzę, żeby coś mi groziło z jego strony - stwierdziła szorstko. - Nawet nie jestem pewna, czy go lubię. Nie prosiłam go również, by do pana napisał.

Wstała.

Ranjit zachichotał.

- A teraz jest pani zła.

- Nie jestem zła - odpowiedziała Zelda, jednak głos jej drżał. - Tylko... nie...

Ranjit poderwał się na równe nogi.

- Proszę o wybaczenie. Nie chciałem pani zdenerwować. Rye...

- Proszę posłuchać. Nie chodzi mi o Rye'a. Chcę odnaleźć matkę.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Światło z zalanego słońcem patia wpadło do pokoju.

- Cholera, nie te drzwi! - wymamrotała.

Kiedy się odwróciła, zauważyła, że Ranjit stoi tuż za nią.

- Przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

- Proszę poczekać.

Obszedł ją, żeby przyjrzeć jej się w świetle. Przetarła mocno oczy wierzchem dłoni.

- O mój Boże... - Głos Ranjita załamał się, mężczyzna cofnął się.

- O co chodzi? - spytała Zelda. - Co się stało?

- Nic - odpowiedział zdecydowanie Ranjit. - Naprawdę. Po prostu przez chwilę wydawało mi się, że... Nieważne. Proszę usiąść. Zbliżyła się pora lunchu. - Uśmiechnął się blado. - Moja żona jest wspaniałą kucharką.

- Bardzo dziękuję, ale mam sporo do zrobienia - powiedziała Zelda.

Skierowała się w stronę innych drzwi. Zaczepiła stopą o patykowatą nogę małego stolika i wywróciła go.

- Proszę posłuchać, myślę, że mimo wszystko mogę pani pomóc - powiedział Ranjit.

Zelda zatrzymała się. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na leżący stolik.

- Mam kontakty, mogę popytać w aśramach. Porozmawiać z bibliotekarzami. Może ktoś pamięta pani matkę. Prawdę mówiąc, powinna się pani przenieść do mnie, zamiast mieszkać w hotelu. Rye nie byłby z tego zadowolony.

Złożył ręce w niemal błagalnym geście.

- Bardzo chętnie pani pomogę. Sądzę, że potrzebuje pani rady.

- Dziękuję - odpowiedziała Zelda, marszcząc czoło.

Była bardzo zaniepokojona nagłą zmianą tonu gospodarza i jego chęcią niesienia pomocy; potrzebowała czasu do namysłu.

- Muszę wrócić do hotelu. Przyjdę po południu.

- Nie, nigdzie nie musi pani iść - zaprotestował Ranjit. - Poślę kogoś po rzeczy. - Zablockował ciałem drzwi. - Nie powinna pani chodzić sama po Riszikeszu. Proszę zostać!

- Poradzę sobie - uparła się Zelda.

Prześlizgnęła się obok niego, wyszła do holu i włożyła hełm.

- Tak, tak... dobrze, proszę nosić nakrycie głowy - powiedział Ranjit. - Jest... gorąco, a nie jest pani przyzwyczajona do takich upałów. Przydałyby się również okulary przeciwsłoneczne.

Zelda wyjęła okulary z kieszeni i założyła.

- Wróci pani? - spytał Ranjit. - Jak najszybciej?

- Tak. Na pewno.

Na zewnątrz czekała taksówka. Ranjit stał w drzwiach i patrzył, jak Zelda wsiada do samochodu. Z niewyraźnym uśmiechem pomachał jej ręką.

Było południe. Z nieba lał się żar. Właściciele straganów, rikszarze, żebracy i święci mężowie schronili się w cieniu drzew. Gdzieś ktoś walczył dzielnie z upałem, schylając się i skrapiając ziemię wodą, by było mniej kurzu. Zelda spojrzała w lusterko wsteczne, czekając, aż kierowca na nią spojrzy. Gdy tak się stało, podniosła dłoń do ust, udając, że pije, i wskazała na pobocze drogi.

- Picie? - spytał kierowca. - Tak? Coś zimna?

Kiedy przytaknęła, samochód podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Kierowca krzyknął przez okno do chłopca, który opierał się o ladę małego straganu. Młodzieniec odpowiedział okrzykiem, wzruszył ramionami i pokazał rząderek różnokolorowych napojów.

- Podejdę - powiedziała Zelda.

Wybrała jakiś żółty napój i wręczyła sprzedawcy pieniądze. Na widok banknotu chłopiec zmarszczył czoło i podszedł do taksówkarza rozmiąć pieniądze. Zelda oparła się o stragan, rozkoszując się napojem. Spojrzała w stronę domu Ranjita, zastanawiając się, dlaczego tak nagle zmienił ton. Czy widząc jej zdenerwowanie, poczuł wyrzuty sumienia? Czy naprawdę ma zamiar jej pomóc? Czy można mu zaufać? Był nieustępliwy, nachalny... Zelda zmarszczyła brwi. Czego właściwie się spodziewała? Rye zdradził ją, zdradził Jamesa. Dlaczego więc miała by ufać jego przyjacielowi?

Pochyliła się, żeby odstawić butelkę na ladę. W tym momencie jej wzrok przykuły jaskrawe kwiaty - wieńce z nagietków, zawieszane nad rzadkiem oprawionych obrazków. Na pierwszym widniała namalowana bogini z licznymi parami rąk, które rozchodziły się promieniście wokół jej głowy.

Obok znajdowało się zdjęcie Hindusa z długimi włosami i promiennym uśmiechem na twarzy. Miał na nosie duże kwadratowe okulary przeciwsłoneczne, a na szkle, tam gdzie znajdował się środek jego

czoła, ktoś niedawno namalował czerwoną kropkę. Następna fotografia była w połowie przesłonięta kwiatami. Widząc spojrzenie Zeldy, chłopiec uczynnie odsunął je na bok. Dziewczyna zamarła.

Patrzyła na swoją własną twarz: ciemne oczy i czarne brwi na tle jasnej cery. Twarz Charliego Chaplina, jak mawiał James. Czerń i biel.

- Nanda Devi. Nanda Devi - powiedział chłopiec, stukając palcem w zdjęcie.

- Nanda Devi? - powtórzyła Zelda niczym echo.

Jej głos był słaby, przypominał szept niesiony przez wiatr. Zakręciło jej się w głowie, jakby nagle znalazła się w czyimś śnie. Oblizła wargi i otworzyła usta.

- Kto to taki?

Boże! - pomyślała. Kim ona jest? Świętą? Boginią? To absurd. Czyste szaleństwo. Niemniej twarz, na którą spoglądała, była spokojna i pogodna, z oczu wyzierała życzliwość, a na wargach błąkał się łagodny uśmiech.

- Riszikesz? - wyszeptała Zelda.

Młody Hindus poruszył głową z boku na bok, w jednym geście łącząc odpowiedź: „tak” i „nie”.

- Szukam jej! - Zelda podniosła głos. - Gdzie ona jest? Powiedz mi!

Chłopiec krzyknął coś do kierowcy taksówki, wymienili kilka słów, po czym wybuchnęli śmiechem. Właściciel budki wskazał samochód, potem Zeldę, w końcu wyciągnął rękę w stronę obrazka wiszącego na ścianie.

- Dwadzieścia rupii - powiedział. - Jechać. My jechać. Zelda zrobiła okrągłe oczy.

- Dwadzieścia rupii za... jazdę do niej? - spytała. Chłopiec ponownie pokiwał głową. Dziewczyna schyliła

się i zaczęła grzebać zdrętwiałymi palcami w bucie. Wyjęła

gruby zwitek banknotów, odłożyła dwa z nich, a resztę schowała do kieszeni. Chłopiec z zaskoczeniem obserwował znikające pieniądze, potem zacisnął palce na banknotach, które mu wręczyła. Wskoczył na przednie siedzenie samochodu, a Zelda zajęła swoje miejsce z tyłu.

Kiedy taksówka ruszyła, młody Hindus odwrócił się i spojrzał na Zeldę. Uśmiechnął się, pokazując duże białe zęby, po czym wskazał na jej okulary przeciwsłoneczne.

- Ty mi dać. - Udał, że maluje punkt na swoim czole, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. - Ja być wielki człowiek. Ja być bóg!

Kierowca również się roześmiał.

- Czy to daleko? - przerwała im Zelda. - Długa droga? Kierowca zerknął na nią w lusterku wstecznym i potrząsnął głową.

-Nie.

Zelda zdjęła hełm i oparła czoło o brudną szybę. Po głowie krążyły jej oderwane strzępy myśli. Ellen... Ozdobiona kwiatami niczym bogini... To stąd znali moją twarz, dlatego tak przypatrywali mi się nad rzeką... Również Ranjit Saha mnie rozpoznał...

Po krótkiej jeździe zatłoczonymi ulicami samochód zwolnił i zatrzymał się obok wysokiego, białego muru, obrośniętego pnączem. Nad ścianą zieleni widać było tylko najwyższe piętro pomalowanego na biało budynku z długim ciągiem małych okien z okiennicami, zupełnie jak w szkole czy szpitalu. W murze znajdowała się prosta, wąska brama, a nad nią skromna tabliczka z napisem: *Dom Pięknej Matki. Proszę wejść.*

27

Płyty z różowego marmuru wytyczały ścieżkę przez morze białego żwiru, starannie zagrabionego w długie, wijące się li-

nie. Z jednej strony ścieżki biegł rząd niskich drzew, które rzucały wąski pas cienia. Ptaki przysiadły na gałęziach, wypełniając świergotem spokojne powietrze.

Zelda uniosła głowę i idąc, przyglądała się fasadzie budynku. Miał trzy piętra, a na każdym poziomie znajdował się długi szereg okien. Wszystkie były zasłonięte niebieskimi drewnianymi okiennicami, wyjątek stanowiło okno na najwyższym piętrze, w którym widać było zaciągniętą do połowy zasłonę i kawałek płótna czy ręcznik przerzucony przez parapet - jedyny znak, że budynek nie jest opuszczony. Zelda stanęła i ze zmarszczonymi brwiami rozejrzała się po dziedzińcu. Wszędzie panował idealny porządek, żadnych śmieci, krzeseł, rowerów czy porozstawianych filiżanek po herbacie. Żadnych śladów normalnego życia. Skądś dobiegło natomiast żalosne zawodzenie, które przypominało płacz noworodka.

W oddali, miejscu, gdzie kończyła się marmurowa ścieżka i żwir, zaczynał się plac, również wyłożony marmurowymi płytami. Stało na nim kilka posagów naturalnej wielkości. Z daleka przypominały Zeldzie rzeźby widziane nad rzeką, gdy jednak podeszła bliżej, rozpoznała pochyloną, spowitą w chustę głowę Matki Bożej. Kamienna twarz promieniała spokojem i radością. Na podołku postaci leżało nagie Dzieciątko Jezus z rączkami i nóżkami uchwyconymi w ruchu. Obok znajdował się zniszczony posążek pulchnego hinduskiego dziecka. Chłopiec wdzięcznie się uśmiechał i wyciągał rączkę, ułamaną teraz na wysokości łokcia. Za nim stała wysoka, wytworna, wieloręka bogini; jej długie włosy zdawały się spływać wokół ramion, a smukłe ręce rozchodziły się promieniście wokół głowy. Ostatni posąg był zwrócony przodem do wejścia budynku. Zelda szła w jego stronę, lecz zatrzymała się, gdy dostrzegła chudą brązową rękę, która wyłoniła się zza kamiennego ramienia i usuwała białą szmatką ptasie odchody.

- Przepraszam! - zawołała Zelda.

Ręka zniknęła. Zza posągu wyskoczył Hindus w jasnoniebieskim stroju i stanął sztywno obok rzeźby.

- Dzień dobry. W czym ja mogę pomóc? - spytał śpiewnie.

Zbliżywszy się do niego, Zelda kiwnęła głową na powitanie. Spojrzała na posąg, potem obeszła go, chcąc zobaczyć oblicze bogini. Miała dziwne wrażenie, jakby między nią a wyrzeźbioną postacią stało lustro, dziwne lustro, które zamieniało żywe ciało w kamień, a barwy życia przeobrażało w różne odcienie marmurowej bieli. Stały ramię w ramię, oko w oko, choć Zelda spoglądała na rzeźbę przez ciemne okulary przeciwsłoneczne. Rozchyliła wargi, wyciągnęła rękę i musnęła ciepłymi palcami chłodny, jasny kamień.

- Piękna Matka - oznajmił mężczyzna, przecierając szmatką kamienne ramię. - Ona nie być tutaj.

Gestem ręki wskazał wejście do budynku, zwracając uwagę Zeldy na imponujące, szerokie drzwi, wykonane z malowanego drewna obitego blachą. Przed nimi siedział paw, którego lśniąca niebieska szyja i długie, mieniające się barwami tęczy pióra stanowiły barwną plamę na tle chłodnego kamienia.

- Tam być gazeta. - Hindus dźgnął palcem powietrze. - Pani wziąć gazeta.

Zelda weszła szybko po szerokich schodach i znalazła się w cieniu portyku. Z jednej strony w otwartych drzwiach wisiał pojemnik z broszurkami. Sięgnęła nad wciąż stojącym tam pawiem i wyjęła jedną z nich, drukowaną na blado-niebieskim, miękkim i grubym papierze. Na środku znajdował się tłoczony, złoty profil Ellen. Przypominał wizerunek królowej na znaczkach pocztowych. Piękna, pełna szczegółów podobizna ukazywała nawet kosmyki włosów i długie rzęsy.

Rozkładając broszurkę, poczuła dziwny zapach, zdecydowanie słodką, a jednocześnie lekką i czystą woń, z którą nigdy wcześniej się nie zetknęła.

Zerknęła na tekst. *Wakacyjny kurs... zakwaterowanie w hotelu w Musoorie... pół godziny jazdy... górskie widoki... zapraszamy do Everest House...*

- Pani rozumieć?! - zawołał do niej mężczyzna. - Jechać do Musoorie. Taksówka. Tak?

- Ona tam jest?! - krzyknęła Zelda.

- Tak. - Machnięciem ręki wskazał zamglone pasmo gór widocznych w oddali. - Tam.

Zelda zbiegła ze schodów i popędziła przez starannie zagrabiony żwir. Broszurka zdawała się rozpalać jej spoconą dłoń.

Droga wiła się ostrymi serpentynami po zboczu góry. Na każdym zakręcie stało po kilka billboardów, które reklamowały apartamenty dla nowożeńców, luksusowe pokoje, hotele, restauracje - wszystko to w nieco dziwnej angielszczyźnie. Kolorowe tablice były pokryte białym pyłem, unoszącym się z drogi, przez co wyglądały na stare i zniszczone. Przy długich, stromych podjazdach do kolejnych zakrętów znajdowały się inne, czarno-białe tablice z ostrzeżeniami.

Nie ryzykuj, bądź ostrożny. Unikaj wypadków. Lepiej późno niż wcale.

Identyczne tablice pojawiały się wielokrotnie i wszystkie miały znaczek Indyjskiego Przedsiębiorstwa Drogowego. Zelda czytała je za każdym razem, szukając w złowieszczych ostrzeżeniach nikłej iskiej nadziei.

Lepiej późno niż wcale.

Spojrzała na skraj drogi. W odległości zaledwie dwudziestu, może trzydziestu centymetrów od kół zaczynało się urwisko, opadające aż na dno doliny. Oparła głowę o szybę i zamknęła oczy. Znała już na pamięć zawartość broszurki,

słowo po słowie. W rzeczywistości był to harmonogram, który podawał nazwiska, godziny i miejsca spotkań. Medytacja, joga, śniadanie, lunch, podwieczorek, kolacja. Godziny przeznaczone na coś, co określano niejasno jako „program”. Codziennie wieczorem, za kwadrans ósma, w Wielkiej Sali miały się odbywać zajęcia zwane *satsanga* z udziałem Pięknej Matki.

Z udziałem... Pięknej... Matki... Zelda aż do znudzenia czytała te słowa. Nie było mowy o pomyłce. Dzisiaj, za piętnaście ósma Ellen będzie w Everest House.

Pod informacją na temat *satsangi* znajdowała się dodatkowa uwaga, wypisana drobnym drukiem - na zajęcia nie wpuszcza się gości ubranych na niebiesko, włącznie z niebieskimi dzinsami. Nie wolno używać perfum innych niż shahastra.

To wszystko. Żadnych wyjaśnień ani informacji, czym właściwie jest Everest House. Jedyna wskazówka znajdowała się w nagłówku, wypisanym złotymi literami: *Shahastra -droga niewiedzy*.

Niewiedza. To słowo niosło ze sobą dziwną tajemniczość, a zarazem spokój i ukojenie. Myśli kierowało w odwrotną stronę niż zazwyczaj - najpierw człowiek wie, a potem nie. Nie wiedziała, że James leży martwy, z opuchniętą twarzą, na brudnej drewnianej podłodze. Nie wiedziała, że kłamał i że robił to latami. Nie wiedziała, że Ellen nie zginęła, lecz odeszła. Nie wiedziała, nie martwiła się, nie musiała nawet płakać...

Zelda wychyliła się do przodu i spojrzała na zbocze, które sięgało aż do zamglonego, niebieskiego nieba. Próbowła wybiec myślami do przodu, zostawić bolesne tematy. Wyobraziła sobie, jak podchodzi do głównych drzwi Everest House. Marzenie. Przyszłam - mogłaby powiedzieć. Jestem jej córką. Jediną córką. Czy jedyną? W głowie błysnęła jej nowa myśl. Przecież Ellen może mieć inne dzieci. Może czekają tu przyrodnie siostry i bracia, a nawet ojczym. Czemu nie?

Zmarszczyła czoło. Musi zachować ostrożność. Tylu rzeczy nie wie. Przyczaj się - mawiał James. Przyczaj się i spróbuj najpierw poznać ukształtowanie terenu.

Przypomniała sobie twarz Ranjita, jego reakcję, kiedy zobaczył ją w pełnym świetle, nalegania, żeby nosiła hełm i okulary przeciwsłoneczne, żeby jak najszybciej wróciła do jego domu. Jasne było, że nie chciał, by rozpoznano w niej córkę Pięknej Matki. Dlaczego? - zastanawiała się, pełna złych przeczuć. Co go tak niepokoilo? Zdając sobie sprawę, że nie znajdzie odpowiedzi na te pytania, starała się odsunąć je na bok.

Droga ciągnęła się bez końca. Równomierny pomruk silnika rozproszył myśli Zeldy. Powietrze, które wpadało przez otwarte okna, było coraz chłodniejsze, a drzewa rosnące wokół coraz wyższe i zieleńsze. W końcu pojawiły się zabudowania - niewielkie pudełka, przytwierdzone pewnie do niemal pionowego zbocza góry. Poniżej stok znikał we mgle.

- Savoy? - spytał kierowca.
- Savoy? - odpowiedziała pytaniem Zeldy. - Hotel Savoy?
- Tak, proszę pani. Wszyscy jechać do Savoy.

Savoy. Ta nazwa kojarzyła jej się z papierosami w długich lufkach i martini popijanym o zachodzie słońca, obrazami sugerującymi bogactwo i zakazaną miłość. Przypominała sobie, skąd ma takie właśnie wyobrażenia. Ich źródłem były powieści F. Scotta Fitzgeralda: *Czuła jest noc, Piękni i przekłęci, Wielki Gatsby*. Zelda przeczytała je wszystkie, a także inne utwory oraz wszelkie informacje, które udało jej się znaleźć w bibliotece na wyspie na temat autora. A zaczęło się od skargi na imię.

- Dzieci w szkole wołają na mnie Zeldzisko-chłopisko -poskarżyła się ojcu.
- Nie do mnie kieruj pretensje - brzmiała odpowiedź Jamesa. - To był pomysł twojej mamy.

Otrzymałaś imię po żonie Scotta Fitzgeralda. Kto to taki? Jakiś sznurowaty pisarz. Od dawna nie żyje, jego żona również. Nim się pobrali, była tancerką, stąd wybór Ellen. Koniec końców biedna

stara Zelda zwariowała i spłonęła żywcem, gdy w przytułku dla obłąkanych wybuchł pożar.

Od tej pory Zelda była dumna z imienia, które wybrała dla niej matka. Wyobrażała sobie małego, różowego noworodka przytulonego do miękkiej piersi. Zelda i Ellen. Matka i dziecko.

- Musoorie - oznajmił kierowca, wjeżdżając w środek zatłoczonego bazaru. Stragany stały po obu stronach ulicy, oferując typowe hinduskie stroje, butelki z kolorowymi napojami, a także filmy Kodaka, wełniane swetry oraz pełną gamę pamiątek.

Zelda zerknęła na zegarek.

- Spiesz mi się - powiedziała.

Kierowca puścił kierownicę, pragnąc udowodnić swoją bezradność. Drogę blokował tłum ludzi. Niektórzy przechadzali się parami, trzymając się za ręce, inni całymi rodzinami pozowali do zdjęć. Mężczyźni powozili wyładowanymi wózkami, ciągniętymi przez osły; kulisi dźwigali na głowach wielkie walizki; chłopcy zaganiali kozy. Posuwając się powoli do przodu, taksówka minęła szwajcarską cukiernię i świątynię z białą kopułą, aż w końcu utknęła przed centrum handlowym Kashmiri.

- Proszę tutaj zaczekać - powiedziała nagle Zelda, wyskakując z samochodu.

Kierowca uśmiechnął się z pobłażaniem, kiedy odwróciła się i wbiegła do środka. Był nieco zaskoczony, gdy wróciła zaledwie kilka minut później. Kupiła ciemnobrązową chustę i dopasowane do niej kolorystycznie spodnie.

- Dzięki - sapnęła.

Gdy samochód ruszył, schyliła się, by schować pieniądze do buta.

Wejście do Savoyu wskazywały wysokie drzewa i wyblakły szyld. Taksówka z trudem wjechała na stromy podjazd, po drodze mijając budynek, który przypominał stację kolejową wzniesioną z klocków. Przed budynkiem stał umundu-

rowany strażnik, a nad jego głową wisiał szyld z napisem *Urząd Pocztowy Savoy*. Poczta wyznaczała granicę innego świata, w którym na poboczach rosły purpurowe irysy, a w górze splatały się potężne konary. Najpierw pojawiły się zielone wieżyczki, potem dachy z czerwonej blachy i zielone szczyty. Taksówka podjechała na parking, z którego roztaczał się widok na korty tenisowe, ogrodowe kawiarenki i długie, zadaszony trasy spacerowe. Na żwirowanym dziedzińcu grupa mężczyzn w ciemnozielonych liberjach i takich samych czapczkach zmiatała czerwone chodniki. Po blaszanym dachu jakiś chłopiec poruszał się jak małpa, rozkładając białe ręczniki do wysuszenia w słońcu.

Zmęczony, stary portier podszedł do samochodu, powłócząc nogami, i otworzył Zeldzie drzwi.
- Serdecznie witamy.

Skłonił się ponuro, ukrywając się za grzecznością jak za tarczą, która miała go chronić przed poniżeniem ze strony dziewcząt takich jak ona, cudzoziemek w wyblakłych džinsach i okularach przeciwsłonecznych. Nie musiał zaglądać do samochodu, by wiedzieć, że ujrzy w nim tylko brudny, przeładowany plecak, który w niczym nie będzie przypominał skórzanych walizek i kufrów z metalowymi okuciami, jakie niegdyś dźwigał, eleganckich bagaży angielskich księżniczek, hinduskich mężów stanu, maharadzów, pułkowników i prawdziwych dam.

Zelda odwróciła głowę, gdy z trudem zarzucił na ramię jej plecak. Wprowadził ją przez otwarte drzwi i wskazał dalszą drogę.

W pomieszczeniu było ciemno i chłodno. Zelda stanęła przed długą, wysoką ścianką działową z szeregiem okienek zabezpieczonych żelaznymi kratami. Nad każdym z nich wisiał grawerowany mosiężny szyld z napisem *Kasjer, Rezerwacje, Różne*, jak w westernowych bankach.

- W czym mogę pomóc? - spytał jakiś głos z okienka rezerwacji.

Zelda zajrzała przez kratę.

- Chciałabym wynająć pokój - powiedziała.

- Ma pani rezerwację? - Z pomieszczenia dobiegał męski głos; mógł należeć do Hindusa, albo i nie.

- Nie - odparła. - Po prostu miałam nadzieję...

- Oczywiście. Żaden problem. - Powietrze przecięła ozdobiona złotem dłoń. - Zawsze zapewniamy zakwaterowanie gościom Everest House. Mamy ponad tysiąc pokoi. Jesteśmy w stanie zapewnić pani wszystko. Odpowiednią dietę, pranie, taksówki do Everest House i z powrotem.

Zelda zmarszczyła czoło.

- Skąd pan wie, że tam właśnie się wybieram? Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Bo nikt inny tu nie przyjeżdża. Jedynie Hindusi na wakacje i kilku urzędników kolonialnych, którzy niegdyś tu mieszkali. Poproszę o paszport.

Podawała mu dokument. Spojrzała na stronę z fotografią. Wcale nie była do siebie podobna. Wpatrywała się w obiektyw jak królik złapany w przednie światła samochodu, a błysk flesza pozbawił jej twarz wszelkich kolorów.

- Dziękuję.

Paszport wrócił do niej wraz z jedną z niebieskich broszurek. Zelda spojrzała na złoty profil, przybity niczym pieczęć. Shahastra. Droga niewiedzy.

- Dziękuję, już mam - odpowiedziała. Miejsce broszury zajął teraz duży mosiężny klucz.

- Pokój numer sześćdziesiąt dziewięć. Boy panią zaprowadzi.

Mówiąc te słowa, opuścił rękę i uderzył w dzwonek.

- Proszę chwileczkę poczekać! - zawołał za nią. - Nazywa się pani Madison, prawda? Wydaje mi się, że czeka na panią telegram.

W ciemności zaszeleściły papiery, potem przez kratę wysunęła się błękitna koperta.

- Proszę. Dotarł do Riszikeszu, a stamtąd przesłał go nam pan Saha.

Zelda chwilę przyglądała się kopercie, a przez jej głowę przemykały niespokojne myśli. Wzięła telegram i wyszła na zewnątrz. Ignorując czekającego boya, rozdarła kopertę.

Nadawca: Drew Johnstone.

Na chwilę zatrzymała wzrok na imieniu i nazwisku, potem przeczytała tekst.

Droga Zeldo wróć stop chcę się z tobą ożenić stop powiedz tak a Lizzie zacznij przygotowania do ślubu stop musisz natychmiast podjąć decyzję stop raz na zawsze stop kocham cię stop Drew

Dziewczyna wielokrotnie czytała tekst, jakby go nie rozumiała.

Wróć. Chcę się z tobą ożenić.

Próbowała ożywić stare marzenie, poczuć ciepło, które ją ogarniało, ilekroć wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać jej przyszłość: jak ona i Drew zbudują dom, w którym rozpoczną nowe, wspólne życie, jak przekażą Lizzie dobrą wiadomość i jak matka Drew będzie płakać z radości, biorąc w ramiona swoją nową córkę. Teraz naprawdę możesz mówić do mnie „mamo” - powie, jakby od dawna czekała na możliwość wypowiedzenia tych słów.

Teraz to wszystko jednak było nadzwyczaj odległe, jak cudza przyszłość. Zelda ponownie przeczytała słowa: *musisz natychmiast podjąć decyzję stop raz na zawsze stop*.

Musisz...

Ogarnęła ją fala emocji: niepokoju, poczucia winy i gniewu. Potrzebowała trochę czasu dla siebie, żeby udać się na poszukiwanie matki. Tymczasem właśnie nadszedł telegram. Zwykły skrawek papieru i kilka linijek tekstu, mimo to czuła, jak przejmuje kontrolę nad jej życiem, wciąga ją z powrotem do starego, dobrze znanego świata.

Kiedy uniosła głowę, napotkała spojrzenie boya. Uśmiechnął się, odsłaniając oślepiająco białe na tle ciemnej skóry zęby.

- Dzień... dobry... pani... - powiedział. - Mam nadzieję, że podobają się pani Indie.

Indie. Zelda wypuściła powoli powietrze z płuc, czując ulgę na myśl, że tak wielka odległość dzieli ją od wyspy. Znajdowała się w obcym kraju, z dala od domu. Realizowała swój plan i wcale nie musiała z niego rezygnować. Decyzja należała do niej.

Bądź dzielna. Bądź silna. Bądź sobą.

Złożyła telegram w mały kwadracik i wsunęła go głęboko do kieszeni.

Stary portier szedł przed Zeldą i chłopcem. Był wysoki, chudy; uginając się pod ciężarem plecaka, powoli posuwał się do przodu. Przed nimi pojawiły się wysokie schody. Zelda zerknęła w bok, mając nadzieję, że chłopiec pomoże starszemu panu, ale młodzieniec był zajęty wymachiwaniem kluczem, zawieszonym na małym palcu.

Mijali drzwi i okna, w większości zamknięte i zasłonięte okiennicami. Potem natknęli się na parę ubranych w dzinsy nóg wyciągniętych na podłodze, wystających z otwartych drzwi. Odźwierny przeszedł nad nimi, nie zwalniając kroku, chłopiec postąpił tak samo. Zelda zatrzymała się i spojrzała w dół. Jasnowłosa kobieta leżała w drzwiach, paląc papierosa.

- Cześć - powiedziała Zelda.

Kobieta kiwnęła głową, wypuściła dym i uniosła dłoń.

- Nim wyjdą, każ im sprawdzić swoją ubikację - powiedziała, powoli podnosząc powieki, jakby każdy inny ruch stanowił dla niej zbyt wielki wysiłek.

- Dzięki - mruknęła Zelda.

Obejrzała się przez ramię. Kobieta uniosła brew i zaciągnęła się papierosem.

- Nie ma za co.

Boy otworzył! przeszklone drzwi i zaprosił Zeldę do środka. Weszła za nim do staromodnego salonu z kominkiem, ciężką kanapą, fotelami, małym stolikiem i wielkim biurkiem na wysoki połysk. Poczowała się jak w angielskim domu na wsi, tyle że nie było tu żadnych ozdóbek - kwiatów, koronek, obrazów; jedynie duże, ciężkie meble i przetarte dywany. Znad kominka spoglądał jelen z długim, powyginanym porożem. Stare trofeum myśliwskie odpadło od ozdobnej deski, ale ktoś usiłował przywrócić je do stanu dawnej świetności. Podwiązał szyję drutem, w ten sposób odmładzając starość.

- Wszystko w porządku? Podobać się? - spytał chłopiec, teatralnym gestem pokazując cały pokój.

- Tak, tak! - zapewniła Zeldę.

Naprawdę jej się podobało. Nic nie wskazywało, że jest w hotelu, poczuła się tu jak w zwykłym domu, jakby w szafce naprawdę znajdowały się ubrania, a w biurku listy.

- Tylko, hm... co z toaletą? - Uśmiechnęła się niepewnie. - Czy urządzenia działają?

Przeszła za chłopcem przez sypialnię i dotarła do małej, jasnej łazienki, wyłożonej białymi płytkami, zmatowiałymi i popękkanymi ze starości. Zamiast szyby w oknie była siatka ogrodzeniowa, ale po obu jej stronach wisiały mocno marszczone zasłony. Gdy boy uniósł klapę toalety, w powietrze wzbiła się chmura kurzu. Pociągnął za uchwyt spłuczki, lecz ten został mu w dłoni. Ze zbiornika popłynęła cienka strużka wody. Chłopiec potrząsnął głową i z prawdziwym żalem zmarszczył czoło.

- Nie martwić się - powiedział. - Naprawię. Zaprowadził Zeldę z powrotem do salonu i wyciągnął rękę po napiwek. Potem uśmiechnął się i zniknął.

Portier nawet nie próbował ustawić bagażu Zeldy na rzeźbionej podstawce pod walizki, położył po prostu plecak na podłodze.

- Wybiera się pani do Everest House? - spytał uprzejmie, kiedy Zelda szukała pieniędzy. - To częsty cel wizyt naszych gości.

Zelda odwróciła się w jego stronę, zaskoczona poprawną angielszczyzną mężczyzny.

- Zna ją pan? Piękną Matkę? Portier przytaknął.

- Oczywiście.

- Jaka ona jest? - spytała Zelda. - Czy widział ją pan?

- Naturalnie - odparł. - Poznałem ją wiele lat temu. Mieszkała w Landour, w wielkim domu, w którym był nawet fortepian. - Zapal portiera zwyciężył jego oficjalny ton i postawę, starszy pan rozluźnił się, zaczął nawet gestykulować. - Pomagała wszystkim, Hindusom i cudzoziemcom. Karmiła ich, uzdrawiała, w zależności od tego, czego potrzebowali.

Zelda nie odrywała wzroku od jego twarzy. Oczy mu błyszczały, a wokół nich pojawiły się kurze łapki, blady cień uśmiechu.

- Sam tam chodziłem, gdy byłem zbyt chory, żeby pracować. Wszyscy ją uwielbiali, darzyli ogromną miłością.

Mówi! i mówił, porwany potokiem własnych słów, rzadko spoglądając na Zeldę.

- Potem wraz z wszystkimi swoimi ludźmi przeniosła się do Everest House. Potrzebowali większego lokum, bo przyjeżdżało wielu cudzoziemców, którzy chcieli u niej zostać. Ale... - Urwał. - Ale na piechotę to bardzo daleko stąd, więc nie widzieliśmy jej od dawna.

Zelda odwróciła się twarzą do niego, po czym zdjęła okulary i hełm tropikalny. Portier mówił dalej:

- W zimie, kiedy tutaj robi się chłodno, przenoszą się do Rishikeszu, do...

Nagle urwał. Popatrzył na Zeldę, bacznie przyjrzał się jej twarzy, włosom i sylwetce. Jego milczenie wydłużało się.

- Pani... - Zaciął się, ale po chwili przełknął ślinę i kontynuował: - Proszę mi wybaczyć. Jest pani bardzo do niej podobna.

- Bo to moja matka - wyjaśniła. Wpatrywał się w nią z osłupieniem.

- To moja matka - powtórzyła. - Jestem jej córką. Portier stał niczym posąg, potem pokłonił się jej i niemal

biegiem wypadł z pokoju.

Zelda stała w pustym pomieszczeniu i odtwarzała w myślach usłyszane przed chwilą słowa, strzępy tego, co powiedział portier: „Wszyscy ją uwielbiali”. „Pomagała wszystkim”. „Darzyli ją ogromną miłością”.

Uśmiech pojawił się na jej ustach, a usłyszane słowa napełniły ją ciepłem.

Kucnęła w pustej wannie i szybko umyła się w kąpiącej z kurka zimnej wodzie, która cudownie ochładzała skórę, pozostawiając uczucie czystości i świeżości. Potem, ubrana w spodnium i spowita w chustę, stanęła boso przed wysokim lustrem, które wisiało po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Ręcznie tkany materiał delikatnie ocierał się o skórę. Unosił się z niego dziwny i obcy zapach naturalnych barwników z domieszką kadzidełek, które palono w centrum handlowym. Uniosła chustę i owinęła nią głowę, naciągając materiał tak, by zakrył twarz. Kości policzkowe były schowane, podbródek zniknął. Kontrast czerni włosów oraz bieli skóry został złagodzony, teraz zdecydowanie w mniejszym stopniu będzie zwracała na siebie uwagę. Stała się kimś innym.

Wyjęła z buta zwitek banknotów. Przez kilka minut chodziła po pokoju, zastanawiając się, gdzie go ukryć. W końcu w jednej z szuflad znalazła wytyczne dyrekcji hotelu. *Prosimy nie zostawiać w pokojach cennych przedmiotów - napisano na kartce. - Można je zdeponować w sejfie dyrektora. Pro-*

szę zwracać się do okienka: „Różne”. Spojrzała na zegarek. Miała dosyć czasu, żeby zejść na parter, a skoro już tam będzie, może również zamówić taksówkę.

Kiedy wróciła do salonu, przeszklone drzwi z korytarza otwały się i do środka weszło kilku ubranych w zielone liberie mężczyzn, którzy bez słowa pozdrowili ją skinieniem głów. Pierwszy niósł stos śnieżnobiałych ręczników, a na nich rolki papieru toaletowego i kostki mydła. Następny, spowity ulotnym zapachem kamfory, dźwigał poduszki oraz naręcze poskładanych starannie obrusów. Za nim pojawił się mężczyzna z wyściełanym aksamitem krzesłem i bogato zdobioną lampą. Ostatni ugiął się pod naręczami kolorowych kwiatów.

Zelda stała nieruchomo i w milczeniu obserwowała, jak służba hotelowa sprawnie porusza się po pomieszczeniu, rozkładając przyniesione rzeczy. Niczym grupa dekoratorów pracujących między kolejnymi scenami, szybko i bezszelestnie przeobrazili pokój. Złota brokatowa narzuta przykryła kanapę, ławę ozdobił haftowany lniany obrus, a lampkę ustawiono tak, by rzucała różowe światło na aksamitne krzesło. Całości dopełniały kwiaty, porozmieszczane na stolach i półkach: piękne dzbany z irysami i azaliami, opadającymi gałązkami wistarii i pnącego jaśminu. Po wykonaniu zadania mężczyźni wyszli. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, nie wyciągnął ręki po napiwek. Wszyscy przesyłali jej tylko ciepłe spojrzenia, jakby witali starego przyjaciela.

Droga do Everest House była wyraźnie nowa - szeroka i gładka - ale nie prowadziła wśród domów, chat ani gospodarstw, tylko przez gęsty las, w którym rosły wysokie, kwitnące drzewa i gęste krzewy. Światło dzienne szybko zniknęło. Mgła, która wcześniej spowijała horyzont, teraz okrywała wszystko grubym, szarym cieniem, przyspieszając nadejście nocy.

Zelda poprawiła chustę, naciągając ją jeszcze bardziej na twarz. Przypomniała sobie Anandi, która obojętnie wpatry-

wała się w pustą przestrzeń, i próbowała ją naśladować. Miała nowego taksówkarza. Nie starał się uchwycić jej spojrzenia ani się nie odzywał, nawet wtedy gdy dyrektor hotelu wyjaśnił mu, że klientka wybiera się do Everest House, ale chce wysiąść nieco wcześniej, w miejscu, w którym nikt nie będzie mógł jej zobaczyć, a po dwóch godzinach kierowca ma ją odebrać z tego samego miejsca. Taksówkarz lekko skinął głową, a kiedy zjechał na pobocze, żeby wysadzić Zel-dę, znów kiwnął głową i usadowił się wygodnie, żeby na nią zaczekać.

Dziewczyna powędrowała szybko w stronę zakrętu. Była zupełnie spokojna, chociaż miała problemy z logicznym myśleniem i ułożeniem jakiegoś planu.

Pokonawszy zakręt, zatrzymała się, widząc, że znajduje się na krawędzi naturalnego amfiteatru, który tworzy głęboką nieckę opadającą aż do miejsca, gdzie teren gwałtownie się urywał. Tam właśnie, tuż nad przepaścią, stał duży biały budynek. Jego marmurowe kolumny i ozdobione gzymsami ściany lekko jaśniały w półmroku. Z okien sączyło się miłe, jasne światło. Zelda domyśliła się, że to Wielka Sala, miejsce, w którym odbywa się *satsanga*.

Odwróciła głowę, by wychwycić ciche odgłosy, które docierały z budynku. Było to coś między śpiewem a monotonną recytacją przy wtórze bębenków i dzwonek - delikatnych, a mimo to silnych jak bicie serca unoszące się nad ziemią. Wiatr zatrzepotał jej chustą, sprawiając, że materiał otarł się o policzek. Zaczęła schodzić w dół, klucząc między niskimi krzewami, wśród których gdzieniegdzie leżały duże, jasne kamienie. Całość wyglądała jak naturalny ogród, zadbane, lecz rosnący dziko. Coś jej to przypominało... Wciągnęła powoli powietrze w płuca. Otoczenie przywodziło na myśl miejsce, w którym dorastała: wyspę z wyrzeźbionymi przez wiatry wrzosowiskami i odsłoniętymi granitowymi skałami, które wznosiły się jak odwieczne znaki.

Blask księżycyca w pełni oświetla! Zeldzie drogę przez skalny ogród. Szła powoli między kamieniami i niskimi krzewami. Z deptanych przez nią liści unosił się zapach roślin, a ostre gałązki czepiały się jej chusty. Nieruchome wrony siedziały na pobliskich drzewach.

Zbliżywszy się do budynku, zauważyła, że obok niego rozrzucone są inne zabudowania, wzniesione wzdłuż urwiska. Wszystkie były ciemne, drzwi i okna tworzyły czarny wzór na tle szarych kamiennych ścian. Od skalnego ogrodu, drogi i lasu oddzielało je wysokie żelazne ogrodzenie; główny budynek przypominał gigantyczną stróżówkę, przez którą wiodła jedyna droga na teren kompleksu.

Po dotarciu do drogi Zeldy zauważyła, że muzyka i śpiew ustały i słychać było tylko jej kroki na kamiennym bruku, kiedy szła w stronę budynku.

Szerokie drzwi wejściowe były zamknięte. Zeldy zatrzymała się przed nimi i spojrzała w górę wysokiego portalu. Po obu stronach płonęły spirytusowe lampki, wokół których wirowały chmury owadów tańczących w blasku żółtoniebieskich płomieni. Lampki oświetlały białą fasadę, ozdobioną dekoracyjnym fryzem z kwiatów, paw i drzew, namalowanych miękkimi liniami i wysadzanych klejnotami w kolorach lapis-lazuli, jadeitu i karneolu. Całość przypominała bajkowy pałac na skraju gęstego lasu; złudzenie, które zniknie wraz z nadejściem świtu.

W kręgu światła rzucanego przez lampy stał długi stojak na obuwie, a na nim sandały, botki, klapki, aksamitne pantofelki, a nawet szpilki. Zeldy zdjęła sandały i zmarszczyła w zdziwieniu czoło, wciskając swoje obuwie między dwie pary reeboków. Dochodziła dopiero siódma, ale najwyraźniej wszyscy przyszli wcześniej. Zeldy nie mogła zgubić się w tłumie; musiała otworzyć drzwi i wejść do środka sama. Poprawiła chustę tak, by materiał zakrył jej twarz, i owinęła ciasno jej końce wokół sie-

bie, żeby zabezpieczyć się przed chłodnym wieczornym powietrzem. W pobliżu rozległ się krzyk pawia, pojedyncza, smutna skarga. Jakby w odpowiedzi z budynku dobiegi śpiew.

Podeszła do wysokich, malowanych na niebiesko drzwi. Pchnęła je obiema rękami, ale ani drgnęły. Potem zauważyła zarys mniejszych drzwi w dolnej części jednego ze skrzydeł. Tym razem po naciśnięciu klamki pojawiła się szczelina, która cicho się powiększała, jakby zapraszając przybyłą. Dziewczyna przekroczyła próg i znalazła się w środku domu.

Panował tu chłód i półmrok, a powietrze było przesycone wonią słodkich, aromatycznych perfum shahastra, zapachem niewiedzy i palonego drewna. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Zelda znajdowała się w pustym przedsionku, w którym pod jedną ze ścian stał nakryty obrusem stół. Przyjrzała mu się, przechodząc obok, i zobaczyła paczuszki z kadzidelkami i węglem drzewnym. Obok stały dwa koszyki, jeden z jasnobłękitnymi orchideami na długich łądyżkach, drugi z pawimi piórami; dalej leżały małe cegielki ozdobione motywami kwiatowymi, z ceną podaną w rupiach i dolarach. Za stolikiem znajdowały się kolejne drzwi.

Właśnie zza nich dochodził śpiew. Rytmiczne uderzenia bębnów stanowiły tło dla mocnych, czystych głosów. Zelda przypomniała sobie, jak trzydzieści osób śpiewało hymny w kaplicy na wyspie - był to słaby, niewyraźny dźwięk, niemal całkowicie zagłuszany przez rzeżenie organów. Wbiła wzrok w drzwi, za którymi musiało znajdować się kilkaset osób.

Ze ściśniętym gardłem zmusiła się do wykonania kilku kroków. Ostrożnie pchnęła drzwi. Stały otworem.

Dźwięk się nasilił i otoczył ją w półmroku. Przez chwilę stała, patrząc na morze ludzi, którzy siedzieli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i kołysali się w rytm bębnów.

- Tędy. - Czyjś głos przebił się przez śpiew.

Jakieś ramię skierowało ją w lewo. Tam wyciągnęła się do niej inna ręka, która poprowadziła ją do przodu, w kierunku ledwie widocznego skrawka wolnego miejsca.

Dostosowując się do zebranych, dziewczyna usiadła po tu-recku, wyprostowała plecy i położyła dłonie na kolanach. Potem wyciągnęła szyję, chcąc zobaczyć przód sali.

Daleko od niej niebieskawy blask rozświetlał niewielkie podwyższenie. Stał na nim szklany stolik, a na nim leżały duże, jasne kwiaty. Reszta sali tonęła w cieniu.

Nagle muzykę przerwano, ostatnie uderzenie bębna ucichło, nim przebrzmiał końcowy dźwięk pieśni. W całkowitej ciszy światło z zawieszonych pod sufitem punktowych reflektorów zaczęło się powoli rozjaśniać. Zelda niemal uknęła, ignorując spojrzenia otaczających ją osób. Teraz w końcu wszystko mogła zobaczyć...

Obok stolika stało szklane krzesło, na którym siedziała postać ze skrzyżowanymi nogami. Początkowo Zelda widziała tylko jej sylwetkę, potem światło ukazało rysy kobiety -ciemne brwi, ciemne włosy, jasną cerę. Siedząca poprawiła się na krześle i obdarzyła wszystkich ciepłym uśmiechem. Przesunęła wzrokiem po tłumie, począwszy od osób znajdujących się w pobliżu, aż po te w najdalszych zakątkach pomieszczenia. Jej spojrzeniom towarzyszyły spokojne oddechy i ciche szepty. Zelda osunęła się z powrotem na podłogę i pochyliła głowę. Pot spływał po jej twarzy, łaskocząc skórę. Serce waliło jak szalone, a w jego rytm powtarzały się niewypowiedziane słowa. To ona, to ona, to ona...

Rozległ się szelest ubrań i brzęk bransoletek; wszyscy wokół Zeldy zaczęli wstawać. Ruszyli w kierunku przejścia, które biegło przez środek sali. Wiele osób trzymało w dłoniach błękitne orchidee na długich, smukłych łądyżkach. Niektórzy nieśli drewniane cegiełki, podobne do tych, które można było kupić przy wejściu. Inni mieli ze sobą niewielkie paki-ciki lub złożone kartki papieru.

Zelda wstała również, a tłum uniósł ją ze sobą, powoli posuwając się do przodu. Próbowwała dostrzec coś między licznymi głowami i ramionami, ale podium znajdowało się poza zasięgiem jej wzroku. Widziała tylko fragment sali

z przodu, oddzielony od reszty. Wszyscy zgromadzeni tam ludzie mieli na sobie niebieskie ubrania - odzież różniła się odcieniem i krojem, ale błękit panował tam niepodzielnie. Na styku grupy ubranej na niebiesko i reszty tłumu znajdował się rząd osób w prostych, ciemnych tunikach. Ludzie ci siedzieli w bezruchu, ale przez cały czas lustrowali wzrokiem przybyłych.

Zbliżając się do oświetlonego na niebiesko podwyższenia, Zelda pochyliła głowę owiniętą chustą. Przed nią ludzie ustawiali się w pary i podchodzili kolejno do przodu. Zauważyła, że zbliżają się do szklanego krzesła, pochylają głowy i składają dary w dużych koszach stojących po obu stronach krzesła, a potem wracają na swoje miejsca.

Zelda poczuła, że ktoś do niej dołączył i wkrótce nadeszła ich kolej. Ruszyli do przodu, pokonali pustą przestrzeń i pochylili się nad koszem. Zelda wyciągnęła rękę i sięgnęła w stronę bosej, smukłej stopy. Drżące jej palce niemal dotarły do celu. Skóra musnęła skórę... Odziana w ciemny błękit ręka wysunęła się do przodu, gotowa odepchnąć dłoń Zeldy.

- Zostaw ją. - Głos by niski, spokojny i ciepły.

Zelda uniosła głowę i spojrzała ciemnymi, błyszczącymi oczami.

- Przyszłam... - zaczęła.

Nagle pod wpływem szoku jej ręka zawisła nieruchomo. Oczy. Ujrzała oczy w kolorze głębokiego, chłodnego błękitu.

Kobieta siedząca na szklanym krześle wychyliła się do przodu i rozchyliła usta. Zadrzała.

Zelda, stojąc nieruchomo, patrzyła na nią. Jej towarzysz wrócił już na swoje miejsce, a ona wciąż stała. Wokół rozległy się szepty, ale nie słyszała ich. W głowie krążyła jej tylko jedna myśl, która powodowała zimne dreszcze. To nie ona. Nie Ellen.

Kobieta w błękitcie poderwała się na równe nogi, przewracając swe siedzisko. Gdy wszyscy zgromadzeni wstali, by zobaczyć, co się dzieje, szybko się opanowała, na jej twarz wró-

cił spokój, a na wargach pojawił się niepewny uśmiech. Błyskawicznie otoczyli ją ludzie w ciemnych tunikach. Odgradzili ją od tłumu, a ona powędrowała w stronę tylnych drzwi i zniknęła z oczu zgromadzonych.

Zelda wtopiła się w tłum, znów stanowiąc anonimową postać otuloną w brązową chustę. Przeszła przez całą salę i wypadła na zewnątrz. Przebiegła przez przedsionek i otworzyła drugie drzwi. Zatrzasnęły się za nią głośno, a odgłos ten odbił się echem w długim, ciemnym korytarzu.

Znalazszy się za nimi, dziewczyna stanęła i rozejrzała się wokół. Zdała sobie sprawę, że pomyliła wyjścia. Biegła jednak dalej, nie zwracając na nic uwagi. Przypomniała sobie oblicze widzianej przed chwilą kobiety. Była to dziwna twarz, która dzięki makijażowi z pewnej odległości przypominała Ellen. Z bliska jednakże okazywało się, że to ktoś inny. Niemniej siedziała z przodu, była Piękną Matką. To nie miało sensu...

Zelda zwolniła kroku. Przeszła przez alkowę z mnóstwem niebieskich kwiatów i pokonała korytarz o ścianach ozdobionych płytami z rzeźbionej kości słoniowej i obrazami, które przypominały posagi z Riszikeszu. Zauważyła wizerunek pulchnego, rozbrykanego dziecka i wielorękiej bogini; wokół tej pary znajdowali się hinduscy cesarze, obsypane klejnotami słonie i księżniczki z obnażonymi piersiami.

Nagle stanęła przed wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Z wahaniem obejrzała się przez ramię. Nie wiedziała, co dalej. Bardzo chciała wydostać się z budynku, poczuć czyste, świeże powietrze, wiedziała jednak, że posąg w Riszikeszu przedstawiał Ellen, tak samo jak obraz na straganie z napojami i złoty profil wytłoczony na niebieskim papierze. Wbrew temu, co widziała w Wielkiej Sali, to Ellen była Piękną Matką. Wciąż gdzieś czekała, aż Zelda ją znajdzie.

Drzwi zatrzasnęły się i dziewczynę ze wszystkich stron otoczyła ciemność. W powietrzu unosiła się woń zwietrzałych przypraw i shahastry. Światło księżycy przesączało się przez

płócienne rolety, a gdzieś z oddali dobiegał blask jasnoniebieskiej lampki. Zelda zaczęła, aż jej oczy przyzwyczajają się do mroku. Ciemny chodnik wyznaczał ścieżkę przez środek długiego pomieszczenia. W cieniu po obu stronach błyszcząły oczy, jasne kończyny sterczały sztywno w powietrzu, a blade kręgi, najwyraźniej twarze, ciągnęły się długimi rzędami.

Zelda cofnęła się do drzwi i poszukała po omacku włącznika światła. Zapalił się rząd słabych lampek punktowych, które rzucały żółtawy poblask. Powoli odwróciła się i rozejrzała po pomieszczeniu, w którym poustawiano setki dużych lalek na wielopoziomowych stojakach, wznoszących się po obu stronach chodnika, sięgających niemal sufitu. Były to lalki przedstawiające dzieci, o czym świadczyły ich ubranka, zaokrąglone policzki, małe usteczka i płaskie klatki piersiowe. Dziwne, ponure dzieci o smutnych oczach. Niemal same dziewczynki.

Zelda odwracała głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, zatrzymując spojrzenie na poszczególnych figurkach. Wyglądały, jakby zostały ręcznie wymodelowane z białej gliny, a potem pomalowane i ubrane. Nie były jednak dziełem jednego artysty; niektóre miały odpowiednie proporcje i bardzo przypominały prawdziwe dzieci, inne znacznie odbiegały od rzeczywistości. Na przekór wszelkim różnicom niemal wszystkie miały bardzo wyraźnie oddane twarze: wargi namalowane pewnym ruchem ręki przyzwyczajonej do nakładania szminki, rzęsy takie, jakby ktoś pomalował je tuszem, policzki podkreślone odrobiną różu i wypukłe kości policzkowe. Dużo uwagi poświęcono włosom, niezależnie od tego, czy wykonano je z prawdziwych włosów, czy ze sznurków, albo tylko namalowano. Niektóre były jasne, inne ciemne, kręcone lub proste, krótkie bądź długie.

Zelda stąpała cicho po grubym chodniku. Jej oddech wtórował uderzeniom serca - były to żywe dźwięki, zdecydowanie niepasujące do pomieszczenia wypełnionego lalkami, gdzie panował nabożny nastrój, jakiego można by się

spodziewać raczej w odkrytym starożytnym grobowcu pełnym posągów bóstw albo na plemiennym cmentarzu z podobiznami zmarłych.

Aksamitny sznur oddzielał stojaki od przejścia. Zelda, idąc, przesuwiała po nim rękę. Odzież lalek uszyto z kawałków typowo indyjskich materiałów. Jedwab i bawełnę pokryto haftami i malowidłami, by potem uszyć z nich podkoszulki, dżinsy, bluzy sportowe i spódniczki - zwykłe ubranka zwykłych dzieci z prawdziwego świata. Jedna z lalek trzymała gazetę, zapisaną ręcznie na kawałkach poskładanego papieru ryżowego. Inna miała w rękach kota, następna ptaka z prawdziwymi piórami.

Wędrując środkiem sali, Zelda zdała sobie sprawę, że oglądana przez nią kolekcja musiała powstawać przez długi czas. Lalki, które zobaczyła na początku, były barwne i nowe, ale w miarę jak posuwała się do przodu, widziała coraz więcej figurek pokrytych warstwą kurzu i pajęczyn.

Dotarłszy do przeciwległego końca pomieszczenia, zatrzymała się z poblizu drzwi. Kątem oka dostrzegła czarno-białą twarz dziewczynki wykonanej z wybielanej gliny. Postać była niemal naga, miała bowiem na sobie jedynie biały kostium kąpielowy w jaskrawy, kolorowy wzorek z rozgwiazd i koników morskich. Ciemne włosy opadały na chude ramiona i układały się jak mokre kosmyki, a na zgiętym ramieniu wisiał ręcznik w paski. Oczy laleczki były ciemne, przykurzone. W niebieskim świetle lampy wyglądała na zziębniętą i porzuconą. Nachyliwszy się nad nią, Zelda ujrzała bransoletkę - namalowany złoty łańcuszek z przyczepioną plakietką z imieniem. Po starciu kurzu poczuła, że oblewa ją zimny pot. Ktoś pięknym, ozdobnym pismem nakreślił *E*, a potem pozostałe litery imienia: *L L E N*.

Ellen.

Zelda zrobiła krok do tyłu i bacznie przyjrzała się lalce, która wyglądała zaskakująco znajomo. Nie chodziło o kostium kąpielowy ani ręcznik, ale dziecięce ciało, mokre wło-

sy i twarz. A także spojrzenie - pełne tęsknoty i strachu. Strachu, który jednocześnie odpychał i przyciągał.

Potrzebuję cię.

Boję się ciebie.

Odejdź.

Nie zostawiaj mnie.

Tym dzieckiem była Ellen, ale Zelda czuła, że laleczka przedstawia również i ją samą. Nagle ogarnęła ją przemożna chęć, żeby zabrać figurkę, owinać ją w coś ciepłego i zanieść w bezpieczne miejsce. Tyle że byłaby to tylko jeszcze jedna pamiątka, jeszcze jedna wskazówka, nic więcej.

Zacisnęła palce na aksamitnym sznurze, który wpił się w jej dłoń. Pod grubym chodnikiem wyczuwała stopami twardą podłogę. Mimo to jednak nadal wszystko wydawało się nierealne: Wielka Sala z wysokimi łukami i idealną symetrią, pomieszczenie z lalkami, z figurką Ellen, korytarze ozdobione pięknymi obrazami i ogromnymi bukietami kwiatów, powietrze przesycone perfumami. Wszystkie te elementy tworzyły atmosferę spokoju, piękna i harmonii. Shahastry. Drogi niewiedzy. Obiecywały ucieczkę od życia -schronienie przed bólem, kłamstwami i odwiecznymi problemami.

Chociaż Zeldę bardzo pociągała perspektywa odpoczynku i uwolnienia się od wszelkich zmartwień, niepokoił ją czający się za nią mrok. W jej przekonaniu stan niewiedzy przypominał nieco unoszenie się na powierzchni spokojnego morza, kiedy ze wszystkich stron otacza człowieka woda, błękitne lustro odbijające niebo. Wokół słycać kołysankę nuconą przez drobne fale, uderzające o brzeg. Promienie słońca pieczą skórę... Tymczasem pod spodem, w głębinach, znajduje się inny świat: chaos i wszystkie problemy, które człowiek starał się odsunąć od siebie, przed którymi chciał się ukryć, gotowe wypłynąć z głębin i zaatakować.

Podeszła do ciężkich drzwi i otworzyła je, zadowolona, że może oddalić się od mrocznego pomieszczenia pełnego

upiornych lalek i zapachu shahastry, która zdawała się docierać aż do mózgu.

Kiedy znalazła się w korytarzu, ruszyła niemal biegiem w stronę jasno oświetlonego foyer. Nagle zamarła w bezruchu i przywarła do ściany. Zza rogu usłyszała głosy.

- To my wszystkie - mówił kobiecy głos, czysty, mocny głos z amerykańskim akcentem. - Członkinie założycielki: ja, Skye, a to Kate i obok niej Ruth...

- A to ona - dodał głos męski.

- Tak. - Nastąpiła krótka przerwa. - Ona. To stare zdjęcie, ale ona prawie w ogóle się nie zmieniła. Wprowadziłyśmy zakaz wnoszenia aparatów fotograficznych, więc będziesz musiał poszukać jakichś obrazów, jeśli zależy ci na nieco aktualniejszej podobiznie. Tak czy inaczej, na pewno byś ją poznał. Ma bardzo charakterystyczną twarz...

- Czy to zdjęcie zostało zrobione tutaj? - spytał mężczyzna.

- Ależ skąd! - prychnęła kobieta. - Ktoś pstryknął je w starym domu, w którym mieszkaliśmy poprzednio, na drugim końcu Musoorie.

Gdy Zelda wyjrzała zza rogu, zobaczyła dwie osoby, które stały do niej plecami i oglądały oprawione zdjęcia wiszące na ścianie. Kobieta była wysoka i smukła, jej długie włosy o barwie słomy przyprószyła siwizna. Miała na sobie sari w kolorze morskiej zieleni, na marmurową podłogę opadały grube fałdy drogiego jedwabiu. Mężczyzna nosił gładki, ciemny garnitur.

- Kim jest ten człowiek, który stoi za jej plecami? - Wskazał palcem brzeg fotografii.

- Słucham? Ach, on! Nasz stary hinduski służący. Nawet nie wiem, jakim cudem znalazł się w kadrze. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej go nie zauważyłam. - Uniosła dłoń i przysłoniła tę część fotografii. - Myślę, że uda się przyciąć to zdjęcie i od nowa je oprawić.

Kobieta odwróciła się i uśmiechnęła do swojego rozmówcy. Miała oczy tego samego koloru co sari i twarz jak

z okładki magazynu, z subtelnie rzeźbionymi rysami twarzy tylko odrobinę rozmytymi przez wiek.

- Powiedz, jak długo jeszcze możecie ciągnąć... tę szopkę? - spytał ostrożnie mężczyzna.

Milczenie.

- Ziggy...? - nalegał.

- Sama nie wiem - wyznała.

Ponownie odwróciła się do ściany i zniżyła głos, tak że Zelda musiała wyteńczyć słuch, by zorientować się, o czym mowa.

- Skye świetnie się spisuje. - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - Może uda nam się z czasem skierować uwagę tłumów na nią samą... i pozwolić, by gwiazda jej poprzedniczki po prostu... zgasła... No wiesz, bez robienia wielkiego szumu. - Uniosła smukłe ramię, odsłaniając lśniący zegarek. - *Satsanga* już dobiegła końca. Powinniśmy wracać.

Obydwoje przeszli przez foyer i zniknęli.

Zelda oparła się o ścianę, odtwarzając w myślach usłyszane słowa i starając się zrozumieć ich sens. Wynikało z nich jasno, że wprawdzie Ellen była w Everest House, ale teraz jej nie ma. Jej dawne przyjaciółki działają bez niej.

Przecież wiedziałaś, że coś takiego może się zdarzyć - pomyślała. Wszyscy wiedzieli - Lizzie, Drew, nawet Rye. Przypomniała sobie jego zamaszyste, pochyłe pismo i słowa: *Dotrzesz tam, a jej już nie będzie. Ludzie w Indiach rzadko przebywają w jednym miejscu, często się przeprowadzają.*

Skierowała się w stronę zdjęć, ale nim do nich dotarła, jej wzrok przykuł inny wizerunek - kolorowy obraz wykonany pastelami w romantycznym, typowo indyjskim stylu. Ellen, Piękna Matka, unosiła się na tle zachmurzonego nieba. Wyglądała na szczęśliwą i spokojną, jakby znajdowała się w miejscu, do którego nie dociera zniszczenie ani śmierć. Zelda przypomniała sobie świętych czczonych przez Lizzie: Perpetuę i Felicytę, których ciała pożarły lwy, ale ich dzielne dusze wciąż płonęły żywym ogniem; Krzysztofa, opiekuna

podróżnych; Jude Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych; Antoniego od rzeczy zgubionych i znalezionych.

Z tobą, dla ciebie, zawsze. Pomimo śmierci.

Rozejrzała się, szukając wyjścia. Ogarnęła ją przemożna chęć wydostania się stąd, ucieczki, nim stanie się za późno...

Przebiegła przez foyer, lekceważąc głosy, twarze, ręce, przedzierając się przez tłum, z pochyloną głową, niedbale okrytą chustą. Minęła ludzi kręcących się wokół stojaka z butami, potem pokonała ogród skalny. Kamienie raniły jej boscie stopy, gałęzie czepiały się ubrania. Wpadła do lasu pełnego wilgotnych liści, gładkich konarów i miękkich grzybów... W końcu poczuła się bezpieczna w spokoju i ciszy.

Kierowca taksówki podskoczył przerażony, gdy zastukała w szybę. Włączył światła i dobrą chwilę przyglądał się jej podrapanej twarzy, bosym stopom i podartemu ubraniu. Zelda zauważyła, że mężczyzna spogląda na drogę, jakby miał zamiar udać, że nie zna swej pasażerki. Szybko otworzyła tylne drzwi i wślizgnęła się na siedzenie.

- Ruszamy - powiedziała spokojnie. - Wracamy do hotelu. Odwróci! się i zmierzył ją od stóp do głów.

- Zostawiłam tam buty - wyjaśniła z wymuszonym uśmiechem. - A potem szłam przez las.

Zmarszczył czoło z niedowierzaniem, ale odwrócił się i uruchomił silnik. Jechał szybko, najwyraźniej nie chcąc niepotrzebnie przedłużyć niepokojącej podróży.

- Las być zła miejsce - powiedział z wyrzutem po długim milczeniu.

Nie odpowiedziała. Tkwiła sztywno na siedzeniu, które przechylało się nieco w bok z powodu pękniętej sprężyny, patrzyła prosto przed siebie, obserwując drogę wyłaniającą się z mroku.

Wkrótce ciemność zrzędała, rozjaśniona ogniskami i lampkami płonącymi w domach. Kierowca gwałtownie zahamo-

wał, żeby nie wjechać w wałęsającą się krowę. Od tego momentu posuwał się do przodu wolniej, z ręką zawieszoną nad klaksonem. Zelda opuściła szybę i wdychała woń palonego drewna. Słychać było śmiech i cichy poszum wieczornych rozmów. Jakiś chłopiec pędził stado kóz wąską ścieżką, która prowadziła do pobliskiego domu.

Zelda wsparła policzek na dłoni. Dom... Zapach schnącej przy ogniu mokrej wełny. Stary, czarny czajnik syczący na piecu. Ryba skwiercząca na patelni. Nogi wyciągnięte w stronę paleniska. Opowieści przy kieliszku burbona.

Obiecała sobie, że wróci na wyspę, tam gdzie jest jej miejsce. Będzie mieszkała na łodzi, zacznie zarabiać, łowiąc langusty, zaoszczędzi trochę pieniędzy i kupi kawałek ziemi. Nagle przed jej oczami stanęła twarz Drew. Dziewczyna zamknęła oczy i poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Wszystko się zmieniło; nie mogła tam wrócić. Niestety, tu również nie było dla niej miejsca...

Kierowca obejrzał się przez ramię i skręcił w stronę hotelu. Nagle zahamował i samochód posuwał się teraz w żółtym tempie.

- Ojej! - jęknął kierowca, wpatrzony przed siebie.

Drogą wędrował tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie należeli do gości hotelowych ani służby; byli chudzi i mieli na sobie nędzne, wypłowiałe ubrania. W nikłym świetle widać było złotawy blask kwiatów - dziesiątki nagietków splecionych w długie girlandy, podobne do tych, które wisiały na straganach obok *ghat*.

Pewnie obchodzą jakieś święto - pomyślała Zelda. Zsunęła się nieco niżej na siedzeniu, zadowolona, że może w ciemności ukryć się przed wścibskimi oczami. Wolna jazda działała na nią jak urzekająca pieśń. Chciałabym - pomyślała dziewczyna - żeby trwała bez końca, żeby porwała mnie ze sobą i pozwoliła zapomnieć o wszystkim.

Po chwili kierowca zaczął walić ręką w klakson, dzięki czemu ludzie odsunęli się na pobocze, gdzie stali ramię przy

ramieniu, lekceważąc taksówkę i nie odrywając wzroku od oświetlonych okien hotelu, błyszczących wśród drzew.

Dwie potężne żelazne bramy blokowały dostęp do podjazdu. W pierwszej stał umundurowany strażnik, odwrócony plecami do tłumu. Na dźwięk klaksonu obejrzał się i bez słowa patrzył na zbliżającą się taksówkę. Kierowca wychylił się przez okno i coś krzyknął. Strażnik odpowiedział również okrzykiem. Po chwili dołączyła do niego grupa pracowników hotelu w zielonych liberiach. Wspólnymi siłami odepchnęli tłum, otworzyli bramy i wpuścili pojazd do środka.

Przed głównym budynkiem goście i obsługa prowadzili ożywione rozmowy i przyglądali się ludziom czekającym po drugiej stronie bramy. Zeldą wskazała na najdalszy kraniec parkingu. Kierowca zaaprobował jej wybór i wysadził ją w cieniu starego, rozłożystego drzewa. Bez słowa wziął pieniądze i szybko odjechał.

Dziewczyna przez moment stała w bezruchu, chcąc ustalić swe położenie, a potem powędrowała okrężną drogą w kierunku bocznego wejścia. Wyciągała nogi, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się do swojego pokoju, który w jej przekonaniu czekał na nią niczym niezawodny przyjaciel, gotów podnieść na duchu i zapewnić odpoczynek.

Przy wejściu zawahała się na widok girlandy ułożonej w progu, jednak zasłony były zaciągnięte, a wewnątrz panowała bezpieczna ciemność. Kładąc rękę na klamce, ponownie się zawahała, przypomniawszy sobie, że zostawiła klucz w recepcji. Przyjrzała się przeszklonym drzwiom, by sprawdzić, jak są zamknięte. Jednocześnie niemal automatycznie przekręciła gałkę. Ku jej zaskoczeniu, drzwi się otwały. Westchnęła z ulgą i wślizgnęła się do środka.

W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów. Wyczuła również kadzidełko, małeńki czerwony punkcik żarzył się zresztą w ciemności. Kiedy oczy Zeldy przywykły do mroku,

dostrzegła lampę z różowym abazurem i sięgnęła, by ją włączyć. Z cienia dobiegł cichy szelest.

- Kto tu jest? - spytała ostrym, piskliwym głosem.

Pstryknął włącznik. Gdy się odwróciła, w drzwiach sypialni ujrzała staruszka o siwych włosach i brązowawej skórze. Dość długo przyglądał się jej twarzy, a potem uśmiechnął się promiennie i wyciągnął dłoń.

- Zelda - powiedział. - Zelda. - Powtarzał jej imię, jakby rozkoszował się jego brzmieniem. - W końcu przyjechałaś. Po tylu latach.

Patrzyła na niego w milczeniu. Jego słowa działały na nią jak uzdrawiający balsam, delikatny wietrzyk. Wchłonęła je i czekała na następne.

- Od lat modliłem się o twój przyjazd.

Mówił niskim, cichym starczym głosem, który łamał się i szeleścił niczym suche liście. Jego hinduska angielszczyzna gładko wypływała z ust, wznosząc się i opadając, tworząc spokojną, miłą melodię.

- Palilem w tej intencji kadzidelka. Marzyłem o twoim przyjeździe. Potem się poddałem, a ty przyjechałaś...

Głos mu się załamał. Stał w milczeniu, ze zwieszonymi rękami, niespokojnie poruszając dłońmi.

- Wyglądasz tak jak ona... gdy tu przybyła!

- Kim pan jest? - spytała cicho Zelda. - Zna mnie pan? Przytaknął.

- Jestem dawnym posłańcem, mam na imię Djoti - wyjaśnił.

Przerwał, jakby zastanawiał się, od czego zacząć opowieść. Westchnął i z uśmiechem na twarzy rozłożył ręce.

- Tyle chciałbym ci powiedzieć, ale jest tego za dużo, żeby...

- Czy wiesz, gdzie ona jest? - spytała Zelda.

- Oczywiście. Zaprowadzę cię do niej - odparł Djoti. Zelda wbiła w niego wzrok, jej oczy zaokrągliły się pod wpływem i strachu, i nadziei. Otworzyła usta, ale Djoti uniósł rękę.

- Do domu, w którym przebywa twoja matka, prowadzi długa droga przez las. Nie da się jej pokonać w ciemnościach. Pójdziemy jutro rano - zapowiedział stanowczo. -Uwierz mi, nie ma innej możliwości.

Zelda oblizwała suche wargi i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- W porządku. Ale... to znaczy... - Głos jej się załamał. -Tylko mnie nie okłamuj... Proszę.

Djoti zdecydowanym ruchem dotknął jej ramienia.

- Zobaczysz ją - zapewnił. - Po co inaczej byś tu przyjeżdżała? Po tylu latach? Po co, jeśli nie po to, żebyście mogły być razem?

Zapadła cisza. Z oddali dobiegał czyjś śmiech.

- Dopiero kilka tygodni temu dowiedziałam się, że ona żyje - wyjaśniła Zelda.

Kilka tygodni temu? Tysiąc lat. Djoti kiwnął głową.

- Ojciec powiedział ci, że mama zginęła. Zelda zeszywniała.

- Skąd wiesz? - spytała. Hindus wzruszył ramionami.

- Byłem posłańcem. Wszystkie listy i telegramy przechodziły przez moje ręce. Ellen też pisała...

- Jakie wszystkie listy?

- Pytała twojego ojca, czy może do ciebie pisać. Chciała cię odwiedzić, ale nie mogła. Twój ojciec się nie zgodził.

Zelda stała nieruchomo, skupiona na słowach staruszka. Djoti chodził po pokoju, podnosząc i odkładając różne rzeczy, jakby chciał tą krzątaniną złagodzić siłę jej spojrzenia. W końcu podniósł poduszkę, przycisnął ją do piersi i szorstką ręką pogłaskał aksamit.

- Na jego korzyść przemawiał wyrok sądowy - powiedział. - Dlatego musiała się z tym pogodzić, chociaż było jej bardzo trudno. Nie chciała z nikim na ten temat rozmawiać, ale w końcu nakłoniłem ją, żeby mi o wszystkim opowiedzia-

ła. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Widzisz, mam córkę w tym samym wieku co ona. Mieszka daleko stąd, w małej wiosce. Zawsze miałem nadzieję, że w razie jakichś kłopotów ktoś przyjazny zechce jej pomóc. A poza tym... - Głos mu złagodniał. - Poza tym jestem przecież ojcem. Potrafię zrozumieć, co oznacza strata dziecka.

- Ona mnie nie straciła - szepnęła Zelda. - Sama odeszła. Djoti przez chwilę milczał.

- Nawet jeśli tak, nie przestała cię kochać. - Kiwnięciem głowy podkreślił swoje słowa. - Naprawdę. Zelda nie odrywała od niego wzroku.

- Miała twoją fotografię z czasów, kiedy byłaś małą dziewczynką - ciągnął Djoti. - Zdjęcie zostało zrobione podczas twoich urodzin. Traktowała je jak największy skarb i chyba było to jedyne ogniwo, które łączyło ją z dawną Ellen, bo złożyła się w ofierze, przeobrażając się w Piękną Matkę. Zdecydowała się na ogromne poświęcenie. Oczywiście, byłem pełen podziwu, bo tak właśnie powinien postąpić wielki nauczyciel, ale bardzo mi jej brakowało. Mówiąc szczerze... - Zawahał się i zmarszczył czoło. - Mówiąc szczerze, czułem, że to nie jest dla niej dobre, dla niej samej.

- Powiedz mi - poprosiła Zelda. - Kim, a raczej czym... ona jest? Czegoś nie rozumiem. Wybrałam się do Everest House, ale tam jej miejsce zajmuje jakaś inna kobieta.

- To długa historia.

Djoti gestem ręki zaproponował, żeby usiadła. Zelda zajęła więc miejsce na wybitym aksamitem krześle, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z twarzy staruszka. Hindus usadowił się na kanapie naprzeciwko niej.

- Ludzie przyjeżdżają do Savoyu od wielu godzin, od chwili, kiedy tylko usłyszeli, że jest tu córka Nandy Devi.

Opowiadał spokojnym, beztróskim głosem, jak ktoś, kto opisuje pogodę.

- Oczywiście, dyrekcja hotelu nikogo tutaj nie wpuści -zapewnił.

- Widziałam ich - odparła Zelda, przypominając sobie tłum obdartych ludzi, przyjaciół Ellen. - Nie zauważyli mnie - stwierdziła. - Nie zajrzeli do taksówki.

Djoti kiwnął głową.

- Dyrektor hotelu nie chciał, żeby czekali tutaj. Powiedział im, że poszłaś już spać, ale oni wciąż mają nadzieję, że wyjdiesz do nich. Kto wie? Może rzeczywiście tak zrobisz?

- Czego ode mnie oczekują? - spytała z powątpiewaniem.

- Niczego - odparł Djoti. - Chcą tylko powitać córkę Nandy Devi. Pozwól jednak, że wszystko ci wyjaśnię... Kiedy Ellen mieszkała w Musoorie, w części zwanej Landour, pomogła bardzo wielu ludziom. W tej chwili przed hotelem stoją dzieci, które zmarłyby, gdyby Ellen nie wsparła ich matek, dając im jedzenie, lekarstwa czy pieniądze. Tego się nie zapomina. Ponieważ pobierała nauki w aśramie, poznała ich język, mogła więc również rozmawiać z ludźmi i słuchać ich skarg. Była ich przyjaciółką. W końcu zaczęli mówić na nią Nanda Devi. Ludzie posługujący się angielskim nadali jej inne imię, Piękna Matka. To wszystko działo się wiele lat temu. Mieszkańcy tych okolic od dawna jej nie widzieli, ale wciąż ją pamiętają. - Przerwał, by wygodniej usadowić się na kanapie. - Kiedy przeniosła się do Everest House, przestała bywać w mieście. Ludzie nie spotykali jej już na bazarze, w aśramach czy na ulicach. Ja też długo jej nie widziałem. Pracowałem dla niej, gdy mieszkała z przyjaciółkami w Landour, i potem jeszcze przez jakiś czas po przeprowadzce do Everest House, nim założyły w Rishikeszu własny aśram i zaczęły spędzać w dolinie wszystkie zimy. To był pomysł Ziggy. Przyjechała tu razem z Ellen, a potem wszystkim zarządzała. Chciała, żeby goście mogli uzasadnić swój przyjazd względami religijnymi i w związku z tym otrzymywać odpowiednie wizy, które umożliwiałyby im pozostanie w Indiach tak długo, jak zechcą. Dlatego właśnie założyły aśram w Rishikeszu, świętym mieście. Nie mogłem jeździć z nimi tam i z powrotem, każdej zimy i lata. Byłem już za stary na ciągle przepro-

wadzki! Poza tym mam rodzinę, dlatego musiałem pójść własną drogą...

Djoti przerwał i spojrział na swoje dłonie zaciśnięte na kolanach.

- Chociaż to nie był jedyny powód. Ziggy nie chciała, żebym kręcił się w pobliżu. Dołożyła wszelkich starań, żeby się mnie pozbyć. Ellen... chciała, żebym został. - Jego twarz pokryła się zmarszczkami, zdradzając nagle jego prawdziwy wiek. - Jednak w tym czasie stopniowo rezygnowała z życia osobistego. Liczyli się tylko jej uczniowie. Dała im wszystko, niczego nie zostawiając dla siebie ani dla starego Hindusa. Tak więc straciłem ją z oczu, chociaż nie zapomniałem o niej. Nigdy więcej jej nie widziałem, tylko na obrazach. -Roześmiał się. - Wiesz, na bazarze sprzedają kubki z jej wizerunkiem, a nawet lalki! Muszą być wytwarzane gdzieś za granicą, bo naprawdę mają jej twarz i tak jak ona są ubrane na niebiesko, tyle że mają rude włosy! Moja żona Prianka zaoszczędziła kilka rupii i kupiła taką laleczkę, ale kazałem jej rzucić ją w kąt. Spytałem, co nas z nią łączy. To już nie jest nasza dawna przyjaciółka, bo ta odeszła, a sami mamy wystarczająco wielu bogów i związanych z nimi zajęć.

Zelda uśmiechnęła się do niego; jego proste słowa przynosiły ulgę. Nagle zadzwonił telefon, ostry dźwięk zakłócił nastrój. Oboje spojrzeli na aparat, ale żadne nie drgnęło. W końcu dzwonienie ustało. Djoti wyłączył światło.

- Na wypadek, gdyby ktoś przyszedł - szepnął. W ciemności stłumione odgłosy przybrały na sile.

- Co było dalej? - spytała Zelda.

- Nie tak dawno temu przyszedł do mnie chłopiec i powiedział, że Nanda Devi leży w szpitalu. Natychmiast poszedłem ją odwiedzić, ale powiedziano mi, że już jej tam nie ma. Niemal przez całe życie byłem posłańcem, więc potrafię dostrzec, co kryje się za słowami. Prawda wyglądała tak, że w nocy przywieziono ją z Everest House. Nikomu nie pozwalano się z nią widywać. Miała swoich ludzi, którzy ją myli

i gotowali dla niej. Pielęgniarki powiedziały, że jest ciężko chora, a lekarz twierdził, że to załamanie. Załamała się jak dach? - pomyślałem. Ale nawet bardzo stary dach się nie załamie, jeśli się o niego odpowiednio dba. Powiedziałem żonie, że jeśli tak wygląda sytuacja, ciekaw jestem, jak teraz będą o nią dbać.

Pokiwał powoli głową.

- Minęło trochę czasu. Słyszałem, że jej stan się nie poprawia. Bardzo nas to martwiło. Myśleliśmy o niej bez przerwy, wyobrażaliśmy ją sobie leżącą w szpitalu, odciętą od świata. Musieliśmy coś zrobić. Więc... - W głosie Djotiego zabrzmiała duma. - Wykradliśmy ją! Dosłownie. Miałem do pomocy trzech świętych mężów. Wywołaliśmy drobne zamieszanie, podtapiając szpital, żeby odciągnąć personel. Potem owinęliśmy Ellen w prześcieradło, jak umarłego, a święci mężowie wynieśli ją na dwór. Obserwowałem ich z lasu; było im bardzo ciężko. Chcieli wykonać swoje zadanie jak najszybciej, tymczasem musieli iść powoli, jak przystało na kapłanów.

Zelda wychyliła się ku staruszkowi, zaintrygowana opowieścią.

- Zabraliśmy ją do małego domku w górach - kontynuował Hindus. - Niegdyś była to chata myśliwska pułkownika Strathedena, ale kiedy zmarł, wszyscy o niej zapomnieli. Zanieśliśmy tam Ellen prawie dwa miesiące temu. Teraz już chyba wszystko rozumiesz? Wybrałaś się do Everest House na spotkanie z matką, tymczasem ona zniknęła. Rozpłynęła się w rzadkim górskim powietrzu!

- Roześmiał się cicho. - Oczywiście, chcieli ją odzyskać. Rozpytywali

o nią. Szukali jej we wszystkich aśramach, *dharmshalach*

i hotelach, nawet w Delhi, Kalkucie i Goa. Mój przyjaciel pracuje na poczcie i wie o tym wszystkim. Jak widzisz, nie mogła tu zostać.

Kanapa skrzypnęła, gdy Djoti odwrócił się w stronę Zeldy. Dziewczyna dostrzegła w ciemności jego uśmiech.

- Dlatego właśnie przyjechałaś! - stwierdził. - Dlatego tu jesteś!

Jego ostatnie słowa zabrzmiały mocno i czysto, a potem jeszcze długo rozbrzmiewały w mroku.

- Czy ona... jest zdrowa?

Zelda nie poznawała własnego głosu. Po tak długim czasie trudno jej było rozmawiać o Ellen tak, jakby naprawdę tu była.

- Cierpiała z powodu snów - wyjaśnił Djoti. - Nie były to złe sny, ale bardzo ją przygnębiały.

Wszystko dlatego, że od wielu lat nic jej się nie śniło. Absolutnie nic. Długo studiowała jogę, a jogini potrafią w pełni panować nad swym umysłem, nawet podczas snu. Ellen posiadała tę sztukę. Tylko dzięki temu mogła pomagać zagranicznym gościom w rozwiązywaniu ich problemów. Potem prawdopodobnie górę wzięło fizyczne zmęczenie. Nie mogła jeść, miała bóle. Była wyczerpana, ale bała się zasnąć z obawy przed snami. Zdawała sobie bowiem sprawę, że traci moc. Jej umysł pragnął się uwolnić, a ona się tego bała. Dlatego przez wiele dni nie pozwalała sobie na sen. W takim stanie przywieziono ją do szpitala, gdzie nafaszerowano ją lekami.

Podniósł głos z oburzenia.

- Twoja matka nienawidzi lekarstw i szpitali! Nawet zapachu środków dezynfekujących. Odkąd ją znam, unikała tych rzeczy jak ognia. Byłem więc szczęśliwy, że mogę ją stamtąd zabrać. Zamiast pielęgniarek i lekarzy zajęła się nią jej dawna przyjaciółka, Prianka. Odpoczywały razem przy kominku w domku pułkownika Strathedena. Prianka była z nią przez cały czas i zajmowała się nią jak małym dzieckiem. Czesła ją, gotowała jej, nawet karmiła łyżeczką. Usunęła z jej ciała ból. Prianka naprawdę ją kocha, a kto jest w stanie oprzeć się miłości starej kobiety?

Djoti znów się roześmiał.

- Odwiedzałem ją, kiedy tylko mogłem. To właśnie wtedy opowiedziała mi o swoich snach. Jej sny przypominały dłu-

gie filmy. Niektóre z nich dotyczyły ciebie, Zeldo. Inne cofały ją do czasów, kiedy była małą dziewczynką i mieszkała w Stanach Zjednoczonych. Po tych ostatnich bardzo cierpiała. Odnosiła wrażenie, że matka o coś ją winiła, chociaż nigdy nie mogła dojść do tego, o co chodziło. To ją dręczyło. -W głosie Djotiego zabrzmiała złość. - Czasami zastanawiam się, co może zrobić dziecko, żeby matczyna miłość zamieniła się w ponure, bolesne uczucie. Powtarzałem Ellen, że nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania i że powinna myśleć o tobie, Zeldo, o swojej córce, która błąka się gdzieś po świecie.

Djoti wstał, jego ciemna sylwetka zarysowała się na tle ciemnoszarego okna.

- I miałem rację, bo w końcu przyjechałaś. Teraz cię zostawię, żebyś mogła odpocząć. Wrócę jutro.

- Nie - zaprotestowała Zeld, stając obok niego. Poczula, że staruszek stanowi jedyną nić, która łączy ją

z porankiem, obiecuje nadejście świtu.

- Proszę, nie zostawiaj mnie samej.

- Niestety, muszę - odparł Djoti, nie kryjąc zaskoczenia. - Już dawno powinienem być w domu.

- Zabierz mnie ze sobą - błagała Zeld. - Mogę przespać się gdziekolwiek. Rano będziemy mogli wcześniej wyruszyć w drogę. - Włączyła światło, żeby zobaczyć twarz Djotiego.

Roześmiał się i omiół wzrokiem pokój.

- Chyba nie rozumiesz - powiedział. - Mój dom to chata pozbawiona elektryczności i bieżącej wody. Śpimy na legowiskach porozkładanych na podłodze.

- Ja też mieszkałam w chacie - tłumaczyła Zeld. - Woda z deszczu wlewała się szparą pod drzwiami, a wiatr właczał dym z powrotem do komina. Domek był bardzo mały i stał tak blisko morza, że zdaniem taty z okna można było zarzucać wędkę...

Starła się uśmiechnąć, ale wargi jej zadrżały, a oczy napęłniły się łzami.

- Nie płacz - powiedział Djoti tak jak kiedyś Cassie. Jego prośba brzmiała tak życzliwie, że Zelda odwróciła się, by ukryć płynące po twarzy łzy. Wyczuła, że za jej plecami Djoti na chwilę zamarł w bezruchu. Potem usłyszała, że chodzi po pokoju, zbiera jej rzeczy i pakuje do plecaka. Po chwili zarzucił ładunek na ramię i stanął przy drzwiach, gotowy do drogi.

29

W pobliżu Landour leśne trakty przypominały raczej ścieżki na wydeptanej i wymiecionej do czysta ziemi. Wzdłuż trasy wędrowcy napotykali tłące się stosy zwiędłych liści i wyschniętych kwiatów, aromatyczne smugi dymu snuły się w porannym powietrzu. Nikt nie pilnował niewielkich ognisk, co oznaczało, iż sprzątający znajdują się gdzieś w pobliżu, zawsze obecni, ale niezmiennie poza zasięgiem wzroku.

W głębi lasu ścieżka stała się wyboista i śliska, ale korony drzew zdobiły te same kwiaty, a przebudzone już ptaki świergotały i fruwały między konarami. Djoti szedł przodem, ale co chwila oglądał się przez ramię.

- Uważaj. Nie potknij się - ostrzegał.

Tuż obok ścieżki grunt opadał stromo aż na dno doliny.

- Zginęło tu sporo ludzi - wyjaśnił. - Konie również wpadały w *khut*.

Podczas wędrówki wskazywał ślady odległych domostw - smugi dymu, ostre szczyty dachów, drzewa. Raz zatrzymał się, żeby pokazać jej czerniejące ruiny rozległej rezydencji. Powiedział, że schroniła się tu niegdyś para młodych hinduskich kochanków. Niestety, piorun uderzył w dom i oboje spłonęli wraz z nim. Teraz ich duchy wyśpiewują nocami pieśń miłości...

Ani Djoti, ani Zelda nie mówili nic o sobie, a tym bardziej o Ellen, wyczuwając, że ich wędrówka powinna być spokojna i cicha, wolna od bólu, nadziei i wspomnień.

Wczesnym przedpołudniem ostatnie domy Landour zostały daleko za nimi, a prowadząca serpentynami ścieżka zaczęła piąć się stromo w górę. Oddechy obydwójga stały się zbyt krótkie, by mogli rozmawiać. Zelda zatrzymała się, by zdjąć sweter i zawiązać go wokół bioder. Było to stary pulower, powycierany na łokciach, ale podobał jej się niebiesko-szary kolor, który przypominał zimowe niebo.

Rankiem dość długą chwilę spędziła nad plecakiem, zastanawiając się nad wyborem stroju, podczas gdy Djoti i jego rodzina czekali przed chatą, pragnąc zapewnić swemu gościowi nieco prywatności. Początkowo włożyła brązowe spodnie, potem jednak zrezygnowała z tego typowo indyjskiego stroju. Zdecydowała się na dżinsy, wysokie buty, bluzkę koszulową i niebieski sweter. Otuchy dodawał jej dotyk znoszonych dżinsów i ciężar skórzanego paska. Wokół szyi owinęła starą, wyblakłą od słońca i wiatru chustę Jamesa z postrzępionymi brzegami. Zniknęła podróżniczka, pojawiła się natomiast dawna Zelda z Nautilus Bay, córka Jimmy'ego, dziewczyna Drew.

Djoti zmarszczył czoło, podając jej gliniany kubek słodkiej herbaty z przyprawami korzennymi.

- Zmieniłaś się w chłopca? - spytał, ale widząc solidne botki, aprobując kiwnął głową. - Droga jest ciężka. Przydadzą ci się - powiedział, choć sam był boso.

Pnąc się w górę, Zelda obserwowała plecy swego przewodnika. Przecież to staruszek - powtarzała sobie. - Powinnaś wyprzedzać go o wiele kilometrów. Rozmasowała bok, starając się rozproszyć ból spowodowany przez kolkę. Potem zaczęła liczyć kroki, tak jak to robiła wówczas, gdy starała się nadażyć za Drew. Pięćdziesiąt. Następne pięćdziesiąt. I kolejne. Krok po kroku można pokonać każdą odległość. Kilometry zniechęcają - mawiał James. - Centymetry znikają nie wiadomo jak.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Djoti, zatrzymując się. Zelda wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Co takiego?

- Popatrz w tamtą stronę. Wśród drzew stoi domek myśliwski pułkownika Strathedena.

Spojrzała nad głową Djotiego w kierunku, który wskazywał wyciągniętą ręką. Zobaczyła pnie, liście, krzaki, a nad nimi niebo. Po chwili jednak dostrzegła także niemal niewidoczne zarysy drewnianego budynku.

- Jest mały - wyjaśnił Djoti. - I niemalowany. Spojrzeli sobie w oczy; Zelda poczuła, że ogarnia ją panika. Koniec wędrówki nadszedł zbyt szybko.

- Idź prosto przed siebie - szepnął staruszek. - Zaczekam tutaj.

- Nie! - zaprotestowała szybko Zelda. - Zaprowadź mnie...

Djoti bez słowa zszedł z wąskiej ścieżki i wykonał zapraszający gest.

Dróżka zaprowadziła dziewczynę na niewielką polanę tuż za ostrym zakretem. Na jej środku stał poszarzały ze starości domek z popękkanymi gontowymi ścianami i takimż dachem. Z okien zwisały okiennice, trzymające się na obluzowanych zawiasach. Pobieliałe czaszki zwierząt z długimi, rozgałęzionymi porożami zdobiły frontową ścianę. Nad zbitymi z surowych desek drzwiami wisały dwie zardzewiałe strzelby ze skrzyżowanymi lufami.

Zelda podeszła bliżej; jej bluzka zaczepiła się o dzikie pnące, które zarastało zaniedbane grządki. Ostrym szarpnięciem uwolniła rękaw. Gałązka odgięła się i uderzyła o jedną ze zwisających okiennic. Rozległo się stuknięcie, a potem znów zapadła cisza.

Zelda obejrzała się za siebie, mając nadzieję, że Djoti idzie za nią, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Ze wszystkich stron otaczała ją nieprzenikniona cisza. Dziewczyna powędrowała ścieżynką prowadzącą wzdłuż ściany. Zatrzymała się przy otwartym oknie i ujrzała w nim schnące pranie - bluzkę, spodnie, bieliznę, skarpetki, wszystko w róż-

nych odcieniach błękitu. Ruszyła dalej, głośno stawiając kroki, żeby zakłócić ciszę i uprzedzić o swoim przybyciu.

Stała przy rogu chaty. Długie, ciemne włosy opadały na plecy wysokiej kobiety pochylonej nad skrawkiem świeżo skopanej ziemi. Białe ręce ugięły się w łokciach i wbiły łopatę w glebę.

- To ty, Djoti? - spytała.

Nie słysząc odpowiedzi, wyprostowała się i odwróciła. Uniosła rękę i przetarła czoło, zostawiając na nim ślad ziemi, po czym osłoniła oczy przed promieniami słońca.

- Nie, to ja - odrzekła Zelda.

Gdzieś w oddali rozległ się śpiew ptaka.

Spojrzenia obu kobiet spotkały się, potem prześlizgnęły po twarzach i sylwetkach, by znów się połączyć. Wtedy oczy ich obydwu przesłoniły łzy. Wolnym krokiem zaczęły zbliżać się do siebie, jakby posuwały się w takt bezgłośnej pieśni.

Opadły na kolana na ciemną ziemię, zagłębiając się w niej jak wiele lat temu w piasku białej plaży na dalekiej wyspie. Promienie słońca muskały ich głowy niczym kochająca matka.